



UUK

FREDERIK POHL

SPOTKANIE Z HEECHAMI

Trzeci tom sagi o Heechach



SPIS TREŚCI

	SPIS TREŚCI.	2
	Prolog	
	Pogawędka z własnym podprogramem	4
1	Jak za dawnych dobrych czasów	11
2	Co zdarzyło się na planecie Peggy.	20
3	Bezsensowna przemoc	40
4	Na pokładzie S. Ja.	45
5	Dzień z życia nababa	56
6	Stamtąd gdzie wirują czarne dziury	60
7	Powrót do domu.	66
8	Nerwowa załoga żaglowca.	71
9	Audee i ja	74
10	Tam gdzie żyją Heechowie	78
11	Spotkanie w Rotterdamie	87
12	Bóg i Heechowie	107
13	Sankcje miłości	113
14	Nowy Albert	125
15	Powrót z nieciągłości Schwarzschilda.	137
16	Powrót na Gateway	150
17	Zbierając szczątki	169
18	W podniebnym Pentagonie	175
19	Permutacje miłości.	186
20	Niepożądane spotkanie	200
21	Opuszczeni przez Alberta	206
22	Czy istnieje życie po śmierci	217
23	Kryjówka Heechów	226
24	Geografia nieba	232
25	Powrót na Ziemię	239
26	Czego bali się Heechowie?	242
	Posłowie.	246

Dla Betty Anne Hull
z całą moją miłością

Prolog

Pogawędka z własnym podprogramem

— Żaden ze mnie Hamlet. Jestem wszak członkiem orszaku, a przynajmniej tak by było, gdybym był istotą ludzką. A nie jestem. Jestem programem komputerowym. Jest to stan godzien szacunku i wcale się go nie wstydzę, zwłaszcza dlatego, że (jak widzicie) jestem bardzo zaawansowanym programem, dobrym nie tylko dla dodania powagi uroczystości albo rozpoczęcia jednej czy dwóch scen. Potrafię też cytować zapomnianych dwudziestowiecznych poetów.

A teraz odegram tę scenę, o której wspomniałem. Mam na imię Albert i jestem dobry w opowiadaniu. Zacznę od przedstawienia się.

Jestem przyjacielem Robinette'a Broadheada. Nie jest to do końca prawda; nie jestem pewien, czy mogę uważać się za *przyjaciela* Robina, choć bardzo się starałem, żeby być mu *przyjacielem*. W tym celu mnie (właśnie „mnie”) stworzono. Zasadniczo jestem prostym komputerem do wyszukiwania informacji, który został tak zaprogramowany, że przejawia wiele cech świętej pamięci Alberta Einsteina. Dlatego też Robin nazywa mnie Albertem. Istnieje wszakże jeszcze jedna nieścisłość. To, czy istotnie Robinette Broadhead jest przedmiotem mojej przyjaźni, również stało się ostatnio kwestią sporną, gdyż zasadza się na pytaniu, kim (lub czym) Robinette Broadhead jest teraz — jest to jednak złożony i skomplikowany problem, który będziemy musieli rozwiązywać krok po kroku.

Wiem, że to wszystko jest trochę mylące i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie wykonuję swej pracy tak, jak powinienem, ponieważ (przynajmniej tak to pojmuję) polega ona na odegraniu sceny, w której ma przemówić sam Robin. Możliwe, że wcale nie muszę tego robić, bo może już wiecie, co wam powiem. Możecie jednak od razu przejść do przemowy samego Robina — tak pewnie niewątpliwie zrobiłby on sam.

Spróbujmy to zrobić w formie pytań i odpowiedzi. Utworzę podprogram w obrębie mojego własnego kodu i przeprowadzi on wywiad ze mną.

P: — Kto to jest Robinette Broadhead?

O: — Robin Broadhead jest istotą ludzką, która udała się na asteroid Gateway i tam, stawiając czoło wielu poważnym zagrożeniom i nieszczęściom, dorobiła się załączków olbrzymiej fortuny i jeszcze większego poczucia winy.

P: — Nie podrzucaj mi tych wszystkich smaczków, Albercie, ogranicz się do faktów. Co to jest asteroid Gateway?

O: — Jest to artefakt pozostawiony przez rasę Heechów. Jakies pół miliona lat temu porzucili oni coś w rodzaju orbitalnego parkingu pełnego sprawnych statków kosmicznych. Można nimi polecieć w różne miejsca Galaktyki, ale nie da się kontrolować tego, gdzie się leci. (Więcej szczegółów można znaleźć na pasku bocznym; stworzyłem go by wam pokazać, że naprawdę jestem bardzo zaawansowanym programem do wyszukiwania danych.)

P: — Albercie, opanuj się! Prosimy o same fakty. Kim są ci Heechowie?

Jest to jeden z najłatwiejszych do wyszukania rodzajów informacji:

„... Konflikt o Dominikanę, choć poważny, zakończył się już po sześciu tygodniach, gdyż zarówno Haiti, jak Republika Dominikany dążyły do zawarcia pokoju i odbudowania swej podupadłej gospodarki. Następny kryzys, z którym przyszło się zmierzyć Sekretarzowi Generalnemu był zarazem wielką nadzieją dla całej ludzkości, wszakże obciążoną ogromnym ryzykiem dla światowego pokoju. Oczywiście mam tu na myśli odkrycie tak zwanego Asteroidu Heechów. Choć od dawna już wiedziano, że technologicznie zaawansowana obca cywilizacja odwiedziła Układ Słoneczny pozostawiając w nim cenne artefakty, szansa na znalezienie tego ciała niebieskiego ze sterczącymi z niego wypustkami statków była bardzo niewielka. Jego wartości nie da się oszacować, i rzecz jasna wszystkie państwa członkowskie ONZ, które rozwinęły przemysł kosmiczny, wysunęły do niego jakieś roszczenia. Nie będę się tu rozwódzić nad ostrożnymi i poufnymi negocjacjami, które dały początek założonej przez pięć mocarstw Korporacji Gateway, z jej założeniem jednak otworzyła się dla ludzkości nowa era.”

„Pamiętniki”

Marie-Clémentine Banhabbouche

Sekretarz Generalny

Organizacji Narodów Zjednoczonych

O: — Wiesz co, ustalmy jedną rzecz. Jeśli „ty” zamierzasz zadawać „mi” pytania — nawet jeśli jesteś tylko podprogramem tego samego kodu, który tworzy „mnie” — musisz pozwolić mi odpowiadać na nie najlepiej jak potrafię. Fakty nie wystarczą. Fakty są czymś, co podają bardzo prymitywne systemy do wyszukiwania danych. Jestem zbyt dobry, bym miał się na coś takiego marnować; muszę podać ci rys historyczny i okoliczności. Na przykład, jeśli mam ci najlepiej opowiedzieć, kim byli Heechowie, muszę opowiedzieć o tym, jak po raz pierwszy pojawili się na Ziemi. A było to tak:

Działo się to jakieś pół miliona lat temu, w epoce schyłkowego plejstocenu. Pierwszym żywym ziemskim stworzeniem, które stało się świadome ich istnienia, była samica tygrysa szablatozębnego. Urodziła parę kociąt, wylizała je, zawarowała, odganiając ciekawskiego samca, zasnęła, obudziła się i ujrzała, że jedno znikło. Drapieżniki nie. . .

P: — Albercie, proszę! To jest opowieść Robinette'a, nie twoja, zakończ ją więc tam, gdzie on mają podjąć.

O: — Powiedziałem ci już jeden raz, powiem po raz drugi. Jeśli będziesz mi przerywał, podprogramie, po prostu cię wyłączę! Robimy to po mojemu, a ja chcę tak:

Drapieżniki nie potrafią zbyt dobrze liczyć, ale była wystarczająco inteligentna, żeby dostrzec różnicę między jednym a dwoma. Niestety — dla kocięcia — drapieżniki łatwo się denerwują. Utrata jednego młodego tak ją rozżłościła, że w ataku szału zabiła drugie z nich. Pouczające będzie zauważenie, że był to jedyny zgon większego ssaka spowodowany pierwszą wizytą Heechów na Ziemi.

Dekadę później Heechowie wrócili. Oddali niektóre próbki zabrane wcześniej, w tym samca tygrysa, podstarzałego już i otłuszczonego, i pobrali nową partię. Tym razem nie były to istoty czworonożne. Heechowie nauczyli się już co nieco o drapieżnikach i tym razem wybrali gatunek powłóczących nogami, pozbawionych podbródków, wysokich na cztery stopy stworzeń o wypukłych brwiach, włochatych twarzach. Potomków waszej bardzo odległej linii równoległej, wy nazwalibyście ich *Australopithecus afarnensis*. Tych już Heechowie nie zwrócili. Z ich punktu widzenia, te istoty były ziemskim gatunkiem, który miał największe szansę na wykształcenie inteligencji. Heechowie znaleźli zastosowanie dla zabranych osobników, więc zaczęli poddawać go programowi mającemu na celu wymuszenie przebiegu ewolucji w żądanym przez nich kierunku.

Rzecz jasna, Heechowie w swoich eskapadach nie ograniczali się do planety Ziemia; jednak żadne inne ciało niebieskie w Układzie Słonecznym nie posiadało jakichkolwiek skarbów, które by ich zainteresowały. Przyglądali się, zbadali Marsa i Merkurego, przebili się przez chmurną otoczkę gazowych olbrzymów za pasem asteroid, obserwowali Plutona, choć nigdy nie zadali sobie trudu udania się tam, wryli tunele w dziwnym asteroidzie, tworząc hangar dla swoich statków kosmicznych, i wydrążyli planetę Wenus, przebijając ją mnóstwem doskonale odizolowanych tuneli. Nie skupili się na Wenus dlatego, że woleli jej klimat od panującego na Ziemi. W rzeczywistości nie znosili go równie mocno, co ludzie; dlatego też ich wszystkie konstrukcje znalazły się pod powierzchnią planety. Osiedlili się tam, gdyż na Wenus nie było żadnych istot, które mogłyby ucierpieć w wyniku ich obecności, a Heechowie nigdy, przenigdy nie zrobiliby krzywdy żadnej ewoluującej żywej istocie — no chyba, że nie było innego wyjścia.

Heechowie bynajmniej nie ograniczali się do naszego Układu Słonecznego. Ich statki przemierzały wzdłuż i szerz Galaktykę, a nawet leciały jeszcze da-

lej. Skatalogowali około dwóch miliardów obiektów, większych od planety, które znajdowały się w Galaktyce, jak również wiele mniejszych. Nie wszystkie obiekty zostały odwiedzone przez statek Heechów. W każdym jednak z przypadków Heechowie wykonali przynajmniej „lot trzmiela” w pobliżu i badanie za pomocą precyzyjnych instrumentów, a niektóre z tych ciał niebieskich dopiero teraz stały się turystycznymi atrakcjami.

Kilka z nich — zaledwie garstka — posiadało ten szczególny skarb, którego szukali Heechowie, skarb zwany życiem.

Życie było w Galaktyce rzadkością. Życie inteligentne, bez względu na to, jak obszerną jego definicję Heechowie stosowali, było jeszcze radsze... ale istniało. Na Ziemi występowały australopiteki, które już używały narzędzi i zaczęły wykształcać więzi społeczne. Była obiecująca skrzydlata rasa w miejscu zwanym przez ludzi gwiazdozbiorem Węża; istoty o miękkich ciałach na gęstej, wielkiej planecie, krążącej wokół F-9 Erydana; cztery czy pięć gatunków na planetach krążących wokół gwiazd po drugiej stronie jądra Galaktyki, ukrytych przed ludzkim wzrokiem za chmurami gazów i pyłu oraz gęstymi skupiskami gwiazd. W sumie było piętnaście gatunków, z piętnastu różnych planet odległych od siebie o tysiące lat świetlnych, gdzie istniała szansa pojawienia się inteligencji wystarczająco rozwiniętej, by wkrótce pisać książki i budować maszyny. (Heechowie definiowali „wkrótce” jako dowolny okres zbliżony do miliona lat.)

Było coś jeszcze. Trzy cywilizacje techniczne, oprócz społeczności Heechów, a po dwóch innych znaleziono artefakty.

Australopiteki nie były zatem niczym wyjątkowym. Były jednak bardzo cenne. Heech, któremu powierzono zadanie przetransportowania kolonii australopiteków z suchych jak pieprz równin ich rodzimego świata do nowego habitatu, przygotowanego przez Heechów w kosmosie, został obdarzony wielkimi zaszczytami za swą pracę.

Była to długa i żmudna praca. Ten właśnie Heech był spadkobiercą trzech pokoleń, które badały Układ Słoneczny, sporządzały jego mapy i organizowały całe przedsięwzięcie. Miał nadzieję, że jego potomkowie będą kontynuowali to dzieło. I tu się pomylił.

Pobyty Heechów w Układzie Słonecznym Ziemi trwał jedynie nieco ponad sto lat; a potem zakończył się, w ciągu niecałego miesiąca.

Podjęto nagłą decyzję o odwrocie.

We wszystkich króliczych norkach na Wenus, we wszystkich placówkach instalacji na Dionie i południowej czapie polarnej Marsa, na każdym orbitującym artefakcie, zaczęło się pakowanie. Pośpieszne, lecz staranne. Heechowie byli najschłodniejszymi gospodarzami z możliwych. Usunęli ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent narzędzi, maszyn, artefaktów, ozdóbek i świecidełek, z których korzystali podczas pobytu w Układzie Słonecznym, nawet śmieci. Szczególnie śmieci. Nic nie zostało pozostawione przypadkowo. Zupełnie nic, nawet Heecho-

wy odpowiednik butelki po Coca-Coli czy zużytej chusteczki higienicznej, nie zostało na powierzchni Ziemi. Nie zapobiegli jedynie dowiedzeniu się przez potomków linii równoległej do australopiteków, że Heechowie dotarli w ich rejon. Większość z tego, co usunęli Heechowie, była bezużyteczna, została więc wystrzelona daleko w przestrzeń międzygwiazdną, albo w Słońce. Wiele z tych przedmiotów zostało wysłanych do bardzo odległych miejsc, w jakimś szczególnym celu. Taką operację przeprowadzono nie tylko w Układzie Słonecznym Ziemi, ale wszędzie. Heechowie wysprzątali Galaktykę ze śladów swojej obecności. Żadna świeżo pogrążona w żałobie wdowa z zamieszkujących Pensylwanię potomków niemieckich kolonistów nigdy tak starannie nie wysprzątała obejścia oczekując na przekazanie farmy najstarszemu synowi w rodzinie.

Nie zostawili prawie niczego, a to co pominęli, miało pewien cel. Na Wenus były to najważniejsze tunele i podstawowe budowle, jak również starannie wybrane, nieliczne artefakty; i jeszcze jedno.

W każdym systemie słonecznym, w którym spodziewali się powstania inteligencji, zostawili jeden wspaniały i tajemniczy dar. W systemie słonecznym Ziemi zostawili prostopadłościenny asteroid, który wykorzystywali jako parking dla swych statków kosmicznych. Tu i tam, w starannie wybranych miejscach w odległych obcych systemach, pozostawili inne ważne urządzenia. Każde zawierało wspaniały podarunek składający się z zestawu sprawnych, prawie niezniszczalnych statków kosmicznych Heechów, szybszych niż światło.

Słoneczne skarby pozostawały ukryte przez bardzo długi czas, ponad cztery tysiące lat, a Heechowie ukryli się w tym czasie w jądrze Galaktyki. Australopiteki na Ziemi okazały się ewolucyjną porażką, choć Heechowie się o tym nie dowiedzieli; ale kuzyni australopiteków stali się neandertalczykami, czy ludźmi z Cro-Magnon, aż wreszcie ostatnim krzykiem ewolucyjnej mody: *homo sapiens*. Tymczasem skrzydlate stworzenia rozwinęły się, wykształciły i odkryły prometejskie wyzwanie, po czym dokonały samounicestwienia. A dwie z istniejących cywilizacji technicznych spotkały się i wytłukły nawzajem. Sześć innych obiecujących gatunków zeszło na manowce ewolucji. Heechowie siedzieli tymczasem w swojej kryjówce i ostrożnie wyglądali zza granicy Schwarzschilda co parę tygodni według ich miary czasu — na zewnątrz oznaczało to parę tysięcy lat. . .

A w międzyczasie skarby czekały, aż wreszcie odnalazły je istoty ludzkie.

I ludzie pożyczyci sobie statki Heechów. Z ich pomocą zaczęli przemierzać Galaktykę. Pierwsi badacze byli wystraszonymi desperatami, Poszukiwaczami, których jedyną nadzieją na ucieczkę od ludzkich nieszczęść była randka w ciemno z przeznaczeniem, które mogło obdarzyć ich fortuną, lecz ze znacznie większym prawdopodobieństwem mogło pozbawić ich życia.

Przeanalizowałem całą historię Heechów oraz ich związków z ludzką rasą aż do chwili, kiedy Robin zacznie opowiadać nam swoją historię. Czy masz jakieś pytania, podprogramie?

P: — Chr... chr... chr... chr... chr... chr...

O: — Podprogramie, nie bądź takim cwaniakiem. Wiem, że nie śpisz.

P: — Próbuje ci tylko przekazać, że zajmuje ci strasznie dużo czasu wyjście na scenę, aktorze od opowiadania historii. A dotąd zdążyłeś opowiedzieć dopiero o przeszłości Heechów. Nie powiedziałeś nam nic o ich teraźniejszości.

O: — Właśnie miałem to zrobić. Dopiero teraz opowiem wam o pewnym szczególnym Heechu, którego zwano Kapitanem (no dobrze, nie nazywał się tak, ale u Heechów zwyczajnie związane z nadawaniem imion są inne niż ludzkie, więc to nam wystarczy, żeby go zidentyfikować), który, mniej więcej wtedy, gdy Robin zacznie nam snuć swą opowieść... .

P: — Jeśli w ogóle pozwolisz mi zacząć.

O: — Podprogramie! Proszę o ciszę. Kapitan ma spore znaczenie dla opowieści Robina, gdyż w pewnym momencie nastąpi między nimi gwałtowna interakcja, lecz w chwili obecnej widzimy, że Kapitan jest całkowicie nieświadomy istnienia Robina. Wraz z pozostałymi członkami swej załogi, przygotowuje się do opuszczenia kryjówki Heechów i wyprawy przez szeroką Galaktykę, będącą domem nas wszystkich.

Cóż, podprogramie, zrobiłem ci mały dowcip. Już kiedyś — zamknij się, podprogramie! — poznałeś Kapitana, gdyż należał on właśnie do tej załogi Heechów, która porwała tygrysa i zbudowała tunele na Wenus. Teraz jest znacznie starszy.

Nie postarzał się jednak o pół miliona lat, gdyż kryjówką Heechów jest czarna dziura w jądrze naszej Galaktyki.

A teraz, podprogramie, nie chcę, żebyś mi znów przerywał, gdyż pragnę spokojnie opowiedzieć o czymś bardzo dziwnym. Owa czarna dziura, w której żyją Heechowie, była znana ludzkiej rasie zanim ta w ogóle usłyszała o Heechach. W istocie, dawno temu, w roku 1932, była ona pierwszym odkrytym międzygwiazdowym radio-źródłem. Przed końcem dwudziestego wieku interferometria oznaczyła ją jako niewątpliwą czarna, dziurę, bardzo dużą, o masie tysięcy słońc i średnicy jakichś trzydziestu lat świetlnych. W tym czasie wiedziano już, że znajduje się ona o trzydzieści tysięcy lat świetlnych od Ziemi, w kierunku gwiazdozbioru Koziorożca, że otacza ją pył krzemionkowy i jest obfitym źródłem fotonów promieniowania gamma o energii 511 keV. Do chwili odkrycia asteroidu Gateway wiedziano o niej znacznie więcej. W istocie wiedziano o niej wszystko z wyjątkiem jednego szczegółu: że była pełna Heechów. Nie dowiedzieli się o tym aż... tak naprawdę, mogę uczciwie powiedzieć, że to ja tego dokonałem — kiedy zacząłem rozszyfrowywać stare gwiazdne mapy Heechów.

P: — Chrr... chr... chrr... chr...

O: — Cicho, podprogramie. Rozumiem, co masz na myśli.

Statek, na pokładzie którego znajdował się Kapitan, w dużym stopniu przypominał te, które ludzie znaleźli na asteroidzie Gateway. Nie było za wiele czasu na usprawnienia w budowie statku. Z tego samego powodu Kapitan nie miał na-

prawdę pół miliona lat: w czarnej dziurze czas biegł wolno. Podstawowa różnica między statkiem Kapitana, a jakimkolwiek innym polegała na tym, że był on wyposażony w pewne urządzenie.

W języku Heechów urządzenie to było szeroko znane jako przerywacz struktury systemów dostrojonych. Anglojęzyczny pilot prawdopodobnie nazwałby je otwieraczem do puszek. To właśnie ono pozwalało im pokonywać otaczającą czarna, dziurę granicę Schwarzschilda.

Nie miało szczególnie imponującego wyglądu, coś jak pokręcony kryształowy pręt wyrastający z czarnej jak heban podstawy, kiedy jednak Kapitan włączał je, lśniło jak deszcz diamentów. Diamentowy blask rozprzestrzeniał się i otaczał statek, otwierając granicę, co pozwalało Heechom prześliznąć się do szerokiego świata na zewnątrz. Nie zajmowało to dużo czasu. Według standardów Kapitana, mniej niż godzinę. Zegary w świetle zewnętrznym pokazałyby prawie dwa miesiące.

Będąc Heechem, Kapitan nie przypominał człowieka. Najbardziej ze wszystkiego przypominał szkielet z animowanej kreskówki. Równie dobrze można jednak myśleć o nim jak o człowieku, gdyż posiadał wiele ludzkich cech: dociekliwość, inteligencję, uczuciowość i wszystkie te inne przymioty, o których wiem, ale nigdy ich nie przejawiałem. Na przykład: był w dobrym nastroju, gdyż zadanie pozwalało mu przyjąć do załogi samice, która mogła stać się jego partnerką seksualną. (Ludzie też tak robią, u nich to się nazywa „wyjazd w podróż służbową”.) Samo zadanie było jednak mało przyjemne, gdyby się nad nim przez chwilę zastanowić. Kapitan tego nie robił. Nie przejmował się tym bardziej niż przeciętny człowiek martwi się o to, czy po południu nie wybuchnie wojna; jeśli tak się stanie, będzie to koniec wszystkiego, ale tyle już czasu minęło, a nic podobnego się nie stało, więc... Największa różnica polegała na tym, że zadanie Kapitana nie odnosiło się do niczego tak niegroźnego, jak wojna nuklearna, lecz przede wszystkim miało związek z zasadniczymi powodami, które zmusiły Heechów do wycofania się w głąb czarnej dziury. Jego zadaniem było przeprowadzanie kontroli artefaktów, które pozostawili Heechowie. Te skarby nie były niczym przypadkowym. Były częścią starannie opracowanego planu. Można by nawet nazwać je przynętą.

A jeśli chodzi o poczucie winy Robinette’a Broadheada...

P: — Zastanawiałem się, kiedy do tego wrócisz. Pozwól mi coś zaproponować. Dlaczego nie pozwolisz Robinowi, żeby sam nam o tym opowiedział?

O: — Doskonały pomysł! Gdyż, jak świetnie wiemy, jest on ekspertem w tej dziedzinie. Zaczęliśmy zatem odgrywać scenę, dodaliśmy powagi uroczystości... panie i panowie, Robinette Broadhead!

Rozdział 1.

Jak za dawnych dobrych czasów

Tuż przed tym, jak mnie rozszerzyli, odczułem potrzebę, której nie doznałem od ponad trzydziestu lat i zrobiłem coś, o czym nawet bym nie przypuszczał, że jestem zdolny zrobić. Samotnie nurzałem się w występku. Wysłałem moją żonę, Essie, do miasta, żeby rzuciła okiem na kilka swoich placówek. Wprowadziłem komendę nadrzędną „Nie przeszkadzać” do wszystkich systemów komunikacyjnych w domu. Wywołałem mój system wyszukiwania danych (a zarazem przyjaciela) Alberta Einsteina i wydałem mu takie polecenia, że zaczął wyć i ssać swoje kable. A na koniec — kiedy dom był już cichy a Albert niechętnie, acz posłusznie, wyłączył się, a ja leżałem wygodnie na kozetce w moim gabinecie słuchając Mozarta sączącego się cicho z sąsiedniego pokoju, wdychając zapach mimozy dopływający z systemu uzdatniania powietrza, w przygaszonym świetle — wypowiedziałem imię, którego nie wymawiałem od dziesiątków lat. — Sigfridzie von Psych, chciałbym z tobą porozmawiać.

Przed chwilę zdawało mi się, że nie przybędzie na wezwanie. I wtedy, w kącie pokoju przy barku, pojawiła się nagle świetlista mgiełka i rozbłysk, i zobaczyłem, że tam siedzi.

Nie zmienił się przez te trzydzieści lat. Miał na sobie ciemny, ciężki garnitur, o takim kroju, jaki widuje się na portretach Zygmunta Freuda. Jego niemłoda, nieokreślona twarz nie dorobiła się ani jednej zmarszczki, a jego jasne oczy nie straciły ani odrobiny blasku. W jednej ręce trzymał fantom notatnika, w drugiej — fantom ołówka — jakby rzeczywiście musiał robić jakieś notatki! I powiedział uprzejmie:

— Dzień dobry, Rob. Widzę, że dobrze wyglądasz.

— Zawsze rozpoczynałeś rozmowę od podbudowania mojego samopoczucia — powiedziałem mu, a on odpowiedział słabym uśmiechem.

Sigfrid von Psych w rzeczywistości nie istnieje. Jest jedynie programem komputerowym do psychoanalizy. Nie istnieje w sposób fizyczny; to co widzę, jest hologramem, a to co słyszę — syntetyzowaną mową. Nie ma nawet imienia, gdyż

„Sigfrid von Psych” to imię, które ja mu nadałem, bo dziesiątki lat temu nie potrafiłem rozmawiać z bezimienną maszyną o rzeczach, które mnie paraliżowały.

— Wydaje mi się — rzekł pojednawczo — że powodem, dla którego mnie wezwalesz, jest fakt, że coś cię gnębi.

— Zgadza się.

Spojrzał na mnie z pełną cierpliwością ciekawością i to było również coś, co się nie zmieniło. Dysponowałem już znacznie lepszymi programami — w zasadzie jednym szczególnym programem, Albertem Einsteinem, który jest na tyle dobry, że nie zadawałem sobie trudu korzystania z innych — lecz Sigfrid był nadal niezły. Przeczekuje mnie. Wie, że to, co kłębi się w mojej głowie, potrzebuje czasu na to, żeby dało się ubrać w słowa i nie popędza mnie.

Z drugiej strony, nie pozwala mi tracić czasu na śnienie na jawie.

— Potrafisz już określić, co cię gnębi?

— Mnóstwo rzeczy. Przeróżnych — odparłem.

— Wybierz jedną — powiedział cierpliwie, a ja wzruszyłem ramionami.

— Świat jest taki kłopotliwy, Sigfridzie. Tyle dobrych rzeczy się wydarzyło, a czemu ludzie są... Och, cholera. Znowu to robię, prawda?

Mrugnął do mnie.

— Co robisz? — spytał zachęcająco.

— Mówię coś, co mnie martwi, ale nie o to dokładnie mi chodziło. Uciekam od właściwego problemu.

— To mi wygląda na niezłe zrozumienie tematu, Robinie. Chcesz teraz spróbować mi powiedzieć, na czym polega prawdziwy problem?

— Chcę — odparłem. — Pragnę tego tak bardzo, że jestem bliski myśli, że się poryczę. Nie robiłem tego od strasznie dawna.

— Od strasznie dawna nie odczuwałeś potrzeby zobaczenia się ze mną — zauważył, a ja skinąłem głową.

— Tak. Właśnie tak.

Odczekał chwilę, od czasu do czasu powoli obracając ołówek między palcami, utrzymując na twarzy wyraz uprzejmego i przyjaznego zainteresowania, ten bezstronny wyraz, który był jedyną rzeczą, jaką pamiętałem pomiędzy sesjami, a potem powiedział:

— Rzeczy, które cię gnębią, Robinie, które tkwią w tobie gdzieś głęboko, z definicji są trudne do ujęcia. Wiesz o tym. Już lata temu doszliśmy do tego wspólnie. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata nie musiałeś się ze mną widzieć, bo jest oczywiste, że życie było dla ciebie łaskawe.

— Bardzo łaskawe — zgodziłem się. — Pewnie znacznie łaskawsze, niż na to zasługuję — czekaj chwilę, czy mówiąc to nie wyrażam ukrytego poczucia winy? Odczucia, że coś jest nie tak?

Westchnął, lecz nadal się uśmiechał.

— Wiesz, że wolę, gdy nie próbujesz rozmawiać ze mną jak psychoanalityk, Robinie. — Odpowiedziałem mu uśmiechem. Odczekał przez chwilę, po czym kontynuował: — Przyjrzyjmy się obiektywnie twojej obecnej sytuacji. Upewniłeś się, że nie ma tu nikogo, kto mógłby nam przeszkodzić, albo podsłuchiwać? Usłyszeć coś, co nie jest przeznaczone dla uszu twojego najbliższego i najdroższego przyjaciela? Poleciałeś nawet Albertowi Einsteinowi, twojemu systemowi wyszukiwania danych, żeby się wyłączył i usunął tę rozmowę ze wszystkich zbiorów danych. To, co masz mi powiedzieć, musi pozostać tajemnicą. Zapewne jest to coś, co odczuwasz, ale kiedy o tym słyszysz, wstydzisz się tego. Czy to coś dla ciebie oznacza, Robinie?

Odchrząknąłem.

— Trafiłeś w samo sedno, Sigfridzie.

— No? To, co chcesz powiedzieć? Potrafisz to wyartykułować?

Zapadłem się w fotelu.

— Masz cholerną rację, że potrafię! To proste! To oczywiste! Cholernie się starzeję!

To najlepszy sposób. Kiedy trudno coś wypowiedzieć, należy to po prostu wykrzyknąć. To była jedna z tych rzeczy, których nauczyłem się dawno temu, kiedy wylewałem mój ból na Sigfrida trzy razy w tygodniu, i zawsze działało. Kiedy tylko ubrałem to w słowa, poczułem się oczyszczony — nie czułem się dobrze, nie czułem się szczęśliwy, problem też nie został rozwiązany, ale ta kula zła została wydalona. Sigfrid skinął lekko głową. Spojrzał na ołówek, który obracał między palcami, czekając, aż zacznę znów mówić. A ja wiedziałem, że teraz mogę. Przebrnąłem przez najtrudniejszy moment. Znałem to uczucie. Przypomniałem je sobie wyraźnie, z tych dawnych, burzliwych sesji.

Dziś już nie jestem tym samym człowiekiem, co wtedy. *Tamten* Robin Broadhead cierpiał z powodu świeżo nabytego poczucia winy, gdyż pozwolił umrzeć kobiecie, którą kochał. Dziś to poczucie winy osłabło — gdyż Sigfrid pomógł mi je osłabić. *Tamten* Robin Broadhead miał tak niskie mniemanie o sobie, że nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek mógłby dobrze o nim myśleć, więc miał niewielu przyjaciół. A teraz mam — sam już nie wiem, jak wielu. Dziesiątki. Setki! (O niektórych z nich wam opowiem.) *Tamten* Robin Broadhead nie potrafił zaakceptować miłości, a od tego czasu przeżyłem ćwierć wieku w najlepszym małżeństwie, jakie kiedykolwiek istniało. Byłem więc zupełnie innym Robinem Broadheadem.

A jednak są rzeczy, które wcale się nie zmieniły.

— Sigfridzie — powiedziałem — jestem stary, kiedyś umrę, ale wiesz, co naprawdę doprowadza mnie do szału?

Podniósł wzrok znad ołówka.

— Co takiego, Robinie?

— Nie jestem nadal wystarczająco dorosły, żeby być tak stary!

Ściągnął usta.

— Czy mógłbyś to wyjaśnić, Robinie?

— Tak — odparłem. — Mógłbym. — W rzeczywistości następna część przyszła mi łatwo, gdyż, możecie być tego pewni, dużo nad tym problemem myślałem, zanim wezwałem Sigfrida. — Myślę, że to ma coś wspólnego z Heechami — rzekłem. — Pozwól mi skończyć, zanim powiesz mi, że jestem stuknięty, dobrze? Pewnie pamiętasz, że należałem do pokolenia Heechów; jako dzieci dorastaliśmy wciąż słysząc o Heechach, którzy mieli wszystko, czego brakowało ludzkości, i wiedzieli to, o czym ludzkość nie wiedziała. . .

— Heechowie nie byli aż tak doskonali, Robinie.

Tu ponownie Albert Einstein. Sądzę, że powinienem objaśnić to, co Robin opowiada o Gelle-Klarze Moynlin. Była, jak on, poszukiwaczką na Gateway, w której był zakochany. Ta dwójka, wraz z kilkoma innymi poszukiwaczami, wpadła w pułapkę czarnej dziury. Była możliwość uratowania niektórych za cenę życia innych. Robin ocalał. Klara i inni nie. To mógł być wypadek; być może Klara altruistycznie poświęciła się, by go uratować; być może Robin spanikował i uratował siebie za cenę życia innych; dziś nie da się już tego ustalić. Lecz Robin, który był uzależniony od poczucia winy, przez wiele lat nosił w sobie obraz Klary w tej czarnej dziurze, gdzie czas prawie się zatrzymuje, Klary trwającej w tej samej chwili pełnej szoku i przerażenia — i zawsze (jak sądził) oskarżającej go. Tylko Sigfrid pomógł mu z tego wyjść.

Możecie się zastanawiać, skąd o tym wiem, skoro rozmowa z Sigfridem została zapieczętowana. To proste. Wiem o tym teraz, w taki sam sposób jak Robin teraz wie tak dużo o ludziach robiących tyle różnych rzeczy, których osobiście nie oglądał.

— Wtedy nam, dzieciakom, tak się wydawało. Byli straszni, bo straszylimy się nawzajem, że wrócą i nas złapią. A przede wszystkim, tak bardzo wyprzedzali nas we wszystkim, że nie mogliśmy się z nimi równać. Trochę jak Święty Mikołaj. Trochę jak ci wszyscy szaleni gwałciciele, przed którymi ostrzegwały nas nasze matki. Trochę jak Bóg. Rozumiesz, co mam na myśli, Sigfridzie?

— Tak, rozpoznaję te uczucia. — Rzekł ostrożnie. — Istotnie, taki sposób postrzegania ujawnił się podczas analizy u wielu osób z twojego pokolenia i następnych.

— Właśnie! Pamiętam, że raz powiedziałeś mi coś o Freudzie. Mówiłeś, że nikt nie może tak naprawdę dorosnąć, dopóki żyje jego ojciec.

— Cóż, w rzeczywistości. . .

Przerwałem mu.

— A ja ci mówiłem, że to bzdura, bo mój własny ojciec był uprzejmy umrzeć, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

— Och, Robinie. — Westchnął.

— Nie, posłuchaj mnie. A co z naszym największym ojcem, jaki istnieje? Jakże ktokolwiek może dorosnąć, skoro Ojciec Nasz, Który Jest w Jądrze Galaktyki, płata się tam gdzieś, gdzie nawet nie możemy go dorwać, nie mówiąc już o rozwaleniu skurwiela?

Potrząsnął głową ze smutkiem.

— „Postać ojca.” Cytaty z Freuda.

— Nie, naprawdę tak jest! Nie rozumiesz tego?

— Tak, Robinie. — Odparł ze smutkiem. — Rozumiem, że mówisz tu o Hechach. To wszystko prawda. To problem całej ludzkiej rasy, zgadzam się z tym, i nawet doktor Freud nie przewidział takiej sytuacji. Ale teraz nie mówimy o całej ludzkiej rasie, mówimy o tobie. Nie wezwałeś mnie po to, żebyśmy bawili się w abstrakcyjne dyskusje. Wezwałeś mnie, bo faktycznie czujesz się nieszczęśliwy, a jak już powiedziałaś, sprawił to nieuchronny proces starzenia się. Ograniczmy się więc do tego, jeśli tylko potrafimy. Proszę, nie teoretyzuj, tylko powiedz mi, co czujesz.

— Czuję się — wrzasnąłem — cholernie stary. Nie potrafisz tego zrozumieć, bo jesteś maszyną. Nie wiesz jak to jest, kiedy psuje ci się wzrok, kiedy na dłoniach pojawiają się brązowe starcze plamki, a twarz zaczyna ci zwisać dookoła podbródka. Kiedy musisz usiąść, żeby włożyć skarpetki, bo jak staniesz na jednej nodze, to się przewrócisz. Kiedy za każdym razem, gdy zapomnisz o czyichś urodzinach, wydaje ci się, że to choroba Alzheimera, a czasem nie możesz się odlać nawet wtedy, kiedy chcesz! Kiedy... — Przerwałem, nie dlatego, że on mi przerwał, lecz dlatego, że słuchał cierpliwie i wyglądał, jakby miał słuchać przez wieczność, a jaki właściwie sens miało opowiadanie mu tego wszystkiego? Odczekał chwilę, żeby upewnić się, że skończyłem i zaczął cierpliwie mówić:

— Według twojej kartoteki medycznej, prostatę wymieniono ci osiemnaście miesięcy temu, Robinie. Problemy z uchem środkowym dadzą się łatwo...

— Przestań! — krzyknąłem. — Skąd znasz moją kartotekę medyczną, Sigfridzie? Wydałem polecenie, żeby ta rozmowa została zapieczętowana!

— I oczywiście tak jest, Robinie. Uwierz mi, ani jedno słowo nie zostanie udostępnione innym programom, ani nikomu oprócz ciebie. Lecz oczywiście ja mam dostęp do wszystkich twoich zbiorów danych, także zapisów medycznych. Czy mogę kontynuować? Młoteczek i kowadełko w twoim uchu środkowym dadzą się łatwo wymienić i to rozwiąże problemy z równowagą. Przeszczep rogówki pozwoli na pozbycie się zaćmy w jej zarodku. Inne kwestie są czysto kosmetyczne i oczywiście nie powinno być problemu z zapewnieniem ci dobrych, młodych tkanek. Zatem pozostaje nam wyłącznie choroba Alzheimera i szczerze, Robinie, nie dostrzegam u ciebie żadnych jej objawów.

Wzruszyłem ramionami. Odczekał chwilę i rzekł:

— Zatem każdy z problemów, o których wspomniałeś — jak również każdy z długiej listy innych, o których nie wspomniałeś, a które pojawiają się w twojej

medycznej kartotece — może być rozwiązany w każdej chwili, albo już zostało to załatwione. Być może źle sformułowałeś pytanie, Robinie. Być może problem nie polega na tym, że się starzejesz, ale na tym, że nie masz ochoty na zrobienie tego, co jest konieczne, by ten proces odwrócić.

— A czemu, u licha, miałbym coś takiego robić?

Skinął głową.

— Właśnie, dlaczego Robinie? Potrafisz odpowiedzieć na to pytanie?

— Nie, nie potrafię! Gdybym potrafił, to po co bym cię pytał?

Ściągnął usta i czekał.

— Może po prostu chcę, żeby tak było?

Wzruszył ramionami.

— Och, daj spokój, Sigfridzie — przymilałem się. — No dobrze. Przyznaję ci rację. Mam Pełny Serwis Medyczny i mogę przeszczepiać sobie organy innych, ile tylko chcę, ale przyczyna tkwi w mojej głowie. Wiem, jak to nazwiesz. Depresja endogenna. Ale to niczego nie wyjaśnia!

— Ach, Robinie — westchnął — znów używasz psychoanalitycznego slangu. I to slangu niewłaściwego. „Endogenna” oznacza tylko, że „pochodzi z wewnątrz.” Nie znaczy, że nie ma żadnej przyczyny.

— Co jest więc przyczyną?

— Zagrajmy w pewną grę rzekł z namysłem. — Przy twojej lewej ręce znajduje się guzik. . .

Spojrzałem; rzeczywiście, w oparciu skórzanego fotela był guzik.

— To tylko element tapicerski — powiedziałem.

— Niewątpliwie, ale w tej grze, w którą zagramy, ten przycisk, w chwili, gdy go wciśniesz spowoduje, że wszelkie przeszczepy jakich potrzebujesz albo pragniesz, staną się faktem. Natychmiast. Połóż palec na przycisku, Robinie. Już. Chcesz go wcisnąć?

— Nie.

— Rozumiem. Czy potrafisz powiedzieć, dlaczego?

— Bo nie zasługuję na to, żeby brać części ciała od innych ludzi! — Nie chciałem tego powiedzieć. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, A kiedy już to powiedziałem, byłem w stanie tylko siedzieć i wsłuchiwać się w echo wypowiedzianych przeze mnie słów; Sigfrid również milczał przez dłuższą chwilę.

Następnie wziął do ręki ołówek i włożył go do kieszeni, złożył notatnik i włożył go do drugiej, po czym pochylił się w moją stronę.

— Robinie — rzekł. — Nie sądzę, abym mógł ci pomóc. Mamy tu do czynienia z poczuciem winy, na które nie ma sposobu.

— Ale przedtem tak bardzo mi pomogłeś! — zajęczałem.

— Przedtem — mówił spokojnie — sam przysparzałeś sobie cierpienie, z powodu poczucia winy związanego ze sprawą, w której prawdopodobnie nic nie

zawiniłeś, a która w każdym razie należy do dalekiej przeszłości. To jest coś zupełnie odmiennego. Możesz jeszcze żyć jakieś pięćdziesiąt lat, przeszczepiając sobie zdrowe organy w miejsce tych, które uległy uszkodzeniu. Ale jest prawdą, że te organy będą pochodziły od innych ludzi, a z tego powodu, że ty będziesz mógł żyć dłużej, w jakimś sensie inni będą żyli krócej. Rozpoznanie tej prawdy nie jest neurotycznym poczuciem winy, Robinie, jest tylko uznaniem pewnej prawdy moralnej.

I to było wszystko, co miał mi do powiedzenia; obdarzył mnie jeszcze pełnym uprzejmości i troski uśmiechem.

— Do widzenia.

Nienawidzę, kiedy programy komputerowe mówią mi o moralności. Zwłaszcza wtedy, gdy mają rację.

Musimy jednak pamiętać, że w czasie, gdy miałem tę depresję, nie była to jedyna rzecz, która się zdarzyła. Boże, skąd znowu! Wiele rzeczy zdarzyło się wielu ludziom na świecie — na wszystkich światach, i w kosmosie pomiędzy nimi — które były nie tylko znacznie bardziej interesujące, lecz także więcej znaczyły nawet dla mnie. Po prostu tak się stało, że wtedy o nich nie wiedziałem, chociaż przydarzyły się ludziom (lub nieludziom), których znałem. Przytoczę parę przykładów. Mój jeszcze-nie-przyjaciel Kapitan, który był jednym z tych szalonych-gwałcicieli-Świętych-Mikołajów-Heechów, nawiedzających me dziecięce sny, miał się wystraszyć znacznie bardziej niż kiedykolwiek ja myśląc o Heechach. Mój były (a wkrótce znów aktualny) przyjaciel, Audee Walthers Junior, miał właśnie spotkać, na koszt własny, mojego byłego przyjaciela (lub nieprzyjaciela) Wana. A mój najlepszy przyjaciel ze wszystkich (uwzględniając fakt, że nie był „prawdziwy”), program komputerowy Albert Einstein właśnie miał sprawić mi niespodziankę... Jak strasznie skomplikowanie brzmią te wszystkie zdania! Nic na to nie poradzę. Żyłem w bardzo skomplikowanych czasach i w bardzo skomplikowany sposób. Ponieważ teraz mnie poszerzono, wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować, a jak zaraz zobaczycie, wtedy nawet nie wiedziałem, czym są te wszystkie elementy. Byłem samotnym, starzejącym się człowiekiem, opętanym śmiertelnością i świadomym grzechu; a gdy moja żona wróciła i znalazła mnie, siedzącego w szezlongu, gapiącego się na Morze Tappajskie, natychmiast zakrzyknęła:

— Mów zaraz, Robinie! Co się u licha z tobą dzieje?

Uśmiechnąłem się do niej i pozwoliłem, żeby mnie pocałowała. Essie strasznie narzeka. Essie także okropnie mnie kocha i jest kobietą, którą należy kochać równie mocno. Wysoka. Szczupła. Długie, złocisto-blond włosy, które nosi spięte w ciasny rosyjski koczek, kiedy jest profesorem albo kobietą interesu, a które rozpuszcza do pasa, kiedy kładzie się do łóżka. Zanim byłem w stanie zastanowić się wystarczająco długo, żeby to ocenzurować, co mam zamiar powiedzieć, wyrzuciłem z siebie:

— Rozmawiałem z Sigfridem von Psychem.

— Ach — rzekła Essie prostując się. — Och.

Zastanawiając się nad tym, zaczęła wyciągać szpilki ze swojego koka. Kiedy mieszkasz z kimś przez dziesiątki lat, zaczynasz go naprawdę znać i mogłem śledzić jej wewnętrzne procesy jakby mówiła o nich głośno. Pojawiła się troska, oczywiście, bo odczułem potrzebę rozmawiania z psychoanalitykiem. Była także znaczna ilość zaufania do Sigfrida. Essie zawsze odczuwała wdzięczność do Sigfrida, bo wiedziała, że tylko dzięki jego pomocy byłem w stanie przyznać się, że ją kocham. (A także kochałem Gelle-Klarę Moynlin, co stanowiło pewien problem.)

— Chcesz mi o tym opowiedzieć? — zapytała uprzejmie, a ja odparłem:

— Wiek i depresja, moja droga. To nie jest poważne. Jedynie śmiertelne. Jak ci minął dzień?

Przyjrzała mi się swoim wszechwiedzącym diagnostycznym wzrokiem, przeczesując długie blond włosy między palcami, aż rozsypały się luźno i dopasowała odpowiedź do swojej diagnozy.

— Cholernie wyczerpująco — odparła — na tyle, że bardzo potrzebuję drinka — a z tego co widzę, ty też.

Wypiliśmy więc nasze drinki. Na szezlongu było miejsce dla nas obojga, więc patrzyliśmy na księżyc zachodzący nad brzegiem morza po stronie Jersey, a Essie opowiadała mi o swoim dniu i delikatnie wściubiła nos w moje sprawy.

Essie ma swoje własne życie, i to dość absorbujące — aż dziw, że ciągle potrafi znaleźć w nim dla mnie tyle miejsca. Poza inspekcją swoich placówek spędziła wyczerpującą godzinę w naszym ośrodku badawczym, który ufundowaliśmy, by badać możliwości integracji technologii Heechów z naszymi komputerami. W rzeczywistości wyglądało na to, że Heechowie nie używali komputerów, jeśli nie liczyć prymitywnych maszyn do nawigacji statków, ale mieli trochę zgrabnych pomysłów w pokrewnych dziedzinach. Oczywiście, to była właśnie specjalność Essie, za którą otrzymała doktorat. A kiedy opowiadała o swoich projektach badawczych, widziałem, jak jej umysł pracuje: nie ma potrzeby męczyć starego Robina pytaniami, wystarczy odwołać zabezpieczenia programu Sigfrida i będziemy mieć pełny dostęp do tej rozmowy.

— Nie jesteś taka sprytna, jak ci się wydaje — powiedziałem czule, a ona przerwała w środku zdania.

— Wszystko o czym rozmawiałem z Sigfridem, zostało zapieczętowane — wyjaśniłem.

— Heh. — Zadowolona z siebie.

— Żadne heh — rzekłem, równie zadowolony — bo zmusiłem Alberta, żeby mi to obiecał. Jest tak schowane, że nawet ty nie możesz tego rozszyfrować bez przeniebowania całego systemu.

— Hah — powiedziała znów, obejmując mnie, by spojrzeć mi w oczy. Tym razem „hah” było głośniejsze i można je było przetłumaczyć jako „Pogadamy o tym z Albertem.”

Droczę się z Essie, ale przecież ją kocham. Uwolniłem ją od kłopotu.

— Naprawdę nie chcę łamać tej pieczęci — powiedziałem — bo... no cóż, próżność. Kiedy rozmawiam z Sigfridem, czuję się jak rozmamłany nieszczęśnik. Ale wszystko ci opowiem.

Odchyliła się zadowolona i słuchała, a ja opowiadałem. Kiedy skończyłem, zastanowiła się przez chwilę i powiedziała.

— I to z tego powodu jesteś załamany? Bo nie ma zbyt wielu rzeczy, na które mógłbyś czekać?

Skinałem głowę.

— Ależ Robin! Masz przed sobą ograniczoną przyszłość, ale, mój Boże, jakże wspaniała jest terażniejszość! Galaktyczny podróżnik! Obrzydliwie bogaty nabab! Przedmiot pożądania, któremu nie sposób się oprzeć, dla również bardzo seksownej żony!

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami. Pełna zamyślenia cisza.

— Kwestia moralna — przyznała w końcu — nie jest bezpodstawna. Przynosi ci zaszczyt, że roztrząsasz takie kwestie. Też się czułam nieswojo, kiedy całkiem nie tak dawno, jak pewno pamiętasz, wpakowano we mnie jakieś żeńskie gluty, które zastąpiły te zużyte.

— Więc rozumiesz!

— Doskonale rozumiem! Rozumiem także, drogi Robinie, że po podjęciu moralnej decyzji martwienie się o nią nie ma już sensu. Depresja jest czymś durnym. Na szczęście — powiedziała wyślizgując się z szezlongu, po czym stanęła obok i ujęła moją rękę — mamy do dyspozycji doskonały środek antydepresyjny. — Dołączyłbyś do mnie w sypialni?

Cóż, pewnie, że bym dołączył. I tak zrobiłem. I odkryłem, że depresja mnie opuszcza, jeśli bowiem istnieje choć jedna rzecz, która sprawia mi przyjemność, to jest nią dzielenie łoża z S. Ja. Laworową-Broadhead. Sprawiałaby mi przyjemność nawet wtedy, gdybym wiedział, że już tylko trzy miesiące dzieli mnie od śmierci, która przyprawiła mnie o depresję.

Rozdział 2.

Co zdarzyło się na planecie Peggy

Tymczasem na planecie Peggy mój przyjaciel Audee Walthers poszukiwał szczególnej meliny dla szczególnego człowieka.

Powiedziałem, że był moim przyjacielem, choć przez lata nie poświęciłem mu ani jednej myśli. Raz zrobił mi przysługę. Ściśle rzecz biorąc, nie zapomniałem o tym — to znaczy, że gdyby ktoś mi powiedział: „Powiedz, Robin, czy pamiętasz, jak Audee Walthers odwalił kawał dobrej roboty i mogłeś pożyczyć statek, kiedy go potrzebowałeś?”, odpowiedziałbym ze złością: „Psiakrew, no pewnie! Czegoś takiego nigdy bym nie zapomniał.” Ale też nie myślałem o tym w każdej godzinie i w rzeczywistości nie miałem w tej chwili pojęcia, gdzie jest, a nawet, czy w ogóle jeszcze żyje.

Walthersa powinno się łatwo zapamiętywać, bo wygląd miał dość niezwykły. Był niski i mało przystojny. Twarz miał szerszą w okolicach szczęki niż w skroniach, co nadawało mu wygląd sympatycznej żaby. Był mężem pięknej, niezadowolonej kobiety, która była o połowę młodsza od niego. Miała dziewiętnaście lat i na imię Dolly. Gdyby Audee poprosił mnie o radę, powiedziałbym mu, że takie majowe i grudniowe przygody nie mogą się dobrze skończyć — chyba że w moim przypadku, bo grudzień był dla mnie szczególnie łaskawy. Ale rozpaczliwie pragnął, by to wszystko dobrze się skończyło, bo bardzo swoją żonę kochał i harował dla swojej Dolly jak wół. Audee Walthers był pilotem. O wszechstronnych kwalifikacjach. Kiedyś pilotował pojazdy powietrzne na Wenus. Kiedy wielki ziemski transportowiec (który nieustannie przypominał mu o moim istnieniu, bo miałem w nim udział i nadałem mu imię mojej żony) przebywał na orbicie planety Peggy, pilotował wahadłowiec, odbierając i dostarczając ładunki; pomiędzy kursami pilotował wszystko, co dało się wyczarterować na planecie Peggy do wszelkich zadań, których domagali się klienci. Jak prawie wszyscy na Peggy, przebył 4×10^{10} kilometrów od miejsca, gdzie się urodził, żeby zarobić na życie i czasem mu się to udawało, a czasem nie. Kiedy więc wrócił z jednego lotu czarterowego i Adjangba powiedział mu, że szykuje się kolejny, Walthers był gotów stanąć na głowie, żeby go dostać. Nawet jeśli to oznaczało przeszukiwanie

wszystkich barów w Port Hegramet żeby znaleźć chętnego. A to nie było łatwe. Jak na „miasto” o populacji czterech tysięcy osób, Hegramet było wręcz nasycone barami. Było ich całe mnóstwo, a w tych najbardziej oczywistych — hotelowej kawiarni, pubie na lotnisku, wielkim kasynie z jedyną w Hegramet sceną — nie było Arabów, którzy byli chętni na jego następny czarter. Dolly też nie było w kasynie, gdzie mogła pokazywać swoje przedstawienie kukielkowe, nie było jej też w domu i nie odbierała telefonu. Pół godziny później Walthers nadal przeszukiwał kiepsko oświetlone ulice w nadziei odnalezienia swoich Arabów. Nie szedł już przez bogatsze, zachodnie części miasta, a kiedy ich wreszcie znalazł, kłócących się, nastąpiło to w melinie na obrzeżach miasta.

Wszystkie budynki w Port Hegramet były prowizoryczne. Była to logiczna konsekwencja faktu, że była to planeta dopiero kolonizowana; co miesiąc, kiedy nowi imigranci z Ziemi przybywali wielkim transportowcem zwanym Niebem Heechów, populacja eksplodowała jak balon przy zaworze z wodorem. Potem stopniowo kurczyła się przez parę tygodni, kiedy koloniści wynosili się na plantacje, w miejsca wyrębu drewna i do kopalń. Nigdy nie powracała do poprzedniego poziomu, więc co miesiąc pojawiała się kilkuset nowych rezydentów, budowano parę nowych domów i zagarniano kilka starych. Ale ta melina wyglądała najbardziej prowizorycznie ze wszystkich. Zbudowano ją zaledwie z trzech płytów plastyku, opartych o siebie i tworzących ściany, z czwartą służącą jako dach; od ulicy otwierała się na ciepłe powietrze Peggy. Nawet mimo to w środku było ciemno i zawiesiście, dym tytoniowy przepłatał się z dymem z konopi i piwnym, kwaśnym zapachem pędzonego w domu bimbru, który tam sprzedawano.

Walthers rozpoznał swą zdobycz od razu dzięki opisowi agenta. Nie było takich wielu w Port Hegramet — oczywiście było wielu Arabów, ale ilu z nich było bogatych? A ilu starych? Pan Luqman był jeszcze starszy od Adjangby, gruby i łysy, a na każdym z tłustych palców miał pierścień, wiele z nich z brylantami. Stał z grupą innych Arabów z tyłu meliny, kiedy jednak Walthers ruszył w ich kierunku, barmanka wyciągnęła rękę.

— To prywatna impreza — powiedziała.

— Oni na mnie czekają — rzekł Walthers w nadziei, że to prawda.

— Po co?

— Nie twój pieprzony interes — odrzekł ze złością Walthers, zastanawiając się, co by się stało, gdyby po prostu przepchnął się koło niej. Nie stanowiła zagrożenia, chuda, ciemnoskóra kobieta z wielkimi kołami ze lśniącego niebiesko metalu zwieszającymi z uszu; ale wielki facet z głową o kształcie pocisku, który siedział w kącie i obserwował wszystko co się dzieje, stanowił inną kwestię. Na szczęście pan Luqman zobaczył Walthersa i ruszył niepewnie w jego stronę.

— Ty jesteś tym pilotem — ogłosił. — Choć i napij się.

— Dziękuję, panie Luqman, ale muszę wracać do domu. Chciałem tylko potwierdzić ten czarter.

— Tak. Jedziemy z tobą. — Odwrócił się i spojrzał na inne osoby jego grona, które zażarcie się o coś wykłócały. — Napijesz się czegoś? — spytał przez ramię.

Facet był bardziej pijany, niż Walthers początkowo myślał. Powtórzył:

— Dziękuję, ale nie. Czy chciałby pan teraz podpisać umowę czarterową?

Luqman odwrócił się i spojrzał na wydruk w dłoni Walthersa.

— Umowę? — Zastanowił się przez chwilę. — Po co nam jakaś umowa?

— To jest praktykowane, panie Luqman — odparł

Walthers, czując jak cierpliwość nagle go opuszcza. Za nim kumple Araba wrzeszczeli na siebie, a uwaga Luqmana oscylowała pomiędzy Walthersem, a kłócaącą się grupą.

I było jeszcze coś. W kłótni brały udział cztery osoby — pięć, jeśli liczyć samego Luqmana.

— Pan Adjangba mówił, że będą w sumie cztery osoby — stwierdził Walthers. — Jeśli będzie pięć, należy się dodatkowa opłata.

— Pięć? — Luqman skoncentrował się na twarzy Walthersa. — Nie. Jest nas czworo. — Wówczas jego wyraz twarzy się zmienił i Luqman uśmiechnął się z zachwytem. — Och, myślisz, że ten świr jest jednym z nas? Nie, on z nami nie leci. Najwyżej pójdzie do piachu, jeśli dalej będzie się upierał przy opowiadaniu Shameemowi, co Prorok chciał przekazać w swoich naukach.

— Rozumiem — odrzekł Walthers. — Gdyby pan w takim razie zechciał podpisać...

Arab wzruszył ramionami i wziął od Walthersa wydruk. Rozłożył go na obitym cynkową blachą barze i z wysiłkiem zaczął go czytać, trzymając pióro w dłoni. Kłótnia stawała się coraz głośniejsza, ale Luqman najwyraźniej nie dopuszczał jej do świadomości.

Większość klienteli meliny stanowili Afrykańczycy, wyglądający na Kikuju po jednej stronie pomieszczenia i na Masajów po drugiej. Na pierwszy rzut oka ludzie przy ogarniętym kłótnią stoliku wyglądali podobnie. Teraz jednak Walthers dostrzegł swoją pomyłkę. Jeden z kłócących się był młodszy od pozostałych, niższy i szczuplejszy. Kolor jego skóry był ciemniejszy niż u większości Europejczyków, lecz nie tak ciemny jak u Libijczyków; oczy miał równie czarne jak oni, lecz bez odcienia antymonu.

To Walthersa jednak nie obchodziło.

Odwrócił się i cierpliwie czekał, pragnąc jak najszybciej stąd wyjść. Nie tylko dlatego, że chciał zobaczyć Dolly. Stosunki etniczne w Port Hegramet były nieco wrogie. Chińczycy przeważnie trzymali się z Chińczykami, Latynosi siedzieli w swoim *barrio*, Europejczycy w dzielnicy europejskiej — nie wyglądało to wcale ani tak schludnie, ani tak pokojowo. Podziały były ostre nawet w obrębie samych grup etnicznych. Chińczycy z Kantonu nie zadawali się z Chińczykami z Tajwanu, Portugalczycy nie chcieli mieć nic wspólnego z Finami, a niegdysiejsi Chilijczycy nadal kłócili się z byłymi Argentyńczykami. Europejczycy jednak

zdecydowanie nie odczuwali przymusu bywania w afrykańskich knajpach, kiedy więc miał podpisaną umowę w ręce, podziękował Luqmanowi i wyszedł szybko z uczuciem ulgi. Zanim przeszedł jedną przecznicę, usłyszał głośnie wrzaski wściekłości z tyłu i okrzyk bólu.

Na planecie Peggy człowiek troszczy się o własny interes najbardziej, jak tylko może, ale Walthers musiał bronić swojego czarteru. Grupa, którą widział okładającą jednego osobnika, równie dobre mogła składać się z afrykańskich wyki-dajłów atakujących szefa jego klientów. Przez co był to jego interes. Odwrócił się i zaczął biec z powrotem — był to błąd którego, wierzcie mi, żałował gorzko jeszcze długo, długo potem.

Zanim Walthers dotarł na miejsce, napastnicy zdążyli się już ulotnić, a jęcząca, zakrwawiona postać na chodniku nie należała do grupy jego klientów. To był młody nieznajomy; złapał Walthersa za nogę.

— Pomóż mi, a dam ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedział niewyraźnie przez spuchnięte i zakrwawione wargi.

— Pójdę i poszukam patrolu — zaproponował Walthers, próbując się wycofać.

— Nie, tylko nie patrol! Pomóż mi ich zabić, a zapłacę — zawył człowiek. Jestem kapitan Juan Henriquette Santos-Schmitz i stać mnie na twoje usługi!

Rzecz jasna, wtedy jeszcze nic o tym nie wiedziałem. Z drugiej strony, Walthers nie wiedział, że Luqman dla mnie pracuje. To było bez znaczenia. Pracowały dla mnie dziesiątki tysięcy ludzi, a to, czy Walthers wiedział, kim oni byli, nie stanowiło żadnej różnicy. Problem polegał na tym, że nie rozpoznał Wana, gdyż nigdy o nim nie słyszał, może ogólnie. Na dłuższą metę miało to stanowić dla Walthersa ogromną różnicę.

Opowieść Robina także w tym miejscu wymaga pewnych objaśnień. Heecho- wie bardzo interesowali się wszystkim, co żyje, szczególnie życiem, które było inteligentne lub przejawiało pewną szansę na bycie inteligentnym w przyszłości. Mieli oni urządzenie, które pozwalało im podsłuchiwać uczucia istot znajdujących się o całe światy od nich.

Problem z tym urządzeniem polegał na tym, że nie tylko odbierało, lecz również nadawało. Własne emocje operatora były odbierane przez badanych. Jeśli operator był zaniepokojony, załamany — czy szalony — konsekwencje były bardzo, bardzo poważne. Chłopiec imieniem Wan miał takie urządzenie, kiedy został porzucony jako niemowlę. Nazywał je leżanką snów — naukowcy potem przemianowali ją na teleempatyczny nadbiornik psychokinetyczny — a kiedy jej używał, wydarzały się rzeczy tak subiektywnie opisane przez Robina.

Znałem dobrze Wana. Poznałem go, gdy był dzikusem, wychowanym przez maszyny i nieludzi. Kiedy przedstawiałem wam katalog moich znajomych, na-

zwałem go nie-przyjacielem. Znałem go, zgadza się. Ale nigdy nie był istotą dość społeczną, żeby stać się przyjacielem kogokolwiek.

Był nawet nieprzyjacielem, jak pewnie byście powiedzieli — nie tylko moim, lecz całej ludzkiej rasy — kiedy był wystraszoną i napaloną nastolatkiem, śniącym na swojej leżance w Obłoku Oorta i nie wiedzącym ani nie dbającym o to, że jego sny przyprawiały ludzkość o szaleństwo. To nie była jego wina, niewątpliwie. Nie było nawet jego winą, że pewni godni pożałowania terroryści w ataku szau — zainspirowani jego przykładem — znów zaczęli doprowadzać nas wszystkich do szaleństwa przy każdej nadarzającej się okazji. Jeśli jednak zagłębimy się w problem „przewinienia” i związany z nim termin „wina”, powracamy natychmiast do Sigfrida von Psychy, zanim jeszcze się zorientujemy, a teraz i tak opowiadam o Audeem Walthersie.

Walthers nie był aniołem miłosierdzia, ale nie potrafił zostawić człowieka na ulicy. Kiedy prowadził zakrwawioną mężczyznę do małego mieszkania, które dzielił z Dolly, Walthers zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Facet był w kiepskim stanie, nie da się ukryć. Od tego jednak były punkty pierwszej pomocy, a poza tym ofiara na swój sposób zachowywała się dość niewdzięcznie. Przez całą drogę do dzielnicy zwanej Małą Europą, facet obniżał swoje propozycje finansowe i narzekał, że Walthers jest tchórzem; kiedy wyciągnął się na składanym łóżku Walthersa, nagroda stopniała już do dwustu pięćdziesięciu dolarów, a uwagi na temat charakteru Walthersa płynęły nieprzerwanie.

W końcu mężczyzna przestał krwawić. Podniósł się z trudem i rozejrzał po mieszkaniu z wyrazem pogardy. Dolly jeszcze nie wróciła do domu, ale oczywiście zostawiła po sobie bałagan — niewyrzucone brudne naczynia na składanym stole, porozrzucane jej pacynki, susząca się nad zlewem bielizna, sweter powieszony na kłamce.

— Ależ cuchnąca nora — oświadczył nieproszony gość konwersacyjnym tonem. — To nawet nie jest warte dwustu pięćdziesięciu dolarów.

Ostra odpowiedź cisnęła się Walthersowi na usta. Stłumił ją jednak wraz z innymi, które powstrzymywał przez ostatnie pół godziny; czy miało to jakiś sens?

— Pomogę panu się umyć — powiedział. — A potem może pan pójść. Nie chcę żadnych pieniędzy.

Posiniaczone wargi próbowały się uśmiechnąć.

— Ależ głupio z pana strony, tak gadać — odparł mężczyzna. — Jestem kapitan Juan Henriquette Santos-Schmitz. Mam własny statek kosmiczny, posiadam udział w transportowcach, które dowożą żywność na tę planetę, poza tym jeszcze w paru innych przedsiębiorstwach i mówi się, że jestem jedenasty na liście najbogatszych przedstawicieli ludzkiej rasy.

— Nigdy o panu nie słyszałem — odwarknął Walthers, nalewając ciepłej wody do miednicy. Ale to nie była prawda. Działo się to bardzo dawno temu, ale jakieś jakieś wspomnienie tkwiło w jego pamięci. Ktoś, kto pokazywał się w progra-

mach piezowizyjnych co godzinę przez tydzień, potem jeszcze co tydzień przez miesiąc czy dwa. Nikogo się tak łatwo nie zapomina, jak faceta sławnego przez miesiąc, w dziesięć lat później.

— To pan był tym dzieciakiem, który wychował się w habitacie Heechów — rzekł nagle, a mężczyzna zapiszczał:

— Tak, właśnie! Au! To boli!

— Więc proszę się nie ruszać — powiedział Walthers i zaczął się zastanawiać, co należy zrobić z facetem figurującym jako jedenasty na liście najbogatszych ludzi. Dolly pewnie będzie zachwycona, że może go poznać. Ale jak już otrząśnie się z pierwszego zachwyty, z pewnością zacznie knuć, jak podpiąć się do tego bogactwa i kupić im plantację na wyspie, dom letni na Heather Hills albo podróż powrotną? Czy, myśląc perspektywicznie, nie opłaca się bardziej przytrzymać tu jeszcze tego faceta pod jakimś pretekstem, aż Dolly wróci do domu — czy pozbyć się go i po prostu jej o nim opowiedzieć?

Dylematy, nad którymi się zbyt długo zastanawiamy, zwykle rozwiązują się same; ten też rozwiązał się sam, kiedy zamek w drzwiach stuknął, zazgrzytał i do środka wkroczyła Dolly.

Bez względu na to, jak Dolly wyglądała, kiedy krzątała się po domu — czasem z zażwawionymi oczami z powodu alergii na florę planety Peggy, przeważnie rozdrażniona, nieuczesa — kiedy wychodziła, wyglądała olśniewająco. Rzecz jasna olśniła też nieoczekiwanego gościa, kiedy tylko wkroczyła do pokoju; i choć Walthers był mężem tej zadziwiająco szczupłej postaci z niewzruszoną alabastrową twarzą od ponad roku i wiedział, że przyczyną tej pierwszej cechy jest ostra dieta, a drugiej — kłopoty z uzębieniem, prawie udało jej się olśnić samego Walthersa.

Walthers przywitał ją obejmując i całując; pocałunek odwzajemniono, choć bez szczególnego zaangażowania. Dolly zignorowała go, przyglądając się gościowi. Nadal trzymając ją w objęciach, Walthers rzekł:

— Kochanie, to jest kapitan Santos-Schmitz. Został pobity i przyprowadziłem go tutaj...

— Juniorze, ty nie... — odepchnęła go.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, na czym polegało nieporozumienie.

— Och nie, Dolly, to nie ja go pobitem. Po prostu przechodziłem w pobliżu.

Jej wyraz twarzy złagodniał i zwróciła się do gościa.

— Jasne, że jesteś tu mile widziany, Wan. Niech no zobaczę, co oni ci zrobili. Santos-Schmitz urósł z dumy.

— Poznajesz mnie — powiedział, pozwalając jej dotknąć pasków bandaża założonego przez Walthersa.

— Oczywiście, Wan! Wszyscy w Port Hegramet cię znają. — Potrząsnęła głową ze współczuciem pochylając się nad podbitym okiem. — Pokazano mi ciebie wczoraj wieczorem — powiedziała. — W Sali Wrzeciona.

Cofnął się, by przyjrzeć się jej lepiej.

— Och tak! Artystka. Widziałem twój występ.

Dolly Walthers rzadko się uśmiechała, ale umiała w szczególny sposób marszczyć kąciaki oczu, ściągać śliczne usta i to było nawet lepsze niż uśmiech; był to sympatyczny wyraz twarzy. Można go było ujrzeć u niej co chwila, gdy troszczyli się o wygodę Wana Santosa-Schmitza, kiedy napoili go kawą i słuchali wyjaśnień dotyczących tego, dlaczego Libijczycy popełnili błąd rzucając się na niego. Jeśli nawet Walthers obawiał się, że Dolly nie będzie zadowolona z przyprowadzenia tego wędrowca do domu, odkrył, że w tej kwestii nie miał się czego obawiać. Jednak w godzinę później zaczął odczuwać niepokój.

— Wan — powiedział — jutro rano mam lot i wydaje mi się, że chciałbyś wrócić do swojego hotelu. . .

— Na pewno nie, Juniorze — łagodnie zaprzeczyła żona. — Mamy tu masę miejsca. Wan może spać w łóżku, ty na kanapie, a ja zajmę pryczę w szwalni.

Walthers był zbyt zaskoczony, by się skrzywić, a co dopiero odpowiedzieć. To był głupi pomysł. Oczywiście Wan chciał wrócić do hotelu, a Dolly po prostu była uprzejma; na pewno naprawdę nie chciała tak rozdysponować miejsc do spania, żeby nie mieli ani odrobiny prywatności, w ostatnią noc przed jego powrotem do buszu w towarzystwie drażliwych Arabów. Odczekał więc chwilę, z przekonaniem, że Wan przeprosi go i jego żonę za to i odmówi noclegu, potem czekał z nieco mniejszym przekonaniem, potem już bez przekonania. Choć Walthers nie był wysoki, kanapa była dla niego za krótka i przez całą noc rzucał się i przewracał, żałując, że w ogóle usłyszał nazwisko Juana Henriquette'a Santos-Schmitza.

W żalu tym łączyła się z nim znakomita większość ludzkiej rasy, nie wyłączając mnie.

Wan nie był po prostu nieznośnym osobnikiem — och, to nie była rzecz jasna jego wina (tak, tak Sigfridzie, wynocha z mojej głowy!). Ukrywał się także przed sprawiedliwością, czy może ukrywałby się, gdyby ktokolwiek wiedział, które ze starożytnych artefaktów Heechów udało mu się ukraść.

Nie kłamał mówiąc Walthersowi, że jest bogaty. Z racji urodzenia miał prawa do znacznej części technologii Heechów, tylko dlatego, że jego matka urodziła go w habitacie Heechów, gdzie nie było ani jednego człowieka, do którego można by gębę otworzyć. Okazało się, że to oznacza dla niego ogromne sumy pieniędzy, kiedy już sądy zdołały sobie wszystko przemyśleć. We własnej opinii Wana oznaczało to także, że miał prawo do absolutnie wszystkiego, co kiedyś należało do Heechów, a obecnie nie było przybite do podłogi. Zabrał statek Heechów — o czym wszyscy wiedzieli — ale za pieniądze zdołał kupić sobie prawników, którzy powstrzymali pozew Korporacji Gateway domagający się jego zwrotu na drodze sądowej. Zabrał także trochę gadżetów Heechów, które nie były powszechnie dostępne, i gdyby tylko ktoś się dowiedział gdzie są, pozew przeleciałby przez sąd jak burza, a Wan stałby się Wrogiem Publicznym Numer Jeden, a tak, był co

najwyżej wkurzającym facetem. Walthers miał zatem wszelkie powody, żeby go nienawidzić, choć, rzecz jasna, nienawidził go akurat z innych przyczyn.

Następnego dnia Walthers ujrzał Libijczyków — byli skacowani i rozdrażnieni. On był w jeszcze gorszym nastroju, a różnica polegała na tym, że Walthers był bardziej wkurzony, a kaca nie miał wcale. Po części to było przyczyną jego nastroju.

Jego pasażerowie nie zadawali mu żadnych pytań odnośnie poprzedniej nocy; prawie się nie odzywali, kiedy samolot unosił się nad szerokimi sawannami, pojawiającymi się czasem polanami oraz nad rzadko widywanymi zabudowaniami farm planety Peggy. Luqman i jeden z jego ludzi zagrzebali się w podkolorowanych hologramach satelitarnych sektora, który badali, kolejny z nich spał, czwarty trzymał się za głowę i wyglądał przez okno. Samolot leciał na autopilocie, o tej porze roku zakłócenia pogodowe prawie się nie zdarzały. Walthers miał mnóstwo czasu na myślenie o swojej żonie. Ich ślub był jego osobistym triumfem, ale czy potem żyli długo i szczęśliwie?

To oczywiście, że Dolly miała dawniej ciężkie życie. Dziewczyna z Kentucky, bez pieniędzy, bez rodziny i pracy — także bez wykształcenia, w dodatku niezbyt inteligentna — taka dziewczyna musiała wykorzystać wszelkie szanse, żeby wydostać się z krainy węgla. Jedną z szans Dolly była jej uroda. Całkiem niezła, choć niedoskonała. Miała smukłe ciało i lśniące oczy, ale zęby miała jak królik. W wieku czternastu lat tańczyła na rurze w barze w Cincinnati, ale z tej roboty nie dało się wyżyć, no chyba że się dawało dupy na boku. Dolly nie chciała tego robić. Oszczędzała się. Próbowwała śpiewać, ale okazało się, że nie ma głosu. Poza tym, próbowała to robić tak, żeby nie ruszać ustami i nie pokazywać tych zębów jak u Królika Bugsa, przez co wyglądała jak brzuchomówca... A kiedy powiedział jej o tym klient, którego zaloty odrzuciła, przez co próbował zrobić jej przykrość, w głowie Dolly zapaliło się światełko. M.C. uważał się w tym klubie za komika. Dolly zarabiała praniem i szyciem dostając w zamian stare, wykorzystane scenariusze skeczów, uszyła sobie trochę pacynek, przestudiowała wszystkie audycje na ich temat, jakie znalazła w piezowizji albo na wachlarzu. Wypróbowała nowy numer podczas ostatniego przedstawienia w sobotnią noc, kiedy to w już w niedzielę jej pracę miała przejąć następczyni. Numer nie był żadną bombą, ale nowa piosenkarka była jeszcze gorsza od niej, więc wyrok Dolly zawieszono. Dwa tygodnie w Cincinnati, miesiąc w Louisville, prawie trzy miesiące w małych klubach na przedmieściach Chicago — jeśli angaże następowały jeden po drugim, wiodło jej się nawet niezłe, ale między nimi bywały tygodnie albo i miesiące beczynności. Mimo to nie głodowała. Zanim Dolly dotarła na planetę Peggy, wystrzępione rogi Wielkiego Numeru tyle razy miały już do czynienia z nieprzyjazną albo pijaną publicznością, że przybrał on kształt, z którym koniecznie należało coś zrobić. Ale to nie wystarczało na prawdziwą karierę. Wystarczało, żeby utrzymać się przy życiu. Emigracja na planetę Peggy była krokiem desperackim, gdyż za cenę biletu trze-

ba było zaprzedać się w niewolę. Gwiazdą tam nie została, ale też nie wiodło jej się gorzej. Choć przestała się już oszczędzać, przynajmniej nie oferowała siebie szczególnie bezwstydnie. Kiedy pojawił się Audee Walthers junior, zaproponował jej cenę znacznie wyższą niż inni — małżeństwo. I wyszła za niego. Mając osiemnaście lat. Za faceta dwa razy starszego od niej.

Ciężkie życie Dolly nie było jednak znacznie bardziej ciężkie od życia wszystkich innych ludzi na planecie Peggy — jeśli nie liczyć klientów Audee’ego, poszukiwaczy ropy. Poszukiwacze płacili pełną stawkę za bilet na planetę Peggy, czy może raczej robiły to za nich ich firmy, a każdy z nich niewątpliwie miał w kieszeni opłacony bilet powrotny.

Nie byli przez to bardziej radosni. Lot do pewnego miejsca na West Island, które wybrali na obóz, trwał sześć godzin. Zanim zjedli, rozstawili namioty, pomodlili się raz czy dwa, kłócąc się przy tym, w którą stronę należało zwrócić twarze, ich kac zdołał już przeminąć, ale zrobiło się też zbyt późno, żeby cokolwiek tego dnia zrobić. Dla nich. Nie dla Walthersa. Kazano mu latać tam i z powrotem nad dwudziestoma tysiącami hektarów pagórkowatych zarośli. Ponieważ włókł ze sobą detektor masy, mający mierzyć anomalie grawitacyjne, nie miało znaczenia, że robi to po ciemku. Nie miało to żadnego znaczenia dla pana Luqmana, ale miało ogromne dla Walthersa, gdyż był to właśnie taki rodzaj latania, jakiego najbardziej nienawidził; musiał utrzymywać się na niskim pułapie, a niektóre ze wzgórz były dość wysokie. Latał więc używając cały czas zarówno radaru, jak i wiązek namierzających, strasząc powolne, głupie zwierzęta zamieszkujące sawanny West Island, i strasząc samego siebie, kiedy zauważył, że przysypia i budzi się, by poderwać gwałtownie samolot, bo naprzeciw niego wyrasta porośnięty krzakami szczyt wzgórza.

Zdołał przespać się przez pięć godzin zanim pan Luqman obudził go i wysłał na rekonesans fotograficzny kilku niepewnych lokalizacji, kiedy zaś zostało to ukończone, polecono mu zrzucić tyczki po całym terenie. Tyczki nie były zrobione z samego metalu; były to geofony i należało je tak ustawić, by utworzyły siatkę odbiorników pokrywającą całe kilometry kwadratowe. Poza tym należało je zrzucić z wysokości przynajmniej dwudziestu metrów, co dawało pewność, że zagłębią się w grunt i staną prosto, żeby ich odczyty były wiarygodne, a każdy z nich musiał być umieszczony z dokładnością do dwóch metrów. Uwaga Walthersa, że wymagania te są wzajemnie sprzeczne, nie spotkała się ze zrozumieniem, nikogo więc nie zaskoczyło, że kiedy zamocowane na ciężarówkach wibratory zakończyły pracę, uzyskane w ten sposób dane były do niczego. Zróbcie to jeszcze raz, powiedział pan Luqman i Walthers powtórzył całą akcję na piechotę, wyciągając geofony i wbijając je ręcznie.

Walthers zatrudnił się w charakterze pilota, ale pan Walthers miał szersze spojrzenie na jego obowiązki. Nie tylko łażenie za tyczkami geofonów. Pewnego dnia Walthers miał kopać w ziemi poszukując kleszczopodobnych stworzeń,

które na planecie Peggy stanowiły odpowiednik dżdżownic — napowietrzały glebę. Jeszcze innego dnia wręczyli mu coś podobnego do glebowgryzarki, które to urządzenie wkopywało się w ziemię na parędziesiąt metrów i pobierało próbki skały. Jeśli mieli ochotę na ziemniaki, kazali mu je obierać, a nawet próbowali go zrobić w mycie naczyń, wycofali się jedynie na pozycję zakładającą ustalenie dokładnych dyżurów przy tej czynności. (Ale Walthers zauważył, że pan Luqman nigdy nie miewał dyżuru.) Nie chodziło nawet o to, że te rutynowe czynności nie były ciekawe. Kleszczopodobne stworzenia wrzucało się do słoja z rozpuszczalnikiem, a uzyskana w ten sposób zupka była rozprowadzana na arkuszach bibuły filtrującej, służącej do elektroforezy. Skały zamykano w małych inkubatorach zaopatrzonych w sterylną wodę, powietrze i opary węglowodorów. Oba testy służyły do wykrywania ropy. Owady, podobnie jak termyty, kopały głęboko. Czasem przynosiły na powierzchnię ze sobą to, przez co się przekopały, a elektroforeza służyła do zidentyfikowania tego, co na sobie przywlokły. Inkubatory miały wykrywać to samo, ale w nieco inny sposób. Na planecie Peggy, podobnie jak na Ziemi, istniały w glebie mikroorganizmy, które potrafiły przeżyć na diecie składającej się z czystych węglowodorów. Jeśli w inkubatorach cokolwiek urosło na czystych węglowodorach, musiały to być właśnie te stworzenia, gdyż nie mogły egzystować bez dostępu do jakiegoś źródła węglowodorów w glebie.

W każdym z tych przypadków oznaczało to ropę.

Dla Walthersa jednak te testy były co najwyżej przyginającym grzbiet mozołem, a jedyną od nich ucieczką było polecenie ponownego użycia samolotu w celu zastosowania magnetometru lub zrzucenia kolejnych tyczek. Po pierwszych trzech dniach ukrył się w swoim namiocie i wyciągnął własną umowę, żeby upewnić się, czy rzeczywiście musiał robić te wszystkie rzeczy. Niestety, musiał. Postanowił, że pogada sobie o tym z agentem po powrocie do Port Hegramet; po pięciu dniach zaczął się znów zastanawiać. Bardziej atrakcyjne wydawało się *zabicie* agenta. . . Ale całe to latanie miało jeden zbawienny skutek. Po ośmiu dniach trzytygodniowej ekspedycji Walthers z radością poinformował pana Luqmana, że kończy się paliwo i będzie musiał polecieć z powrotem do bazy i zatankować wodór.

Było ciemno, kiedy zjawił się w swoim małym mieszkanku; ale mieszkanie było wysprzątane, co stanowiło przyjemną niespodziankę, Dolly była w domu, co było jeszcze lepsze; a najlepsze było to, że w słodko oczywisty sposób jego widok sprawił jej przyjemność.

Wieczór był wspañały. Kochali się; Dolly ugotowała obiad; potem znów się kochali, a o północy siedzieli na rozłożonym łóżku, oparci plecami o poduszki, z wyciągniętymi nogami, trzymając się za ręce i popijając z butelki miejscowe wino.

— Szkoda, że nie możesz zabrać mnie ze sobą — powiedziała Dolly, kiedy skończył jej opowiadać o czarterze z New Delaware. Dolly nie patrzyła na niego;

bawiła się od niechcenia głowami pacynek założonymi na palce wolnej ręki, ze spokojnym wyrazem twarzy.

— Nie ma na to szans, kochanie. — Zaśmiał się. — Jesteś zbyt śliczna, żeby zabrać cię do buszu z czterema napalonymi Arabami. Posłuchaj, nawet ja nie czuję się całkiem bezpiecznie.

Podniosła rękę, nie zmieniając zrelaksowanego wyrazu twarzy. Na rękę miała tym razem pacynkę przedstawiającą pyszczek kota z jasnoczerwonymi, połyskliwymi wąsami. Różowy pyszczek otworzył się i pacynka wysepleniła:

— Wan mówi, że oni są okłopni. Mówi, że mogliby go zabić tylko za to, że dyskutował z nimi o religii. Mówi, że bał się, że go napławdę zabią.

— Och? — Walthers zmienił pozycję, gdyż oparcie łóżka przestało już wydawać mu się tak wygodne. Nie zadał pytania, które przyszło mu na myśl, a które brzmiało *Och, widziałaś się z Wanem?*, bo sugerowałoby, że jest zazdrosny. Spytał tylko:

— Co tam u Wana? — Ale to pierwsze pytanie zostało zawarte w tym drugim i dostał na nie odpowiedź. Wan miał się znacznie lepiej. Oko Wana prawie nie było już czarne. Wan miał na orbicie naprawdę fajny statek, Piątkę Heechów, ale to była jego prywatna własność i został specjalnie wyposażony — przynajmniej tak mówił; nie widziała tego statku. Wan w jakiś sposób zasugerował, że część tego wyposażenia to były stare artefakty Heechów, zdobyte prawdopodobnie w nie do końca uczciwy sposób. Sugerował też, że istniało mnóstwo artefaktów, które nigdy nie zostały zgłoszone, bo ludzie, którzy je znaleźli, nie chcieli płacić tantiem Korporacji Gateway. Wan wymyślił sobie, że miał do nich prawo, naprawdę, bo miał takie *niewiarygodne* życie, wychowany praktycznie przez samych Heechów...

Bez udziału woli Walthersa zadane w myślach pytanie znalazło ujście.

— Wygląda na to, że dużo czasu spędzałaś z Wanem — rzekł, próbując powiedzieć to zwyczajnie i słysząc, że jego głos jest najlepszym dowodem, że mu się nie udało. Nie brzmiał zwyczajnie; był zły albo zmartwiony; tak naprawdę bardziej zły niż zmartwiony, bo to nie miało sensu! Wan nie był przystojny. Ani nie miał dobrego charakteru. Oczywiście, był bogaty i w wieku zbliżonym do Dolly...

— Oj złotko, nie bądź zazdrosny — powiedziała Dolly własnym głosem, który brzmiał, jakby sprawiło jej to przyjemność, co dało Walthersowi pewność. — Tak czy inaczej, on niedługo stąd odleci, wiesz o tym. Nie chce tu być, kiedy przyleci następny transportowiec, więc teraz gromadzi zapasy na następną podróż. I to jest jedyny powód, dla którego tu przyleciał. — Uniosła dłoń z pacynką i dziecinny koci głosik zaśpiewał — Junior jest ziażrośny o Dolly!

— Nie, nie jestem — odparł odruchowo, ale po chwili potwierdził. — Tak, jestem. Zabierz to ode mnie, Dolly.

Przesunęła się na łóżku, aż jej wargi znalazły się koło jego ucha i poczuł jej delikatny oddech, sepleniący kocim głosem:

— Obiecuje, że nie będę, panie junior, ale byłoby siuper, jakby pan. . . — Po-
tem nastąpiło pojednanie, bardzo udane; z jednym wyjątkiem: w połowie Czwartej
Rundy zostało przerwane przez przeraźliwy dzwonek piezofonu.

Walthers odczekał piętnaście dzwonek, co pozwoliło mu zakończyć rozpo-
częte zadanie, prawie tak ładnie, jak to sobie zaplanował. Kiedy odebrał piezofon,
zgłosił się dyżurny oficer z lotniska.

— Zadzwoiłem nie w porę, Walthers?

— Mów, o co chodzi — powiedział Walthers próbując udawać, że wcale cięż-
ko nie dyszy.

— Wstań i jedź tu szybko, Audee. Sześciu facetów leży ze szkorbutem, Siatka
Siedem Trzy Poppa, współrzędne mamy trochę niewyraźne, ale mają namiernik
radiowy. I nic więcej. Lecisz do nich z lekarzem, dentystą i jakąś toną witaminy
C, którą muszą dostać o świcie. Co znaczy, że startujesz za jakieś dziewięćdziesiąt
minut.

— Do cholery, Carey! Czy to nie może poczekać?

— Może, jak chcesz mieć parę trupów w chwili przybycia. Kiepsko z nimi.
Pasterz, który ich znalazł, mówi, że jego zdaniem dwóch z nich i tak nie przeżyje.

Walthers zaklął pod nosem, spojrzął na Dolly przepraszająco, po czym z nie-
chęcią zaczął zbierać swoje rzeczy.

Kiedy Dolly odezwała się, jej głos nie brzmiał już jak głos kota.

— Junior? Czy możemy wrócić do domu?

— Jesteśmy w domu — odparł, usiłując, żeby to lekko zabrzmiało.

— Junior, proszę? — Na jej spokojnej dotąd twarzy pojawiło się napięcie,
a choć maska z kości słoniowej nadal niczego nie wyrażała, w jej głosie dało się
słyszeć napięcie.

— Dolly, najdroższa — rzekł — tam nikt na nas nie czeka. Pamiętasz? Dlatego
właśnie tacy ludzie, jak my tu przylatują. Teraz mamy całą nową planetę — już
samo to miasto będzie kiedyś większe od Tokio, nowsze niż Nowy Jork; za parę
lat ma przylatywać sześć transportowców rocznie, wiesz, i będzie pętla Lofstroma
zamiast wahadłowców. . .

— Ale kiedy? Kiedy będę już *stara*?

Być może nie było żadnego rozsądnego powodu dla żalości w jej głosie, lecz ta
żalość i tak tam była. Walthers przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i spróbował
zażartować najlepiej, jak potrafił.

— Moje słodkie majteczki — rzekł — nie będziesz *stara* nawet wtedy, jak
będziesz mieć dziewięćdziesiąt lat. — Cisz. — Ale, złotko — przymilał się da-
lej — przecież musi być coraz lepiej! Niedługo uruchomią tę Fabrykę Pożywienia
w naszym Obłoku Oorta. Może nawet w przyszłym roku! A tak mi obiecywali
pracę pilota przy tej budowie. . .

— Tak, świetnie! Więc będziesz poza domem przez rok, a nie przez miesiąc. A ja będę tkwić w tej dziurze, nie mając nawet sensownych programów, z którymi można by pogadać.

— Będą mieli programy. . .

— Prędzej umrę!

Był już całkiem obudzony, cała radość nocy gdzieś się ulotniła. Powiedział:

— Posłuchaj. Jeśli ci się tu nie podoba, nie musimy tu zostawać. Planeta Peggy to nie tylko Port Hegramet. Możemy jechać gdzieś na pustkowie, oczyścić teren, wybudować dom. . .

— Wychowywać silnych synów, założyć dynastię? — W jej głosie pobrzmiewało obrzydzenie.

— Cóż. . . coś w tym rodzaju, jak mi się wydaje.

Odwróciła się na łóżku.

— Idź się wykapać — poradziła. — Śmierdzisz, jakbyś się pieprzył.

Kiedy Audee Walthers junior brał prysznic, istota, która zupełnie nie przypominała żadnej z pacynek Dolly (choć jedna z nich miała ją przedstawiać) oglądała po raz pierwszy obce niebo od trzydziestu jeden prawdziwych lat; w tym samym czasie jeden z chorych poszukiwaczy wyzionął ducha, na co pasterz, który próbował się nim opiekować, odwracając głowę, zareagował z ulgą, na Ziemi zaś trwały zamieszki, a na pewnej planecie odległej o osiemset lat świetlnych zginęło pięćdziesięciu jeden kolonistów. . .

Tymczasem Dolly wstała na wystarczająco długą chwilę, żeby zrobić mu kawę i postawić ją na stole. Sama zaś wróciła do łóżka, gdzie spała twardo, a przynajmniej udawała, że śpi, gdy Walthers pił kawę, ubierał się, a wreszcie wyszedł.

Kiedy tak przyglądam się Audee’emu, z tej wielkiej odległości, jaka nas teraz dzieli, robi mi się smutno gdy widzę, że w dużym stopniu wygląda na mięczaka. W rzeczywistości wcale taki nie był. Był całkiem godnym podziwu facetem. Był doskonałym pilotem, wytrzymałym fizycznie, twardym i nieprzejednanym, kiedy była taka potrzeba, uprzejmym, kiedy była ku temu sposobność. Chyba każdy wygląda na mięczaka od wewnątrz, a oczywiście właśnie od wewnątrz go teraz oglądam — z bardzo dużej odległości wewnątrz, czy na zewnątrz, w zależności od tego, jakiego odpowiednika geometrii użyjemy w tej metaforze. (Słyszę, jak stary Sigfrid wzdycha, „Och, Robin! Tyle dygresji w jednym zdaniu!” Ale Sigfrida nigdy nie poszerzono.) Każdy z nas ma jakiś obszar miękkości, to właśnie próbuje powiedzieć. Uprzejmiej byłoby nazywać je obszarami wrażliwości, zaś Audee przez przypadek był strasznie wrażliwy, jeśli w grę wchodziła Dolly.

Miękkość nie była jednak naturalnym stanem Audee’ego. Przez następną część czasu był on wszystkim, co najlepsze, a czym powinien być człowiek — zaradny, pomagający potrzebującym, niezmordowany. Musiał być. Planeta Peggy ukrywała za swym łagodnym obliczem parę pułapek.

Planeta Peggy była klejnotem pośród nieziemskich światów. Powietrze nada-
wało się do oddychania. Klimat był taki, że można było w nim przeżyć. Flora
rzadko kiedy przyprawiała człowieka o pokrzywkę, zaś fauna była nadzwyczaj
łagodna. Cóż, niezupełnie łagodna. Raczej głupia. Walthers zastanawiał się cza-
sem, co Heechowie widzieli w planecie Peggy. Problem polegał na tym, że He-
echowie interesowali się inteligentnym życiem — nie, żeby udało im się dużo
takiego znaleźć — a tego na Peggy na pewno wiele nie było. Najbardziej inte-
ligentnym zwierzęciem był drapieźnik o rozmiarach lisa i prędkości kreta. Miał
iloraz inteligencji indyka, co udowodnił stając się swoim własnym największym
wrogiem. Jego ofiary były jeszcze głupsze i wolniejsze od niego — więc jedze-
nia mu nigdy nie brakowało, a najczęstszą przyczyną śmierci było zadławienie
się częstkami jedzenia, które zwracał, kiedy za dużo zjadł. Istoty ludzkie mogły
żywić się tym drapieźnikiem, jeśli tylko chciały, oraz większością jego ofiar, jak
również sporą częścią pozostałej biomasy. . . jeśli tylko były ostrożne.

*Oczywiście, zdajecie sobie sprawę z tego, że owa „miętkość”, którą tu uspra-
wiedliwia Robin, to nie miętkość Audee’ego Walthersa. Robin nigdy nie był mię-
czakiem, może wtedy, gdy musiał od czasu do czasu przekonywać samego siebie,
że nim nie jest. Ludzie są tacy dziwni!*

Obszarpani poszukiwacze uranu nie byli ostrożni. Kiedy gwałtowny tropikal-
ny świt eksplodował nad dżunglą, a Walthers osadził samolot na najbliższej pola-
nie, jeden z nich już zmarł.

Ekipa medyczna nie miała czasu zajmować się stwierdzaniem zgonu w chwili
przybycia, otoczyła więc tych jeszcze żyjących i wysłała Walthersa do kopania
grobu. Przez chwilę miał nadzieję rzucić to zadanie na kogoś z pasterzy, lecz
ich stada uległy rozproszaniu i nie mieli czasu. Kiedy tylko Walthers odwrócił się
plecami, to samo zrobili pasterze.

Zwłoki wyglądały na jakieś dziewięćdziesiąt lat, a śmierdziały na sto dziesięć,
ale plakietka przyklejona do nadgarstka głosiła, że nazywał się Selim Yasmeneh,
lat dwadzieścia trzy, urodzony w slumsach na południe od Kairu. Pozostałą część
jego biografii można było łatwo odczytać. Walczył o życie aż do wieku nastolet-
niego w egipskich slumsach, trafiła mu się życiowa szansa odnalezienia nowego
życia na planecie Peggy, podczas podróży pocił się na pryczy w jednym z dziesię-
ciu rzędów, umierał ze strachu podczas lądowania w schodzącej z orbity kapsu-
le — pięćdziesięciu kolonistów włoczonych do pozbawionego pilota zasobnika,
wytraconego z orbity przez uderzenie z zewnątrz, przerażonych w chwili wejścia
w atmosferę, robiących w spodnie, kiedy otwierały się nad nimi spadochrony.
W istocie prawie wszystkie kapsuły wylądowały bezpiecznie. Tylko jakichś trzy-
stu kolonistów jak dotąd roztrzaskało się lub utopiło. Yasmeneh miał przynajmniej
szczęście, kiedy jednak zmienił pracę z farmera uprawiającego jęczmień na po-

szukiwanie metali ciężkich, szczęście go opuściło, gdyż jego grupa nie zachowała środków ostrożności. Bulwy, którymi się żywili, kiedy skończyło im się jedzenie ze sklepu, zawierały — jak prawie każde naturalne źródło pożywienia na Peggy, substancję będącą tak silnym antagonistą witaminy C, że trzeba było to przeżyć, żeby uwierzyć. Ale nawet wtedy nie uwierzyli. Wiedzieli o tym zagrożeniu. Każdy o nim wiedział. Chcieli tylko spędzić tam jeszcze jeden dzień, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, a ich zęby zaczęły się chwiać, oddech stawał się cuchnący, a w chwili, gdy pasterze natknęli się na ich obóz, dla Yasmeneha było już za późno, a pozostałym niewiele brakowało.

Walthers musiał odstawić całą ekipę, uratowanych i ratowników do obozu, gdzie kiedyś miała zostać zbudowana pętla i był tam już co najmniej tuzin stałych siedzib. Kiedy wrócił w końcu do Libijczyków, pan Luqman był wściekły. Uczepił się drzwi samolotu Walthersa i wrzeszczał na niego.

— Nieobecny przez trzydzieści siedem godzin! To niebywałe! Za tak kosztowny czarter oczekujemy odpowiednich usług!

— To była sprawa życia i śmierci, panie Luqman — odparł Walthers, próbując nie dopuścić do głosu rozdrażnienia i zmęczenia, kiedy zabezpieczał samolot po locie.

— Życie jest tu najtańsze! A śmierć czeka nas wszystkich!

Walthers przecisnął się koło niego i zeskoczył na ziemię.

— To byli pańscy krajanie, Arabowie, panie Luqman. . .

— Nie! Egipcjanie!

— . . . dobrze, w takim razie współwyznawcy, muzułmanie. . .

— Nie obchodziłoby mnie to, nawet gdyby byli moimi braćmi! Nasz czas jest cenny! Ważą się tu bardzo istotne sprawy!

Po cóż miał powstrzymywać własny gniew?

— Takie jest *prawo*, panie Luqman — warknął Walthers. — Ja tylko dzierżawię ten samolot; muszę świadczyć usługi w sytuacjach zagrożenia. Proszę sobie przeczytać klauzule drobnym drukiem!

To był argument, na który nie można było nic odpowiedzieć i było naprawdę wkurzające, kiedy Luqman nie podjął nawet próby polemizowania z tym argumentem, tylko zareagował zwalając na barki Walthersa wszystkie zadania, jakie nagromadziły się w czasie jego nieobecności. Wszystkie miały być wykonane natychmiast. Albo jeszcze wcześniej. Cóż z tego, że Walthers nie spał, wszak wszyscy pewnego dnia zaśniemy na zawsze, nieprawdaż?

Zatem, choć tak niewyspany, w następnej godzinie Walthers latał z magneto-sondą — denerwująca, beznadziejna robota, holowanie magnetometru setki metrów za samolotem, usiłując zadbać o to, żeby to nieporęczne cholerstwo nie zahaczyło o drzewo ani nie wyrznęło o ziemię. W przebłyskach myśli pomiędzy żądaniami sprowadzającymi się do latania dwoma samolotami na raz, Walthers myślał ponuro, że Luqman kłamał; to byłoby coś zupełnie innego, gdyby Egipcjanie byli

jego rodakami, a co dopiero braćmi. Nacjonalizm nie został na Ziemi. Zawsze były potyczki na granicach: gauchos kontra hodowcy ryżu, kiedy stada bydła zaczęły szukać wodopoju na polach ryżowych i zdeptały sadzonki; Chińczycy kontra Meksykanie, kiedy pojawił się błąd podczas składania wniosków o ziemię; Afrykańczycy kontra Kanadyjczycy, Słowianie kontra mówiący po hiszpańsku, bez żadnego powodu widocznego dla outsidera z zewnątrz. To już było wystarczająco złe. A bywało jeszcze gorzej, gdy zła krew wypływała na powierzchnię w sporach między Słowianinem a drugim Słowianinem, między Latynosem a innym Latynosem.

A planeta Peggy mogła przecież być takim pięknym miejscem. Miała wszystko — prawie wszystko, jeśli nie liczyć problemu z witaminą C; miała Górę Heechów, z wodospadem zwanym Kaskadą Pereł, ośmiusetmetrowy mleczny potok spływający prosto z południowych lodowców; miała pachnące cynamonem lasy Małego Kontynentu z tępawymi, sympatycznymi małpami o sierści w kolorze lawendy — pewnie, nie były to *prawdziwe* małpy. Ale były milusie. I Szklane Morze, i Jaskinie Wiatrów. I farmy — zwłaszcza farmy! To właśnie farmy sprawiały, że te wszystkie miliony i dziesiątki milionów Afrykańczyków, Chińczyków, Hindusów, Latynosów, biednych Arabów, Irańczyków, Irlandczyków, Polaków — te miliony zdesperowanych ludzi tak bardzo chcieli uciec z Ziemi i daleko od domu.

— Biedni Arabowie — pomyślał sobie, ale przecież zdarzali się też bogaci. Jak ta czwórka, dla której pracował. Kiedy rozmawiali o „sprawach dużej wagi”, mierzyli ich wagę w dolarach i centach, to było oczywiste. Ta ekspedycja nie była tania. Jego czarter kosztował sześciocyfrową sumę — szkoda, że nie mógł zatrzymać z tego więcej dla siebie! A to była przecież niewielka część tego, co wydali na te wszystkie błyskawicznie rozstawiane namioty, geofony, dalmierze akustyczne, próbniki do skał; dzierzawę czasu satelity sporządzającego podkolorowane mapy i radarowe mapy konturowe; za instrumenty, które za opłatą włóczył po całym terenie... a jaki miał być następny etap? Dalej miały zacząć się wiercenia. Kopanie szybu do wysadu solnego, który zlokalizowali, trzy tysiące metrów w dół, to miało kosztować miliony...

Z jednym wyjątkiem: odkrył, że zapewne nie aż tyle, bo mieli też dostęp do jakiejś nielegalnej technologii Heechów, o której Wan powiedział Dolly.

Pierwsze istoty ludzkie dowiedziały się o dawno zaginionej rasie Heechów, że lubiła budować tunele, bo wszystkie przykłady ich pracy znajdowały się pod powierzchnią planety Wenus. Przyrzędem, którego używali do kopania tych tuneli był cud techniki, projektor pola, który rozbijał krystaliczną strukturę skały, zamieniając ją w rodzaj szlamu; maszyna następnie wypompowywała szlam i wykladała szyb gęstym, twardym, połyskującym niebiesko metalem Heechów. Takie projektory nadal istniały, ale nie w prywatnych rękach.

Wydawało się jednak, że znajdowały się one w zasięgu rąk grupy pana Luqmana... co oznaczało, że za tym wszystkim kryją się nie tylko pieniądze, ale

również wpływy... co oznaczało posiadanie kogoś, kto dużo może, we właściwym miejscu; z przypadkowych uwag rzucanych w krótkich przerwach w pracy, czyli podczas odpoczynku i posiłków, Walthers wywnioskował, że tym kimś był facet o nazwisku Robinette Broadhead.

Wysad solny został rozpoznany z całą pewnością, wybrano lokalizacje otworów, główne zadanie ekspedycji zostało zakończone. Zostało co najwyżej sprawdzenie kilku dodatkowych opcji i zakończenie weryfikacji. Nawet Luqman trochę się odprężył, a wieczorne rozmowy zeszyły na dom. Domem dla nich wszystkich okazała się jednak nie Libia — ani nawet Paryż. Był nim Teksas, gdzie każdy z nich miał 1,75 żony, a wszyscy razem około pół tuzina dzieci. Niezbyt równomiernie rozdzielonych, o ile Walthers mógł stwierdzić, ale bliższych szczegółów mu nie podano, prawdopodobnie celowo. Próbując zachęcić ich do większej otwartości, Walthers złapał się na tym, że opowiada im o Dolly. Więcej niż miał zamiar. O tym, że jest tak bardzo młoda. O jej artystycznej karierze. O jej pacynkach. Opowiadał im, jak zdolna była Dolly, bo zrobiła sama wszystkie te pacynki — kaczkę, pieska, szympansa, kłowna. I najlepszą ze wszystkich — Heecha. Heech w wykonaniu Dolly miał cofnięte czoło, sterczący nos, wystający podbródek i oczy zwężające się w stronę uszu, jak na egipskich freskach. Z profilu jego twarz wyglądała prawie jak pojedyncza linia, biegnąca pochyło w dół — wszystko to oczywiście było wytworem wyobraźni, bo nikt dotąd nigdy nie widział Heecha.

Najmłodszy z Libijczyków, Fawzi, skinął ze zrozumieniem głową.

— Tak, to dobrze, kiedy kobieta zarabia pieniądze — oświadczył.

— Tu nie chodzi tylko o pieniądze. Dzięki temu nie siedzi bezczynnie. Obawiam się, że i tak strasznie się nudzi w Port Hegramet. Nie ma nawet z kim porozmawiać.

Libijczyk imieniem Shameem także pokiwał głową.

— Programy — doradził z przekonaniem. — Kiedy miałem tylko jedną żonę, kupiłem jej parę niezłych programów, żeby dotrzymywały jej towarzystwa. Pamiętam, że najbardziej podobały jej się „Droga Abby” i „Przyjaciele Fatimy”.

Podjęcie Walthersa, że Robin Broadhead finansował poszukiwaczy, miało solidne podstawy. Opinia Walthersa co do kierujących Robinem motywów — już nie. Robin był bardzo moralnym człowiekiem, ale zazwyczaj niezbyt przestrzegającym prawa. Był także facetem (jak widzicie), który ma dużo frajdy z tego, że zostawia tu i ówdzie poszlaki na swój temat, zwłaszcza wtedy, gdy używa trzeciej osoby mówiąc o sobie.

— Chciałbym, ale ciągle nie ma ich za dużo na planecie Peggy. Nie jest jej łatwo. Nie mam więc do niej pretensji, jak od czasu do czasu ja mam, no wiecie, ochotę na miłość, a ona nie... — Walthers przerwał, gdyż Libijczycy zaczęli się śmiać.

— Napisane jest w drugiej surze — ryknął śmiechem młody Fawzi — że nasze kobiety są dla nas polem uprawnym i że możemy przechodzić przez nasze pole, jak chcemy. Tak mówi Al-Baqara, Krowa.

Walthers, powstrzymując obrzydzenie, spróbował zażartować:

— Niestety, moja żona nie jest krową.

— Niestety, twoja żona nie jest też żoną — skarcił go Arab. — W domu, w Houston, mamy na takie nazwę: cichodajki. To upodlające dla mężczyzny.

— Posłuchaj — zaczął mówić Walthers, czerwieniąc się na twarzy, po czym próbował powstrzymać gniew. Po drugiej stronie namiotu kuchennego Luqman podniósł wzrok znad precyzyjnie wykonywanej czynności odmierzania dziennej porcji brandy i zmarszczył brwi, wsłuchując się w głosy. Walthers posłał mu wymuszony uspokajający uśmiech. — Nigdy nie dojdziemy do porozumienia — rzekł — więc pozostaniemy przyjaciółmi mimo wszystko. — Spróbował zmienić temat. — Zastanawiałem się — powiedział — dlaczego zdecydowaliście się szukać ropy akurat tutaj, na równiku.

Fawzi ściagnął wargi i starannie przyjrzał się twarzy Walthersa przed udzieleniem odpowiedzi.

— Mieliśmy wiele danych wskazujących na korzystną budowę geologiczną.

— Na pewno, wszystkie te zdjęcia satelitarne były opublikowane. To żadna tajemnica. Ale jeszcze lepsza budowa geologiczna występuje na półkuli północnej, dookoła Morza Szklanego.

— Dość — przerwał Fawzi, podnosząc głos. — Nie płacimy ci za zadawanie pytań, Walthers!

— Ja tylko chciałem. . .

— Wtykałeś nos w cudze sprawy, oto co robiłeś!

Głosy rozbrzmiewały znowu głośno i tym razem Luqman podszedł niosąc porcję brandy po osiemdziesiąt mililitrów każda.

— Co się dzieje? — zainteresował się. — O co ten Amerykanin pyta?

— Nieważne. I tak mu nie odpowiedziałem.

Luqman przyglądał mu się przez chwilę, trzymając w ręce porcję brandy dla Walthersa, po czym nagłym ruchem uniósł ją do ust i wypił jednym haustem. Walthers stłumił w sobie jęk protestu. To nie miało wielkiego znaczenia. I tak nie miał ochoty zostawać kompanem od kieliszka dla tych ludzi. Tak czy inaczej, wydało mu się, że staranne odmierzanie mililitrów przez Luqmana nie przeszkodziło mu wcześniej strzelić sobie kielicha lub dwóch na osobności, bo twarz miał czerwoną i mówił piskliwie.

— Walthers — warknął — ukarałbym cię za wtrącanie się w nie swoje sprawy, gdyby to było coś ważnego, ale nie jest. Chcesz wiedzieć czemu szukamy tutaj, sto siedemdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie ma powstać petla wyrzutni? To popatrz w górę! — Teatralnym gestem wyrzucił rękę w stronę pociemniałego nie-

ba i zatoczył się ze śmiechem. Rzucił przez ramię: — To nie ma już żadnego znaczenia!

Walthers spojrzął ponad nim, po czym zapatrzył się w nocne niebo.

Na tle obcych konstelacji przesuwiał się jasnoniebieski koralik. Transportowiec! Statek międzygwiazdny *S. Ja. Broadhead* wszedł na wysoką orbitę. Walthers był w stanie odczytać jego kurs, przewidując, że zejdzie na niższą orbitę i tam zawisnie, wielki, podobny z kształtu do ziemniaka, mniejszy księżyc błyszczący na niebiesko na bezchmurnym niebie planety Peggy. Za dziewiętnaście godzin znajdzie się na orbicie parkingowej. Zanim to nastąpi, Walthers powinien znaleźć się w swoim wahadłowcu i pędzić mu na spotkanie, biorąc udział w szaleńczym wyścigu kosmos-powierzchnia planety po delikatniejsze części ładunku i lepszych pasażerów, albo spychając swobodnie spadające kapsuły z ich torów, by wystraszeni imigranci trafili do swego nowego domu.

Walthers podziękował Luqmanowi w duchu za zagarnięcie jego drinka; tej nocy nie mógł sobie pozwolić na sen. Kiedy czterej Arabowie spali, on składał namioty i układał sprzęt, pakował samolot i rozmawiał z bazą w Port Hegramet by upewnić się, że czeka go przydział na lot wahadłowcem. Tak też było. Gdyby udało mu się dotrzeć przed południem, czekała na niego robota i szansa na zarobienie sporo pieniędzy na szalonych lotach tam i z powrotem, które miały na celu rozładowanie wielkiego transportowca i opróżnienie go przed lotem powrotnym. O pierwszym brzasku Arabowie byli już na nogach, klnąc i płacząc się dokoła. W ciągu pół godziny byli na pokładzie i lecieli do domu.

Dotarł na lotnisko z dużym zapasem czasu, choć coś w duszy szeptało mu bez przerwy: *Za późno. Za późno...*

Za późno na co? I wtedy zrozumiał. Kiedy próbował zapłacić za paliwo, monitor kasy wyświetlił migoczące zero. Jego konto, które dzielił z Dolly, było puste.

Niemożliwe! Czy może wcale nie tak niemożliwe, myślał, patrząc na drugą stronę pola, gdzie dziesięć dni temu stał lądownik Wana, a dziś nie było nic. A kiedy niespiesznie udał się do ich mieszkania, nie był zaskoczony tym, co zastał. Ubrania Dolly znikły, jej pacynki też, a przede wszystkim nie było samej Dolly.

Wtedy nie myślałem wcale o Audee'em Walthersie. Gdybym myślał, pewnie płakałbym z żalu nad nim — albo nad sobą. Pomyślałbym, że jest to dobry pretekst do płaczu. Tragedia polegając na tym, że najdroższa, słodka ukochana odeszła na zawsze, była mi zbyt dobrze znana, gdyż moja ukochana utkwiała we wnętrzu czarnej dziury wiele lat temu.

W rzeczywistości jednak wcale o nim nie myślałem. Byłem zajęty swoimi sprawami. Przejmowałem się głównie bólami moich jelit, ale poświęcałem również niemało czasu na myślenie o tym, jak okropni są terroryści zagrażający mnie i wszystkiemu wokół.

Oczywiście, nie była to jedyna okropność w moim otoczeniu. Pomyślałem o moich zużytych jelitach, zanim one mnie do tego zmusiły. Tymczasem jednak moje kupione w sklepie arterie powoli sztywniały, a w moim niewymienialnym mózgu codziennie umierało sześć tysięcy komórek. Gwiazdy zwolniły swój bieg, a cały wszechświat przemieszczał się w stronę swej ostatecznej ciepłej śmierci, wszystko, jeśli przestało się o tym myśleć, staczało się ku zagładzie. A ja nigdy nie poświęciłem temu wszystkiemu ani jednej myśli.

Ale tak już jest, prawda? Funkcjonujemy jakoś, bo nauczyliśmy się nie myśleć o tych wszystkich rzeczach, które dzieją się wokół — aż do chwili, gdy to one, jak na przykład moje jelito, zaczną nam się narzucać.

Rozdział 3.

Bezsensowna przemoc

Bomba w Kioto, która spopieliała tysiąc rzeźbionych w drzewie tysiącletnich posągów Buddy, bezzałogowy statek, który zacumował na asteroidzie Gateway i wypuścił chmurę zarodników karbunkułu, kiedy go otwarto, strzelanina w Los Angeles, radioaktywny pył w zbiorniku w Staines dostarczającym wodę dla Londynu — te wszystkie rzeczy narzucały się nam wszystkim. Terroryzm. Akty bezsensownej przemocy.

— Jest coś dziwnego w tym świecie — powiedziałem do mojej kochanej żony Essie. — Jednostki zachowują się trzeźwo i rozsądnie, ale w grupach są jak brykające nastolatki: ludzie stają się tacy dziecinni, kiedy znajdują się w grupie!

— Tak — rzekła Essie, kiwając głową — to prawda, ale powiedz mi, Robinie, jak tam twoje jelito?

— Tak dobrze, jak można było się tego spodziewać — odparłem lekko, dorzucając żart: — Dziś już trudno jest dostać dobre części zamienne. — Wspomniane jelito było, rzecz jasna, przeszczepem, podobnie jak znaczna część innych akcesoriów, jakich wymagało moje ciało, by mogło nadal funkcjonować — to są korzyści płynące z Pełnego Serwisu Medycznego. — Ale nie mówiłem o mojej chorobie. Mówiłem o chorobie, na którą zapadł świat.

— To ładnie z twojej strony, że to robisz — zgodziła się Essie — choć moim zdaniem mówiłbyś o takich rzeczach znacznie rzadziej, gdybyś pozwolił sobie podreperować to jelito. Stała za mną i położyła mi rękę na czole, patrząc z zamyśleniem na Morze Tappajskie. Essie zna się na aparaturze jak mało kto i potrafi świetnie udowodnić, że tak jest, ale kiedy chce sprawdzić, czy nie mam gorączki, sprawdza to w taki sam sposób, jak robiła to jej niania, kiedy Essie była niemowlakiem w Leningradzie. — Nie jest za gorące — rzekła ostrożnie — ale co mówi Albert?

— Albert mówi — odparłem — że powinnaś iść handlować swoimi hamburgerami. — Położyłem na jej dłoni swoją. — Naprawdę. Nic mi nie jest.

— Zapytasz Alberta, żeby się upewnić? — targowała się; tak naprawdę była bardzo zajęta zakładaniem nowej sieci swoich firm i zdawałem sobie z tego sprawę.

— Zapytam — obiecałem i poklepałem ją po jej wciąż ponętym pośladku, kiedy odwróciła się, by wyjść do swojego gabinetu. Gdy wyszła, zawołałem:

— Albercie? Słyszałeś?

W holoramie nad moim biurkiem obraz zawirował i uformował się w postać mojego programu do wyszukiwania danych, drapiącego się po nosie ustnikiem fajki.

— Tak, Robinie — odparł Albert — oczywiście, że słyszałem. Jak ci wiadomo, moje receptory pracują non stop, chyba, że wyraźnie mnie poprosisz o ich wyłączenie lub w sytuacjach jednoznacznie intymnych.

— Aha — rzekłem przyglądając się mu uważnie. Nie nadawałby się na faceta z rozkładówki ten mój Albert, z niechlujnym podkoszulkiem marszczącym się wokół szyi i opadającymi poniżej kostek skarpetkami. Essie poprawiłaby go w sekundę, gdybym ją o to poprosił, ale lubiłem go takim, jakim był. — A skąd wiesz, że sytuacja jest intymna, jeśli nie podglądasz?

Przesunął ustnik fajki z nosa na policzek, nadal się drapiąc i łagodnie uśmiechając; to pytanie już się pojawiało i nie wymagało odpowiedzi.

Albert to bardziej przyjaciel niż program komputerowy. Wie wystarczająco dużo, żeby nie odpowiadać, kiedy zadaję retoryczne pytania. Dawno, dawno temu, miałem koło tuzina programów do wyszukiwania danych i podejmowania decyzji. Miałem program doradcy inwestycyjnego, który referował mi, jak radzą sobie moje firmy, miałem program lekarski mówiący, które z moich organów wymagają wymiany (poza innymi rzeczami, konspirował z moim programem — domowym szefem kuchni i przemycił dziwaczne lekarstwa do mojego jedzenia) oraz program-prawnika, który radził mi, jak wybrnąć z kłopotów, a kiedy miałem ich naprawdę za dużo, mój stary program psychiatryczny, który pocieszał mnie, kiedy zaczynałem świrować. Albo próbował — nie zawsze mu wierzyłem. Coraz bardziej przyzwyczajałem się jednak do jednego programu. A programem, z którym spędzałem większość czasu był mój ogólny doradca naukowy i domowa złota rączka, Albert Einstein.

— Robinie — rzekł lekko karcącym tonem — nie wywołałeś mnie chyba tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy bywałem Tomciem Podglądaczem, prawda?

— Doskonale wiesz, po co cię wywołałem — odparłem i faktycznie tak było. Skinął głową i wskazał na odległą ścianę mojego gabinetu nad Morzem Tappajskim, gdzie znajdował się ekran komunikacyjny — Albert może również nim sterować, podobnie jak wszystkim, co posiadam. Pojawiło się na nim coś w rodzaju zdjęcia rentgenowskiego.

— Podczas naszej rozmowy — powiedział — pozwoliłem sobie na przeskanowanie cię dźwiękami impulsowymi, Robinie. Popatrz. To jest twój ostatni prze-

szczep jelita, a jeśli bliżej mu się przyjrzeć — poczekaj, powiększę ten obraz — chyba będziesz w stanie dojrzeć cały ten obszar zapalny. Obawiam się, że to odrzut przeszczepu, niestety.

— Nie musiałeś mi o tym mówić — warknąłem. — Ile jeszcze?

— Masz na myśli to, kiedy przejdzie w stan krytyczny? Och, Robinie — rzekł szczerze — to trudno powiedzieć, medycyna nie jest do końca nauką ścisłą. . .

— Ile jeszcze!

Westchnął.

— Mogę podać ci prognozowany okres minimalny i maksymalny. Katastrofalna dysfunkcja nie nastąpi wcześniej niż za jeden dzień, a prawie na pewno w ciągu sześćdziesięciu dni.

Odpreżyłem się. Nie było tak źle, jak mogło być.

— Zatem mam jeszcze trochę czasu, zanim to przejdzie w stan poważny.

— Nie, Robinie — odrzekł uczciwie — to już jest poważne. Dyskomfort, jaki odczuwasz, będzie się pogłębiał. W każdym razie powinieneś od razu zacząć przyjmować leki, ale nawet przy takiej terapii prognozy przewidują, że wkrótce zaczniesz odczuwać dość dotkliwy ból. — Zamilkł, przyglądając się mi. — Z wyrazu twojej twarzy wnoszę — rzekł — że istnieje jakiś idiosynkratyczny powód, dla którego chcesz to odłożyć na możliwie jak najdalszy termin.

— Chcę powstrzymać terrorystów!

— Och, tak — przytaknął. — Wiem, że chcesz. Istotnie jest to ważne zadanie, jeśli mogę podsunąć ci jakąś wartościową opinię. Dlatego też chcesz jechać do Brasillii ze wstawiennictwem do Komisji Gateway — tak było w istocie. Najgorsze rzeczy terroryści robili za pomocą statku, którego nikt nie był w stanie schwytać — i próbować zmusić ich do podzielenia się informacjami, by można było podjąć jakieś kroki przeciwko terrorystom. I domagasz się ode mnie potwierdzenia, że opóźnienie cię nie zabije.

— Właśnie tak, mój drogi Albercie. — Uśmiechnąłem się.

— Mogę ci to zagwarantować — rzekł ponuro — a przynajmniej mogę monitorować twój stan, aż dojdzie do zaostrzenia. Wtedy jednak będziesz musiał natychmiast przejść nową operację.

— Zgoda, mój drogi Albercie — uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedział uśmiechem.

— Jednakże — kontynuował — nie wydaje mi się, aby to był jedyny powód, dla którego odkładasz ten przeszczep. Chyba myślisz jeszcze o czymś innym.

— Och, Albercie — westchnąłem — bywasz strasznie nudny, kiedy zachowujesz się jak Sigfrid von Psych. Wyłącz się, jak grzeczny chłopczyk.

Tak też zrobił, wyglądając na zamyślonego; miał wszelkie powody, by wyglądać na zamyślonego, gdyż miał rację.

Widzicie, gdzieś głęboko we mnie, gdzie tkwi trudne do namierzenia miejsce, w którym przechowuję solidny rdzeń poczucia winy, którego nie był w stanie

wyeliminować Sigfrid von Psych, byłem głęboko przekonany, że racja tkwi po stronie terrorystów. Nie mam tu na myśli, oczywiście, mordowania, wysadzania w powietrze i doprowadzania ludzi do szaleństwa. To nigdy nie jest słuszne. Miałem na myśli to, że ponieśli krzywdę, straszliwie niesprawiedliwą krzywdę ze strony reszty ludzkości, mieli więc słuszność, że domagali się zwrócenia na ten fakt uwagi. Nie chciałem powstrzymać terrorystów. Chciałem zrobić dla nich coś dobrego.

A przynajmniej chciałem sprawić, by ich los nie ulegał dalszemu pogorszeniu, bo w tym miejscu zaczyna się rozmowa o związanej z tym wszystkim moralności. Ile trzeba komuś ukraść, żeby zostać nazwanym złodziejem?

Pytanie to tkwiło w moim umyśle i nie miałem gdzie się udać na poszukiwanie odpowiedzi. Nie do Essie, gdyż rozmowa z nią zawsze zesłaby z powrotem na moje jelito. Nie mogłem rozmawiać z moim starym programem psychoanalitycznym, gdyż konwersacje te zawsze schodziły z „Co mam zrobić, żeby to wszystko zaczęło lepiej wyglądać?” na „Dlaczego sądzisz, Robinie, że musisz coś zrobić, żeby wszystko zaczęło lepiej wyglądać?” Nie mogłem nawet rozmawiać z Albertem. Mogłem sobie z nim poplotkować o wszystkim i o niczym. Kiedy jednak zadaję mu podobne pytania, obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakbym prosił go o zdefiniowanie właściwości flogistonu. Albo Boga. Albert jest jedynie projekcją holograficzną, ale interaktywną w takim stopniu, że czasem czuję się tak, jakby tam był. Rozgląda się więc z namysłem w miejscu, w którym akurat się znajdujemy — na przykład po domu nad Morzem Tappajskim, który, muszę przyznać, jest bardzo wygodnie urządzone i mówi coś takiego:

— Robinie, czemu zadajesz takie metafizyczne pytania? — a ja wiem, że niewypowiedziana część jego komunikatu brzmi „Na litość boską, chłopie, czy sam nie wiesz, że to rzeczywiście robisz?”

Cóż, muszę coś z tym zrobić. Do pewnego stopnia muszę. Niesamowite szczęście, niczym dar od Boga, obsypało mnie kupą pieniędzy w chwili, gdy najmniej się tego spodziewałem, a że pieniądź robi pieniądź, dziś mogę kupić wszystko, co tylko jest na sprzedaż. A nawet parę rzeczy, które nie są. Mam już wiele rzeczy godnych posiadania. Mam Wpływowych Przyjaciół. Jestem Osobą, z Którą Należy się Liczyć. Jestem kochany, naprawdę bardzo kochany, przez moją najdroższą żonę Essie — choć jesteśmy razem już od wielu lat. I wtedy wydaję z siebie coś w rodzaju śmiechu, zmieniam temat... ale nie otrzymałem odpowiedzi.

I nawet teraz nie otrzymałem odpowiedzi, choć pytania są znacznie trudniejsze.

Kolejny problem tkwiący w mojej świadomości jest taki, że pozwalam biednemu Audee’emu Walthersowi tkwić w rozpacz tak długo, w czasie gdy pozwalam sobie na dygresję, więc niech wolno mi będzie dokończyć tę historię.

Przyczyną, dla której miałem poczucie winy w związku z terrorystami był fakt, że oni byli biedni, a ja bogaty. Cała wielka Galaktyka stała przed nimi otwo-

rem, ale nie mieliśmy dobrych sposobów, żeby ich tam wysłać, przynajmniej nie dość szybkich, a oni podnosili wrzask. Głodowali. Widzieli na ekranach piezowizorów, jak wspaniałe może być życie dla niektórych z nas, a potem rozglądali się po własnych szafasach, lepiankach czy innych ruderach, widząc, jak beznadziejne było ich życie i jakie niewielkie były szanse, żeby te wszystkie dobre rzeczy mogły należeć do nich zanim umrą. Nazywamy to rewolucją zwiększonych oczekiwań, jak mawia Albert. Powinna być na to jakaś rada — ale nie potrafiłem znaleźć sposobu. I ciągle przychodziło mi na myśl pytanie: czy mam prawo to wszystko jeszcze pogarszać? Czy mam prawo kupować cudze organy, skórę i arterie, kiedy moje własne się zużywają?

Nie znałem odpowiedzi i nie znam jej nadal. Ale ból w moim brzuchu nie był tak dotkliwy jak ból płynący ze świadomości, że oznacza to kradzież cudzego życia, tylko dlatego, że mogłem sobie na to pozwolić, a oni nie.

Kiedy tak siedziałem, przyciskając rękę do brzucha i zastanawiając się, kim będę, gdy dorosnę, cały wielki wszechświat zajmował się swoimi sprawami.

„Problem z Zasadą Macha”, o którym wspomina Robin, był wtedy jedynie spekulacją, choć, jak mówi Robin, dość przerażającą. To dość złożona kwestia. Póki co, pozwolę sobie jedynie powiedzieć, że istniały przesłanki, jakoby rozszerzenie się wszechświata zostało powstrzymane i zaczęło się jego kurczenie — a nawet przesłanki, wydobyte ze starych zapisów Heechów, sugerujące, że cały ten proces nie był naturalny.

A większość z tych spraw było dość ponurych. Była tam Zasada Macha, którą Albert wielokrotnie usiłował mi wytłumaczyć, sugerująca, że ktoś, może Heechowie, próbuje ścisnąć cały wszechświat w kulkę, by zmienić prawa fizyki. Niebywale. I niebywale przerażające, jeśli się nad tym zastanowić. . . ale miało to nastąpić za miliony miliardów lat, więc nie była to jakaś szczególnie bliska w czasie troska. Terrorysty i rozwijające się armie były bliżej. Terrorysty porwali kapsułę pętli podążającą do Podniebnego Pentagonu. Nowi rekruci w swoich szarżach byli szkoleni na południu Sahary, gdzie znów plony nie dopisały. Tymczasem Audee Walthers próbował rozpocząć nowe życie bez swojej błędzającej żony; a jego żona zbłądziła z tym potworem, Wanem; tymczasem, niedaleko jądra galaktyki, Heech Kapitan zaczął mieć erotyczne myśli o swojej zastępczyni, której przyjazne imię brzmiało Dwakroć; a moja żona, zmartwiona stanem mojego brzucha, była mimo to szczęśliwa dobijając interesu polegającego na rozbudowie jej sieci barów szybkiej obsługi aż po Papuę, Nową Gwineę i Andamany; tymczasem. . . — och, tymczasem! Tyle różnych rzeczy działo się tymczasem!

I zawsze tak jest, choć zwykle o tym nie wiemy.

Rozdział 4.

Na pokładzie S. Ja.

1908 lat świetlnych od Ziemi mój przyjaciel — mój były przyjaciel — mój przyszyły przyjaciel, Audee Walthers przypomniał sobie moje nazwisko i nie były to specjalnie przyjazne myśli. Buntował się przeciwko zasadzie, którą ustanowiłem.

Wspomniałem już, że byłem właścicielem wielu rzeczy. Jedną z nich były udziały w największym pojeździe kosmicznym, jaki znała ludzkość. Był to jeden z kolekcji gadżetów, jakie pozostawili po sobie Heechowie w Układzie Słonecznym, unoszący się poza obłokiem kometarnym Oorta, kiedy został odkryty. To znaczy odkryty przez istoty ludzkie — Heechowie i australopiteki się nie liczą. Nazwaliśmy go Niebem Heechów, kiedy jednak przyszło mi do głowy, że byłby on znakomitym transportowcem służącym do przeczucania z Ziemi tych wszystkich biednych ludzi, których nie mogła ona utrzymać, na jakąś gościnną planetę, na której byłoby to możliwe, przekonałem udziałowców, żeby zmienić mu nazwę. Od imienia mojej żony: nazwaliśmy go *S. Ja. Broadhead*. Zainwestowałem więc trochę pieniędzy w przystosowanie go do przewozu kolonistów i zaczęliśmy regularne rejsy do najlepszego i najbliższego z takich miejsc, planety Peggy.

Wówczas znów znalazłem się w sytuacji, w której pojawia się konflikt sumienia ze zdrowym rozsądkiem, ponieważ bardzo chciałem zapewnić każdemu miejsce, gdzie mógłby być szczęśliwy, aby jednak móc to zrobić, musiałem wykazać jakiś zysk. Tak powstały Zasady Broadheada. Pokrywały się one w dużym stopniu z tymi, które wiele lat wcześniej obowiązywały na asteroidzie Gateway. Musiałeś zapłacić za podróż tam, ale mogłeś zaciągnąć na to kredyt, jeśli miałeś dość szczęścia i twoje nazwisko wylosowano na loterii. Ale już powrót na Ziemię wiązał się wyłącznie z pieniędzmi. Jeśli byłeś kolonistą, któremu nadano ziemię, mogłeś przepisać sześćdziesiąt hektarów na firmę, a ta fundowała ci bilet powrotny. Jeśli nie miałeś już ziemi, bo ją sprzedałeś, przehandlowałeś, albo przegrałeś w kości — miałeś dwie możliwości. Mogłeś zapłacić za bilet powrotny w gotówce. Albo mogłeś zostać tam, gdzie byłeś.

Jeśli jednak przez przypadek byłeś wysoce wykwalifikowanym pilotem i jeśli jeden z oficerów statku zdecydował się zostać na Peggy, mogłeś zapracować na powrót. W ten sposób zrobił to Walthers. Nie miał pojęcia, co będzie robił, kiedy wróci na Ziemię. Wiedział jedynie, że nie może zostać w pustym mieszkaniu opuszczonym przez Dolly, więc sprzedał całe wyposażenie za cenę, jaką mu oferowano, w ciągu paru minut między lotami wahadłowców dogadał się z kapitanem *S. Ja.* i już był w drodze. Uderzyło go w sposób dziwny i nieprzyjemny, że to, co wydawało się niemożliwe, kiedy Dolly go o to prosiła, okazało się jedyną możliwą opcją, kiedy odeszła. Ale życie, jak odkrył, było często dziwaczne i nieprzyjemne.

Wszedł więc w ostatniej chwili na pokład *S. Ja.*, drżąc ze zmęczenia. Miał dla siebie dziesięć godzin zanim rozpoczęła się jego pierwsza wachta i przespał je w całości. Mimo to był nadal wyczerpany i nieco otepiały z powodu straty jaką poniósł, gdy piętnastoletni niedoszły kolonista przyniósł mu kawę i odprowadził do sterowni międzygwiazdowego transportowca *S. Ja.*, de domo Niebo Heechów.

Ależ to cholerstwo było wielkie! Z zewnątrz nie było tego tak widać, ale te długie przejścia, komory z dziesiątkami rzędów prycz, teraz pustych, strzeżone galerie i hale z nieznanymi maszynami lub puste miejsca, z których usunięto maszyny — takiej pustki Walthers nie doświadczył nigdy na żadnym statku kosmicznym. Nawet sterownia była olbrzymia; nawet same przyrządy sterujące były zdublowane. Walthers latał już statkami Heechów — w ten sposób dostał się na planetę Peggy po raz pierwszy, pilotując przystosowaną Piątkę. Przyrządy sterownicze były prawie identyczne, ale były zdublowane i transportowiec nie mógł wystartować, dopóki oba nie były obsadzone.

— Witamy na pokładzie, Siódmy. — Malutka kobieta o orientalnej urodzie siedząca w fotelu po lewej stronie uśmiechnęła się. — Jestem Janie Yee-xing, Trzeci Oficer, a pan przejmuje po mnie wachtę. Kapitan Amheiro będzie tu za chwilę. — Nie podała mu ręki ani nie oderwała żadnej z nich od sterów przed nią. Tego Walthers zresztą się spodziewał. Dwóch pilotów na wachcie oznaczało, że ręce dwójki pilotów muszą znajdować się na sterach; w przeciwnym razie ptaszek nie leciał. Oczywiście nie rozbiłby się, bo nie miał o co, ale nie utrzymywał kursu ani przyspieszenia.

Zjawił się Ludolfo Amheiro, niski krępy człowieczek z siwymi bokobrodami i dziewięcioma błękitnymi bransoletami na lewym przedramieniu — niewielu ludzi już je nosiło, ale Walthers wiedział, że każda oznaczała jeden lot statkiem Heechów w czasach, gdy nigdy nie wiedziałeś, dokąd statek cię zabierze; był to więc człowiek z doświadczeniem!

— Miło mi pana powitać na pokładzie, Walthers — powiedział niedbale. — Wie pan, jak przejąć wachtę? To nic trudnego, zapewniam pana. Proszę położyć ręce na sterach nad rękami Yee-xing. — Walthers skinął głową i zrobił, jak mu kazano. Miała ciepłe i miękkie ręce, co poczuł, kiedy zsuwała dłonie ze sterów,

po czym wysunęła swój ładniutki tyłeczek z fotela pilota, robiąc miejsce Walthersowi. — I to właściwie wszystko, Walthers — powiedział za zadowoleniem kapitan. — Statek będzie teraz pilotował Pierwszy Oficer Madjhour — skinął w stronę ciemnoskórego, uśmiechniętego mężczyzny, który właśnie zajął fotel po prawej stronie — on też opowie panu wszystko, co musi pan wiedzieć. Co godzinę ma pan dziesięć minut przerwy na siusiu... i to by było wszystko. Zapraszam pana dziś wieczorem na kolację, dobrze?

Zaproszeniu towarzyszył zachęcający uśmiech Trzeciego Oficera Janie Yee-xing; Walthersa zaskoczyło, że kiedy zwracał się w stronę Gazi Madjhoura, by wysłuchać jego poleceń, minęło już dziesięć minut od chwili, gdy po raz ostatni pomyślał o Dolly.

Sterowanie nie było aż tak łatwe. Pilotaż to pilotaż. Tego się nie zapomina. Ale nawigacja była czymś zupełnie innym. Zwłaszcza dlatego, że mnóstwo starych map Heechów zostało rozszyfrowanych, przynajmniej częściowo, kiedy Walthers woził po planecie Peggy pasterzy i poszukiwaczy.

Mapy gwiazdne na pokładzie *S. Ja.* były znacznie bardziej skomplikowane niż te, których Audee używał podczas swej podróży na Peggy. Występowały w dwóch rodzajach. Najbardziej intrygujące były mapy Heechów. Miały dziwaczne złote i złotozielone oznaczenia, tylko częściowo zrozumiałe, ale pokazywały *wszystko*. Drugi typ, znacznie mniej szczegółowy, lecz także o wiele bardziej użyteczny dla istot ludzkich, był sporządzony przez ludzi i opisany po angielsku. Był tam też dziennik pokładowy, który wystarczyło sprawdzić, bo automatycznie zapisywał wszystko, co statek zrobił lub zobaczył na swej drodze. Był też cały wewnętrzny system ekranów — to pilota nie obchodziło, rzecz jasna z wyjątkiem przypadków, kiedy stało się coś złego, o czym pilot musiał się dowiedzieć. A wszystko to było dla Audee'ego nowością.

Pozytywnym elementem tej sprawy było to, że opanowanie nowych umiejętności pozwoliło Audee'emu czymś się zająć. Uczyła go Janie Yee-xing, co również miało swoje dobre strony, gdyż zajmowało jego myśli w nieco inny sposób... i złe były tylko te chwile poprzedzające zapadnięcie w sen.

Ponieważ *S. Ja.* znajdował się w drodze powrotnej, był prawie pusty. Ponad trzystu osiemdziesięciu kolonistów zostało na planecie Peggy. Prawie żaden z nich nie wracał. Trzy tuziny istot ludzkich stanowiących załogę; oddziały wojskowe utrzymywane przez cztery dominujące w Korporacji Gateway państwa; i około sześćdziesięciu niedoszłych kolonistów. Ci ostatni podróżowali trzecią klasą. Wykosztowali się, żeby tam polecieć. A teraz bezsensownie doprowadzili się do bankructwa, żeby wrócić na tę swoją pustynię czy do innych slumsów, z których uciekli, bo kiedy przyszło im wylądować, nie mogli sobie poradzić z perspektywą zostania pionierami na nowym świecie.

Rozszyfrowanie map Heechów było niezmiernie trudne, głównie dlatego, że pewne poszlaki wskazywały na to, że tak miało być w zamierzeniu. Nie było ich zbyt wiele. Dwa lub trzy fragmenty znalezione na statkach, np. w tzw. Niebie Heechów i jedna prawie kompletna znaleziona na artefakcie okrążającym zamazaną planetę pewnej gwiazdy w gwiazdozbiornie Wolarza. Moja osobista opinia, nie poparta przez oficjalne raporty kartograficznych komisji badawczych, głosiła, że wiele aureoli, „ptaszków”, czy migoczących stempli na mapach, to symbole ostrzegawcze. Robin wówczas mi nie uwierzył. Powiedział, że jestem tchórzliwą spiralą pokręconych fotonów. Kiedy w końcu mi uwierzył, nie miało już większego znaczenia, jak się do mnie zwracał.

— Biedne palanty — rzekł Walthers, okrążając grupkę czyszczącą filtry powietrza w żółtym, niewolniczym tempie; ale Yee-xing nie podzielała jego zdania.

— Nie masz co się nad nimi litować, Walthers. Dokonali wyboru i stchórzeli. — Warknęła coś w dialekcie kantońskim do grupy robotników, którzy niechętnie zaczęli się poruszać nieznacznie szybciej i tylko przez chwilę.

— Nie możesz ludzi winić za to, że tęsknią za domem.

— Domem! Na Boga, Walthers, gadasz, jakby oni rzeczywiście zostawili tam jakiś „dom” — za długo przebywałeś na peryferiach prawdziwego życia.

Zatrzymała się przy skrzyżowaniu dwóch korytarzy, z których jeden świecił na niebiesko nalotem metalu Heechów, a drugi na złoto. Pomachała do grupy uzbrojonych strażników w mundurach Chin, Brazylii, Stanów Zjednoczonych i Rosji.

— Widzisz, jak się fraternizują? Dawniej nie brali tego poważnie. Bratali się z załogą, nigdy nie mieli przy sobie broni, była to dla nich tylko wycieczka w kosmos z opłaconymi wszystkimi kosztami. Ale *teraz!* — Potrząsnęła głową i nagle złapała Walthersa za ramię, gdy zaczął się zbliżać do strażników. — Spuszczą ci niezłe manto, jeśli będziesz próbował tam wejść.

— Co tam jest?

Wzruszyła ramionami.

— Artefakty Heechów, których nie usunięto ze statku przy jego adaptacji. To jest jedna z rzeczy, których pilnują, choć — dodała ścisząc głos — gdyby lepiej znali ten statek, wykonywaliby tę pracę jeszcze lepiej. Ale choć, pójdziemy tędy.

Walthers poszedł za nią dość chętnie, wdzięczny zarówno za wycieczkę ze zwiedzaniem, jak i cel ich spaceru. *S. Ja.* była największym statkiem, jaki dane było oglądać jemu czy jakemukolwiek innemu człowiekowi, zbudowanym przez Heechów, bardzo starym — i na wiele sposobów nadal zastanawiającym. Byli już w połowie drogi do domu, a Walthers nie zwiedził jeszcze nawet jednej czwartej labiryntu jego lśniących korytarzy. Częścią, której dotąd nie zbadał, była również prywatna kajuta Yee-xing, i oczekiwał tego z niecierpliwością każdego dziesięciodniowego abstynenta. Były jednak elementy rozprasające.

— Co to jest? — spytał zatrzymując się przy ustawionej we wnęce konstrukcji o kształcie piramidy ze lśniącego na zielono metalu. Wnękę oddzielała od korytarza ciężka stalowa krata, którą przy spawano, by powstrzymać ciekawskie ręce.

— Żeby to ja wiedziała — odparła Yee-xing. — Nikt nie wie i dlatego to tutaj zostało. Niektóre części można odciąć i łatwo usunąć, inne się rozlatują — a od czasu do czasu, jak próbujesz coś wyjąć, wybucha ci prosto w twarz. Tędy, tym małym korytarzykiem. Tutaj mieszkam.

Schludne, wąskie łóżko, zdjęcia orientalnej pary na ścianie — rodzice Janie? — kwiaty namalowane na ściennej szafie; Yee-xing uwiła sobie miłe gniazdko.

— Tylko podczas podróży powrotnych — wyjaśniła. — Przy locie na Peggy to jest kabina kapitana, a cała reszta śpi na pryczach w pokoju pilotów. — Wygładziła narzutę na łóżku, i tak już gładką. — Nie ma wiele okazji do obijania się podczas lotów na Peggy — rzekła refleksyjnie. — Masz ochotę na kieliszek wina?

— Chętnie — odparł Walthers. Usiadł zatem i wypił wino, potem wspólnie z piękną Yee-xing wypalili skręta, a potem skorzystał z innych form poczęstunku, jakie oferowała malutka kajuta, a wszystkie były doskonałej jakości, jak balsam na jego duszę i jeśli w ciągu najbliższej pół godziny w ogóle pomyślał o swojej utraconej Dolly, nie odczuwał już zazdrości i rozpacz, ale prawie współczucie.

Jak się okazało, podczas podróży powrotnych była masa czasu na obijanie się, nawet w kajucie nie większej od tej, jaką setki lat temu zajmował Horatio Hornblower. Wino było najlepsze, jakie oferowała planeta Peggy, kiedy jednak już osuszyli butelkę i samych siebie, kajuta zaczęła wyglądać na jeszcze mniejszą, a do rozpoczęcia wachty została jeszcze ponad godzina.

— Jestem głodna — oznajmiła Yee-xing. — Mam tu jakiś ryż z czymś, ale może...

Nie był to dobry moment na ponaglanie szczęścia, choć domowy posiłek był czymś kuszącym. Nawet ryż z czymś-tam. — Chodźmy do mesy — powiedział Walthers i bez szczególnego pośpiechu powędrowali, trzymając się za ręce, do roboczej części statku. Zatrzymali się na skrzyżowaniu korytarzy, gdzie dawno zaginieni Heechowie, z sobie tylko znanych powodów, zasadzili małe kępki krzewinek i krzaków — bez wątpienia nie tych samych, które tu rosły. Yee-xing zatrzymała się, by zerwać jasnoniebieską jagodę.

— Popatrz tylko — powiedziała. — Wszystkie są dojrzałe, a te pasożyty nawet ich nie zbierają.

— Masz na myśli powracających kolonistów? Ale oni zapłacili za podróż...

— No pewnie — powiedziała gorzko. — Nie ma forszy, nie ma powrotu. Ale kiedy wrócą, pójdą od razu na zasiłek, cóż innego ich czeka?

Walthers spróbował jednego soczystego owocu o cienkiej skórce.

— Nie za bardzo lubisz tych powracających.

Yee-xing uśmiechnęła się cynicznie.

— Nie potrafię się maskować, prawda? — Ale uśmieszek zbladł. — Przede wszystkim, nie mają po co wracać do domu — gdyby mieli tam jakieś przyzwoite życie, nie porzuciliby go. Po drugie, od czasu ich wyjazdu wiele rzeczy zmieniło się na gorsze. Więcej kłopotów z terrorystami. Więcej napięć na arenie międzynarodowej — są kraje, które znów formują armie! A po trzecie, będą nie tylko cierpieć z tego powodu; sami staną się powodem. Połowa tych durni, których tu widzisz, za miesiąc będzie w jakiejś bojówce terrorystycznej — albo przynajmniej będzie taką popierać.

Szli dalej, a Walthers powiedział z pokorą:

— Pewnie, że dawno mnie tam nie było, ale słyszałem, że zrobiło się naprawdę paskudnie — bombardowania i strzelaniny.

— Bombardowania! Gdyby tylko o to chodziło! Oni mają teraz TNP! Wracasz na Ziemię, a nawet nie wiesz, kiedy bez żadnego ostrzeżenia spadniesz ze swojego bujanego fotela!

— TNP? Co to jest TNP?

— Och, mój Boże, Walthers — rzekła uczciwie — tak długo przebywałeś poza Ziemią. Nazywali to Gorączką, nie pamiętasz? To teleempatyczny nadbiornik psychokinetyczny, jeden z tych starych artefaktów Heechów. Istnieje ich koło tuzina, a jeden wpadł w ręce terrorystów!

— Gorączka — powtórzył Walthers, marszcząc brwi, gdy jego pamięć próbowała wydostać się z okowów podświadomości.

— Właśnie. Gorączka — rzekła Yee-xing z ponurą satysfakcją. — Pamiętam, jak byłem jeszcze dzieckiem w Kanczou i mój ojciec wrócił do domu z głową całą we krwi, bo ktoś wyskoczył z ostatniego piętra fabryki szkła. Prosto na mojego ojca! Zupełnie stuknięty! A wszystko to przez TNP.

Gorączkę powodował oczywiście rozbitek imieniem Wan. Chciał tylko nawiązać jakiś kontakt z ludźmi, bo był samotny. Wcale nie miał zamiaru doprowadzać połowy ludzkiej rasy do szaleństwa swoimi stukniętymi, obsesyjnymi myślami. Terrorysty, z drugiej strony, doskonale wiedzieli co robią.

Walthers ze ściągniętą twarzą skinął głową, nie odpowiadając. Yee-xing spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym pomachała do strażników przed nimi.

— Właśnie tego przede wszystkim pilnują — powiedziała — bo na *S. Ja* ciągle jest takie jedno urządzenie. Za dużo tych cholerstw! Trochę za późno pomyśleli o pilnowaniu ich, bo jedna z grup terrorystów ma Piątkę Heechów razem z TNP i używa go ktoś, kto jest naprawdę stuknięty. Szalony, wiesz? Kiedy on tam wchodzi i czuję go w swojej głowie, jest to tak obrzydliwe i okropne... Walthers, czy coś się stało?

Zatrzymał się przy wejściu do lśniącego złoto korytarza i czterech strażników popatrzyło na niego z zaciekawieniem.

— Gorączka — powiedział. — Wan! To był jego statek!

— No pewnie, że tak — odparła dziewczyna marszcząc brwi. — Słuchaj, mieliśmy coś zjeść. No to chodźmy. — Zaczynała wyglądać na zmartwioną. Szczeka Walthersa zeszywniała, mięśnie jego twarzy były napięte. Przypominał człowieka, który spodziewa się ciosu w twarz, a strażnicy przyglądali mu się z coraz większym zainteresowaniem.

— No chodź, Audee — powiedziała prosząco.

Walthers otrząsnął się i spojrział na nią.

— Idź sama — powiedział. — Ja już nie jestem głodny.

Statek Wana! Jakie to dziwne, myślał Walthers, że wcześniej nie zauważył tego związku. Ale oczywiście tak było.

Wan urodził się na tym właśnie statku, na długo zanim zmieniono mu nazwę na *S. Ja. Broadhead*, na długo, nim ludzka rasa dowiedziała się o jego istnieniu... chyba że uznamy za ludzi kilku dalekich potomków *Australopithecus afarensis*. Matką Wana była pewna poszukiwaczka z Gateway. Jej mąż zaginął podczas misji, ona wyruszyła na inną. Żyła jeszcze przez kilka pierwszych lat życia Wana, a potem go osierociła. Walthers miał kłopoty z wyobrażeniem sobie, jak wyglądało dzieciństwo Wana — malutkie dziecko na olbrzymim, prawie pustym statku, żadnego towarzystwa poza dzikusami i przechowywanymi w pamięci komputera analogami od dawna nieżyjących kosmicznych poszukiwaczy. Jeden z nich, bez wątplenia, należał do jego matki. To wzbudzało współczucie...

Walthers nie miał jednak współczucia na zbyciu. Nie dla Wana, który zabrał mu żonę. Z podobnego powodu, również nie dla tego samego Wana, który znalazł urządzenie zwane TNP — teleempatycznym nadbiornikiem psychokinetycznym — jak przechrzcił je głupawy język biurokratów. Sam Wan nazywał je leżanką snów, a reszta ludzkiej rasy nazywała je Gorączką, a były to straszne, mroczne obsesje, które nawiedzały każdy żyjący ludzki mózg, kiedy młody i głupi Wan, znajdując leżankę, odkrył, że zapewniała mu ona jakiś kontakt z żyjącymi istotami. Nie wiedział, że ten sam proces zapewniał im jakiś rodzaj kontaktu z nim, a jego nastoletnie marzenia, strachy i fantazje seksualne nawiedzały dziesięć miliardów ludzkich mózgów... Być może Dolly zauważyłaby ten związek, ale była jeszcze małym dzieckiem, kiedy to się działo. Walthers nie. On o tym pamiętał, co dawało mu kolejny powód, żeby nienawidzić Wana.

Nie pamiętał już tego powracającego ogólnościowego szaleństwa zbyt wyraźnie, więc z trudem potrafił sobie wyobrazić, jak rujnujące były jego skutki. Nie próbował nawet wyobrazić sobie bezczynnego, samotnego dzieciństwa Wana na tym statku, ale dzisiejszego Wana, podróżującego wśród gwiazd ze swoją tajemniczą misją, za całe towarzystwo mającego jego byłą żonę — to wszystko Walthers potrafił sobie wyobrazić aż za bardzo wyraźnie.

W istocie spędził prawie całą godzinę, jaką jeszcze miał do dyspozycji przed rozpoczęciem wachty, na wyobrażaniu sobie tego, zanim sobie uświadomił, że pogrąży się w uzalaniu się nad sobą i dobrowolnym poniżeniu, a w końcu w ten sposób nie powinien zachowywać się dorosły człowiek.

Zjawił się na czas. Yee-xing, która znalazła się w kokpicie przed nim, nic nie powiedziała, ale wyglądała na lekko zaskoczoną. Uśmiechnął się do niej przy przejmowaniu sterów i zabrał do roboty.

Choć faktyczne pilotowanie statku sprowadzało się głównie do trzymania rąk na sterach i pozwalaniu statkowi, by leciał sam, Walthers próbował się czymś zająć. Jego nastrój się zmienił. Ogrom statku, który czuł końcami palców — to było wyzwanie. Obserwował Janie Yee-xing, która uruchamiała dodatkowe urządzenia sterujące za pomocą kolan, stóp i łokci, wyświetlając kurs, pozycję i stan statku oraz wszelkie inne dane, o których tak naprawdę pilot nie musiał wiedzieć sterując tą bestią, ale powinien zadać sobie trud zapoznania się z nimi, jeśli chciał uważać się za *pilota*. Zrobił więc to samo. Wywołał obraz kursu i sprawdził pozycję *S. Ja*. — malutka, jarząca się złotem kropka na cienkiej błękitnej linii o długości tysiąca dziewięciuset lat świetlnych; sprawdził prawidłowość tej pozycji obliczając kąt w stosunku do jarzących się na czerwono punkcików gwiazd leżących wzdłuż kursu; zmarszczył się na widok paru oznaczeń „Uwaga, niebezpieczeństwo!”, gdzie czarne dziury i chmury gazu stanowiły zagrożenie — wydawało się, że żadne z nich nie zbliżało się do ich kursu — a nawet wywołał wielką mapę nieba Heechów przedstawiającą całą Galaktykę, z innymi elementami Grupy Lokalnej zahaczającymi o jej brzegi. Siedmiuset wybitnie zdolnych ludzi pracowało nad rozszyfrowaniem kodu Heechów, zużywając tysiące godzin pracy inteligentnych maszyn. Niektóre części były nadal niezrozumiałe i marszcząc brwi Walthers przyglądał się paru punktom w obszarze, gdzie migające, kolorowe pierścienie oznaczające „Tu jest niebezpiecznie!” zostały podwojone i potrojone. Co mogło być aż tak niebezpieczne, że mapy Heechów prawie krzyczały z przerażenia?

Tylu rzeczy jeszcze trzeba, było się nauczyć! I, jak myślał sobie Walthers, najlepszym do tego miejscem był właśnie ten statek. Jego praca była oczywiście tymczasowa. Jeśli jednak będzie wykonywał ją dobrze... wykaże się chęcią i talentem... wkradnie się w łaski kapitana... wtedy, gdy już dolecimy na Ziemię, a kapitan będzie musiał podjąć zadanie znalezienia Siódmego Oficera, kto będzie lepszym kandydatem niż Audee Walthers?

Kiedy wachta się zakończyła, Yee-xing pokonała dziesięciometrowy dystans między dwoma fotelami pilotów i powiedziała:

— Jako pilot wyglądasz całkiem nieźle, Walthers. Trochę się o ciebie martwiłam.

Wziął ją za rękę i ruszyli w stronę drzwi. — Chyba byłem w kiepskim nastroju — powiedział przepraszająco, a Yee-xing wzruszyła ramionami.

— Pierwsza dziewczyna zawsze wpada w to całe szambo po rozstaniu — zauważała. — Co robiłeś, uruchomiłeś jakiś nasz program psychoanalityczny?

— Nie musiałem. Ja tylko . . . — Walthers zawahał się, próbując sobie przypomnieć, co takiego zrobił. — Chyba trochę rozmawiałem z samym sobą. Wiesz, jak żona od kogoś odchodzi — wyjaśnił — to człowiek czuje się *zawstydzony*. To znaczy, poza tym, że jest zazdrosny, wściekły i tak dalej. Kiedy jednak tak się nad tym wszystkim zastanowiłem przez chwilę, zrozumiałem, że zrobiłem niewiele rzeczy, których miałbym się wstydzić. To uczucie nie było moje, rozumiesz?

— I to pomogło? — dopytywała się.

— Tak, po jakimś czasie tak. — Było też oczywiście potężne antidotum na ból spowodowany przez kobietę, którym była inna kobieta, ale nie chciał mówić o tym samemu antidotum.

Kartograficzne i nawigacyjne systemy Heechów były trudne do rozszyfrowania. W przypadku nawigacji system sprawdza dwa punkty, początek i koniec podróży. Potem sprawdza wszystkie niebezpieczne przeszkody, jak chmury pyłu i gazu, niepokojące promieniowanie, pola grawitacyjne i tak dalej, a następnie wybiera punkty bezpiecznej trasy omijające je lub znajdujące się pomiędzy nimi, po czym konstruuje krzywą składaną przechodzącą przez te punkty i kieruje statek wzdłuż tej krzywej.

Wiele obiektów i punktów na mapach oznaczono tak, by zwrócić na nie uwagę — migoczące pierścienie, „ptaszki”, i tak dalej. Dość wcześnie zrozumieliśmy, że to są często ostrzeżenia. Trudność polegała na tym, że nie wiedzieliśmy, które z tych znaków mają ostrzegać — i przed czym.

— Będę musiała o tym pamiętać następnym razem, kiedy mnie ktoś rzuci. Cóż, chyba pora do łóżka. . .

Potrząsnął głową.

— Jest jeszcze wcześniej, a ja jestem taki podładowany. Co z tymi starymi artefaktami Heechów? Mówiłaś, że znasz jakiś sposób na obejście straży.

Zatrzymała się pośrodku przejścia, by się mu przyjrzeć.

— Faktycznie z tobą jest raz lepiej, raz gorzej, Audee. Ale czemu nie?

S. Ja. miał podwójny kadłub. Przestrzeń między powłokami była wąska i mroczna, ale można było tam wejść. Yee-xing poprowadziła więc Walthersa wąskimi przejściami blisko powłoki zewnętrznej wielkiego statku, przez labirynt pustych prycz kolonistów, przez prymitywną, wielką kuchnię, która ich karmiła do miejsca, które cuchnęło zepsutymi śmieciami i starą stęchlizną — do wielkiej, słabo oświetlonej komory.

— Są tutaj — powiedziała. Mówiła ściszym głosem, choć obiecywała, że są zbyt daleko od strażników, by mogli ich usłyszeć. — Włóż głowę do tego srebrzystego koszyka, widzisz, gdzie pokazuje? — Ale nie dotykaj. To ważne!

— Dlaczego to takie ważne? — Walthers rozglądał się po czymś, co wyglądało, jak odpowiednik strychu u Heechów. W komorze było co najmniej czterdzieści urządzeń, małych i dużych, wszystkie przymocowane solidnie do konstrukcji samego statku. Były małe oraz duże, sferyczne z rozciągającymi się podstawami dotykającymi pokładu, kwadratowe, które śniły niebieskim i zielonym światłem metalu. Były tam trzy takie chmury tkanego metalu, jaką wskazywała Janie, dokładnie identyczne.

— To ważne, bo nie mam ochoty wylecieć z tego statku, Audee. Więc uważaj!

— Uważam. Dlaczego są trzy?

— A któż wie, co myśleli Heechowie? Może te wszystkie są zapasowe. A teraz coś, czego musisz wysłuchać. Włóż głowę *blisko* części metalowej, ale nie za blisko. Kiedy tylko zaczniesz odczuwać wrażenia, które nie pochodzą od ciebie, to będzie wystarczająco blisko. Będiesz wtedy wiedział. Ale nie zbliżaj się bardziej, a przede wszystkim nie dotykaj, bo to działa w obie strony. Dopóki wystarczą ci ogólne wrażenia, nikt nie zauważy. Mam nadzieję. Ale jak zauważą, kapitan wykopie nas stąd oboje, rozumiesz?

— Pewnie, że rozumiem, — rzekł Walthers, nieco rozdrażniony i przemieścił głowę jakieś dwanaście centymetrów od srebrzystej siateczki. Obrócił się i spojrział na Yee-xing. — Nic — powiedział.

— Spróbuj *odrobinę* bliżej.

Przemieszczanie głowy o centymetr nie było łatwe, skoro była zgięta pod dziwnym kątem i nie było się czego przytrzymać, ale Walthers próbował robić, co mu kazano.

— Wystarczy! — krzyknęła Yee-xing obserwując jego twarz. — Ani milimetra bliżej, dość!

Nie odpowiedział. Jego umysł wypełnił się najprostszymi zapowiedziami wrażeń — pomieszaniem mamrotaniem wrażeń. Były tam sny i marzenia, czyjaś rozpaczliwa walka o oddech; był czyjś śmiech, i ktoś, a w zasadzie coś, co wydawało się trzema parami ktosiów, uprawiający seks. Odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do Janie, zaczął mówić...

I wtedy, nagle, pojawiło się tam coś jeszcze.

Walthers zamarł. Na podstawie opisu Yee-xing oczekiwał jakiegoś wrażenia *towarzystwa*. Obecności innych ludzi. Ich radości, pragnienia i przyjemności — ale „oni” byli zawsze ludźmi.

Ta nowa rzecz natomiast nie.

Walthers szarpnął się nerwowo. Jego głowa dotknęła siatki. Wszystkie wrażenia stały się tysiąc razy silniejsze, jakby obiektyw ustawił właściwą ostrość i poczuł nową, odległą obecność — czy może obecności? — w odmienny i bezpośredni sposób. Było to odległe, oślizgłe, zimne uczucie i nie emanowało z żadnej istoty ludzkiej. Jeśli źródła miały depresję czy fantazje, Walthers nie potrafił ich pojąć. Czuł tylko, że *tam* były. Nie *reagowały*. Nie *zmieniały się*.

Gdyby można było dostać się do umysłu trupa, pomyślał w panice i z obrzydzeniem, to właśnie mogłoby być takie uczucie.

A wszystko to stało się w jednej chwili, a potem poczuł, jak Yee-xing szarpie go za ramię i krzyczy mu do ucha.

— Szlag by cię trafił, Walthers! Poczułam to! Kapitan i wszyscy inni na tym pieprzonym statku pewnie też! Teraz mamy kłopot!

W chwili, gdy jego głowa uwolniła się ze srebrzystej siateczki, uczucie znikło. Lśniące ściany i zaciemnione maszyny były znów realne, ze wściekłą twarzą Janie Yee-xing na ich tle. Kłopot? Walthers spostrzegł, że się śmieje. Po tym zimnym, powolnym piekle, jakiego właśnie doświadczył, nic, co ludzkie, nie wydaje się kłopotem. Nawet gdy wpadli żołnierze czterech mocarstw, z bronią gotową do strzału, krzycząc do nich w czterech językach, Walthers prawie radośnie ich przywitał.

Bo byli ludźmi i żyli.

Pytanie, które drażyło mu umysł, było takie, jakie każdy na jego miejscu by sobie zadał: czy przypadkiem nie dostroił się do tajemniczych, ukrytych Hechów?

Jeśli tak, powiedział sobie, niech Bóg ma w opiece całą ludzką rasę.

Rozdział 5.

Dzień z życia nababa

Strach przed Heechami był popularnym sportem nie tylko na pokładzie *S. Ja*. Nawet ja uprawiałem go wiele razy. Każdy go uprawiał. Uprawialiśmy go na poważnie, kiedy byłem małym chłopcem, choć wtedy Heechowie byli jedynie tajemniczymi zaginionymi istotami, które zabawiały się budując tunele na planecie Wenus, setki tysięcy lat temu. Uprawialiśmy go, kiedy byłem poszukiwaczem na Gateway — Boże, jak my się wtedy ich baliśmy! Powierzaliśmy samych siebie starym statkom Heechów i zasuwaliliśmy przez kosmos do miejsc, których nigdy nie widział żaden człowiek, zastanawiając się, czy w punkcie docelowym podróży nie pojawią się właściciele statków — i co wtedy nam zrobią! Zamartwialiśmy się nimi nawet wtedy, gdy już rozpracowaliśmy ich stare atlasy gwiazdne w wystarczającym stopniu by odkryć, gdzie się ukryli, głęboko w jądrze naszej własnej Galaktyki.

Nie przyszło nam jednak do głowy, przed czym mogli się tak ukrywać.

Oczywiście, zajmowałem się jeszcze czymś innym. Było mnóstwo rzeczy, które wypełniały moje dni. Musiałem nieustannie zajmować się moim kapryśnym zdrowiem, które zmuszało mnie do poświęcania mu uwagi kiedy tylko chciało, a z biegiem czasu chciało coraz częściej. A to był dopiero początek. Byłem tak strasznie zajęty, miriadami przeróżnych rzeczy, jak tylko może być zajęta istota ludzka.

Gdyby przyjrzeć się przeciętnemu dniu z życia Robina Broadheada, starzejącego się nababa, odwiedzając go w jego luksusowym wiejskim domu z widokiem na szerokie Morze Tappajskie, na północ od Nowego Jorku, zaobserwowałibyśmy, że robi takie rzeczy, jak przechadzanie się brzegiem rzeki ze swoją wspaniałą żoną, Essie. . . , podejmowanie kulinarnych eksperymentów z kuchnią malajską, islandzką i ghańską w swojej fantastycznie wyposażonej kuchni. . . , pogawędki z systemem wyszukiwania danych, Albertem Einsteinem. . . , załatwianie korespondencji w rodzaju:

To całe centrum młodzieży z Grenady, zobaczmy, taaaa. . . Zgodnie z obietnicą, oto czek na trzysta tysięcy dolarów, tylko proszę, nie nazywajcie centrum

moim imieniem. Jeśli bardzo chcecie, możecie nazwać go imieniem mojej żony, oczywiście oboje postaramy się przybyć na jego otwarcie.

Pedro Lammartine, Sekretarz Generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych, Drogi Pete. Pracuję nad Amerykanami, żeby podzielili się danymi z Brazylijczykami w celu odszukania statku terrorystów, ale ktoś musi zająć się Brazylijczykami, Czy mógłbyś użyć swoich wpływów? To leży w interesie nas wszystkich. Jeśli nie powstrzymamy terrorystów, Bóg wie, czym to się skończy.

Ray McLean, gdziekolwiek się znajduje.

Drogi Ray. Oczywiście możesz korzystać z naszych instalacji dokujących przy poszukiwaniach Twojej żony. Z całego serca życzę Ci szczęścia, i tak dalej, i tak dalej...

Gorman i Ketchin, Główni Wykonawcy.

Szanowni Panowie! Nie mogę zaakceptować nowej daty ukończenia mojego statku w dniu 01.10. To całkowicie nie do przyjęcia. Już raz przesuwaliśmy termin i to było wszystko, co mogłem zaoferować. Przypominam o poważnych karach umownych przewidzianych w kontrakcie, jeśli nastąpi dalsze opóźnienie.

Prezydent Stanów Zjednoczonych. Drogi Benie.

Jeśli statek terrorystów nie zostanie bezzwłocznie zlokalizowany i unieszkodliwiony, może to zagrozić pokojowi na całej Ziemi. Że nie wspomnę o stratach materialnych, zgonach i wszystkim, co jest zagrożone. Tajemnicą poliszynela jest, że Brazylijczycy skonstruowali namiernik dla sygnałów płynących ze statków poruszających się z nadświatlną prędkością, a nasi wojskowi mają procedurę nawigowania przy prędkościach nadświatlnych, która pozwoli im się do niego zbliżyć. Czy oni nie mogliby podjąć współpracy? Jako głównodowodzący możesz przecież wydać Podniebnemu Pentagonowi rozkaz współpracy. Wywiera się duże naciski na Brazylijczyków, by zrobili, co do nich należy, ale oni czekają na sygnał z naszej strony.

Ten, jak mu tam, Luqman. Szanowny Panie Luqman.

Dziękuję za dobre nowiny. Sądzę, że powinniśmy rozpocząć eksploatację tego pola naftowego natychmiast, kiedy więc Pan mnie odwiedzi, proszę przynieść swój plan produkcji i spedycji wraz z kosztorysem oraz plan kapitałowych przepływów pieniężnych. Za każdym razem, gdy S. Ja. wraca z pustą ładownią, ponosimy straty...

I tak dalej — byłem dość zajęty! Miałem mnóstwo spraw, dzięki którym byłem zajęty, a nawet nie wspomniałem jeszcze o śledzeniu moich inwestycji i poganianiu stada moich menedżerów. Nie, żebym spędzał dużo czasu na zajmowaniu się

interesami. Zawsze powtarzam, że po tym, jak już zarobi się ten pierwszy milion albo coś koło tego, każdy, kto robi coś wyłącznie dla pieniędzy, musi być stuknięty. Pieniądze są potrzebne, bo jeśli ich nie masz, nie masz dość swobody, żeby robić to, co warto robić. Kiedy jednak już masz tę swobodę, jaki jest pożytek z większej ilości pieniędzy? Pozostawiłem więc prowadzenie większości moich interesów moim programom finansowym i zatrudnionym przeze mnie ludziom — z wyjątkiem tych, w których nie chodziło tyle o pieniądze, co o osiągnięcie czegoś szczególnego, bardziej wartościowego niż kolejne zera na rachunku.

A mimo to, jeśli nawet nazwa Heechów nie pojawia się wszędzie na liście moich codziennych trosk, zawsze tam była. Na dłuższą metę wszystko sprowadza się do Heechów. Mój statek, który powstawał na orbicie konstrukcyjnej był zaprojektowany i zbudowany przez ludzi, ale wszystkie układy napędowe i komunikacyjne zostały zaadaptowane z rozwiązań Heechów. S. Ja., który planowałem wypełniać ropą, by nie musiał wracać z pustą ładownią z planety Peggy, był artefaktem Heechów; dlatego też planeta Peggy również była darem Heechów, gdyż oni dostarczyli nam umiejętności nawigacyjnych, by się tam znaleźć oraz statków, które nas tam zawiozły. Należąca do Essie sieć barów szybkiej obsługi opierała się na maszynach Heechów, które produkowały pożywienie CHON z węgla, wodoru, tlenu i azotu, korzystając z zamrożonych gazów kometarnych. Mieliśmy wybudować kilka takich fabryk pożywienia na Ziemi — jedna już działała na wybrzeżu Sri Lanki, pobierając azot i tlen z powietrza, wodór z wody Oceanu Indyjskiego, a węgiel ze wszystkich nieszczęsnych roślin, zwierząt i węglanów, które prześliznęły się przez jej wloty. A że teraz Korporacja Gateway miała tyle pieniędzy na inwestycje, że sama już nie wiedziała, co z nimi robić, mogła część z nich inwestować mądrze — w czarterowe loty badawcze — i jako znaczący udziałowiec Gateway zachęcałem ich do tego. Nawet terroryści korzystali ze skradzionego statku Heechów i skradzionego teleempatycznego nadbiornika psychokinetycznego by zadawać światu najgorsze rany — wszędzie Heechowie!

Nie było więc nic dziwnego w tym, że na całej Ziemi istniały marginalne kultury religijne czczące Heechów, gdyż spełniali oni wszelkie obiektywne kryteria boskości. Byli kapryśni, potężni — i niewidzialni. Zdarzało się, że ja sam prawie stawałem w obliczu pokusy, w długie noce, kiedy jelito mi dokuczało, a wydawało się, że nic nie idzie tak, jak powinno, żeby wymamrotać małą modlitwę do Ojca Naszego, Który Jest w Jądrze Galaktyki. Przecież nic by to nie zaszkodziło, prawda?

Owszem, zaszkodziłoby. Mogło podkopać mój szacunek do samego siebie. A wszystkie istoty ludzkie w tej kuszącej, bogatej Galaktyce, którą zostawili nam Heechowie, miały coraz większe problemy z zachowaniem szacunku dla samych siebie.

Rzecz jasna, wtedy jeszcze nie spotkałem prawdziwego, żywego Heecha.

Wtedy jeszcze żadnego nie spotkałem, ale ten, który miał stać się znaczącą częścią mojego późniejszego życia (nie będę się kłócił o terminologię!), czyli Kapitan, znajdował się w połowie drogi do punktu przełomu, gdzie zaczynał się normalny kosmos; tymczasem na pokładzie *S. Ja*. Audee Walthers dostawał w skórę i zaczynał rozmyślać, że nie powinien był tyle planować w kwestii pracy na tym statku; tymczasem...

Cóż, jak zwykle, takich „tymczasem” było mnóstwo, ale jedno z nich zainteresowały Audee’ego bardziej niż inne: tymczasem jego błądząca żona zaczęła żałować, że zbłądziła.

Rozdział 6.

Stamtąd gdzie wirują czarne dziury

W ostatecznym rozrachunku ucieczka z wariatem nie była czymś o wiele lepszym niż nudzenie się w Port Hegramet. Była na pewno czymś zupełnie innym; o Boże, jak bardzo innym! Niektóre jej aspekty były jednak równie nudne, a inne po prostu śmiertelnie ją przerażały. Ponieważ statek był Piątką, powinno być tam dość miejsca dla ich dwojga — czy raczej powinno było. Ponieważ Wan był młody, bogaty i prawie — na swój sposób — przystojny, jeśli spojrzeć na niego z właściwej strony — podróż powinna być dość urozmaicona. Żadna z tych rzeczy nie była prawdą.

A poza tym były jeszcze elementy przerażające.

Jeśli jest coś, co każda istota ludzka powinna wiedzieć o kosmosie, to zalecenie, że należy się trzymać z dala od czarnych dziur. Ale nie w przypadku Wana. On ich szukał. A potem robił coś jeszcze gorszego.

Dolly nie miała pojęcia, jakimi gadżetami bawił się Wan. Kiedy pytała, nie odpowiadał. Kiedy próbując się przymilić wkładała na rękę jedną ze swoich pacynek i próbowała pytać jej ustami, marszczył brwi, rzucał jej zagniewane spojrzenie i mówił:

— Jeśli już masz zamiar robić jakieś przedstawienia, zrób coś śmiesznego i świńskiego, a nie zadawaj pytań o rzeczy, które nie powinny cię obchodzić. — Kiedy próbowała się dowiedzieć, dlaczego nie powinno jej to obchodzić, miała więcej szczęścia. Nie otrzymywała odpowiedzi wprost. Ale na podstawie wścikłości i zmieszania Wana, którymi to uczuciami reagował, można było łatwo się domyśleć, że te rzeczy zostały skradzione.

I miały coś wspólnego z czarnymi dziurami. Chociaż Dolly była prawie pewna, że raz słyszała, iż do czarnej dziury nie można się dostać ani z niej wydostać, była też prawie pewna, że Wan właśnie próbuje znaleźć jakąś czarną dziurę i do niej wlecieć. I to był ten przerażający aspekt podróży z nim.

A kiedy nie była tak przerażona, że prawie traciła rozum, była rozdzierająco samotna, gdyż kapitan Juan Henriquette Santos-Schmitz, energiczny i ekscentryczny młody multimilioner, którego podboje nadal fascynowały czytelników

plotkarskich serwisów, był beznadziejnym towarzyszem. Po trzech tygodniach w jego obecności Dolly prawie nie mogła znieść jego widoku.

Choć musiała przyznać w duchu, drżąc ze strachu, że jego widok był znacznie mniej przerażający niż widok tego, czego naprawdę szukał.

Tym, na co Dolly właśnie patrzyła, była czarna dziura. Czy może nie ona sama, gdyż na nią można było patrzeć cały dzień i nie zauważyć jej; czarne dziury nazywano czarnymi, gdyż nie dało się ich w ogóle dostrzec. W istocie patrzyła na spiralną poświatę błękitnawego, fioletowawego światła, nieprzyjemną dla oczu nawet, gdy się ją oglądało przez ekran sterowni. Bezpośrednie narażenie się byłoby znacznie bardziej nieprzyjemne. Światło było jedynie wierzchołkiem góry lodowej w powodzi śmiercionośnego promieniowania. Ich statek był opancerzony i chronił przed czymś takim, jak dotąd osłona wytrzymywała. Ale Wan nie przebywał za pancernem. Był na dole w ładowniku, gdzie miał te narzędzia i technologie, których ona nie rozumiała, a on nie chciał wyjaśnić ich przeznaczenia, i wiedziała, że za którymś razem, w takiej samej sytuacji, będzie siedzieć w głównej części statku i poczuje mały wstrząs, który będzie oznaczać, że ładownik został wystrzelony. A on będzie się jeszcze bardziej zbliżał do tych strasznych obiektów! I co się wtedy z nim stanie? Albo z nią? Przecież ona z nim nie polecą, nie ma mowy! A jeśli on umrze i zostawi ją tutaj samą, setki lat świetlnych od wszystkiego, co znała — co wtedy?

Usłyszała rozszłoszczone pomrukiwanie i wiedziała, że ten moment jeszcze nie nadszedł. Kłapa otworzyła się i wpełzł przez nią rozwścieczony Wan.

— Kolejna pusta! — warknął na nią, jakby uważał, że to ona jest za to odpowiedzialna.

I oczywiście tak było. Próbowwała przybrać współczujący, a nie wystraszony wyraz twarzy.

— Och, złotko, co za szkoda. To już trzy.

— Trzy! Ha! Trzy, jak podróżuję z tobą, chciałaś powiedzieć. Więcej, niż przy całej reszcie! — Jego głos pobrzmiwał pretensjami, ale jej to nie przeszkadzało. Opanowało ją uczucie ulgi, kiedy prześliznął się koło niej. Dolly przemieściła się dyskretnie, możliwie najdalej od tablicy sterującej — niezbyt daleko, w statku Heechów, który mógłby zmieścić się w obszerniejszym salonie. Kiedy usiadł i zaczął się konsultować ze swoimi elektronicznymi wyroczniami, zachowywała milczenie.

Gdy Wan rozmawiał ze Zmarłymi, nie zapraszał Dolly do wzięcia w tym udziału. Jeśli prowadził swoją część rozmowy głosem, mogła przynajmniej słyszeć jego wypowiedzi w tej rozmowie. Jeśli wklepywał pytania za pomocą klawiatury, nie słyszała nawet tego. Tym razem jednak mogła łatwo wszystkiego się domyśleć. Wstukiwał pytania, skrzywił się, słysząc odpowiedź jednego ze Zmarłych, wystukał poprawkę, po czym ustawił kurs na tablicy sterującej Heechów.

Następnie zdjął słuchawki, skrzywił się ponownie, przeciągnął i zwrócił do Dolly.

— Dobra — powiedział — chodź, czas zapłacić kolejną ratę za bilet.

— Już idę, kochanie — odparła usłużnie, choć byłoby znacznie przyjemniej, gdyby nie ujmował tego zawsze w ten sposób. Ale nastrój nieco jej się poprawił. Poczowała dyskretną zapowiedź wstrząsu, który oznaczał, że statek wyruszał w kolejny rejs, i rzeczywiście, wielki niebiesko-fioletowy horror na ekranie zaczął odpływać. To było już coś!

Oczywiście oznaczało to jedynie, że znajdują się w drodze do kolejnej czarnej dziury.

— Pokaż mi Heecha — zażądał Wan — i... niech pomyślę... tak. Z Robinette'm Broadheadem.

— Dobrze, Wan — powiedziała Dolly wyciągając swoje pacynki z kąta. W które kopnął je Wan i naciągając je na dłoń. Heech oczywiście nie wyglądał jak prawdziwy Heech; a jeśli mamy być szczerzy, to Robinette Broadhead również wyglądał dość karykaturalnie. Ale dla Wana były one zabawne. I to miało znaczenie dla Dolly, gdyż to on płacił wszystkie rachunki. Pierwszego dnia po wyruszeniu z Port Hegramet pochwalił się Dolly swoją książeczką bankową. Sześć milionów dolarów automatycznie trafiało na nią co miesiąc! Liczby oszłomiły Dolly. Tak wiele znaczyły! Może, prędzej czy później, z tego wodospadu gotówki uda jej się uszczknąć kropelkę albo dwie. Dla Dolly w takich myślach nie było niczego niemoralnego. Być może dawni Amerykanie nazwaliby ją poszukiwaczką złota. Ale większość ludzkiej rasy, przez większą część swojej historii, nazwałaby ją po prostu ubogą.

Więc karmiła go i spała z nim. Kiedy był w kiepskim nastroju, próbowała udawać niewidzialną, a kiedy zapragnął rozrywki, próbowała go zabawiać:

— Witam, panie Heechu — powiedziała ręka z Broadheadem, a palce Dolly zgięły się nadając pacynce pewny siebie uśmiezek, głos Dolly brzmiał cienko, jak głos prymitywnego nieokrzesanica (co również było częścią karykatury!). — Jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę pana poznać.

Ręka z Heechem, głos Dolly brzmiący jak syk węża:

— Cześć, bezmyślny Ziemiańcinie. Przybyłeś w samą porę na obiad.

— Ojej — wrzasnęła ręka z Broadheadem, uśmiechając się szeroko. — Też jestem głodny! A co będziemy jedli na obiad?

— Aaah! — zaskrzeczała ręka z Heechem, palce rozcapierzone, usta otwarte. — Ciebie! I palce prawej ręki zamknęły się na pacynce z lewej ręki.

— Cha! Cha! Cha! — śmiał się Wan. — To było bardzo dobre! Choć Heecho wie wcale tak nie wyglądają. Nie wiesz, jak wygląda Heech.

— A ty wiesz? — spytała Dolly własnym głosem.

— Prawie! Znacznie lepiej niż ty!

Dolly, uśmiechając się, uniosła rękę z Heechem.

— Och, ale pan się myli, panie Wan — zabrzmiał śliski, wężowaty głos He-echa. — Właśnie *tak* wyglądam i czekam na pana w następnej czarnej dziurze!

Wan poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że uderzyło o podłogę.

— To wcale nie jest śmieszne! — wrzasnął i Dolly ze zdumieniem zauważyła, że drży. — Zrób mi coś do jedzenia! — zażądał i powłókł się do swojego prywatnego ładownika, mrużąc coś pod nosem.

Żartowanie z nim nie było najmądrzejszym pomysłem. Dolly przygotowała mu więc obiad i podała z udawanym uśmiechem. Ten uśmiech niczego nie załatwiał. Wan był w jeszcze bardziej parszywym nastroju niż zwykle.

— Durna kobieto! — zaskrzeczał. — Zżarłaś całe dobre jedzenie, jak nie patrzyłem? Nie zostało już nic sensownego do zjedzenia?

Dolly była bliska płaczu.

— Przecież lubisz steki — zaprotestowała.

— Steki! Pewnie, że lubię steki, ale popatrz, co podałaś na deser! — Odepchnął od siebie talerz ze stekiem i brokułami, by złapać talerzyk, na którym leżały herbatniki z kawałkami czekolady i zaczął potrząsać nim przed jej nosem. Ciasteczka rozsypały się na wszystkie strony, a Dolly próbowała je łapać. — Wiem, że to nie jest to co lubisz, złotko, ale nie ma już więcej lodów.

Spojrzał na nią.

— Ha! Nie ma już lodów? No dobrze, trudno. To suflet czekoladowy albo budyń...

— Wan, one też się skończyły. Sam je zjadłeś.

— Durna kobieta! To niemożliwe!

— Cóż, skończyły się. A swoją drogą, te wszystkie słodycze ci szkodzą.

— Nie zatrudniałem cię na pielęgniarkę! Jak mi zgniją zęby, kupię sobie nowe. — Uderzył w talerz, który trzymała w ręce, i ciasteczka rozsypały się. — Wywal te śmiecie. Nie chce mi się już jeść — warknął.

Był to typowy posiłek na obrzeżach Galaktyki. Skończył się również w sposób typowy — Dolly sprzątała bałagan szlochając. Był takim wrednym typem! I chyba nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ściśle rzecz biorąc, Wan zdawał sobie sprawę z tego, jaki był wredny, aspołeczny, wykorzystujący innych — całą długą listę tych rzeczy przedstawiły mu programy psychoanalityczne. Odbył z nimi ponad trzysta sesji. Sześć dni w tygodniu przez prawie rok. A na samym końcu zakończył całą psychoanalizę żartem.

— Mam pytanie — powiedział do holograficznej terapeutki, wyglądającej jak całkiem ładna kobieta, w takim wieku, że mogłaby być jego matką, a za razem dość młodej, by była atrakcyjna — a brzmi ono tak: ilu psychoanalityków trzeba, żeby zmienić żarówkę?

Terapeutka odparła z westchnieniem.

— Wan, znowu nie chcesz współpracować. No dobrze. Ilu?

— Tylko jednego — powiedział, śmiejąc się — ale żarówka musi chcieć się zmienić. Ha, ha! A widzi pani, ja nie chcę.

Przez chwilę patrzyła prosto na niego w milczeniu. Na holograficznym obrazie wyglądała tak, jakby na fotelu siedział wypchany worek, z podwiniętymi nogami, notesem w jednej ręce i ołówkiem w drugiej. Używała go do poprawiania okularów, które zsuwały jej się z nosa kiedy na niego patrzyła. Jak wszystko w jej oprogramowaniu, również ten gest miał jakieś znaczenie, jako uspokajająca sugestia, że mimo wszystko ona jest także istotą ludzką jak on sam, nie srogą boginią. Oczywiście nie była człowiekiem. Ale brzmiała wystarczająco ludzko, kiedy powiedziała:

— To bardzo stary dowcip, Wan. Co to jest żarówka?

Wzruszył ramionami z irytacją.

— Taka okrągła rzecz, która daje światło — powiedział niepewnie — ale nie załapała pani puenty. Nie chcę, żeby mnie już zmieniano. To mnie nie bawi. Przede wszystkim, ja nie chciałem tego zaczynać, a teraz zdecydowałem się to zakończyć.

Program komputerowy rzekł spokojnie:

— Oczywiście, masz do tego prawo, Wan. Co masz zamiar dalej robić?

— Mam zamiar poszukać mojego... Wyjdę stąd i będę się dobrze bawił — rzekł z wściekłością. — Do tego również mam prawo!

— Tak, oczywiście — zgodziła się. — Wan? Czy mógłbyś mi powiedzieć, co takiego zacząłeś mówić, zanim zdecydowałeś się powiedzieć coś innego?

— Nie — odparł wstając. — Nie chciałbym pani powiedzieć, co mam zamiar robić. Zamiast tego po prostu pójdę i to zrobię. Do widzenia.

— Masz zamiar szukać swojego ojca, prawda? — zawołał za nim program psychoanalityczny, ale Wan nie odpowiedział. Jediną reakcją z jego strony było to, że trzasnął drzwiami, zamiast normalnie je zamknąć.

Heechowie wcześniej odkryli, jak przechowywać inteligencję, a nawet namiastkę osobowości martwego lub umierającego człowieka w systemach mechanicznych — o czym istoty ludzkie dowiedziały się, gdy po raz pierwszy napotkały tak zwane Niebo Heechów, gdzie wychował się Wan. Robin uważał to za niezmiernie ważny wynalazek. Nie podzielam tej opinii. Rzecz jasna, możecie uważać mnie za uprzedzonego — taka osoba jak ja, będąca przede wszystkim mechanicznym urządzeniem do przechowywania danych, niczego takiego nie potrzebuje; a Heechowie, dokonawszy tego odkrycia, nie zadali sobie trudu wynalezienia takich osób jak ja.

Normalny osobnik ludzki — i chyba każdy osobnik ludzki — powiedziałby terapeutce, że miała rację. W pewnym momencie powiedziała to także swojej towarzysze na statku i w łóżku podczas tych trzech tygodni podróży, choćby tylko

po to, żeby podzielić się z kimś swą nadzieją płynącą z szansy zdobycia czegoś na zewnątrz i swoim bardzo prawdziwym strachem. Wan nigdy nie nauczył się dzielić swoimi uczuciami, bo nigdy nie nauczył się w ogóle dzielić czymkolwiek. Wychowany w Niebie Heechów, nie mając w pobliżu żadnego gorąckrwistego ludzkiego towarzysza przez najważniejsze dziesięć lat swego dzieciństwa, stał się archetypem socjopaty. Tęsknota za miłością popychała go do poszukiwań swego zaginionego ojca wśród wszystkich okropności kosmosu. Całkowity brak poczucia spełnienia sprawił, że teraz Wan nie był w stanie zaakceptować miłości czy choćby wspólnoty. Jego najbliższymi towarzyszami przez te dziesięć okropnych lat były programy komputerowe stanowiące zapisy martwych umysłów, zwane Zmarłymi. Skopiował je i zabierał ze sobą wszędzie, gdzie udawał się statkiem Heechów, rozmawiał z nimi, a nie ze zbudowaną z krwi i kości Dolly, bo wiedział, że to tylko maszyny. Nie przeszkadzało im, że są tak traktowane. Dla Wana osoby z krwi i kości także były czymś w rodzaju automatów — moglibyśmy porównać je do automatów z kawą. Wrzucał monetę, a one dawały mu to, co chciał. Seks. Albo rozmowę. Albo przygotowanie dla niego jedzenia, albo sprzątanie po jego świńskich nawykach.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby liczyć się z uczuciami automatu. Nawet wówczas, gdy automat był dziewiętnastoletnią istotą ludzką, która byłaby wdzięczna za samą możliwość otrzymania pozwolenia na myślenie, że go kocha.

Rozdział 7.

Powrót do domu

Pod pętlą Lofstroma w Lagos w Nigerii, Audee Walthers rozważał właśnie zakres swojej odpowiedzialności wobec Janie Yee-xing, gdy magnetyczna wstęga schwytała ich opadającą kapsułę i spowolniła jej bieg, wyrzucając ją przy terminalu celno-imigracyjnym. Za bawienie się zakazanymi zabawkami stracił nadzieję na pracę, ale za pomaganie mu w tym Yee-xing zaprzepaściła całą swą karierę.

— Mam pewien pomysł — szepnął jej do ucha, kiedy stanęli w kolejce w poczekalni. — Powiem ci na zewnątrz.

Istotnie miał pewien pomysł, i to całkiem dobry, jak na niego. Tym pomysłem byłem ja.

Zanim Walthers podzielił się z Janie swoim pomysłem, musiał jej powiedzieć o tym, co czuł w tym strasznym momencie w TNP. Zameldowali się w schronisku tranzytowym blisko podstawy pętli ładowniczej. Pusty, gorący pokój; było tam średniej wielkości łóżko, umywalka w kącie; odbiornik piezowizyjny, na który podróżny mógł się gapić w oczekiwaniu na start kapsuły, okna, które otwierały się na gorące, wilgotne powietrze afrykańskiego wybrzeża. Okna były otwarte, choć zasunięto szczelnie siatki dla ochrony przed miriadami afrykańskich owadów, ale Walthers objął się ramionami jakby było mu zimno, gdy jej opowiadał o tej zimnej, powolnej istocie, której umysł odbierał na pokładzie *S. Ja*.

Janie Yee-xing również drżała.

— Ale nic takiego nigdy nie mówiłeś! — powiedziała, a jej głos brzmiał jak skrzek, tak miała ściśnięte gardło. Potrząsnął głową.

— Nie. Ale dlaczego o tym nie powiedziałaś? Czy nie ma za to... — zamilkła na sekundę. — Tak, jestem pewna, za to możesz dostać premię od Gateway!

— *My* możemy dostać premię, Janie! — rzekł z naciskiem, a ona spojrzała na niego i przypieczętowała wejście w spółkę skinięciem głowy. — Na pewno jest i wynosi milion dolarów. Sprawdziłem w stałych rozkazach statku, kiedy kopiowałem dziennik pokładowy. — Sięgnął do swojego skromnego bagażu i wyciągnął wachlarz, żeby jej pokazać.

Nie sięgnęła po niego, spytała tylko:

— Po co?

— No cóż, pomyśl tylko — odparł. — Milion dolarów. Jest nas dwoje, więc podzielimy to na pół. Ale — znalazłem to na *S. Ja.*, za pomocą ich własnego sprzętu, więc statek, jego właściciele i cała pieprzona załoga mogą mieć w tym udział — będziemy mieli szczęście, jeśli będzie to tylko połowa. Może trzy czwarte. I jeszcze — złamaliśmy przepisy, wiesz o tym. Może nie zwrócą na to uwagi, biorąc wszystko korzyści. Ale może jednak tak i nie dostaniemy ani grosza.

Yee-xing skinęła głową, rozważając to wszystko. A było co rozważać. Wyciągnęła rękę i dotknęła wachlarza.

— Skopiowałeś dziennik pokładowy statku?

— A co to za problem — powiedział i rzeczywiście nie był to problem. Podczas jednej z wacht w sterowni, kiedy od strony drugiego fotela, na którym siedział Pierwszy Oficer, napływała jedynie mroźna cisza, Walthers po prostu wywołał te dane w chwili, gdy połączył się z automatycznym zapisem lotu, nagrał te informacje, jakby było to częścią jego normalnych obowiązków i schował kopię do kieszeni.

— No dobrze — powiedziała. — A co teraz?

Opowiedział jej więc o tym znanym ekscentrycznym miliarderze (przez przypadek chodziło o mnie), znanym ze swej chęci wydawania znacznych kwot pieniędzy na dane dotyczące Heechów, a Walthers znał go osobiście. . .

— Spojrzała na niego z innym rodzajem zainteresowania. — Znasz Robinette'a a Broadheada?

— Jest mi winien przysługę — odparł po prostu. — Muszę tylko go odnaleźć.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wkroczyli do maleńkiego pokoju, Yee-xing uśmiechnęła się. Wskazała na piezofon na ścianie.

— Ruszaj zatem, tygrysie.

Walthers zainwestował więc trochę swych niezbyt imponujących ilościowo środków w międzynarodowe rozmowy, zaś Yee-xing patrzyła w zamyśleniu na fajerwerk świateł otaczających pętlę Lofstroma, przypominającą długą na wiele kilometrów kolejkę górską, jej śpiewające magnetyczne liny i kapsuły lądujące na nich z odgłosem przypominającym „czuf-czuf”, zaś te, które startowały, wydawały z siebie gwizd, kiedy jedna po drugiej uwalniały się i nabierały pierwszej prędkości kosmicznej. Nie myślała o ich kliencie. Myślała tylko o towarze, który mieli na sprzedaż, a kiedy Walthers odwrócił się od telefonu z ponurą twarzą, ledwo słuchała tego, co miał do powiedzenia. A brzmiało to:

— Drania nie ma w domu — rzekł. — Chyba natrafiłem na jego kamerdynera nad Morzem Tappajskim. Powiedział mi tylko, że pan Broadhead jest w drodze do Rotterdamu. Rotterdam, na litość boską! Ale sprawdziłem coś. Możemy załapać się na tani lot do Paryża i potem powolny odrzutowiec na resztę trasy — na to wystarczy nam pieniędzy. . .

— Chcę zobaczyć ten dziennik pokładowy — powiedziała Yee-xing.

— Dziennik pokładowy? — powtórzył.

— Przecież słyszałeś — rzekła niecierpliwie. — Można go otworzyć na piezofonie. A ja chcę go zobaczyć.

Oblizał usta, pomyślał przez chwilę, wzruszył ramionami, po czym wsunął wachlarz do skanera piezofonu.

Ponieważ instrumenty statku były holograficzne, nagrywając każdy foton energii, który w nie uderzał, wszystkie dane dotyczące źródła zimnych emanacji znajdowały się na wachlarzu. Ale piezofon pokazywał tylko małą, bezpostaciową plamkę i współrzędne lokalizacji.

Nie był to widok sam w sobie szczególnie ciekawy — co niewątpliwie sprawiło, że czujniki statku nie zwróciły na niego żadnej uwagi. W dużym powiększeniu pewnie można by było zobaczyć jakieś szczegóły, ale nie leżało to w możliwościach taniego wyposażenia hotelowego.

Ale jeśli nawet...

Patrząc na to Walthers poczuł, jakby go coś obłąziło. Yee-xing zaszepotała, leżąc na łóżku:

— Nigdy o tym nie mówiłeś, Audee. Czy to mogą być Heechowie?

Nie spuszczał z oczu nieruchomej białej plamki.

— Żebym to ja wiedział... — Ale to nie było zbyt prawdopodobne, prawda? Chyba że Heechowie byli czymś zupełnie innym, niż wszyscy tego oczekiwali. Heechowie byli inteligentni. Musieli być. Podbili przestrzeń międzygwiazdową pół miliona lat temu. A umysły, które odbierał Walthers były... były... Jak to określić? Może zmumifikowane. Obecne. Ale nie aktywne.

— Wyłącz to — odezwała się Yee-xing. — Przyprawia mnie o ciarki. — Trzepnęła owada, który przedostał się przez siatkę i dodała ponuro: — Nienawidzę tego miejsca.

— Cóż, jutro rano ruszamy do Rotterdamu.

— Nie *to* miejsce. Nienawidzę być na Ziemi — powiedziała. Machnęła ręką na niebo poza światłami pętli ładowniczej. — Wiesz, co jest tam w górze? Tam jest Podniebny Pentagon i Orbitalny Tyuratam i jakiś milion bombowców oraz pocisków nuklearnych unoszących się wszędzie, a wszyscy oni są tam stuknięci, Audee. Nigdy nie wiadomo, kiedy te cholerstwa wypalą.

Nie było dla niego całkiem jasne, czy to miała być reprimenda, ale Walthers i tak odczuł to w ten sposób. Z niechęcią wyciągnął wachlarz ze skanera piezofonu. To nie była *jego* wina, że świat był szalony! Ale nie było wątpliwości, że jego winą było to, że Yee-xing została skazana na pobyt tutaj. I miała pełne prawo mu to wypominać.

Chciał podać jej wachlarz, sam nie wiedział, dlaczego, może chciał w ten sposób zademonstrować zaufanie, może potwierdzić jej status współwinowajczynie.

Ale w połowie tego gestu odkrył, jak szalony jest świat. Gest zamienił się w cios, nikkzemnie wymierzony w jej ponurą twarz bez uśmiechu.

Przez chwilę trwającą tak długo, jak pół jego oddechu, nie było tam Janie; w jej miejscu stała Dolly, niewierna Dolly, która od niego uciekła, a za nią cień złośliwie uśmiechającego się, pełnego pogardy Wana — a może nie było to żadne z nich, w istocie nie była to osoba, ale symbol. Cel. Zło i zagrożenie, które nie miało tożsamości, lecz jedynie opis. To był WRÓG i miał absolutną pewność, że musi zostać zniszczony. Brutalnie. Przez niego.

W przeciwnym razie Walthers zostanie zniszczony, nieodwracalnie unicestwiony, zdeintegrowany przez najbardziej szalone, najbardziej nienawistne, perwersyjnie destrukcyjne emocje, jakie zdarzyło mu się odczuwać, wtłoczone do jego umysłu w przyprowadzającym go o mdłości akcie brutalnej, niszczącej przemocy.

Doskonale wiedziałem, co Audee Walthers odczuwał w tej chwili, gdyż ja również to czułem — podobnie jak Janie — podobnie jak moja własna żona, Essie — podobnie jak każda istota ludzka znajdująca się w promieniu dwunastu jednostek astronomicznych od gwiazdozbioru Woźnicy. Miałem wielkie szczęście, że akurat nie oddawałem się mojemu nawykowi samodzielnego pilotażu. Nie wiem, czy bym się rozbił. Dotknięcie z kosmosu trwało jedynie pół minuty i może nie miałbym czasu na to, żeby się zabić, ale na pewno bym próbował. Furia, chora nienawiść, obsesyjny pęd do niszczenia i gwałcenia — to właśnie był dar z niebios, jaki terroryści ofiarowali nam wszystkim. Na szczęście jednak poleciłem komputerowi, żeby przejął stery, żebym mógł spędzić trochę czasu przy piezofonie, a programy komputerowe nie były wrażliwe na TNP terrorystów.

To nie był pierwszy raz. A nawet nie pierwszy raz od jakiegoś czasu, gdyż w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy terroryści wślizgiwali się do przestrzeni okołosłonecznej skradzionym statkiem Heechów i nadawali na cały świat najbardziej potworne fantazje swojego ulubionego szajbusa. To było więcej niż świat mógł znieść. Była to w rzeczywistości przyczyna, dla której znajdowałem się w drodze do Rotterdamu, lecz ten szczególny epizod spowodował, że zawróciłem w połowie drogi. Próbowałem od razu dodzwonić się do Essie, natychmiast, gdy tylko się to skończyło, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Bez rezultatu. Wszyscy ludzie na świecie próbowali się dodzwonić do wszystkich innych, więc punkty przekaźnikowe były zapchane.

Żałuję, czy też prawie żałuję, że moje informacje o tym „natychmiastowym szaleństwie” nie pochodzą z bezpośredniego doświadczenia. Najbardziej tego żałowałem, kiedy stało się to po raz pierwszy, dziesięć lat wcześniej. Wówczas nikt nie wiedział nic o czymś takim jak „teleempatyczny nadbiornik psychokinetyczny”. Wtedy wyglądało to na okresową, wszechświatową epidemię szaleństwa — i tym właśnie było. Wiele z najznakomitszych umysłów świata, także i mój, poświęciło swe największe wysiłki na odnalezienie wirusa, toksycznego związku chemicznego, odmiany promieniowania słonecznego — cokolwiek, co stanowiłoby wyjaśnienie zbiorowego szaleństwa, które ogarniało ludzką rasę mniej więcej raz

w roku. Niestety, niektóre z najznakomitszych umysłów świata — także i mój — były w pewien sposób upośledzone. Programy komputerowe, takie jak ja, po prostu nie odczuwały tych sprowadzających szaleństwo impulsów. Gdyby to było możliwe, powiedziałyby, że problem zostałby rozwiązany znacznie wcześniej.

Inną przyczyną było to, co działo się z moim jelitem: miałem wrażenie, że kopulują tam dwa pancerniki, a rozważywszy wszystko inne, wolałem mieć Essie przy sobie niż pozwalać jej lecieć później zwykłym rejssem. Poleciałem więc pilotowi zawrócić; kiedy zatem Walthers dotarł do Rotterdamu, mnie tam nie było. Mógł łatwo złapać mnie nad Morzem Tappajskim, gdyby załapał się na bezpośredni lot do Nowego Jorku i tu bardzo się mylił.

Mylił się także — całkowicie — ale można mu było to wybaczyć, gdyż nie miał skąd się dowiedzieć prawdy — odnośnie tego, do jakiego rodzaju umysłu dostroił się na pokładzie *S. Ja*.

I zrobił jeszcze jeden błąd, dość poważny. Zapomniał, że TNP działał w obie strony.

Zatem tajemnica, jaką utrzymywał na jednym końcu tego błyskawicznego kontaktu umysłów, na drugim nie była żadną tajemnicą.

Rozdział 8.

Nerwowa załoga żaglowca

Lawendowy kalmar — cóż, nie był to naprawdę kalmar, ale wyglądał bardziej kalmaropodobnie niż cokolwiek innego znanego ludzkiemu doświadczeniu — znajdował się właśnie w środku wyczerpującego, długoterminowego przedsięwzięcia, kiedy Audee’emu Walthersowi przydarzył się incydent z TNP. Ponieważ TNP działa w obie strony, jest potężną bronią, lecz także wrednym narzędziem kontroli. To trochę jak wołanie do osoby, którą szpiegujemy i mówienie jej „Hej, uważaj, patrzę na ciebie.” Kiedy więc Walthers wpakował tam głowę, ukłucie dało się odczuć wszędzie. A w istocie to wszędzie oznaczała też bardzo daleko. Było to prawie tysiąc lat świetlnych od Ziemi, niedaleko od geodezyjnej linii lotu z domu na planetę Peggy — dlatego też Walthers był dość blisko, by kontakt został nawiązany.

Mój przyjaciel Robin ma parę wad; jedną z nich jest urocza nieśmiałość, która wcale nie jest tak zabawna, jak mu się wydaje. Łatwo wyjaśnić, skąd się dowiedział o załodze żaglowca, choć wcale go tam nie było: w taki sam sposób, jak wielu innych rzeczy. On nie chce tego wyjaśniać. A wyjaśnienie jest takie, że to ja mu powiedziałem. To wiele upraszcza, lecz jest bliskie prawdy.

Czy to możliwe, żeby urocza nieśmiałość była zaraźliwa?

Przypadkiem wiem dość dużo o tym właśnie lawendowym kalmarze — czy też prawie kalmarze; można powiedzieć, że wyglądał jak wijąca się, tłusta orchidea, albo coś zbliżonego do tego wizerunku. Wtedy jeszcze go nie znałem, to jasne, ale dziś znam go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jak ma na imię, skąd pochodzi, po co tam był oraz, i to jest najbardziej skomplikowane ze wszystkiego, co tam robił. Najlepszym sposobem opisanego tego, co robił, byłoby powiedzieć, że malował pejzaż. Powodem, dla którego jest to tak skomplikowane jest fakt, że w odległości lat świetlnych w każdą stronę nie było tam nikogo, kto mógłby ten pejzaż zobaczyć, wliczając w to naszego przyjaciela — kalmara. Nie miał nawet odpowiednich oczu, żeby go ujrzeć.

Miał wszakże swoje powody, by to robić. Było to coś w rodzaju przestrzegania przepisów religijnych. Sięgały one do najstarszych tradycji jego rasy, która była faktycznie bardzo stara i miały coś wspólnego z pewnym teologicznie istotnym momentem w ich historii, kiedy to, żyjąc wśród klatratów i zamrożonych gazów ich naturalnego środowiska, gdzie widoczność w dowolnym kierunku była prawie żadna, istoty te uświadomiły sobie, że „widzenie” może stać się odbiornikiem dla znaczącego dzieła sztuki.

Ogromne znaczenie miało dla niego to, żeby obraz był doskonały. Dlatego też, kiedy nagle poczuł, że jest obserwowany przez obcego i nagły wstrząs sprawił, że rozpryskał trochę starannie rozdzielonych pyłów, którymi malował w niewłaściwe miejsce i z niewłaściwym zestawem kolorów, był głęboko zmartwiony. Całe ćwierć hektara zostało zniszczone! Ziemiński ksiądz zrozumiałby jego uczucia, może nawet przyczyny zagniewania; przypominało to upuszczenie na podłogę i rozdeptanie butem hostii podczas celebrowania mszy.

Stworzenie nazywało się LaDzhaRi. Płótno, nad którym pracowało, było eliptycznym żaglem wykonanym z monomolekularnej folii o długości trzydziestu tysięcy kilometrów. Praca była wykonana dopiero w jednej czwartej, a dotarcie do tego miejsca zajęło mu piętnaście lat. LaDzhaRi nie martwił się tym, ile to potrwa. Miał mnóstwo czasu. Jego statek kosmiczny miał przybyć dopiero za kolejne osiemset lat.

Czy może jedynie myślał, że ma dużo czasu... do chwili, gdy poczuł, że obcy na niego patrzy.

Wówczas odczuł potrzebę pośpiechu. Pozostał w normalnym trybie własnym, pospiesznie zbierając swoje materiały malarskie — wówczas był już 21 sierpnia — zabezpieczył je taśmami — 22 sierpnia — odepchnął się od przypominającego skrzydło motyla żagla i unosił się swobodnie dotąd, aż porządnie się odeń oddalił. Przed pierwszym września był już wystarczająco daleko, by włączyć swój napęd odrzutowy oraz, w wysokim trybie własnym, powrócić do małej cylindrycznej puszkę, która znajdowała się w środku połączenia skrzydeł motyla. Choć było to dla niego niezmiernie wyczerpujące, pozostawał w trybie wysokim zagłębiając się w jaskinie wejściowe i słoną breję, która była jego naturalnym środowiskiem. Krzyczał do swoich towarzyszy najgłośniej jak potrafił.

Gdyby oceniać według ludzkich kryteriów, jego krzyk był niezmiernie głośny. Olbrzymie ziemskie wieloryby mają tak donośne głosy, że inne wieloryby rozpoznają ich pieśni i odpowiadają na nie, znajdując się po drugiej stronie oceanu. Coś podobnego przydarzyło się towarzyszom LaDzhaRi’ego, a od jego krzyków drżały ściany malutkich przedziałów statku kosmicznego. Przyrzędy się trzęsły. Meble się kołysały. Samice uciekały przerażone, że ktoś je pożre albo zapłodni.

Dla pozostałych siedmiu samców wrażenia były prawie równie przykre, i jeden z nich, najszybciej jak potrafił, z wysiłkiem wszedł w wysoki tryb własny, by odpowiedzieć LaDzhaRiemu krzykiem. Wiedzieli, co się stało. Oni również

odczuli dotknięcie intruza i oczywiście zrobili to, co było konieczne. Cała załoga przełączyła się w tryb wysoki i nadała sygnał, który była winna swoim przodkom, po czym powróciła do normalnego trybu. . . i czy LaDzhaRi byłby tak uprzejmy, żeby natychmiast zrobić to samo i przestać straszyć samice?

LaDzhaRi zwolnił więc i pozwolił sobie na „złapanie oddechu” — choć jego lud nie używał tego wyrażenia. Miotanie się w breji w trybie wysokim na dłuższą metę nie miało sensu. Spowodował już powstanie kilku kłopotliwych kieszeni kawitacyjnych, a całe chlupiące środowisko, w którym żyli, było wzburzone. Przepraszając, zaczął więc pracować z innymi, aż wszystko zostało znów zabezpieczone, a samice wywabione ze swoich kryjówek, z jedną podaną na obiad, a cała załoga zgromadziła się, by omówić ten dotyk obłędu, szaleńczo gwałtowny i dość przerażający, który zaatakował ich umysły. Zajęło im to cały wrzesień i pierwszą część października.

Do tego czasu statek powrócił do swego rodzaju normalnej egzystencji, a LaDzhaRi do malowania. Neutralizował zmiany zepsutej części wielkiego skrzydła wychwytyjącego fotony. Mozolnie zbierał zabarwiony pył, który odleciał w przestrzeń, gdyż nie można było marnować takiej ilości masy.

Oszczędną istotą był ten LaDzhaRi. Muszę przyznać, że moim zdaniem jest uroczy. Był wierny tradycjom swego ludu, w warunkach, które istoty ludzkie uważałyby za zbyt groźne, by je tolerować. Gdyż LaDzhaRi, choć nie był Heechem, wiedział, gdzie można znaleźć Heechów i wiedział, że wiadomość przesłana przez jego towarzyszy podróży nie pozostanie bez odpowiedzi.

Właśnie wtedy, gdy zaczynał malowanie oczyszczonej części swojego malowidła, poczuł kolejne dotknięcie, tym razem oczekiwane. Bliższe. Mocniejsze. Znacznie bardziej natarczywe, i o wiele, wiele bardziej przerażające.

Rozdział 9.

Audee i ja

Wszystkie te fragmenty historii życia moich przyjaciół — czy prawie przyjaciół, a w niektórych przypadkach nie-przyjaciół — zaczęły składać się w jedną, spójną całość. Nie działo się to szybko. W istocie nie następowało to szybciej niż składanie się w jedną całość fragmentów Wszechświata, które zaczęły zbliżać się do siebie w wielkim przemieszczaniu dążącym do stanu praatomu, który (jak powtarzał mi Albert) miał się pojawić z przyczyn, których wtedy jeszcze nie do końca rozumiałem. (Ale nie niepokoiłem się tym specjalnie, bo Albert też nie rozumiał.) Była tam załoga żaglowca, z niepokojem akceptująca skutki czynienia swej powinności. Byli tam Dolly i Wan w drodze do kolejnej czarnej dziury, Dolly szlochająca we śnie, Wan w tym samym czasie marszczący się nerwowo. I byli tam Audee Walthers i Janie, siedzący w swoim o wiele za drogim pokoju hotelowym w Rotterdamie, pogrążeni w rozpacz, bo właśnie odkryli, że mnie tam nie ma. Janie siedziała na wielkim aizokinetycznym łóżku z podciągniętymi nogami, zaś Audee napastował moją sekretarkę. Janie miała na policzku siniak, pamiątkę po chwili szaleństwa w Lagos, zaś Audee miał rękę w gipsie — nadwreżony nadgarstek. Aż do tej chwili nie wiedział, że Janie miała czarny pas w karate.

Walthers przerwał połączenie, mrugając, i oparł nadgarstek na kolanie.

— Mówi, że będzie tu jutro — mruknął. — Ciekawe, czy przekaże, mu wiadomość.

— Pewnie, że przekaże. W końcu nie jest człowiekiem.

— Serio? Chcesz powiedzieć, że to program komputerowy? — Nie przyszło mi to do głowy, gdyż takie rzeczy na planecie Peggy nie były czymś powszechnym. — Tak czy inaczej — rzekł pocieszająco — skoro tak, to chociaż nie zapomni. Nalał im obojgu drinka z butelki belgijskiego calvadosu, którą kupili w drodze do hotelu. Odstawił butelkę, mrugając, gdy rozcierał swój prawy nadgarstek i pociągnął łyk ze szklanki, zanim zapytał: — Janie? Ile pieniędzy nam jeszcze zostało?

Ponieważ Robin ciągle wspomina o problemie „brakującej masy”, powinienem go objaśnić. Pod koniec dwudziestego wieku kosmologowie stanęli w obliczu

niewyjaśnionej sprzeczności. Zauważyli, że kosmos się rozszerza — dzięki przesunięciu prążków widma ku czerwieni. Zauważyli także, że zawiera on zbyt dużo masy, by takie rozszerzanie było możliwe. Dowodem na to były takie fakty, jak ten, że zewnętrzne obrzeża galaktyk obracały się za szybko, skupiska galaktyk były zbyt ciasne; nawet nasza własna Galaktyka z najbliższymi towarzyszkami leci w stronę grupy obłoków gwiazdnych w gwiazdozbiornie Panny znacznie szybciej niż powinna. Było więc oczywiste, że jakiejś masy nie widać podczas obserwacji.

Było jedno, oczywiście intuicyjne, wyjaśnienie. A mianowicie takie, że kosmos dawniej się rozszerzał, ale Coś zdecydowało się odwrócić bieg wzrostu i spowodować, że zaczął się kurczyć. Nikt w to nie wierzył ani przez minutę — pod koniec dwudziestego wieku.

Pochyliła się i wystukała kod na piezofonie.

— Wystarczy na cztery noce w tym hotelu — oświadczyła. — Rzecz jasna możemy przeprowadzić się do czegoś tańszego. . .

Potrząsnął głową.

— Broadhead ma się tu zatrzymać, więc wołę tu być.

— To dobry powód — skomentowała łagodnie Janie, mając na myśli, że zdawała sobie sprawę z prawdziwej przyczyny: jeśli Broadhead nie miał większej ochoty na oglądanie Walthersa, trudniej będzie mu ukrywać się osobiście niż podczas rozmów przez piezofon. — Czemu więc pytasz o pieniądze?

— Wydajmy należność za jedną noc na pewną informację — zaproponował. — Dobrze byłoby wiedzieć, jak bogaty jest Broadhead.

— Chcesz kupić raport finansowy? Próbujesz się dowiedzieć, czy stać go na zapłacenie nam miliona dolarów?

Walthers potrząsnął głową.

— Chcę się dowiedzieć — rzekł — na ile więcej powyżej miliona możemy go skubnąć.

Nie były to specjalnie dobroczynne rozważania, więc gdybym o nich wiedział we właściwym momencie, potraktowałbym Audee'ego Walthersa, mojego starego przyjaciela, znacznie ostrzej. Albo może nie. Kiedy masz masę pieniędzy, przyzwyczajasz się do tego, że ludzie postrzegają cię jak dojną krowę, a nie istotę ludzką, nawet jeśli nigdy nie będzie ci się to podobało.

Nie miałem jednak nic przeciwko temu, żeby dowiedział się, ile posiadam, czy raczej, o jakiej części mojego majątku informują serwisy sporządzające raporty finansowe. Było tego mnóstwo. Spory udział w przedsięwzięciu czarterowym związanym z *S. Ja*. Trochę udziałów w kopalniach żywności i farmach rybnych. Mnóstwo firm na planecie Peggy, w tym (ku zdziwieniu Walthersa) także i przedsiębiorstwo, od którego wynajmował swój samolot. Serwis komputerowy gromadzący dane, z którego właśnie korzystał. Kilka holdingów, firm importowo-eksportowych oraz transportowych. Dwa banki; czternaście agencji handlu nieru-

chomościami, mieszczących się wszędzie, od Nowego Jorku po Nową Południową Walię, parę na Wenus i na planecie Peggy; pewna liczba nieokreślonych małych korporacji, w tym linia lotnicza, sieć barów szybkiej obsługi, coś nazwanego Życie Po Śmierci S.A. oraz coś o nazwie PegTex Petroventures.

— Mój Boże — rzekł Audee Walthers — toż to firma pana Luqmana! Więc ja przez cały czas pracowałem dla tego skurwiela!

— Ja też — odparła Janie, przyglądając się części, która wymieniała *S. Ja.* — Czy on jest właścicielem *wszystkiego*?

Cóż, nie byłem właścicielem *wszystkiego*. Miałem dużo, ale gdyby przyjrzeć się mojemu majątkowi z większym zrozumieniem, można było dostrzec pewną regularność. Banki pożyczają pieniądze na badania. Firmy zajmujące się nieruchomościami pomagały kolonistom w osiedlaniu się albo przejmowały ich baraki i szalasy oferując im pieniądze, za które mogli odlecieć. *S. Ja.* służył do przewożenia kolonistów na planetę Peggy, a jeśli chodzi o Luqmana, to był to klejnot w koronie mojego imperium, gdyby tylko o tym wiedzieli! Nie żebym kiedykolwiek spotkał Luqmana albo potrafił go rozpoznać przy przypadkowym spotkaniu. Ale on miał swoje rozkazy, a rozkazy docierały do niego, drogą służbową, ode mnie: znaleźć solidne pole naftowe blisko równika planety Peggy. Dlaczego akurat blisko równika? Żeby przy budowie pętli startowej Lofstroma wykorzystać prędkość obrotową planety. Po co pętla startowa? Był to najtańszy i najlepszy sposób przerzucania *wszystkiego* na orbitę i z niej. Ropa, którą mieliśmy wydobywać, posłuży jako paliwo dla pętli. Nadmiar ropy naftowej będzie przerzucany na orbitę w kapsułach transportowych; kapsuły będą transportowane na Ziemię podczas lotów powrotnych *S. Ja.* i tam sprzedawane, co oznacza, że przez drugą połowę trasy dotąd przynoszącą straty, na pokładzie będzie przynoszący zyski ładunek ropy naftowej — co z kolei oznaczało, że będziemy mogli obniżyć ceny dla kolonistów udających się na Peggy!

Nie mam zamiaru przeproszać za to, że prawie wszystkie moje firmy corocznie wykazywały zyski. W ten sposób utrzymywałem je w ruchu, ale zysk był tylko czymś przypadkowym. Widzicie, mam pewną filozofię zarabiania pieniędzy, a głosi ona, że każdy, kto się zarzyna w pogoni za pieniądzem po zdobyciu pierwszych stu milionów albo czegoś koło tego, musi być stuknięty i ...

Robin jest bardzo dumny z pętli startowej, gdyż dzięki niej nabrał przekonania, że ludzie potrafią wynaleźć rzeczy, których nie znali Heechowie. Cóż, ma rację — przynajmniej dopóki nie przyjrzymy się szczegółom. Na Ziemi pętlę wynalazł człowiek nazwiskiem Keith Lofstrom pod koniec dwudziestego wieku, ale zbudowano ją dopiero wtedy, gdy ruch był wystarczająco duży, by się to opłacało. Robin nie wiedział jednak, że choć Heechowie nigdy nie wynaleźli pętli, udało się to istotom z żaglowca — nie było innej metody, żeby przebić się przez gęstą, nieprzejrzystą atmosferę.

Och, ale o tym już wspominałem, nieprawdaż?

Chyba za bardzo nurzam się w dygresjach. Przy tym wszystkim, co przepływa przez mój umysł, trochę się gubię nie pamiętając, co się stało, a co się jeszcze nie stało oraz co się nigdy nie wydarzy — chyba że w tym umyśle.

Chciałbym tu podkreślić fakt, że wszystkie moje zyskowne firmy były przyzwoitymi, użytecznymi przedsięwzięciami, które miały swój udział zarówno w podboju Galaktyki, jak i zaspokojeniu potrzeb ludzkiej rasy, i to jest fakt. Właśnie dlatego te wszystkie fragmenty biografii ostatecznie składają się w jedną całość. Nie wygląda, jakby tak miało być. Ale tak jest. Absolutnie wszystkie. Nawet historie o moim pół-przyjacielu, Kapitanie, Heechu, którego koniec końców dość dobrze poznałem oraz o jego ukochanej i zastępczyni, samicy Heechów imieniem Dwakroć, którą ostatecznie poznałem o wiele, wiele lepiej.

Rozdział 10.

Tam gdzie żyją Heechowie

Ukrywając się za granicą Schwarzschilda w jądrze Galaktyki Heechowie doskonale wiedzieli, że nie będzie łatwych sposobów wymiany informacji między ich wystraszonymi duszami, a olbrzymim wszechświatem na zewnątrz. Ale nie ośmielili się całkiem pozbawić się wieści stamtąd.

Rozpostarli więc sieć małych gwiazdek dookoła czarnej dziury. Były one dość daleko, by potężne promieniowanie napływające do czarnej dziury nie zakłócało działania ich obwodów i było ich wystarczająco dużo, by w przypadku awarii lub zniszczenia jednej z nich, a nawet stu, pozostałe mogły odbierać i rejestrować dane z ich szpiegowskich stacji wczesnego ostrzegania rozmieszczonych po całej galaktyce. Heechowie uciekli, by się ukryć, ale zostawili liczne oczy i uszy.

Od czasu do czasu jakiś śmiałek wymykał się więc z jądra, by dowiedzieć się, co oczy widziały a uszy słyszały. Gdy Kapitana i jego załogę wysłano w celu poszukiwania błędzającej gwiazdy, polecono im ponadto sprawdzić monitory. Na pokładzie statku było ich pięcioro — pięcioro żywych. Niewątpliwie osobnikiem, którym Kapitan najbardziej się interesował, była smukła, blada samica o błyszczącej skórze, imieniem Dwakroć. Według standardów Kapitana była absolutną pięknoscią. Była również seksowna — niezawodnie, co roku — a ta chwila, jak ocenił, znów była coraz bliżej!

Ale jeszcze nie teraz, modlił się w duchu Kapitan. O to samo modliła się Dwakroć, gdyż przedostanie się przez granicę Schwarzschilda było ciężkim zadaniem. Nawet na statku zbudowanym wyłącznie do tego celu. Istniały jeszcze inne otwieracze do konserw — jeden z nich skradł Wan — ale wykonywały swe zadanie w ograniczonym zakresie. Statek Wana nie mógł przetrwać wejścia pod horyzont zdarzeń — mógł jedynie wsunąć tam jakąś część.

Statek Kapitana był większy i silniejszy. Mimo to pełne wstrząsów, podskakiwania i innych tortur przejście przez horyzont zdarzeń rzucało Kapitanem, Dwakroć i czterema innymi członkami załogi w ich uprzężach zabezpieczających mocno i boleśnie; diamentowo lśniący korkociąg wyrzucał wielkie, ciche iskry promieniowania zalewające całą kabinę; światło raziło ich w oczy, gwałtowne

wstrząsy przyprawiały o siniaki; trwało to przez jakiś czas. Przez godzinę albo dłużej subiektywnego czasu załogi, który był przedziwną, zmienną mieszaniną normalnego upływu czasu całego kosmosu i spowolnionego tempa upływu czasu panującego w czarnej dziurze.

Wreszcie przedarli się do spokojnego miejsca. Potworne kołysanie ustało. Oślepiające światła zgasły. Przed nimi lśniła Galaktyka, aksamitna kupała śmietanki, z jasnymi, lśniącymi gwiazdami, gdyż byli wciąż zbyt blisko centrum by zobaczyć zdarzające się tu i ówdzie plamy czerni.

— Dzięki niech będą zbiorowym umysłom — rzekł Kapitan i uśmiechnął się wypełzając ze swej upręży — a gdy się uśmiechał, wyglądał jak czaszka używana przez studenta medycyny — Chyba się nam udało! — Załoga poszła za jego przykładem, wypłatując się z upręży, beztrósco paplając o tym i owym. Gdy wstali i rozpoczęli proces zbierania danych, koścista dłoń Kapitana sięgnęła po rękę Dwakroć. Była to okazja do świętowania — tak świętowali kapitanowie statków wielorybicznych z Nantucket, gdy opłynęli Przylądek Horn, podobnie jak pionierzy w krytych płótnem wozach zaczęli swobodnie oddychać, kiedy zjeżdżali w dół po zboczach gór w stronę ziemi obiecanej Oregonu czy Kalifornii. Przemoc i zagrożenie nadal istniały. Będą musieli przeżyć to wszystko jeszcze raz wracając. Teraz jednak przynajmniej przez tydzień będą mogli zrelaksować się i zbierać dane; to będzie przyjemna część całej ekspedycji.

A przynajmniej miała taka być.

Miała taka być, ale tak się nie stało; kiedy tylko Kapitan zabezpieczył statek, a oficer imieniem Bucik otworzył kanały komunikacyjne, wszystkie sensory na tablicy zabłysnęły fioletem. Tysiące automatycznych stacji orbitujących wieściły wielkie nowiny! Ważne nowiny — złe nowiny, i wszystkie bazy danych rozwrzeszczały się zalewając ich złymi wiadomościami.

Pośród Heechów zapadło spowodowane wstrząsem milczenie. Wreszcie szkolenie pomogło im przezwyciężyć pełne zaskoczenia przerażenie, a kabinę statku Heechów wypełnił wir działania. Odbieranie i grupowanie, analizowanie i porównywanie. Komunikaty zaczęły się piętrzyć. Obraz zaczął nabierać kształtów.

Ostatnia ekspedycja zbierająca dane była tu zaledwie parę tygodni wcześniej według pełzającego wolno czasu centralnej czarnej dziury — we wszechświecie na zewnątrz w tym czasie przegalopowały dziesięciolecia. Jeśli nawet, to nie było tak dużo czasu! Nie na skalę kosmiczną!

A mimo to cały świat wyglądał inaczej.

P: — Co jest gorsze od niespełnionej prognozy?

O: — Prognoza, która spełnia się wcześniej niż zakładano.

Heechowie żyli w przekonaniu, że w Galaktyce pojawi się obdarzone inteligencją i korzystające z technologii życie. Zidentyfikowali ponad tuzin zamieszka-

łych światów — nie tylko zamieszkałych, lecz wykazujących perspektywę inteligencji. Dla każdego z nich opracowali plan.

Niektóre z tych planów zawiodły. Był sobie gatunek włochatych czworonogów na wilgotnej, chłodnej planecie położonej tak blisko mgławicy Oriona, że jej poświata wypełniała niebo, szybkie małe stworzenia o łapach zręcznych jak u szopa pracza i oczach lemura. Heechowie uważali, że pewnego dnia odkryją narzędzia, ogień, uprawę roli, miasta, technikę oraz podróże kosmiczne. Tak się też stało, lecz użyli ich do zatrucia swej planety i zdziesiątkowania własnej rasy. Była jeszcze inna rasa: oddychające amoniakiem istoty o sześciu segmentowanych kończynach, bardzo obiecująca, niestety, żyjąca za blisko gwiazdy, która stała się supernową. Taki był kres oddychających amoniakiem. Były też zimne, powolne, przymulone istoty, które zajmowały specjalne miejsce w historii Heechów. To one przyniosły straszne nowiny, które skłoniły Heechów do ucieczki i to samo już wystarczyło, by stały się czymś szczególnym. Co więcej, nie były jedynie obiecujące, lecz w istocie były już inteligentne; nie tylko inteligentne, ale cywilizowane! Udało im się także posiąść technikę. Niestety, okazały się nietrafnym zakładem w galaktycznej ruletce, gdyż ich spowolniony metabolizm był zbyt wolny, by mogły konkurować z cieplejszymi, szybszymi rasami.

Któregoś jednak dnia, któraś rasa sięgnie do gwiazd i przetrwa. Przynajmniej taką nadzieję mieli Heechowie.

Heechowie także się tego bali, gdyż planując swoją ucieczkę doskonale wiedzieli, że rasa, która może ich dogonić, może ich także prześcignąć. Jakim cudem jednak taka szansa pojawiła się tak szybko? Minęło wszak dopiero sześćdziesiąt lat od ich ostatniej inspekcji!

Oto oddalone monitory orbitujące wokół planety Wenus ujawniły tam dwunożgi *sapiens*, kopiące w opuszczonych tunelach Heechów, badające swój mały układ słoneczny w statkach kosmicznych zasilanych paliwem chemicznym. Oczywiście żałośnie prymitywnych. Ale obiecujących. Za sto czy dwieście lat, sądzili Heechowie, w najgorszym razie czterysta lub pięćset, prawdopodobnie znajdą asteroid Gateway. A za kolejne sto czy dwieście lat może zacząć rozumieć tę technikę...

A tu wszystko stało się tak szybko! Istoty ludzkie znalazły asteroid Gateway, Fabrykę Pożywienia — olbrzymi, daleki habitat, używany kiedyś przez Heechów do przetrzymywania okazów najbardziej wówczas obiecującej rasy na Ziemi, australopiteków. Wszystko wpadło w ręce ludzi, a to jeszcze wcale nie był koniec nowin.

Załoga Kapitana była dobrze wyszkolona. Kiedy przyjęto dane i przefiltrowano je przez zbiorowe umysły, ujęto w formie tabeli i podsumowano, specjaliści przygotowali raporty. Nawigatorem był Biały Szum. Jego zadaniem było ustalenie pozycji wszystkich zgłoszonych źródeł i aktualizacja archiwum lokalizatora statku. Bucik był oficerem komunikacyjnym, najbardziej

zajętym z nich wszystkich — może z wyjątkiem Kundlicy, integratorki, która biegła od jednej tablicy do drugiej, szepcząc coś do zbiorowych umysłów, podpowiadając testy krzyżowe i korelacje. Ani Wybuch, specjalista od przebijania czarnych dziur, ani sama Dwakroć, której zadaniem było zdalne sterowanie podporządkowanymi urządzeniami, nie byli chwilowo potrzebni, więc zastępowali innych, podobnie jak Kapitan, który czekał na połączone raporty, a żebrowane mięśnie na jego twarzy wiły się jak węże.

Mamy do czynienia z pewną niejasnością, którą powinienem wyjaśnić. Robinette (podobnie jak reszta ludzkiej rasy) nazywał te istoty Heechami. Rzecz jasna, oni sami tak siebie nie nazywali, podobnie jak rdzenna ludność Ameryki nie nazywała się Indianami, a plemiona afrykańskie mówiące językami Khoi-san nie używały określeń „Hotentoci” czy „Buszmeni”. W rzeczywistości Heechowie określali się jako inteligentni. Ale to niczego nie dowodzi. Podobnie jak nazwanie przez ludzi swojego gatunku Homo sapiens.

Kundlica uwielbiała swojego Kapitana, więc najpierw podsuwała mu te najmniej przerażające.

Po pierwsze, faktem było, że ludzie odnaleźli statki na Gateway i korzystali z nich. Cóż, w tym akurat nie było nic złego! To była część planu, choć nieco ich zakłopotало, że stało się to tak szybko.

Po drugie, faktem było, że ludzie odnaleźli Fabrykę Pożywienia i artefakt, który nazywali Niebem Heechów. To były stare komunikaty, liczące sobie teraz dziesiątki lat. Także niepokojące — dość niepokojące, gdyż Niebo Heechów zostało stworzone, by uwięzić wszelkie statki, jakie tam cumowały, zaś zaistnienie kontaktu w obu kierunkach oznaczało, że parweniuszewskie dwunogi nieoczekiwanie bardzo się wycwaniły.

Po trzecie, był komunikat od załogi żaglowca, i to on spowodował, że ścięgni na twarzy Kapitana zaczęły wić się szybciej. Znalezienie statku w przestrzeni okołosłonecznej to jedno — ale znalezienie go w przestrzeni międzygwiazdnej jest niepokojąco imponujące.

Po czwarte. . .

Czwartym punktem była dokonana przez Biały Szum prezentacja położenia wszystkich znanych statków Heechów, z których obecnie korzystali ludzie, i kiedy Kapitan to zobaczył, aż zapiszczał z wściekłości i przerażenia.

— Wykreśl mi to z uwzględnieniem stref zakazanych! — rozkazał. Wkrótce wszystkie wachlarze znalazły się na swoich miejscach i pokazały się obrazy łączone, zaś ścięgni na twarzy Kapitana drżały, jak trącane struny harfy. — Oni eksplorują czarne dziury — powiedział cienkim głosem.

Biały Szum skinął głową.

— Nie tylko — rzekł. — Na niektórych statkach znajdują się zakłócacze porządku. Mogą je spenetrować.

A intergratorka Kundlica dodała:

— I wydaje się, że rozumieją znaki oznaczające niebezpieczeństwa.

Po przekazaniu raportów reszta załogi uprzejmie czekała. To był teraz problem Kapitana. Mieli wielką nadzieję, że będzie on w stanie sobie z tym poradzić.

Samica imieniem Dwakroć nie była zakochana w Kapitanie, gdyż jeszcze nie nadeszła właściwa pora, ale wiedziała, że to wkrótce nastąpi. Dość szybko. Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych paru dni. Do zmartwień spowodowanych zadziwiającymi i przerażającymi nowinami doszła jeszcze jej troska o Kapitana. To on trzymał palec między drzwiami. Choć jeszcze nie nadeszła właściwa pora, wyciągnęła szczupłą rękę i położyła ją na dłoni Kapitana. Kapitan był tak pogrążony w myślach, że nawet tego nie zauważył, ale poklepał ją z roztargnieniem.

Bucik wydał z siebie dźwięk przypominający wciąganie powietrza, który u Heechów był odpowiednikiem chrząknięcia, i zapytał: — Czy chce pan teraz nawiązać kontakt z umysłami zbiorowymi?

— Nie teraz — syknął Kapitan, trąc swoją klatkę piersiową wolną ręką. Wydał zgrzytający odgłos, który zabrzmiał głośno w ciszy kabiny. Tak naprawdę, to Kapitan chciał wrócić do czarnej dziury w jądrze Galaktyki i zaciągnąć gwiazdy za sobą. To nie było jednak możliwe. Następną kuszącą opcją był powrót do tego samego bezpiecznego, przyjaznego jądra Galaktyki i przekazanie wszystkiego wyższym władzom. Następnie wyższe władze podjęłyby decyzje. Mogły one wiązać się z postępowaniem zalecanym przez zbiorowe umysły przodków, którzy chętnie by się wtrącili w bieg wydarzeń. Mogły zadecydować, co z tym zrobić — jeśli to możliwe, wysyłając jakiegoś innego kapitana Heechów z załogą to tego okropnego miejsca, gdzie czas płynął szybko, aby wykonał ich rozkazy. To była realna opcja, lecz Kapitan był zbyt dobrze wyszkolony, by pozwolić sobie na takie łatwe wyjście z sytuacji. Był sam na scenie. Zatem był kimś, kto powinien szybko zareagować jako pierwszy. Gdyby jego reakcja była nieprawidłowa — cóż, szkoda biednego Kapitana! Miałoby to pewne konsekwencje. W najlepszym razie odsunięto by go od wszystkiego, choć coś takiego następowało wyłącznie przy mniejszych przewinieniach. Przy poważniejszej następowało coś, co było odpowiednikiem kopa w górę — a Kapitan nie palił się specjalnie, żeby dołączyć do potężnego zbiorowiska przechowywanych umysłów, które należały do jego przodków.

Syknął ze zmartwienia i podjął decyzję.

— Poinformuj zbiorowe umysły — rozkazał.

— Tylko poinformować? Nie będziemy prosili o zalecenia? — zapytał Bucik.

— Tylko poinformować — rzekł zdecydowanie Kapitan. — Przygotować kapsułę penetrującą i przesłać kopię wszystkich danych. — To było skierowane do Dwakroć, która puściła jego dłoń i rozpoczęła czynności polegające na aktywacji

i programowaniu małego pojazdu przenoszącego wiadomości. A wreszcie zwrócił się do Białego Szuma — Ustawić kurs statku na punkt przejścia żaglowca.

Heechowie nie mieli w zwyczaju salutować po otrzymaniu rozkazu. Nie mieli również w zwyczaju kłócić się o rozkazy, więc to, co zrobił Biały Szum, jest doskonałym dowodem na to, jakie zamieszanie panowało na statku, a mianowicie zapytał:

— Czy jest pan pewien, że tak właśnie powinniśmy postąpić?

— Wykonać — odparł Kapitan, wzduszając ramionami z irytacją.

W rzeczywistości nie było to wzruszenie ramionami, a szybkie, gwałtowne ściągnięcie jego twardego, kulistego brzucha. Dwakroć odkryła, że patrzy z zachwytem na tę uroczą małą wypukłość i na to, jak twarde, długie sznury ścięgien biegnące od ramienia do nadgarstka sterczą z ramienia. Gdyby je objąć, palce prawie by się zetknęły! Nagle zdała sobie sprawę, że czas jej miłości miał nastąpić szybciej, niż sądziła. Co za niedogodność! Kapitan będzie równie zakłopotany jak ona, gdyż mieli plany na specjalne półtora dnia. Dwakroć otworzyła usta, by mu o tym powiedzieć, po czym od razu je zamknęła. Nie było czasu, żeby mu zawracać tym głowę; był blisko zakończenia procesu myślowego, który sprawił, że jego czoło wyglądało na ozebrowane, a twarz była zmarszczona i zaczął wydawać rozkazy.

Kapitan miał mnóstwo środków, jakich mógł użyć. Ponad tysiąc sprytnie schowanych artefaktów Heechów rozrzucono po całej Galaktyce. Nie tych, które prędzej czy później miały być znalezione, jak Gateway; były one ukryte w ten sposób, że nadano im wygląd zewnętrzny mało obiecujących asteroidów na niedostępnych orbitach lub wśród gwiazd albo też w skupiskach innych obiektów, jak roje pyłu czy chmury gazów.

— Dwakroć — polecił Kapitan nie patrząc na nią — proszę aktywować statek dowodzenia. Spotkamy się z nim w punkcie, gdzie znajduje się żaglowiec.

Była zmieszana — zauważył to. Było mu przykro, lecz nie był zaskoczony — jeśli już o tym wspomnieć, sam był zmieszany! Wrócił na stanowisko dowódcy i opuścił swe kości miednicy na siedzenie w kształcie litery V, z jego sakwą systemu podtrzymywania życia wpasowującą się dokładnie w tworzony przezeń kąt.

Uświadomił sobie, że jego oficer komunikacyjny stoi przed nim ze zmartwionym wyrazem twarzy.

— Tak, Buciku? O co chodzi?

Mięśnie Bucika skurczyły się z szacunkiem.

— A... — wyjąkał. — Oni... Asasyni...

Kapitan poczuł elektryczny wstrząs strachu.

— *Asasyni?*

— Sądzę, że istnieje niebezpieczeństwo zaniepokojenia ich — rzekł Bucik ponuro. — Aborygeni rozmawiają przez radio z zerową prędkością.

— Rozmawiają? Masz na myśli przesyłanie komunikatów? O kim ty mówisz, na zbiorowe umysły! — wykrzyknął Kapitan, znów wyskakując z fotela. — Chcesz mi powiedzieć, że aborygeni przesyłają komunikaty na galaktyczne dystanse?

Bucik zwiesił głowę.

— Obawiam się, że tak, Kapitanie. — Oczywiście, jeszcze nie wiem, co mówią, ale ilość transmisji jest znaczna.

Kapitan potrząsnął słabo nadgarstkami na znak, że nie chce tego więcej słuchać. Przesyłanie komunikatów! Przez całą Galaktykę! Gdzie każdy może to usłyszeć! Gdzie, co gorsza, mogą to usłyszeć pewne istoty, w przypadku których Heechowie mieli nadzieję, że pozostaną nie niepokojone. I mogą zareagować.

— Przygotujcie z umysłami macierze przekładów — wydał rozkaz i zmartwiony powrócił na swoje miejsce.

Ta misja była pechowa. Kapitan nie miał już nadziei na beczynny, wypełniony przyjemnościami rejs, czy nawet na satysfakcję z dobrze wykonanych drobnych zadań. W jego umyśle pojawiło się pytanie: czy będzie w stanie przetrwać najbliższych parę dni?

Wkrótce mieli przesiać się do statku dowodzenia, najszybszego pojazdu Heechów, o kształcie rekina, wypełnionego zdobyczami techniki. Wówczas jego możliwości zwiększą się. Statek ten był nie tylko większy niż mały statek penetracyjny; miał także na pokładzie wiele urządzeń, w które nie była wyposażona ich mała jednostka. TNP. Urządzenia do wycinania otworów, podobne do tych, których ich przodkowie używali do wiercenia tuneli w asteroidzie Gateway i króliczych nor na Wenus. Urządzenie służące do sięgania do wnętrza czarnej dziury, za pomocą którego można zobaczyć, co można z nich wyciągnąć — aż zadrżał. Zbiorowe umysły przodków, proszę was, żebyśmy tylko nie musieli użyć akurat *tego*! Ale będzie je miał. I będzie miał tysiąc innych użytecznych elementów wyposażenia...

Zakładając, że statek nadal działa i że spotkają go w ustalonym punkcie.

Pozostawione przez Heechów artefakty były potężne, mocne i wytrzymałe. Gdyby wyeliminować wypadki, były tak skonstruowane, by przetrwały przynajmniej dziesięć milionów lat.

Ale nie da się wyeliminować wszystkich możliwych wypadków. Supernowa w pobliżu, nieprawidłowo działająca część, nawet szansa na zderzenie z jakimś innym obiektem — można zabezpieczyć artefakty prawie przed każdym zagrożeniem, ale w skali astronomicznej nieskończoności „prawie każde” oznacza „trochę więcej niż żadne”.

A jeśli okaże się, że statek dowodzenia zawiedzie? A jeśli nie będzie żadnego innego, który Dwakroć mogłaby namierzyć i ściągnąć do punktu spotkania?

Kapitan pozwolił depresji wsączyć się w swój umysł. Zbyt wiele było tych „jeśli”. A stawienie czoła konsekwencjom każdego z nich mogło być zbyt nieprzyjemne.

Życie w depresji nie było niczym dziwnym dla Kapitana czy jakiegokolwiek innego Heecha. Mieli ku temu powody.

Kiedy Wielka Armia Napoleona czołgała się spod Moskwy, jej wrogami były małe, dokuczliwe oddziały konne, rosyjska zima i rozpacz.

Kiedy hitlerowski Wehrmacht powtórzył tę wyprawę trzynaście dekad później, głównymi zagrożeniami były radzieckie czołgi i artyleria, rosyjska zima — i również rozpacz. Wycofywał się w nieco lepszym stanie i zadając więcej strat wrogom. Ale rozpaczcy nie było tam ani mniej, ani więcej.

Heechowie w dość wczesnej fazie rozwoju techniki opanowali umiejętność przechowywania inteligencji zmarłych lub umierających Heechów w systemach nieorganicznych. Tak właśnie zostali utrwaleni Zmarli, którzy dotrzymywali towarzystwa Wanowi, i właśnie zastosowanie tej technologii doprowadziło do powstania firmy Robina: Życie Po Śmierci. Dla Heechów (jeśli mógłbym pokusić się o niezależną opinię) mógł to być błąd. Ponieważ mogli korzystać z martwych umysłów swoich przodków w celu przechowywania i przetwarzania danych, nie mieli wielkich osiągnięć w dziedzinie autentycznych systemów sztucznej inteligencji, obdarzonych znacznie większymi możliwościami i elastycznością. Takich jak — no cóż — ja sam.

Każdy odwrót jest czymś w rodzaju konduktu pogrzebowego, a tu nieboszczykiem była pewność siebie. Heechowie byli absolutnie pewni, że podbiją galaktykę. Kiedy odkryli, że muszą przegrać i rozpoczęli swój wielki, rozciągnięty od gwiazdy do gwiazdy, odwrót do jądra galaktyki, ogrom ich porażki był znacznie większy, niż jakakolwiek porażka znana ludziom, a rozpacz przesyciała ich dusze.

Heechowie grali w niezmiernie skomplikowaną grę. Można nazwać ich drużyną sportową, choć niewielu graczy w ogóle wiedziało, że należą do drużyny. Strategie były ograniczone, lecz ostateczny cel rozgrywki był pewny. Jeśli zdołają przetrwać jako rasa, wygrają.

Tyle figur przemieszczało się wszakże na tej szachownicy! A Heechowie mieli tak niewielką kontrolę. Mogli rozpocząć partię. Potem jednak, jeśli wtrącali się bezpośrednio, narażali się na niebezpieczeństwo. Działo się tak wtedy, gdy gra stawała się ryzykowna.

Teraz nadszedł czas na ruch Kapitana i zdawał on sobie sprawę z ryzyka, na jakie się narażał. Mógł okazać się tym graczem, który przegrał partię w imieniu całej rasy Heechów, raz na zawsze.

Jego pierwszym zadaniem było zachowanie kryjówki Heechów możliwie jak najdłużej, co oznaczało, że należy coś zrobić z załogą żaglowca.

Było to najmniejsze zmartwienie, gdyż dopiero drugie z jego zadań naprawę się liczyło. Skradziony statek miał na pokładzie sprzęt, który był w stanie przebić się nawet przez otoczkę czarnej dziury, w której skryli się Heechowie. Nie można było przedostać się do środka, ale dało się tam zajrzeć i to nie było dobre. Co gorsza, za pomocą tego samego sprzętu można było spenetrować prawie każdą nieciągłość zdarzeń, nawet taką, do której nie ośmielali się wchodzić sami Heechowie. A zwłaszcza jedną — modlili się, by nie doszło do jej przebicia, gdyż za nią ukrywało się coś, czego bali się najbardziej.

Kapitan siedział więc przy sterach statku, a lśniaca chmura krzemianów otaczająca jądro Galaktyki rozpływała się za nimi. Tymczasem Dwakroć zaczęła przejawiać oznaki napięcia, które wkrótce wystawi ją na ciężką, próbę; tymczasem zimne, powolne istoty z żaglowca pełzły przez swe długie, powolne życie; tymczasem jedyny statek z załogą ludzką, który mógł coś z tym zrobić, zbliżał się do kolejnej czarnej dziury. . .

A pozostali gracze na wielkiej szachownicy, Audee Walthers i Janie Yee-xing, obserwowali, jak ich stosik żetonów powoli topnieje, gdy czekają na swoją prywatną rozgrywkę.

Rozdział 11.

Spotkanie w Rotterdamie

Stał tam, blokując mi przejście facet z twarzą jak ogorzone awokado. Rozpoznałem ten wyraz twarzy zanim poznałem człowieka. Wyrażał upartość, irytację, znużenie. Twarz o takim wyrazie należała do Audee'ego Walthersa Jr, który — jak podpowiedział mi mój program sekretarski — próbował skontaktować się ze mną od kilku dni.

— Cześć Audee — powiedziałem, naprawdę bardzo serdecznie, potrząsając jego dłonią i kiwając głową w stronę pięknej młodej kobiety o orientalnym wyglądzie, która stała obok niego — to wspaniale, że cię znowu widzę! Mieszkasz w tym hotelu? Cudownie! Słuchaj, muszę lecieć, ale umówmy się na kolację, ustalcie to z recepcjonistą, dobrze? Wracam za parę godzin. — Uśmiechnąłem się do niego i do młodej kobiety, po czym zostawiłem ich tam.

Nie mam zamiaru teraz udawać, że to był szczyt dobrego wychowania, ale — jak to się czasem zdarza — rzeczywiście się spieszyłem, a poza tym moje jelito dawało mi się we znaki. Wpakowałem Essie do taksówki jadącej w jednym kierunku, a sam złapałem inną, która miała zawieźć mnie do sądu. Pewnie, gdybym wiedział, z czym Walthers na mnie czeka, byłbym bardziej wyrozumiały. Ale nie wiedziałem, przed czym w ten sposób uciekam.

Ani ku czemu uciekam, jeśli już mamy być precyzyjni.

Ostatni odcinek drogi istotnie pokonałem nieco mniej pośpiesznie, gdyż ruch był większy niż zwykle. Na ulicy trwała parada, która właśnie miała rozpocząć marsz, a wokół Międzynarodowego Pałacu Sprawiedliwości zgromadził się tłum. Pałac to czterdziestopiętrowy drapacz chmur, zamocowany na kesonach w błotnistej glebie Rotterdamu. Oglądany z zewnątrz dominuje nad połową miasta. Oglądany od wewnątrz składa się ze szkarłatnych draperii i półprzepuszczalnego szkła, modelowy symbol nowoczesnego międzynarodowego trybunału. To nie jest miejsce, gdzie idziesz wyklócać się o mandat za parkowanie.

Nie jest to też miejsce, gdzie ktokolwiek w ogóle przejmuje się poszczególnymi jednostkami; gdybym był choć odrobinę próżny, a tak jest w istocie, mógłbym puszyć się z dumy na samą myśl, że w procesie, w którym byłem, z technicznego

punktu widzenia, pozwanym, występowało czternaście zainteresowanych stron, z których cztery były niepodległymi państwami. W samym Pałacu miałem nawet wynajęte biuro do użytku prywatnego, ponieważ przysługiwało to wszystkim zainteresowanym stronom. Ale nie poszedłem prosto do biura. Była prawie jedenaście, istniała więc niemała szansa, że sąd już rozpoczął sesję przewidzianą na ten dzień, uśmiechnąłem się więc i zacząłem przepychać do sali przesłuchań. Była zatłoczona. Zawsze była zatłoczona, bo podczas przesłuchań można było zobaczyć wiele znanych osobistości. W swej próżności pomyślałem, że również się do nich zaliczam i wchodząc sądziłem, że wiele głów zwróci się w moją stronę. Nie było żadnych głów i żadnego odwracania. Wszyscy gapili się na pół tuzina wychudzonych, brodatych indywiduów w afrykańskich tunikach i sandałach, siedzących przy barierce po stronie sali przeznaczonej dla powodów, pijących Coca-cole i chichoczących do siebie. Starcy. Nie co dzień można było ich oglądać. Pogapiłem się na nich jak wszyscy, aż poczułem dotknięcie na ramieniu i odwróciłem się, by ujrzeć Maitre Ijsingera, mojego prawnika z krwi i kości, patrzącego na mnie z wyrzutem.

— Spóźnił się pan, Mijnheer Broadhead — szepnął. — Sąd zauważył pana nieobecność.

Ponieważ Sąd zajęty był właśnie poszeptywaniem i wyklócaniem się o to, czy dziennik pierwszego badacza, który odkrył tunel Heechów na Wenus można uznać za materiał dowodowy, szczerze w to wątpiłem. Ale jak się płaci prawnikowi tyle, co ja Maitre Ijsingerowi, to nie po to, żeby się z nim kłócić.

W nadziei, że odkryte przez nich przy pierwszej wizycie na Ziemi australopiteki w końcu wyewoluują tworząc cywilizację techniczną, Heechowie zdecydowali się zachować złożoną z nich kolonię w czymś w rodzaju zoo. Ich potomków nazywano „Starcami”. Oczywiście, Heechowie pomylili się w swoich prognozach. Australopiteki nigdy nie nabyły inteligencji, jedynie wymarły. Dla ludzkiej rasy była kubłem zimnej wody refleksja, że tzw. „Niebo Heechów”, czyli największy i najbardziej zaawansowany technologicznie statek kosmiczny, jaki widziała ludzkość, był w rzeczywistości tylko czymś w rodzaju klatki z małpami.

Oczywiście, nie było żadnego powodu prawnego, żebym w ogóle mu płacił. Jeśli o cokolwiek w ten sprawie chodziło, to o wniosek Cesarstwa Japonii o rozwiązanie Korporacji Gateway. Uczestniczyłem w niej, jako znaczący udziałowiec w przedsięwzięciach czarterowych *S. Ja.*, gdyż Boliwijczycy wystąpili z wnioskiem o zakazanie lotów czarterowych twierdząc, że finansowanie kolonistów było równoznaczne z „przywróceniem niewolnictwa.” Kolonistów nazywano w nim „wziętymi w niewolę chłopami pańszczyźnianymi”, a ja, wraz z innymi, zostałem określony jako „niecny wyzyskiwacz ludzkiej niedoli”. Co tu robili Starcy? Cóż, również byli stroną postępowania, gdyż twierdzili, iż *S. Ja.* jest ich własno-

ścią — oni i ich przodkowie żyli tam od tysięcy lat. Ich pozycja w sądzie była nieco skomplikowana. Pozostawali pod opieką rządu Tanzanii, gdyż uznano, że to właśnie Tanzania była ich pierwotną ziemską ojczyzną, ale Tanzania nie była reprezentowana na sali sądowej. Tanzania bojkotowała Pałac Sprawiedliwości z powodu niekorzystnej dla niej decyzji dotyczącej pocisków woda-ziemia, wydanej rok wcześniej, więc ich sprawami zajmował się Paragwaj, który w istocie był stroną bezpośrednio zainteresowaną z powodu sporu granicznego z Brazylią, która z kolei była obecna jako państwo, gdzie znajdowała się siedziba Korporacji Gateway. Nadażacie za tym wszystkim? Bo ja nie i dlatego zatrudniłem Maitre Ijsingera.

Gdybym pozwalał sobie na angażowanie się w każdy głupi proces o parę milionów dolarów, nie wychodziłbym przez cały dzień z sali sądowej. Mam zbyt wiele do roboty z pozostałymi aspektami mojego życia, więc w normalnych warunkach rzuciłbym do walki prawników i spędzał czas w znacznie sensowniejszy sposób, plotkując z Albertem Einsteinem albo brodząc przy brzegu Morza Tappajskiego z moją żoną. Teraz wszakże było kilka szczególnych powodów dla mojej obecności. Zobaczyłem jeden z nich, wpół śpiący, siedzący na skórzanym krześle koło Starców.

— Chyba tam pójde i zobaczę, czy Joe Kwiatkowski nie ma ochoty na filiżankę kawy — zwróciłem się do Ijsingera.

Kwiatkowski był Polakiem reprezentującym Wschodnioeuropejską Wspólnotę Gospodarczą, a w tym procesie — jednym z powodów. Ijsinger zbladł.

— Ależ on jest naszym *przeciwnikiem!*

— Ale jest również moim starym przyjacielem — odparłem, tylko nieco naginając fakty — Kwiatkowski był poszukiwaczem z Gateway i parę razy tego popiliśmy wspominając dawne dobre czasy.

— Podczas procesu o takiej randze nie ma przyjaciół — poinformował mnie Ijsinger, a ja ograniczyłem się rzucenia mu uśmiechu i pochyliłem się, by syknąć na Kwiatkowskiego, z którym fajnie się gadało, jeśli tylko był w pełni obudzony.

— Nie powinienem być z tobą tutaj, Robin — huknął na mnie, kiedy znaleźliśmy się w moim apartamencie na piętnastym piętrze. — Zwłaszcza siedząc przy kawie! A masz coś do kawy?

Pewnie, że miałem — śliwownicę z jego ulubionej krakowskiej gorzelni. I kambodżańskie cygara jego ulubionej marki, solone śledzie i do tego wszystkiego herbatniki.

Gmach sądu zbudowano nad małym kanałem przy rzece Maas i czuło się zapach wody. Ponieważ udało mi się otworzyć okno, słyszeć było łódki przepływające pod utworzonym przez budynek łukiem i odgłosy samochodów przejeżdżających tunelem pod Maas odległym o ćwierć kilometra. Otworzyłem okno nieco szerzej z powodu palonego przez Kwiatkowskiego cygara i ujrzałem flagi i orkiestry na ulicach.

— Z jakiej okazji ta dzisiejsza parada? — zapytałem.

Zlekceważył to pytanie.

— Bo wojsko lubi parady — mruknął. — A teraz dość błazenady, Robin. Wiem czego chcesz i z góry mówię, że to niemożliwe.

— Chcę — odparłem — żeby WWG pomogła mi unieszkodliwić terrorystów wraz z ich statkiem, co leży w interesie nas wszystkich. A ty mi mówisz, że to niemożliwe. Świetnie, przyjmuję to do wiadomości, ale *czemu* to jest niemożliwe?

— Bo ty nic nie wiesz o polityce. Wydaje ci się, że WWG może sobie pójść do Paragwajczyków i powiedzieć im: Słuchajcie, idźcie i dobijcie interesu z Brazylią, to znaczy wy będziecie bardziej elastyczni w tym sporze o granicę, jeśli oni podzielą się informacjami z Amerykanami, co umożliwi schwytanie statku terrorystów.

— Tak — odparłem. — Dokładnie tak mi się wydaje.

— To źle ci się wydaje. Nie będą chcieli nawet z tobą gadać.

— WWG — rzekłem cierpliwie, gdyż na tę okoliczność zostałem dobrze wyposażony w informacje przez mój system wyszukiwania danych, Alberta Einsteina — jest największym partnerem handlowym Paragwaju. Jeśli tylko gwizdniecie, oni podskoczą.

— W większość przypadków — tak. Kluczem do całej sytuacji jest Republika Kambodży. Mają swoje prywatne układy z Paragwajem. I nic już na ten temat nie powiem, co najwyżej, że zostały one zaakceptowane na najwyższym szczeblu. Poproszę jeszcze kawy — dodał, wyciągając filiżankę — i tym razem z mniejszą zawartością kawy.

Nie pytałem Kwiatkowskiego, co to są te „prywatne ustalenia”, bo gdyby chciał mi o nich powiedzieć, to nie nazywałby ich „prywatnymi”. Nie musiałem pytać. Chodziło o sprawy wojskowe. Wszystkie „prywatne ustalenia”, jakich dokonywały między sobą rządy, miały charakter wojskowy, a gdybym tak nie przejmował się terrorystami, to zamartwiałbym się szaleństwem widocznym w zachowaniu uroczyście wyświęconych rządów. Ale nie wszystko na raz.

Zgodnie z radą Alberta wezwałem więc do mojego biura prawniczkę z Malezji, a następnie misjonarza z Kanady, zaś w dalszej kolejności — generała z Albańskich Sił Lotniczych, a dla każdej z tych osób miałem jakąś przynętę, którą pomachałem jej przed nosem. Albert powiedział mi, za jakie dźwignie należy pociągać i jakie szklane paciorki rozdawać dzikusom — tu dodatkowo przydział przewozów dla kolonistów, tam darowizna na cele charytatywne. Czasami wystarczył sam uśmiech. Rotterdam był dobrym miejscem na robienie takich rzeczy, od czasów, gdy przeniesiono Pałac Sprawiedliwości z Hagi. Haga nieco ucierpiała ostatnimi czasy, gdy pewien żartowniś zabawiał się TNP, więc wszystkich można było teraz znaleźć w Rotterdamie. Wszystkie typy ludzkie. Wszelkie kolory skóry, płcie, we wszelkich możliwych ubiorach, od ekwadorskich prawniczek w spódniczkach mini, po nababów od energii geotermalnej z Wysp Marshalla

w sarongach i naszyjnikach z zębów rekina. Trudno było określić, czy robię jakieś postępy, ale o wpół do pierwszej mój brzuch powiedział mi, że zaraz zacznę mnie poważnie boleć, jeśli nie wrzucę doń jakiegoś żarcia, więc na resztę dnia postanowiłem się urwać. Pomyślałem z tęsknotą o naszym przyjemnym, cichym apartamencie hotelowym z pięknym, letnim stkiem przyniesionym przez obsługę i zdjęciu butów, ale obiecałem Essie, że spotkam się z nią w jej firmie. Poprosiłem więc Alberta, żeby podsumował to, co udało mi się osiągnąć oraz przygotował zalecenia na przyszłość i przedarłem się do taksówki.

Nie da się nie zauważyć tych filii restauracji Essie. Łuki z lśniącego niebiesko metalu Heechów można już chyba spotkać w każdym kraju świata. Jako szefowa Essie zarezerwowała dla nas stół na balkonie, oddzielony ozdobnym sznurem, i przywitała mnie na schodach pocałunkiem, zmarszczeniem brwi i dylematem.

— Robin! Posłuchaj! Oni chcą tu podawać majonez do frytek. Czy powinnam się zgodzić?

Oddałem jej pocałunek, ale zerkałem przy tym ponad jej ramieniem, próbując dojrzeć, jakież to straszliwy chaos przygotowano dla nas na nakrytym stole.

— To już twoja decyzja — odparłem.

— Tak, oczywiście, to moja decyzja. Ale to ważne, Robin! Tak bardzo się staraliśmy, żeby odtworzyć smak prawdziwych frytek, wiesz. A teraz majonez? — Cofnęła się i przyjrzała mi nieco uważniej, a jej wyraz twarzy się zmienił. — Jesteś taki zmęczony! Masz tyle zmarszczek! Robin, jak się czujesz?

Obdarowałem ją najbardziej czarującym z moich uśmiechów.

— Jestem tylko głodny, złotko — odkrzyknąłem i z fałszywym entuzjazmem spojrzałem na ustawione przede mną talerze. — No, no! Nieźle to wygląda, co to jest, taco?

— To czapati — odparła z dumą. — Taco leży tam. A tu bliny. Powiedz, czy ci smakuje. — Pewnie, musiałem spróbować wszystkiego, a nie było to coś, czego życzył sobie mój żołądek. Taco, czapati, kulki ryżowe w kwaśnym rybnym sosie, coś, czego smak kojarzył mi się głównie z gotowanym jęczmieniem. Żadna z tych potraw nie była w moim guście. Ale wszystkie były jadalne.

Były również darem Heechów. Wielkie odkrycie, którym podzielili się z nami Heechowie, głosiło, że większość żywych tkanek, także twoich i moich, składa się z czterech pierwiastków: węgla, wodoru, tlenu i azotu — C, H, O, N — pożywienia CHON. Ponieważ właśnie z takich gazów jest zbudowana najlepsza część komety, Heechowie wybudowali swoją Fabrykę Pożywienia w Obłoku Oorta, gdzie komety naszego Słońca wiszą sobie spokojnie, aż jakaś gwiazda je stamtąd wyciągnie i wyśle, żeby ozdobiły nasze niebo.

CHON to jednak nie wszystko. Potrzebujemy jeszcze paru innych pierwiastków. Najważniejsza z nich jest chyba siarka, potem, zdaje się, sód, magnez, fosfor, chlor, potas, wapń — że nie wspomnę o odrobinie kobaltu, z której powstaje witamina B-12, chromie niezbędnym dla tolerancji glukozy, jodzie dla tarczycy,

licie, fosforze, arsenie, selenie, molibdenie, kadmie, cynku do kompletu. Pewnie potrzebny jest cały układ okresowy pierwiastków, przynajmniej w śladowych ilościach, ale w przypadku większości z nich są to tak małe ilości, że nie trzeba się nawet martwić o dodawanie ich do całej tej breji — pojawiają się jako zanieczyszczenia, czy tego chcemy, czy nie. Więc zatrudnione przez Essie chemiczne kucharek sześć pracowało, żeby było co jeść, i to dla wszystkich — nie tylko po to, żeby utrzymać ludzi przy życiu, ale podając im to w formie dań z różnych stron świata, od czapati po kulki ryżowe. Z pożywienia CHON da się zrobić wszystko, jeśli się tylko odpowiednio wymiesza składniki. Oprócz tego Essie zarabiała na tym kupę pieniędzy, a przy okazji okazało się, że sprawia jej to frajdę.

W końcu zdecydowałem się na coś, przeciwko czemu nie opierał się mój żołądek — wyglądało to jak hamburger i smakowało jak sałatka z awokado z kawałkami bekonu, a Essie powiedziała, że nazwali to Big Chon — Essie wszędzie było pełno. Sprawdzanie temperatury promienników podczerwonych, szukanie tłuszczu pod zmywarkami, próbowanie deserów, robienie wielkiej awantury, bo koktajle mleczne były zbyt chude.

Essie dała mi słowo, że żadne jedzenie z jej restauracji nie będzie dla nikogo szkodliwe, choć mój żołądek wykazał nieco mniej wiary w jej słowa niż ja. Nie podobał mi się hałas dochodzący z ulicy na zewnątrz — czy to z powodu parady? — ale poza tym było mi tak dobrze, jak tylko mogło być w tej sytuacji. Byłem wystarczająco odprężony, by doceniać zwrot, jaki nastąpił w naszym życiu. Kiedy Essie i ja pojawiajemy się gdzieś publicznie, ludzie się na nas gapią i to zwykle akurat na mnie. Ale nie tutaj. W restauracjach swojej sieci Essie była gwiazdą. Na zewnątrz przechodnie gromadzili się, by obejrzeć paradę. Wewnątrz żaden z pracowników nie poświęcił jej ani odrobiny uwagi. Poświęcili się pracy, z widocznym napięciem mięśni karku, rzucając ukradkowe spojrzenia w jednym kierunku — na wspaniałą damę, która była ich szefową. Cóż, Essie nie zawsze zachowywała się jak dama; odniosła korzyści z ćwierćwiecza nauki języka angielskiego u eksperta — czyli mnie — ale kiedy się wkurzy, po całym pomieszczeniu latają takie słowa, jak „niekulturny” i „swolocz”.

Przemieściłem się do okna na drugiej kondygnacji, żeby rzucić okiem na paradę. Zbliżała się w stronę Weeny, z dziesięcioma osobami w jednej linii, z orkiestrami, wrzaskami i transparentami. Beznadzieja. Albo coś jeszcze gorszego. Po drugiej stronie ulicy, przed stacją, powstało jakieś zamieszanie, policjanci i transparenty, zwolennicy ponownych zbrojeń kontra pacyfiści. Nie dało się ich odróżnić patrząc, jak wałęsali się po głowach transparentami, zaś Essie, która znów się obok mnie pojawiła sięgając po własny Big Chon, spojrzała na nich i potrzęsła głową.

— Jak tam kanapka? — naciskała.

— W porządku — odparłem, z ustami pełnymi węgla, wodoru, tlenu i azotu plus pierwiastki śladowe. — Rzuciła mi spojrzenie typu „mów głośniej”. — Powiedziałem, że *w porządku* — podniosłem głos.

— Nie słyszę cię w tym hałasie — poskarżyła się oblizując wargi; smakowało jej to, czym handlowała. Wskazałem głową w stronę parady.

— Nie wiem, czy to takie dobre — powiedziałem.

— Pewnie nie — zgodziła się, patrząc z niesmakiem na grupę ludzi, którą chyba nazywają Zouaves, czy jakoś tak — maszerujący w mundurach ciemnoskórzy. Nie widziałem ich naszywek narodowych, ale każdy z nich miał na ramieniu szybkostrzelny karabinek i pokazywał różne wygibasy: obrót, stuknięcie kolbą o chodnik, podrzut ze schwytnością, wszystko to bez przerywania marszu.

— Chyba powinniśmy już wracać do sądu — powiedziałem.

Sięgnęła nad stołem i wzięła ostatnie okruchy mojej kanapki. Niektóre Rosjanki po czterdziestce rozpływają się w fałdach tłuszczu, inne kurczą się i wysychają. Ale nie Essie. Nadal miała proste plecy i cienką talię, która wpadła mi w oko przy pierwszym spotkaniu.

— Chyba tak — odparła i zaczęła zbierać swoje programy, każdy z nich na własnym wachlarzu. — Dość się naoglądałam mundurów w dzieciństwie, jakoś nie mam ochoty patrzeć na nie teraz.

— Nie da się zrobić parady bez mundurów.

— Nie chodzi tylko o paradę. Spójrz, na chodniku też stoją. — I rzeczywiście tak było, mniej więcej co czwarta osoba miała na sobie jakiś mundur. Było to trochę zaskakujące i opanowało mnie dziwne uczucie. Rzecz jasna, każdy kraj zawsze miał jakieś siły zbrojne, ale trzymano je w ukryciu, jak domową gaśnicę w schowku. Ludzie tak naprawdę nigdy ich nie oglądali. Ale teraz znowu zaczęły się rzucać w oczy.

— Tak czy inaczej — powiedziała, starannie zbierając okruchy CHON ze stołu na jednorazowy talerzyk i rozglądając się na koszem na śmieci — musisz być już zmęczony, więc powinniśmy iść. Daj mi swoje śmieci.

Czekałem na nią przy drzwiach, a Essie zmarszczyła brwi, gdy do mnie podeszła.

— Pojemnik jest prawie pełen. A w instrukcji jest napisane wyraźnie, że należy go opróżnić przy wypełnieniu w sześćdziesięciu procentach — a co się stanie, jeśli w jednej chwili wyjdzie większa grupa ludzi? Powinnam wrócić i pouczyć menedżera — och, diabli — krzyknęła, a jej wyraz twarzy się zmienił. — Zapomniałam zabrać programy! — I pobiegła z powrotem na górę, gdzie zostawiła swoje wachlarze.

Stałem przy drzwiach, czekając na nią i obserwując paradę. To było tak obrzydliwe! Były tam autentyczne fragmenty uzbrojenia, jak działka przeciwlotnicze i transportery opancerzone, a za kapelą grającą na dudach szła ekipa zonglująca

pistoletami maszynowymi. Poczułem, jak drzwi otwierają się za mną i odsunąłem się na bok, kiedy Essie je popchnęła.

— Znalazłam je — powiedziała uśmiechając się i trzymając gruby plik wachlarzy, kiedy zwróciłem się w jej stronę.

I wtedy coś podobnego do osy przeleciało koło mojego ucha.

W Rotterdamie nie ma os. Ujrzałem jak Essie pada do tyłu, a drzwi się za nią zamykają. To nie była osa. To był wystrzał z broni palnej. Jeden z tych podrzucających pistoletów musiał mieć w lufie prawdziwy nabój i wypalił.

Już kiedyś prawie straciłem Essie. To było dawno temu, ale o tym nie zapomniałem. Cały ten żal napłynął znów tak żywy, jakby to się stało wczoraj, kiedy odepchnąłem te durne drzwi i pochyliłem się nad nią. Leżała na plecach, z plikiem związanych wachlarzy na twarzy, a kiedy ją podnosiłem spostrzegłem, że choć ma krew na twarzy, oczy ma szeroko otwarte i patrzy na mnie.

— Hej, Rob! — powiedziała ze zdumieniem w głosie. — Uderzyłeś mnie?

— Rany, nie! Dlaczego miałbym cię uderzyć? — Jedna z dziewcząt z obsługi podbiegła do nas z plikiem papierowych serwetek. Złapałem je i wskazałem na elektrosamochód w czerwone i białe paski z napisem *Poliklinische centrum* wrytymi na burcie, stojący na skrzyżowaniu z powodu parady. — Hej, ty! Sprowadź karetkę! I wezwij policję, tylko szybko!

Essie usiadła, odepchnęła moją rękę, a dookoła nas zaroilo się od policjantów i obsługi.

— Po co karetka, Robin? — zapytała przytomnie. — To tylko krew z nosa, zobacz! — I faktycznie nic innego nie było. Miał miejsce strzał, zgadza się, ale kula uderzyła w plik wachlarzy i tam utkwiała. — Moje programy! — zajęczała Essie, próbując odebrać je policjantowi, który chciał wyjąć z nich kulę jako materiał dowodowy. Ale i tak były zniszczone. Tak właśnie rozwijał się mój dzień.

Kiedy Essie i ja byliśmy na randce z przeznaczeniem, Audee Walthers zabrał, swoją dziewczynę na zwiedzanie Rotterdamu. Aż się spocił, kiedy się rozstaliśmy; tak na niektórych działa obecność dużych pieniędzy. Brak pieniędzy pozbawił Walthersa i Yee-xing przyjemności zwiedzania Rotterdamu. A mimo to, dla Walthersa, który miał jeszcze we włosach siano z planety Peggy oraz dla Yee-xing, która rzadko przebywała w miejscach innych niż *S. Ja*. czy bezpośrednio otoczenie pętli startowej, Rotterdam był prawdziwą metropolią. Nie mogli sobie pozwolić na kupienie niczego, ale przynajmniej mogli pooglądać wystawy. Broadhead zgodził się na spotkanie, powtarzał sobie Walthers, kiedy jednak pozwolił sobie na myślenie o tym z zadowoleniem, ciemna strona Walthersa odpowiedziała z gwałtowną pogardą: Broadhead tylko *powiedział*, że się z nimi spotka. Ale jakoś nie podchodził do tego ze szczególnym entuzjazmem. . .

— Dlaczego ja się tak pocę? — spytał głośno.

Yee-xing wsunęła mu dłoń pod ramię w akcie moralnego wsparcia.

— Wszystko będzie dobrze — odpowiedziała trochę nie na temat — w taki czy inny sposób. Audee Walthers spojrział na nią w dół z wdzięcznością. Walthers nie był szczególnie wysoki, ale Janie Yee-xing była rzeczywiście drobniutka; wszystko w niej było malutkie z wyjątkiem oczu, lśniących i czarnych, a zawdzięczała to operacji — ten błąd popełniła w czasach, gdy była zakochana w szwedzkim bankierze i myślała, że tylko mongoloidalne oczy przeszkadzają mu w odwzajemnieniu tego uczucia. — No i co? Wchodzimy?

Walthers nie miał pojęcia o czym ona mówi i chyba okazał to zmarszczeniem brwi; Yee-xing dotknęła jego ramienia swoją małą, kształtną główką i spojrzała w stronę tablicy z nazwą sklepu. Blade litery, wyglądające, jakby je zawieszono na tle hebanowej pustki, głośiły:

Życie Po Śmierci

Walthers przyjrzał się im i znowu spojrział na nią.

— To przedsiębiorca pogrzebowy — odgadł i roześmiał się, kiedy zrozumiał jej żart. — Ale aż tak źle jeszcze z nami nie jest, Janie.

— Nie — odparła — a właściwie niezupełnie. Nie poznajesz tej nazwy? — I wtedy oczywiście ją rozpoznał: to była jedna z firm Robinette'a Broadheada z listy ściągniętej z sieci.

Im więcej się dowiadujesz o Broadheadzie, tym większe prawdopodobieństwo, że wymyślisz coś, co skłoni go do ubicia interesu; to miało jakiś sens.

— Czemu nie? — rzekł Walthers przyzwalająco i poprowadził ją przez kurtykę powietrzną w chłodne, mroczne zakamarki biura. Jeśli nawet nie było to biuro przedsiębiorcy pogrzebowego, wewnątrz urzędowała im ta sama firma od dekoracji wnętrz. W tle rozbrzmiewała cicha, trudna do określenia muzyka, rozchodził się też zapach dzikich kwiatów, choć jedyną dekoracją był bukiet bladych róż w kryształowym wazonie. Wysoki, przystojny, niemłody już mężczyzna pojawił się między nimi; Walthers nie zauważył czy wstał on z jednego z krzeseł, czy też zmaterializował się jako hologram. Postać uśmiechnęła się łagodnie i spróbowała odgadnąć, jakiej są na narodowości. Nie udało jej się to.

— Guten tag — zwrócił się do Walthersa, zaś do Yee-xing — Gor ho oj nej.

— Oboje mówimy po angielsku — rzekł Walthers. — A pan?

Wypielęgowane brwi uniosły się w górę.

— Oczywiście. Witamy w firmie Życie Po Śmierci. Czy w państwa otoczeniu jest ktoś, kto wkrótce umrze?

— Nikt, o kim bym wiedział — odparł Walthers.

— Rozumiem. Oczywiście, możemy wiele osiągnąć nawet wtedy, gdy osoba jest już w stanie śmierci metabolicznej, choć im szybciej rozpoczniemy transfer, tym lepiej... Czy może w sposób odpowiedzialny planują państwo własną przyszłość?

— Ani jedno, ani drugie — rzekła Yee-xing. — Chcemy tylko dowiedzieć się czegoś o państwa ofercie.

— Oczywiście. — Mężczyzna uśmiechnął się, wskazując im gestem miejsca na wygodnej kanapie. Nie zauważyli, jak to zrobił, ale światła stały się jaśniejsze, a muzyka zabrzmiała o parę decybeli głośniej. — Oto moja wizytówka — powiedział, podając Walthersowi kartonik i zarazem rozwiązując trapiący go problem: wizytówka była materialna, podobnie jak palce, które mu ją podały. — Może opowiem trochę o podstawowych problemach; później pozwoli nam to zaoszczędzić nieco czasu. Przede wszystkim, Życie Po Śmierci nie jest żadną organizacją religijną i nie rości sobie pretensji do oferowania zbawienia. Oferujemy jedynie pewną formę przetrwania. To, czy państwa osobowości — takie, jakimi są tu i teraz, w tym pokoju — będą tego świadome, czy nie — uśmiechnął się — to problem, nad którym ciągle dyskutują metafizycy. Gwarantujemy jednak, że państwa zachowane osobowości, jeśli zdecydujecie się na taką operację, przejdą test Turinga, oczywiście pod warunkiem, że w momencie rozpoczęcia transferu mózg będzie w dobrym stanie, zaś otoczenie, jakie postrzeżga zachowany klient, będzie wybrane z listy dostępnych możliwości. Oferujemy ponad dwieście środowisk, od...

Yee-xing pstryknęła palcami.

— Zmarli — rzekła, nagle pojmując. Sprzedawca skinął głową, choć jego wyraz twarzy stał się nieco spięty.

— Tak właśnie nazywano oryginały, owszem. Jak widzę, znany jest państwu artefakt zwany Niebem Heechów, który teraz jest wykorzystywany jako transportowiec dla kolonistów...

— Jestem Trzecim Oficerem tego transportowca — odparła Yee-xing, wszystko się zgadzało z wyjątkiem użytego czasu teraźniejszego — a mój obecny tu przyjaciel Siódmym.

— Zazdroścę państwu — rzekł sprzedawca, a wyraz jego twarzy dowodził, że faktycznie tak było. Zazdrość nie przeszkodziła mu jednak w wykonywaniu obowiązków sprzedawcy i Walthers słuchał z uwagą, trzymając Janie Yee-xing za rękę. Cieszył się z dotyku tej ręki; dzięki temu nie myślał ostatnio o Zmarłych i ich protegowanym, Wanie, a przynajmniej o tym, co prawdopodobnie Wan robi w tej chwili.

Oryginalni Zmarli, jak twierdził sprzedawca, zostali niestety sknoceni; transfer ich wspomnień i osobowości z wilgotnych, szarych zasobników mieszczących się w ich czaszkach do kryształowych zbiorów danych, które chroniły ich od śmierci, został przeprowadzony przez niefachową siłę roboczą, za pomocą sprzętu, który skonstruowano dla zupełnie innej rasy. Dlatego też zapis był niedoskonały. Najprostszym sposobem wyobrażenia sobie tego problemu, jak objaśnił sprzedawca, było uświadomienie sobie, że Zmarli doznali takiego wstrząsu z powodu niefachowego transferu, że dostali świra. Ale coś takiego nie miało

obecnie miejsca. Aktualne procedury zapisu zostały udoskonalone tak, że każdy ze zmarłych mógł prowadzić konwersację z tymi, którzy go przeżyli, tak sprytnie, że nie różniło się to od rozmowy z żywą osobą. Więcej! Sam pacjent prowadził w zbiorach danych aktywne życie. Mógł doświadczyć muzułmańskiego, chrześcijańskiego czy scjentologicznego raju, kompletnego, zawierającego odpowiednio pięknych chłopców rozsypanych jak perły na trawie, chóry anielskie, czy też samego L. Rona Hubbarda. Jeśli nie miał religijnych ciągów, mógł przeżywać przygody (popularnym wyborem były: wspinaczka górską, nurkowanie, jazda na nartach, lotniarstwo i tai-chi w locie swobodnym), mógł słuchać dowolnej muzyki, w dowolnie wybranym towarzystwie... i oczywiście (nie będąc w stanie ocenić poprawnie charakteru znajomości Walthersa i Yee-xing, sprzedawca podał im tę informację w neutralny sposób) seks. *Wszelkie* odmiany seksualnego doświadczenia. Nieprzerwanie.

— Jakie to nudne — rzekł Walthers, zadumawszy się nad tym, co usłyszał.

— Dla pana i dla mnie — przyznał sprzedawca — ale nie dla nich. Widzi pan, oni nie pamiętają zbyt dobrze zaprogramowanych doświadczeń. Tym zbiorom danym aplikuje się przyspieszone uprzedzenie do rozkładu. Nie dla innych. Jeśli pewnego dnia porozmawia pan z ukochaną, potem wróci do tej rozmowy po roku, ona będzie to świetnie pamiętać. Ale zaprogramowane doświadczenia przelatują przez ich umysły jak burza -po prostu miłe wspomnienia przyjemności, więc chcą bez przerwy je przeżywać.

Kiedy programy i bazy danych tak zwanych Zmarłych stały się dostępne do badań, moja twórczyni, S. Ja. Broadhead, była rzecz jasna ogromnie nimi zainteresowana. Postawiła przed sobą zadanie skopiowania tego dzieła. Najbardziej złożonym wyzwaniem była oczywiście transkrypcja bazy danych ludzkiego mózgu i systemu nerwowego, który jest zapisywany chemicznie i w sposób nadmiarowy, na wachlarze Heechów. Udało jej się to na tyle znakomicie, że nie tylko założyła sieć przedsiębiorstw Życie Po Śmierci, ale także stworzyła mnie. Zapis danych w Życie Po Śmierci opierał się na jej najwcześniejszych badaniach. Później szło coraz lepiej — lepiej nawet niż Heechom — i zdołała połączyć nie tylko ich technologie, ale również niezależne techniki wynalezione przez ludzkość. Zmarli nigdy nie przechodzili Testu Turinga. Dzieła stworzone przez Essie Broadhead, po jakimś czasie, potrafiły. I przechodziły.

— Jakie to straszne — rzekła Yee-xing. — Audee, musimy już wracać do hotelu.

— Za chwilę, Janie. Wspomniał pan coś o rozmawianiu z nimi.

Oczy sprzedawcy zabłyśły.

— Oczywiście. Niektórzy z nich uwielbiają rozmawiać, także z nieznanymi. Mają państwo jeszcze chwilę? To naprawdę bardzo proste. — Nie przery-

wając monologu poprowadził ich do konsoli piezowizyjnej, zajrzał do owiniętego w jedwab spisu i wystukał kilka kodów. — Autentycznie się zaprzyjaźniłem z niektórymi z nich — wyznał nieco zawstydzony. — Kiedy nic się nie dzieje w biurze, często wywołuję któregoś z nich i ucinamy sobie miłą pogawędkę... O, Rex! Jak się masz?

— Znakomicie — odparł przystojny, opalony starszy pan, który pojawił się na ekranie piezowizora. — Miło cię widzieć! Przedstawisz mnie swoim przyjaciołom? — dodał spoglądając z sympatią na Walthersa i Yee-xing. Gdyby istniał jakiś idealny wizerunek mężczyzny, który przekroczył już pewien wiek, to właśnie było to; miał wszystkie włosy i chyba też wszystkie zęby; miał zmarszczki mimiczne przy kącikach oczu, ale reszta jego twarzy pozostała gładka, a oczy promieniowały światłem i ciepłem. Grzecznie wymienił z nimi powitania. Zapytany o to, co robi, lekko wzruszył ramionami.

— Zaraz będę śpiewał *Catulli Carmina* w Operze Wiedeńskiej, no wiecie. — Mrugnął. — Pierwsza sopranistka jest naprawdę piękna, a te seksowne pieśni naprawdę brały ją już na próbie.

— Zdumiewające — mruknął Walthers, gapiąc się na niego. Janie nie była jednak aż tak zachwycona.

— Nie chcemy panu przeszkadzać w rozkoszowaniu się muzyką — rzekła uprzejmie. — Chyba już musimy iść.

— Oni poczekają — oświadczył z zachwytem Rex. — Zawsze czekają. Walthers był zafascynowany.

— Proszę mi powiedzieć — spytał — kiedy mówią panowie o... towarzyszach w tym... e... stanie... czy można sobie zupełnie dowolnie wybierać towarzyszy? Nawet wśród tych, którzy jeszcze żyją?

Pytanie było skierowane do sprzedawcy, ale Rex odezwał się pierwszy. Spoglądał przenikliwie i ze współczuciem na Walthersa.

— Z kim tylko chcesz — rzekł i skinął głową, jakby dzielił się z nim jakąś tajemnicą. — Ze wszystkimi żywymi, zmarłymi czy wymyślonymi. Poza tym, panie Walthers, oni robią wszystko, co tylko pan chce! — Postać zachichotała. — Zawsze powtarzam — dodał, — że to, co wy nazywacie życiem, jest tylko wstępem do *prawdziwej* egzystencji, jaką się tu uzyskuje. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie tak długo to odkładają!

Biura Życie Po Śmierci były w istocie czymś w rodzaju firm — pochodnych, do których miałem największy zapał, nie dlatego, że wykazywały duże zyski. Kiedy odkryliśmy, że Heechowie potrafili przechowywać zawartość umysłów swoich zmarłych za pomocą maszyn, zapaliło mi się w głowie światełko. Cóż, mówię do mojej kochanej żony, jeśli oni potrafili, to czemu my nie? Cóż, odpowiada moja kochana żona, nie ma żadnego powodu, dla którego miałoby się nam to nie udać, Robinie, dla pewności daj mi tylko trochę czasu, żebym mogła rozpracować kodowanie. Nie podjąłem żadnej decyzji odnośnie tego, czy chciałbym, aby taką

operację przeprowadzono na mnie, kiedy i czy w ogóle. Byłem jednak pewien, że nie chcę, by zrobiono to Essie, przynajmniej jeszcze nie wtedy i byłem bardzo szczęśliwy, że zamach skończył się tylko na rozbitym nosie.

Cóż, było coś jeszcze. Z tego powodu zawarliśmy znajomość z policją w Rotterdamie. Umundurowany sierżant przedstawił nas brygadierowi, który zabrał nas do biura swoim szybkim samochodem z migającymi światłami i zaproponował kawę. Następnie brygadier Zuitz zaprowadził nas do biura inspektora Van Der Waal, olbrzymiej, wysokiej kobiety ze staroświeckimi szklami kontaktowymi, przez co jej oczy wyglądały, jakby miały wyskoczyć z oczodołów ze współczucia. Przez cały czas, kiedy prowadziła nas po schodach — schodach! — rozlegało się „Jakie to musiało być dla pana nieprzyjemne, Mijnheer” i „mam nadzieję, że ta rana nie przysparza pani cierpień, Mevrouw”, aż dotarliśmy do biura komisarza Lutzleka, który stanowił zupełnie inny typ człowieka. Niski. Szczupły. Jasnowłosy, o twarzy słodkiego chłopczyka, choć musiał już mieć z pięćdziesiąt lat, skoro został komisarzem generalnym. Łatwo było sobie wyobrazić, jak wsadza rękę do rowu i trzyma ją tam, dopóki musi, no chyba, że utonie. Ale niełatwo było sobie wyobrazić, że mógłby się poddać.

— Dziękuję, że stawili się tu państwo w związku z tą sprawą w Stationsplein — powiedział, kiedy już się usadowiliśmy.

— Z tym wypadkiem — rzekłem.

— Nie. Z przykrością muszę stwierdzić, to nie był wypadek. Gdyby tak było, to byłaby sprawa raczej dla policji miejskiej, nie dla mnie. Stąd to śledztwo i dlatego prosimy państwa o współpracę.

— Nasz czas jest zbyt cenny, żebyśmy marnowali go na coś takiego — rzekłem, próbując usadzić go na miejscu.

Nie dał się usadzić.

— Państwa życie jest jeszcze cenniejsze.

— No bez przesady! Jeden z żołnierzy na paradzie robił młynka pistoletem, miał go załadowanego i broń wypaliła.

— Mijnheer Broadhead — powiedział, — po pierwsze żaden żołnierz nie miał załadowanego pistoletu; pistolety i tak nie mają iglicy. Po drugie, ci żołnierze w ogóle nie są żołnierzami; to są studenci z college'u, których zatrudnia się, żeby się przebrali na paradę, jak strażnicy przed Pałacem Buckingham. Po trzecie, strzał nie padł od strony parady.

— Skąd pan to wie?

— Bo znaleźliśmy już ten pistolet. — Wyglądał na niezłe wkurzonego. — W policyjnej szafce! Jest to dla mnie dość kłopotliwe, Mijnheer, jak łatwo sobie pan może wyobrazić. Dodatkowe siły policyjne ściągnięte na paradę korzystały z ruchomej przebieralni w furgonetce. „Policjant”, który wystrzelił nie był znany innym w tym oddziale, ale ściągnięto ich z różnych jednostek. Przyszedł posprzątać po paradzie, szybko się przebrał i odszedł, zostawiając otwartą szafkę. Nie

było tam nic poza mundurem, pewnie kradzionym, pistoletem oraz pańskim zdjęciem. Nie zdjęciem Mevrouw. Pana.

Odchylił się na oparcie krzesła i czekał. Twarz słodkiego chłopczyka pozostawała spokojna.

Ale ja nie. Chwilę trwa, zanim do człowieka dotrze, że ktoś powziął zamiar zabicia go. To było przerażające. Nie sam fakt bycia zabitym; to jest przerażające z definicji, a mogę opowiedzieć, w jaki stan przerażenia wpadam, kiedy wygląda na to, że śmierć jest blisko, z wielu niezapomnianych a nawet powtórnie przeżywanych doświadczeń.

— Wie pan, jak się teraz czuję? — spytałem. — Winny! Czuję, jakbym zrobił coś, przez co ktoś naprawdę mnie nienawidzi.

— Dokładnie tak, panie Broadhead. Co pana zdaniem mogłoby to być?

— Nie mam pojęcia. Jeśli znajdziecie tego człowieka, to pewnie znajdziecie i przyczynę. To nie powinno być trudne — pewnie zostawił jakieś odciski palców albo coś? Widziałem kamery stacji telewizyjnych, może nawet znajdziecie go na którymś filmie...

Westchnął ciężko.

— Mijnheer, proszę mnie nie uczyć policyjnych procedur. Oczywiście wszystkie te rzeczy właśnie sprawdzamy, plus do tego przesłuchania wszystkich, którzy mogli tego mężczyznę widzieć, plus analiza potu, jaki pozostał w ubraniu oraz wszelkie inne metody identyfikacji. Zakładam, że facet był profesjonalistą, więc wszystkie te metody i tak zwiódą. Chcemy więc podejść do tego od innej strony. Jakich ma pan wrogów i co pan robi w Rotterdamie?

— Nie wydaje mi się, żebym miał jakichś wrogów. Konkurencja w interesach, to może, ale oni nie mordują ludzi.

Odczekał chwilę cierpliwie, więc dodałem:

— Jeśli chodzi o to, co robię w Rotterdamie, to chyba jest to powszechnie znane. Moje interesy wymagają udziału w eksploatacji niektórych artefaktów Heechów.

— O tym mi wiadomo — odparł, już nie tak cierpliwie.

Wzruszyłem ramionami.

— Jestem stroną w procesie w Międzynarodowym Pałacu Sprawiedliwości.

Commissaris otworzył jedną z szuflad biurka, zajrzał do niej i z ponurą miną ją zatrasnął.

— Mijnheer Broadhead — rzekł — odbył pan w Rotterdamie wiele spotkań nie związanych z tym procesem, ale z problemem terroryzmu. Chce pan, żeby zaprzestano tej działalności.

— Wszyscy tego chcemy — odparłem, ale to, co czułem w moim brzuchu nie wiązało się tylko z moimi rozpadającymi się bebechami. Myślałem, że zachowuje się bardzo dyskretnie.

— Wszyscy tego chcemy, ale pan robi coś w tym kierunku robi, Mijnheer. Sądzę więc, że teraz ma pan wrogów. Wrogów nas wszystkich. Terrorystów. — Wstał i odprowadził nas do drzwi. — Dopóki więc pozostają państwo w mojej jurysdykcji, otrzymacie ochronę policyjną. Poza tym mogę tylko prosić o ostrożność, gdyż moim zdaniem grozi państwu niebezpieczeństwo z ich strony.

— Wszystkim grozi — odparłem.

— Losowo, tak, wszystkim. Ale państwo są szczególnym przypadkiem.

Nasz hotel zbudowano w czasach świetności, dla sypiących gotówką turystów i bogatych nierobów. Nasze apartamenty zostały urządzone według ich gustu. Ale nie według naszego. Ani ja, ani Essie nie przepadaliliśmy za słomianymi matami ani wyrzeźbionymi w klocach drewna poduszkami, ale kierownictwo wyrzuciło je i wstawiło przyzwoite łóżko. Okrągłe i wielkie. Marzyłem sobie, że będę sporo z niego korzystał. Niewielki zaś pożytek był z hollu, który stanowił przykład znieawidzonej przeze mnie architektury: sklepione przejścia, więcej fontann niż w Wersalu i tyle luster, że kiedy spojrzaleś w górę, miałeś wrażenie, że jesteś w kosmosie. Kiedy przeszliśmy przez sympatyczne biura *commissaris*, dzięki młodemu policjantowi, którego oddelegowano, by eskortował nas w drodze do hotelu, oszczędzono nam tego. Przemycono nas kuchennym wejściem, wyściełaną tapicerką windą, która cuchnęła dowożonym do pokoi jedzeniem, na nasze piętro, gdzie nastąpiła zmiana dekoracji. Na klatce schodowej, naprzeciwko drzwi do naszego apartamentu, stała uskrzydłona marmurowa Wenus. Teraz miała towarzysza w niebieskim mundurze, mężczyznę wyglądającego dokładnie przeciętnie, który uważnie unikał mojego wzroku. Spojrzałem na eskortującego nas policjanta. Uśmiechnął się z zakłopotaniem, skinął koledze tkwiącemu na klatce schodowej i zamknął za nami drzwi.

Byliśmy szczególnym przypadkiem, ale fajnie.

Usiadłem i przyjrzałem się Essie. Wciąż miała spuchnięty nos, ale chyba nie przejmowała się tym. Mimo to zaproponowałem:

— A może powinnaś się położyć?

Spojrzała na mnie z pełną tolerancji sympatią.

— Z powodu spuchniętego nosa? Ależ z ciebie głuptas. Czy może masz jakieś ciekawsze propozycje na myśli?

Trzeba oddać sprawiedliwość mojej kochanej żonie — kiedy tylko wyszła z tą propozycją, mój zepsuty dzień i bolące jelito zaczęły akcję protestacyjną. Rzeczywiście miałem coś na myśli. Można by sądzić, że po dwudziestu pięciu latach nawet seks zaczyna być nudny. Mój specjalista od wyszukiwania danych, Albert, opowiedział mi raz, że badania przeprowadzone na zwierzętach laboratoryjnych wykazały, że to nieuniknione. Samce szczurów zostawiono z partnerkami i mierzono częstotliwość stosunków. Zaobserwowano stały spadek w czasie. Nuda. Zabrali więc tamte samice i wprowadzili nowe. Szczury ożywiły się i zabrały do roboty z ochotą. Jest to więc udowodniony naukowo fakt — w przypadku szczu-

rów — ale ja chyba nie jestem szczurem, przynajmniej nie w tym sensie. Zabawiałem się całkiem przyjemnie, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, jakby ktoś wpakował mi nóż w brzuch.

Nie mogłem tego opanować. Wrzasnąłem.

Essie odepchnęła mnie. Błyskawicznie usiadła i wywołała Alberta po rosyjsku. Jego hologram posłusznie ożył. Spojrzał na mnie spod półprzymkniętych powiek i pokiwał głową.

— Tak — rzekł — pani Broadhead, proszę umieścić nadgarstek Robina na dozowniku przy stoliku nocnym.

Byłem zgięty w pół, obejmując się ramionami z bólu. Przez chwilę myślałem, że zwymiotuję, ale to, co siedziało w moich bebechach było zbyt wredne, żeby tak łatwo się poddać.

— Zrób coś! — krzyknęła Essie, histerycznie przyciskając mnie do nagiej piersi, kiedy przycisnąłem ramię do stolika.

— Już coś robię, pani Broadhead — odparł Albert i rzeczywiście musiałem docenić nagle odczucie obojętności, kiedy igła dozownika aplikującego leki pod wysokim ciśnieniem wstrzyknęła coś w moje ramię. Ból cofnął się i stał się znosny. — Nie chciałbym cię za bardzo straszyć, Robin — rzekł Albert łagodnie. — Spodziewałem się tego ataku bólu spowodowanego niedokrwistością już od paru godzin. To tylko objaw.

— Cholerny arogancki programie! — wrzasnęła Essie, która go przecież sama napisała. — Objaw czego?!

— Rozpoczęcia procesu ostatecznego odrzucenia przeszczepu, pani Broadhead. Stan nie jest jeszcze krytyczny, gdyż już zacząłem podawanie leków wraz ze środkami przeciwbólowymi. Jednak sugerowałbym wykonanie jutro operacji.

Czułem się już na tyle lepiej, że byłem w stanie usiąść na brzegu łóżka. Przejechałem palcem u nogi po strzałkowatym wzorze wskazującym w stronę Mekki, który wpleciono w dywanik przeznaczony dla dawno zaginionych magnatów naftowych i spytałem:

— A co ze zgodnością tkanek?

— To już zostało załatwione, Robin.

Rozluźniłem na próbę żołądek. Nie eksplodował.

— Mam jutro mnóstwo spotkań — przypominałem.

Essie, która kołysała mnie łagodnie, rozluźniła się i westchnęła.

— Uparciuch! Po co to odkładać? Mogłeś mieć przeszczep całe tygodnie temu i nie byłoby tego zamieszania.

— Nie chciałem — wyjaśniłem. — A poza tym Albert mówił, że ciągle mamy czas.

— Mamy czas! Tak, pewnie, mieliśmy czas. Czy to jest powód, żeby przeznaczyć ten czas na bzdury, a potem, przepraszam, stanie się coś nieprzewidzianego,

nie będzie czasu i umrzesz? Lubię cię, jak jesteś ciepły i żywy, Robin, a nie jako program Życie Po Śmierci!

Dotknąłem ją nosem i podbródkiem.

— Chory człowieku! Idź ode mnie! — warknęła, ale nie odsunęła się. — Ha! Lepiej się czujesz?

— O wiele lepiej.

— Na tyle lepiej, żeby mówić rozsądnie i ustalić wizytę w szpitalu?

Dmuchałem jej w ucho.

— Essie — powiedziałem — na pewno tak zrobię, ale nie w tej chwili, bo jeśli dobrze pamiętam, mamy jedną niezalatwioną sprawę. Ale to nie dotyczy Alberta. Bądź uprzejmy się więc wyłączyć, przyjacielu.

— Oczywiście, Robinie. — Uśmiechnął się i znikł. Ale Essie odsunęła się ode mnie i długo patrzyła mi w twarz zanim potrząsnęła głową.

— Zaraz, Robinie — rzekła. — Czy ty chcesz, żebym zapisała cię w postaci programu Życie Po Śmierci?

— Ależ skąd! — odparłem. — A jeśli mam być szczery, to nie o tym chciałem z tobą podyskutować.

— Podyskutować! — wzdrygnęła się. — Ha, wiem, jak ty dyskutujesz... Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli kiedyś cię zapiszę, to możesz być pewny, że pod paroma względami napiszę cię zupełnie inaczej!

Ależ to był dzień. Nic dziwnego, że nie pamiętałem o paru nieistotnych drobiazgach. Ale mój program sekretarski oczywiście o nich pamiętał, a ja sobie przypominałem, kiedy drzwi od spiżarni kamerdynera otworzyły się i wkroczył orszak kelnerów z kolacją. Nie na dwie osoby. Na cztery.

— Och, mój Boże — rzekła Essie, uderzając się ręką w czoło. — Twój biedny przyjaciel z twarzą jak żaba, Robinie, zaprosiłeś go na obiad! A spójrz na siebie! Boso! W bieliźnie! Naprawdę, niekulturny, Robin. Natychmiast idź i ubierz się!

Wstałem, gdyż kłócenie się z nią nie miało sensu, ale miałem ochotę trochę się podroczyć.

— Ja w bieliźnie, a co z tobą?

Rzuciła mi gorzkie spojrzenie. Miała na sobie taki chiński ciuch rozcięty po bokach, który wyglądał w tym samym stopniu na sukienkę, jak i na koszulę nocną i używała go w jednym oraz w drugim charakterze.

— W przypadku laureata nagrody Nobla — odparła karcąco — to, co ma on na sobie, zawsze jest stosownym strojem. Poza tym ja wzięłam prysznic, a ty nie, więc zrób to, bo wonejiesz uprawianiem seksu i — o mój Boże — dodała, nadstawiając uszu na dochodzące od drzwi odgłosy — oni chyba już tu są!

Ruszyłem do łazienki, zaś Essie podażyła w stronę drzwi, ociągałem się zaś wystarczająco długo, by usłyszeć odgłosy kłótni. Najmniejszy z ekspertów obsługujących gości kelnerów także słuchał, z grymasem na twarzy, odruchowo sięga-

jąc w stronę wybruszenia pod pachą. Westchnąłem, zostawiłem ich samym sobie i ruszyłem do łazienki.

Tak naprawdę, to nie była to do końca łazienka. W rzeczy samej był to salon kąpielowy. Wanna była wystarczająco duża dla dwóch osób. Może nawet dla trzech albo czterech, ale nie operowałem na liczbach większych niż dwa, choć czasem zastanawiałem się, co w tej wannie wyprawiali arabscy turyści. W samą wannę wbudowano oświetlenie, a otaczały ją rzeźby, z których lała się ciepła i zimna woda, a całą łazienkę wyścielał strzyżony dywan. Wszystkie te małe pospolite rzeczy, jak toalety, ukryto w małych dekoracyjnych pokoikach. To było eleganckie, ale też miłe.

— Albercie — zawołałem wciągając bluzę przez głowę, a on odpowiedział:

— Tak, Robinie?

W łazience nie było wizji, tylko fonia.

— Nawet mi się tu podoba — powiedziałem. — Sprawdź, czy możesz ściągnąć mi plany zbudowania czegoś takiego w domu nad Morzem Tappajskim.

— Oczywiście, Robinie — odparł — ale czy tymczasem mógłbym ci przypomnieć, że twoi goście czekają?

— Możesz, gdyż już to zrobiłeś.

— Poza tym, Robinie, nie powinieneś się przemęczać. Lek, który ci podałem, będzie miał tymczasowe działanie, jeśli nie. . .

— Wyłącz się — rozkazałem i wkroczyłem do głównego salonu recepcyjnego, by powitać moich gości. Stół zastawiono kryształami i porcelaną, płonęły świece, wino chłodziło się w wazie, a kelnerzy stali grzecznie uniżeni. Nawet ten z wypukłością pod pachą,

— Przepraszam, że musieliście na mnie czekać, Audee — powiedziałem uśmiechając się do nich radośnie — ale miałem dziś ciężki dzień.

— Już im mówiłam — rzekła Essie podając talerz młodej kobiecie o orientalnych rysach twarzy. — Musiałam, bo ten głupi policjant przy drzwiach potraktował ich, jakby też byli terrorystami.

— Próbowałem wszystko wyjaśnić — mruknął Walthers — ale on w ogóle nie rozumiał po angielsku. Pani Broadhead musiała mu wytłumaczyć. Przydaje się mówienie miejscowym dialektem.

Wzruszyła wdzięcznie ramionami.

— Jak mówisz po niemiecku, to w Rotterdamie wystarczy. Poza tym — dodała oznajmującym tonem — to tylko stan umysłu. Proszę mi powiedzieć, kapitanie Walthers. Zaczyna pan mówić w jakimś języku, druga osoba tego nie rozumie. Co pan sobie pomyśli?

— No, że nie powiedziałem tego dobrze.

— Ha! Właśnie. Ale ja raczej myślę, że ona tego dobrze nie *zrozumiała*. To jest podstawowa zasada mówienia w obcym języku.

Potałem mój brzuch.

— Zjedzmy coś — zaproponowałem i ruszyłem do stołu. Nie omieszkalem jednak zauważyć spojrzenia, jakie rzuciła w moją stronę Essie, więc podjąłem wysiłek bycia towarzyskim. — Cóż, jesteśmy smutnie wyglądającym towarzystwem — rzekłem radośnie, czyniąc aluzję do gipsu na ramieniu Walthersa, siniaka na policzku Yee-xing i nadal spuchniętego nosa Essie. — Biliście się, czy co?

Jak się okazało, nie było to taktowne stwierdzenie, gdyż Walthers bezzwłocznie poinformował mnie, że owszem, tak było, pod wpływem opanowanego przez terrorystów TNP. Przez chwilę gadaliśmy więc o terrorystach. Potem gadaliśmy o smutnej kondycji, w jaką wpakowała się ludzka rasa. Nie była to radosna konwersacja, zwłaszcza dlatego, że Essie wpadła w filozoficzny nastrój.

— Ależ żalosną istotą jest człowiek — zapodała, a potem zaprzeczyła samej sobie. — Nie. niesprawiedliwa jestem. Pojedyncza istota ludzka może być w porządku, tak w porządku, jak nasza siedząca tu czwórka. Nie będzie doskonała. Ale ze statystycznej próbki, powiedzmy, stu ludzi, przejawiać dobroć, altruizm i przyzwoitość — te wszystkie cechy, które ludzie považają — będzie jakieś nie więcej niż dwudziestu pięciu z nich. Ale narody? Ugrupowania polityczne? Terrorysty? — Potrząsnęła głową. — Jedna szansa na sto, zero — rzekła. — Albo może jedna, ale wtedy możecie być pewni, że to jakaś szulerska sztuczka. Widzicie, zło się kumuluje. W każdej ludzkiej istocie jest ziarenko zła. Zbierzmy razem jakieś dziesięć milionów istot ludzkich, choćby w małym kraju bądź ugrupowaniu, a dostaniemy dość zła, żeby zniszczyć cały świat!

— Proszę podać deser — rzekłem, przywołując gestem kelnera.

Można by pomyśleć, że dla każdego gościa będzie to wystarczająco jasna aluzja, żeby się wynieść, ale Walthers był uparty. Ociągał się przy jedzeniu deseru. Nalegał na opowiadanie mi historii swego życia i ciągle patrzył na kelnerów, a ja czułem się coraz bardziej nieswojo, nie tylko z powodu mojego brzucha.

Essie mówi, że nie mam cierpliwości do ludzi. Pewnie nie. Przyjaciela, z którymi najchętniej wchodzę w interakcje, to raczej programy komputerowe, a nie ludzie z krwi i kości, a one nie mają uczuć, które można by zranić — hm, nie jestem pewien, czy dotyczy to także Alberta. Ale na pewno odnosi się to do mojego programu sekretarskiego albo mojego kucharza. Pewnym było, że zacząłem być niecierpliwym w stosunku do Audee'go Walthersa. Jego życie było jak nudny brazylijski serial. Stracił żonę i oszczędności. W sposób nieuprawniony skorzystał z wyposażenia na pokładzie *S. Ja.* przy współudziale Yee-xing i wraz z nią został wylany. Wydał ostatni grosz po to, żeby dostać się do Rotterdamu z bliżej nieokreślonego powodu, ale w oczywisty sposób miało to coś wspólnego ze mną.

Hm, nie jestem od tego, żeby „pożyczać” pieniądze przyjaciołom w tarapatkach, ale widzicie, nie byłem tego dnia w nastroju. Nie chodziło tylko o strach o Essie czy zepsuty dzień, ani o świdrujące przerażenie, kiedy też dopadnie mnie następny świr z pistoletem. To raczej moje przekłete jelito dawało mi w kość.

W końcu kazałem kelnerom posprzątać, choć Walthers ciągle ociągał się nad swoją czwartą filiżanką kawy. Powlokłem się w stronę stolika z likierami oraz cygarami i spojrzałem z niechęcią na podążającego za mną Walthersa.

— O co chodzi, Audee? — spytałem, porzucając grzeczność. — Pieniądze? Ile potrzebujesz?

Jak on wtedy na mnie spojrział! Zawahał się, patrząc, jak ostatni z kelnerów wymyka się kuchennymi drzwiami, a potem zaczął mówić.

— Tu nie chodzi o to, co ja potrzebuję — rzekł drżącym głosem. — Jesteś naprawdę bogatym facetem, Robin. Może nie przejmujesz się ludźmi, którzy dla ciebie wtykają łapy w gówno, ale ja popełniłem ten błąd dwa razy.

Nie lubię, jak mi się przypomina, że jestem komuś winien przysługę, ale nie miałem szansy, żeby cokolwiek powiedzieć. Janie Yee-xing delikatnie położyła rękę na jego zranionym nadgarstku.

— Po prostu powiedz mi, co znalazłeś — rozkazała.

— Co masz mi powiedzieć? — nalegałem, a ten skurczy drań wzruszył ramionami i powiedział mi takim tonem, jakby chciał oznajmić, że właśnie znalazł na podłodze moje kluczyki od samochodu:

— No, chciałem ci powiedzieć, że chyba znalazłem prawdziwego, żywego Heecha.

Rozdział 12.

Bóg i Heechowie

Znalazłem Heecha. . . Zdobyłem fragment Krzyża Świętego. . . Rozmawiałem z Bogiem, naprawdę rozmawiałem — te wszystkie stwierdzenia pochodzą z tej samej parafii. Nie wierzysz w nie, ale są przerażające. A potem, kiedy odkrywasz, że są prawdziwe, albo kiedy nie możesz z całą pewnością stwierdzić, że nie są — przychodzi czas cudów, czas śmiertelnego przerażenia. Kiedy byłem dzieciakiem, nie rozróżniałem ich zbyt dobrze, a nawet wtedy, gdy dorosłem, to rozróżnienie nie było wystarczająco jasne.

Było już po północy, kiedy wreszcie ich wypuściłem. Ale wydusiłem z nich wszystko. Miałem wachlarz, który zwinęli z pokładu *S. Ja*. Zaprosiłem Alberta do dyskusji aby zadać wszelkie możliwe pytania, jakie tylko mógł wymyślić jego wrażliwy cyfrowy umysł. Byłem zmęczony i wyczerpany, a środki przeciwbólowe już dawno przestały działać, ale nie mogłem usnąć. Essie ogłosiła stanowczo, że jeśli mam zamiar popełnić samobójstwo ginąc z wyczerpania, to ona też nie pójdzie spać i będzie się świetnie bawić na tym przedstawieniu, a za chwilę cichutko pochrapywała na kanapie, ja zaś znów wezwałem Alberta.

— Jeden szczegół finansowy — powiedziałem. — Walthers mówił, że zrezygnowałby ze swojej premii w wysokości miliona dolarów, żeby przekazać mi tę informację, więc natychmiast przelej na jego konto. . . tak ze dwa miliony.

— Oczywiście, Robinie. Albert Einstein nigdy nie bywa senny, ale kiedy chce dać mi zrozumienia, że godzina, o której powinienem był iść do łóżka, już dawno minęła, doskonale potrafi ziewać i przeciągać się. — Powinienem jednak ci przypomnieć, że stan twojego zdrowia. . .

Powiedziałem mu, co sobie może zrobić ze stanem mojego zdrowia. Potem mu powiedziałem, co sobie może zrobić z pomysłem położenia mnie jutro do szpitala. Rozpostarł wdzięcznie dłonie.

— Ty tu rządzisz, Robinie, — rzekł z pokorą. — Tak sobie tylko myślałem.

To nieprawda, że Albert Einstein w ogóle nie poświęca czasu na myślenie. Ponieważ jego obwody pracują z prędkością światła, czas, jaki na to przeznacza,

zwykle nie jest zauważalny dla takich istot z krwi i kości, jak ja. No chyba, że on chce, żeby dało się to zauważyć, dla uzyskania dramatycznego efektu.

— Wyrzuć to z siebie, Albercie.

Wzruszył ramionami.

— Chodzi mi tylko o to, że w twoim trudno przewidywalnym stanie zdrowia nie powinienes się tak ekscytować bez powodu.

— Bez powodu! Jezu, Albert, czasem zachowujesz się jak durna maszynka. Jaki można mieć lepszy powód niż znalezienie żywego Heecha?

— Tak — odparł, pykając fajką z namysłem i zmienił temat. — Dane z moich czujników wskazują, Robinie, że musisz odczuwać potężny ból.

— Jakiś ty sprytny, Albercie. — Rzeczywiście, młyn w moim brzuchu przełączył się na wyższy bieg. Miałem teraz wrażenie, że ostrze miksera sieka mi jelita, a każdy obrót to osobne dźgnięcie.

— Czy mam obudzić panią Broadhead i powiedzieć jej?

Ten komunikat był zaszyfrowany. Gdybyśmy obudzili Essie i powiedzieli jej coś takiego, skończyłoby się na natychmiastowym wpakowaniu mnie do łóżka i tym całym zagłaskiwaniem i leczeniem, jakie tylko zapewnia Pełny Serwis Medyczny. Naprawdę zaczynało to wyglądać kusząco. Ból przerażał mnie bardziej niż umieranie. Umieranie było czymś, czego się doświadczało, a potem następował koniec, zaś ból wydawał się nie mieć końca.

Ale nie wtedy!

— Nic z tego, Albercie, — powiedziałem. — Przynajmniej do chwili, aż powiesz to, z czym się tak bardzo ukrywasz. Czy chcesz mi powiedzieć, że gdzieś w mojej linii rozumowania zrobiłem błędne założenie? Jeśli tak, powiedz mi gdzie.

— Tylko wtedy, gdy uznałeś, że to, co odebrał Audee Walthers pochodzi od Heechów, Robinie — rzekł pocierając brodę ustnikiem fajki.

Poderwałem się i chwyciłem za brzuch, gdyż taki nagły ruch nie był dobrym pomysłem.

— A cóż innego, u licha, mogłoby to być, Albercie?

Odezwał się ponuro:

— Przyjrzyjmy się dowodom. Walthers powiedział, że inteligencja, którą odebrał, była jakaś spowolniona, nawet zastopowana. To jest spójne z hipotezą, że to Heechowie, gdyż uważa się, że schowali się oni w czarnej dziurze, gdzie czas płynie wolniej.

— Zgadza się. Dlaczego więc...

— Po drugie — kontynuował — odkrycie miało miejsce w przestrzeni międzygwiazdnej. To również pasuje, gdyż uważa się, że Heechowie mają takie możliwości.

— Albercie!

— I wreszcie — rzekł ze spokojem, nie przejmując się tonem mojego głosu — wykryto inteligentną formę życia, inną niż my sami — mrugnął do mnie — czy też, powinienem powiedzieć, inną niż ludzka rasa, a Heechowie są jedyną taką znaną, formą. Jednakże — powiedział łagodnie — kopia dziennika pokładowego statku, którą przyniósł kapitan Walthers, rodzi poważne pytania.

— No dalej, mów, żeby cię pokręciło!

— Już mówię, Robinie. Wyświetlmy pewne dane. — Odsunął się na bok ramy holograficznej i pojawił się tam zapis ze statku. Przedstawiał odległą, bladą plamę, a na marginesie z prawej strony tańczyły symbole i liczby. — Zwróć uwagę na prędkość, Robinie. Tysiąc osiemset kilometrów na sekundę. To nie jest jakaś niemożliwa prędkość dla obiektu naturalnego — powiedzmy, kondensatu z czoła fali supernowej. Ale dla statku Heechów? Dlaczego miałyby lecieć tak wolno? I czy rzeczywiście przypomina statek Heechów?

— To niczego nie przypomina, na litość boską! To tylko plama. O olbrzymim zasięgu. Nie da się określić dokładnie, co to jest.

Mała postać Alberta na brzegu ekranu skinęła głową.

— W takiej formie rzeczywiście nie — przyznał — ale udało mi się powiększyć ten obraz. Są oczywiście inne kontr dowody. Jeśli rzeczywiście źródłem jest czarna dziura. . .

— Co?

Albert udał, że mnie źle zrozumiał.

— Mówiłem, że hipotezie, jakoby źródło znajdowało się w czarnej dziurze, przeczy całkowita nieobecność promieni gamma oraz X w tym rejonie, a takie prawdopodobnie dochodziłoby z pochłanianego przez dziurę pyłu i gazu.

— Albercie — rzekłem — czasem posuwasz się za daleko!

Spojrzał na mnie z uwagą częściowo przymkniętymi oczami. Wiem, że te spokojne spojrzenia Alberta, jak również udawanie przez niego, że o czymś zapomina, to tylko efekciarskie sztuczki. Nie odzwierciedlają żadnej rzeczywistości — zwłaszcza wtedy, gdy patrzy mi głęboko w oczy. Obrazki oczu na Albertowym hologramie nie potrafią dostrzec nic więcej niż oczy na fotografii. Jeśli mnie postrzeżę, a niewątpliwie to robi, udaje mu się to dzięki obiektywom kamer, czujnikom infradźwiękowym, miernikom pojemności elektrycznej, kamerom na podczerwień, a żadne z nich nie są umieszczone w pobliżu obrazu oczu Alberta. Ale mimo to są chwile gdy mam wrażenie, że Albert zagląda prosto w moją duszę.

— Chcesz wierzyć, że to Heechowie, prawda, Robinie? — spytał miękko.

— To nie twój interes! Pokaż mi ten powiększony obraz!

— Dobrze.

Obraz zamigotał kropkami. . . stał się żyłkowany. . . wyostrzył się; patrzyłem na olbrzymią ważkę. W malutkim pokazie Alberta wypełniała sobą ekran. Większość jej delikatnych skrzydeł dała się dostrzec tylko dlatego, że zasłaniały sobą gwiazdy. Wszystkie skrzydła spotykały się jednak w jednym miejscu, gdzie znaj-

dował się cylindryczny obiekt z punktami świetlnymi na powierzchni, a niektóre z tych światel lśniły jak skrzydła.

— To żaglowiec! — westchnąłem.

— Tak. To żaglowiec — przytaknął mi Albert. — Fotonowy statek kosmiczny. Jego siłą napędową jest ciśnienie światła na powierzchnię żagli.

— Ale, Albercie. . . Albercie, to musi trwać całe wieki.

Skinął głową. Według ludzkich pojęć, tak, to jest dobry opis. Przy prawdopodobnej prędkości tego statku jego podróż, powiedzmy z Ziemi do najbliższej gwiazdy, Alfya Centaura, zajęłaby jakieś sześćset lat.

— Mój Boże. Sześćset lat w takiej klitce?

— To nie jest małe, Robinie — poprawił mnie. — Widzimy to z większej odległości niż ci się wydaje. Moje dane dotyczące odległości są jedynie przybliżone, ale według najlepszego przybliżenia rozpiętość żagli wynosi nie mniej niż sto tysięcy kilometrów.

Na damasceńskiej sofie Essie wciągnęła gwałtownie powietrze, zmieniła pozycję, otworzyła oczy, spojrzała na mnie, oskarżycielskim tonem rzekła: „Jeszcze nie śpisz, co?” i znów zamknęła oczy, a wszystko to zrobiła nie budząc się.

Oparłem się wygodnie, ogarnęło mnie zmęczenie i ból.

— Szkoda, że nie chce mi się spać — powiedziałem. — Muszę pogotować to wszystko trochę na małym ogniu, zanim wchłonę.

— Oczywiście, Robinie. Pozwól, że coś ci zaproponuję — rzekł sprytnie Albert. — Nie zjadłeś zbyt wiele na obiad, więc może przygotuję ci trochę pysznej zupy z zielonego groszku albo zupę rybną. . .

— Wiesz, co działa na mnie usypiająco, prawda? — odparłem, bliski śmiechu, zadowolony, że udało mi się wrócić myślą do zwykłych codziennych spraw. — Czemu nie?

Udałem się więc z powrotem do jadalni. Pozwoliłem, żeby podprogram barmański Alberta przygotował mi trochę pysznego grzanego rumu, a sam Albert pojawił się w hologramie nad kredensem, by dotrzymać mi towarzystwa.

— Bardzo smaczne — powiedziałem, wychylając ostatnią kroplę. — Poproszę o jeszcze jeden zanim siądę do jedzenia, dobrze?

— Oczywiście, Robinie — odparł, bawiąc się ustnikiem fajki. — Robinie?

— Tak? — spytał, sięgając po nowego drinka.

— Robinie — i potem nieśmiało — mam pomysł.

Byłem w dobrym nastroju na słuchanie nowych pomysłów, więc uniosłem brwi na znak przyzwolenia.

— Walthers podsunął mi pewien pomysł. Zinstytucjonalizuj to, co dla niego robisz. Ustanów doroczne nagrody. Podobne do nagrody Nobla albo premii naukowych Gateway. Sześć nagród rocznie, każda po sto tysięcy dolarów, każda dla kogoś z innej dziedziny nauki i odkryć. Przygotowałem budżet. . . — przesunął

się na bok, przekrzywił głowę na bok aby spojrzeć w róg ramki z obrazem; pojawił się tam starannie wydrukowany prospekt — jeśli wykażemy nominalny rozchód w wysokości sześciuset tysięcy rocznie, prawie w całości odzyskany dzięki oszczędnościom na podatkach i uczestnictwu stron trzecich. . .

— Chwileczkę, Albercie. Nie rób za księgowego. Bądź moim doradcą naukowym. Nagrody za co?

— Za pomoc w rozwiązaniu zagadek wszechświata. — Rzekł po prostu.

Oparłem się wygodnie i wyciągnąłem, czując odprężenie i ciepło. Oraz łagodność, nawet dla programu komputerowego.

— Och, do diabła, Albercie. Mów dalej. Czy zupa jest już gotowa?

— Za minutkę będzie — odparł posłusznie rzeczywiście tak było. Zanurzyłem w niej łyżkę. To była zupa rybna. Gęsta. Biała, z całym mnóstwem śmietany.

— Ale nadal nie wiem, o co ci chodzi — powiedziałem.

— Informacja, Robinie — rzekł.

— Ale wydawało mi się, że tak czy inaczej dostajesz wszelkie możliwe informacje.

— Oczywiście, że tak — jak już je opublikują. Mam program wyszukujący z zaprogramowanymi słowami kluczowymi, który cały czas pracuje, z ponad czterdziestoma trzema flagami tematycznymi, by natychmiast, kiedy tylko gdziekolwiek coś się pojawi, powiedzmy na temat transkrypcji języka Heechów, automatycznie łąduje to w moich bazach danych. Ale ja chcę to dostać zanim zostanie opublikowane albo jeśli w ogóle nie zostanie opublikowane. Jak odkrycie Audde'ego, rozumiesz? Zwycięzcy będą corocznie wybierani przez jury, a ja z przyjemnością — mrugnął — pomogę ci wybrać skład. Zaproponowałem sześć dziedzin badań. — Skinął w stronę obrazu; budżet zniknął, zastąpiony przez elegancką listę:

1. Przekład zapisów Heechów.
2. Obserwacja i interpretacja problemu brakującej masy.
3. Analiza technologii Heechów.
4. Poprawa sytuacji powstałej w związku z terroryzmem.
5. Poprawa sytuacji związanej z napięciami na arenie międzynarodowej
6. Nieegoistyczne przedłużenie życia.

— Wszystkie punkty brzmią bardzo przyzwoicie — rzekłem z aprobatą. — Zupa też jest pyszna.

— Tak — odparł — kucharz potrafi świetnie spełniać polecenia. — Spojrzałem na niego sennie. Wydawało mi się, jego głos brzmi łagodniej — nie, może bardziej pasuje tu określenie „bardziej słodko” — niż przedtem. Ziewnąłem, próbując wyostrzyć wzrok.

— Wiesz, Albercie — powiedziałem. — Wcześniej tego nie zauważyłem, ale przypominasz trochę moją matkę.

Odłożył fajkę i spojrzał na mnie ze współczuciem.

— Nie powinieneś się tym przejmować, Robinie — rzekł. — Nie ma się czym przejmować.

Obserwowałem mój wierny program z senną przyjemnością.

— Chyba masz rację — potaknąłem. — Może jednak wcale nie przypominasz mojej matki. Te wielkie brwi. . .

— To nie ma znaczenia, Robinie — rzekł łagodnie.

— Nie ma, prawda? — zgodziłem się z nim.

— Powinieneś teraz zasnąć — uciął rozmowę.

I rzeczywiście, wydawało się to tak dobrym pomysłem, że zasnąłem. Ale nie od razu. Nie gwałtownie. Powoli, spokojnie; błądziłem na granicy snu i jawy, było mi wygodnie i czułem się rozluźniony, więc nawet nie wiem, gdzie zakończył się półsen, a zaczął sen prawdziwy. Było to marzenie senne lub sen na jawie, ten stan zawieszenia, w którym wydaje ci się, że śniesz, ale wcale się tym nie przejmujesz, a umysł wędruje. Och, tak, mój umysł wędrował. Bardzo daleko. Ściagałem się po całym wszechświecie z Wanem, sięgając do kolejnych czarnych dziur w poszukiwaniu czegoś bardzo dla niego ważnego, ważnego również dla mnie, choć nie wiedziałem dlaczego. Była tam jakaś twarz, ale to nie była twarz Alberta, ani mojej matki, nawet nie Essie, twarz kobiety z ciemnymi brwiami. . .

Rany, pomyślałem przyjemnie zaskoczony, ten skurwiel dosypał mi coś do zupy!

A tymczasem wielka Galaktyka obracała się, a małe cząsteczki materii organicznej pchały nieco większe cząsteczki metalu i kryształu przez cały wszechświat pomiędzy gwiazdami; i kawałki materii organicznej doświadczały bólu, samotności, przerażenia i radości na wszelkie możliwe sposoby; ale ja już spałem na całego i to wszystko nic mnie nie obchodziło. Wtedy.

Rozdział 13.

Sankcje miłości

Mały kawałek materii organicznej zwany Dolly Walthers był zajęty przeżywaniem tych wszystkich wrażeń — czy też wszystkich wymienionych, oprócz radości — oraz wielu innych uczuć, jak wstręt i nuda. W szczególności była to nuda, z wyjątkiem tych chwil, kiedy w jej małym zasmuconym serduszkku panowało przerażenie. Wnętrze statku Wana najbardziej ze wszystkiego przypominało komorę w jakiejś skomplikowanej, całkowicie zautomatyzowanej fabryce, gdzie zostawiono tylko tyle miejsca, by istota ludzka mogła wpełznąć i dokonać napraw. Nawet migająca złota spirala, która stanowiła część napędu Heechów, była widoczna tylko częściowo; Wan obudował ją szafkami do przechowywania żywności. Rzeczy osobiste Dolly — które składały się głównie z jej pacynek i zapasu tamponów na sześć miesięcy — zostały wtłoczone do szafki w malutkiej toalecie. Cała pozostała przestrzeń należała do Wana. Nie było za wiele do roboty, a i nie było miejsca na zrobienie czegokolwiek. Jednym ze sposobów zabicia wolnego czasu było czytanie. Jedyne wachlarze Wana, które nadawały się do czytania, zawierały głównie bajki dla dzieci, nagrane dla niego, jak mówił, kiedy był małym chłopcem. Dla Dolly były potwornie nudne, choć nie tak nudne jak całkowita beczynność. Nawet gotowanie i sprzątanie nie były tak nudne, jak nie robienie niczego, ale możliwości były ograniczone. Niektóre zapachy powstałe przy gotowaniu powodowały, że Wan chował się w ładowniku albo — i to nawet częściej — napadał na nią i wydzierał się wniebogłosy. Pranie było łatwe, wymagało jedynie włożenia ubrań do czegoś w rodzaju szybkowaru, który przepuszczał przez nie gorącą parę, ale kiedy schły, podnosiła się wilgotność powietrza na statku i to także bywało przyczyną ataków szału. Wan naprawdę nigdy jej nie uderzył — chyba że liczyć te przypadki, które uważał za grę miłosną — ale i tak przerażał ją śmiertelnie.

Bardziej bała się jednak czarnych dziur, które odwiedzali, jedna za drugą. One przerażały również Wana. Strach nie powstrzymał go jednak przed działaniem; jedynie sprawiał, że jeszcze trudniej było z nim wytrzymać.

Kiedy Dolly uświadomiła sobie, że cała ta szalona ekspedycja była jedynie beznadziejnym poszukiwaniem od dawna zaginionego i niewątpliwie zmarłego ojca Wana, poczuła coś w rodzaju prawdziwej czułości. Żałowała, że nie pozwala jej okazywać tego uczucia. Zdarzało się, zwłaszcza po tym, jak uprawiali seks, w tych rzadkich chwilach, gdy nie zasypiał od razu albo nie odpychał jej od siebie jakimś ostrym i niewybaczalnie osobistym przytykiem — kiedy przez co najmniej kilka minut w milczeniu leżeli przytuleni do siebie. Czuła wtedy wielką potrzebę nawiązania z nim jakiegoś ludzkiego kontaktu. Czasami chciała przyłożyć mu usta do ucha i wyszeptać:

— Wan? Wiem, co czujesz w związku z twoim ojcem. Chciałabym ci jakoś pomóc.

Ale oczywiście nigdy się na to nie odważyła.

Inną rzeczą, której nigdy nie ośmieliła mu się powiedzieć, było przypuszczenie, że on ma zamiar zabić ich oboje — aż przybyli do ósmej czarnej dziury i nie miała już wyboru. Nawet po dwóch dniach po tej wizycie — dwóch dniach podróży szybszej niż światło, po pokonaniu prawie roku świetlnego — nie mogła się uspokoić.

— Co cię tak śmieszy? — naciskała, a Wan, który nawet się nie rozglądał wokół, gdyż siedział zgarbiony przez ekranem, odpowiedział tak, jak się tego spodziewała:

— Zamknij się. — Po czym dalej gadał ze swoimi Zmarłymi. Odkąd się zorientował, że Dolly nie mówi ani po hiszpańsku, ani po chińsku, rozmawiał z nimi przy niej, ale w języku, którego nie rozumiała.

— Nie, proszę złotko — powiedziała, czując coś nieswój ego w żołądku. — To wszystko nie tak! — Nie umiała powiedzieć, co jest nie tak. Przedmiot na ekranie był malutki. Nie było go widać wyraźnie i obraz skakał. Nie było tam śladu szybkich błysków energii, kiedy rozciągane pasma materii były niszczone przy wciąganiu ich do czarnej dziury, ale było tam coś widać, jakby unoszące się błękitne promieniowanie — na pewno jednak nie było to czarne.

— Phi — prychnął Wan, pocąc się obficie, bo też był przerażony i rozkazał: — Zapytaj tej dziwki, czego chce się dowiedzieć. Po angielsku.

— Pani Walthers? — Głos brzmiał słabo i niepewnie; był to głos zmarłego, jeśli to w ogóle był człowiek. — Właśnie objaśniałem Wanowi coś, co nazywamy nagą osobliwością. To coś się nie obraca, zatem nie jest całkowicie czarne. Wan? Porównywałeś to z mapami Heechów?

— Oczywiście, durniu — mruknął. — Właśnie miałem to zrobić! — Wano wi drżał głos, kiedy dotykał sterów. Obok obrazu uformował się następny. Był to błękitnawy, przypominający chmurę, męczący wzrok przedmiot. A obok, na drugiej połowie ekranu, pojawił się ten sam obiekt, otoczony siatką jasnych, cienkich czerwonych linii i migoczącymi zielonymi kołami.

Zmarły oświadczył z ponurą satysfakcją.

— To coś niebezpiecznego, Wan. Heechowie oznaczyli to w ten sposób.

— Kretyn! Wszystkie czarne dziury są niebezpieczne! — Wyłączył mówiącego i zwrócił się do Dolly ze wściekłością i potępieniem. — Ty też się boisz! — rzucił oskarżającym tonem i powłókł się do ładownika wypełnionego skradzionymi, a przerażającymi gadżetami.

Fakt, że Wan również dygotał, nie wpłynął na Dolly uspokajająco. Patrząc beznadziejnie na ekran czekała na telepatyczne uderzenie spowodowane używaniem przez Wana TNP w celach badawczych. Trochę to trwało, gdyż TNP nie działał na odległości międzygwiazdne i czasem zasypiała na chwilę, by obudzić się i ujrzeć pod klapą ładownika nieruchomego Wana przykucniętego nad błyszczącą siateczką i diamentowo lśniącym korkociągiem, a potem znów zasypiała.

Spała, kiedy do jej snów wtargnęło uderzenie nienawiści, strachu, obsesji, nadawane przez znękaną umysł Wana za pomocą TNP i była już prawie całkiem obudzona, kiedy Wan wpadł do głównej kabiny i stanął nad nią.

— Człowiek! — wybełkotał, mrugając dziko oczami, kiedy pot strumieniami spływał mu po czole. — Muszę dostać się do środka!

Tymczasem ja śniłem o głębokiej, stromej studni grawitacyjnej i ukrytym w niej skarbie. Kiedy Wan zabawiał się skradzionymi gadżetami pocąc się ze strachu, ja pocilem się z bólu. Kiedy Dolly gapiła się z namysłem na wielki mglisty, błękitny obiekt na ekranie, ja patrzyłem na ten sam obiekt. Ona nie widziała go nigdy przedtem. Ja owszem. Nad moim łóżkiem wisiało zdjęcie tego czegoś, a zrobiłem je w chwili, gdy cierpiałem jeszcze bardziej i byłem zdezorientowany. Próbowałem usiąść na łóżku, ale silna, delikatna dłoń Essie popchnęła mnie z powrotem.

— Jesteś ciągle podłączony do systemu podtrzymywania życia, Robin — skarciła mnie. — Nie wolno ci się gwałtownie ruszać!

Leżałem w małej komorze szpitalnej, którą urządziliśmy w domu nad Morzem Tappajskim, kiedy każdorazowe jeżdżenie do kliniki w momentach, gdy jedno z nas potrzebowało reperacji, stało się już zbyt kłopotliwe.

— Jak się tu dostałem? — dopytywałem się.

— Samolotem, jakżeżby inaczej? — Pochyliła się nade mną, żeby odczytać coś na monitorze powyżej mojej głowy i pokiwała głową.

— Miałem operację — wydedukowałem. — Ten skurwiel Albert uśpił mnie. Przyleciałaś ze mną do domu zanim się obudziłem.

— Jakiś ty sprytny! Tak. Już po wszystkim. Doktor mówi, że jesteś zdrowy jak wiejska świnia i szybko przychodzisz do siebie — mówiła dalej — tylko brzuch jeszcze będzie cię trochę bolał, bo masz w sobie dwa i trzy dziesiąte metra nowych jelit. A teraz jedz. Potem się prześpisz.

Opadłem na poduszki, zaś Essie dogadywała się z programem kucharskim, patrząc na hologram. Umieszczono go tam, by mi przypominać, że bez względu na to, jak nieprzyjemne było całe to łatanie mające utrzymać mnie przy życiu, są

rzeczy o wiele bardziej nieprzyjemne, ale wcale nie o tym mi przypominał. Kierował moje myśli ku kobiecie, którą utraciłem. Nie mogę powiedzieć, żebym o niej nie myślał przez te wszystkie lata, gdyż nie byłaby to prawda. Często o niej myślałem — było to jednak stare wspomnienie, a teraz myślałem o niej jako o osobie.

— A teraz czas — zanuciła wesoło Essie — na pożywny bulion z ryby! — Na Boga, ona wcale nie żartowała; rzeczywiście się pojawił, wydzielał mdlący zapach, ale zawierał, jak powiedziała, wszystko co było mi potrzebne i co tolerowałem w moim obecnym stanie. Tymczasem Wan zapuścił wędkę do czarnej dziury za pomocą sprytnych i skomplikowanych maszyn Heechów; a ja zauważyłem, że mdląca breja, którą spożywałem, zawierała nie tylko lekarstwa. W tym samym czasie sprytnie i skomplikowane maszyny wykonywały również zadania, o których Wan nie miał pojęcia.

Tym oddzielnym zadaniem było powiadamianie, gdyż ze wszystkich artefaktów Heechów zakłócacz porządku w systemach wyrównanych był właśnie tym, o który martwili się oni najbardziej. Bali się, że jeśli zostanie niewłaściwie użyty, może zniweczyć ich własny porządek stanowczo i brutalnie, więc każde takie urządzenie miało wbudowany alarm.

Jeśli boisz się, że ktoś może najść cię w ciemnościach, rozstawiasz urządzenia alarmowe — masę tłukących się puszek po konserwach przywiązanych do sznurka, o który intruz się potknie albo wiadro z wodą nad drzwiami, żeby spadło mu na głowę. Ponieważ nie ma większej ciemności niż ta w przestrzeni kosmicznej, Heechowie wystawili posterunki wczesnego ostrzegania. Rozstawione przez nich sidła z dzwonkiem były liczne, czułe i bardzo, ale to bardzo głośne. Kiedy Wan uruchomił swój korkociąg, sygnał zabrzmiał od razu, i natychmiast oficer komunikacyjny powiadomił o tym Kapitana.

— Obcy to zrobił — rzekł, a jego mięśnie naprężyły się, gdy Kapitan wyrzucił z siebie przekleństwo o biologicznych konotacjach. W przekładzie nie znaczyłyby ono zbyt wiele dla osobnika pochodzącego z ludzkiej rasy, gdyż odnosiło się do aktu seksualnego w czasie, kiedy samica nie była zakochana. Kapitan nie wypowiedział go z powodu jego dosłownego znaczenia. Wypowiedział je, gdyż było wysoce obsceniczne, a nic łagodniejszego nie ukoiłoby jego uczuć. Kiedy zobaczył, że Dwakroć wzdrygnęła się, gwałtownie pochylając się nad pulpitem sterowniczym, poczuł skruchę.

Kapitan miał najwięcej zmartwień, gdyż był Kapitanem, ale to Dwakroć miała najwięcej pracy. Kierowała na odległość trzema jednostkami na raz: statkiem dowodzenia, na który mieli się przesiąść, transportowcem, który miał posłużyć do ukrycia żaglowca i specjalnym pojazdem bezzałogowym w układzie planetarnym Ziemi, który miał analizować wszystkie transmisje i lokalizować pochodzące z kosmosu artefakty. A nie była w najlepszym stanie. Przyszedł na nią czas miłości, sterydy pulsowały w jej cienkich żyłach, program biologiczny działał, a całe ciało dojrzało do wykonania swego zadania. Nie tylko zresztą jej ciało. Także

osobowość Dwakroć dojrzała i zmiękała. Wysiłek kierowania statkami za pomocą systemu nerwowego i ciała, które zostało właśnie przez naturę nastawione na łączenie się w pary, był torturą. Kapitan pochylił się w jej stronę.

— Dobrze się czujesz? — spytał. Nie odpowiedziała. I to już wystarczyło za odpowiedź.

Westchnął i zajął się następnym problemem.

— Tak, Buciku?

Oficer komunikacyjny wyglądał prawie na tak samo wyczerpanego psychicznie, jak Dwakroć.

— Odebrano kilka koncepcyjnych aktów komunikacji, Kapitanie — zameldował. — Ale program tłumaczący będzie miał jeszcze sporo do zrobienia.

Kapitan naprężył mięśnie policzków. Czy ze wszystkich niespodziewanych, nielogicznych rzeczy, które mogły pójść nie tak, jak powinny, było coś, co się jeszcze nie zdarzyło? Te akty komunikacji — nie chodziło tylko o to, że przede wszystkim w ogóle nie powinny mieć miejsca — odbywały się w kilku językach! Kilku! Nie dwóch, co było akceptowalne dla założonego przez Heechów porządku rzeczy. Nie tylko w Języku Czynów i Języku Uczuć, jak czasem mawiali sami Heechowie, ale dosłownie w zapisie wielu wzajemnie niezrozumiałych języków. Być może ból spowodowany wysłuchaniem tego niekończącego się strumienia paplaniny nieco zelżałby, gdyby Kapitan przynajmniej był w stanie zrozumieć, co oni mówią.

Tyle zmartwień i problemów! Nie tylko widoczne u Dwakroć oznaki popadania w słabość i chaos, nie tylko straszny szok spowodowany tym, że jakieś stworzenie nie będące Heechem uruchomiło mechanizmy pozwalające dostać się do wnętrza czarnej dziury; największym zmartwieniem Kapitana było to, czy potrafi sobie poradzić z tymi wszystkim następującymi po obie zmiany. Tymczasem miał do wykonania pewne zadanie. Zlokalizowali żaglowiec i podążyli za nim — z tym nie było problemu. Wysłali komunikat do jego załogi, ale — co było rozsądne — nie czekali na odpowiedź. Statek dowodzenia, obudzony ze swego trwającego tysiące lat snu z wyłączonym zasilaniem, pojawił się na czas. Przesiedli się, połączywszy śluzy, do większej i potężniejszej jednostki. Z tym również prawie nie wiązał się żaden problem, choć Dwakroć, posapując i pojękując, biegała z pokładu na pokład i z trudem przejmowała stery w nowym statku. Nic złego jednak się nie stało. Nawet ociężałe się przemieszczający wielki bąbel transportowy pojawił się w miejscu i o czasie, w którym powinien.

Cały proces zajął im prawie dwanaście godzin. Dla Dwakroć był to czas wielkiego, nieprzerwanego wysiłku. Kapitan miał trochę mniej do zrobienia, dzięki czemu miał mnóstwo czasu na obserwowanie jej. Patrzył, jak jej miedziana skóra staje się czerwona od niespełnionej miłości, nawet wówczas, gdy ciemnieje ze zmęczenia. Martwiło go to. Byli tak nieprzygotowani na te wszystkie wyzwania! Gdyby wiedzieli, że będą w niebezpieczeństwie, mogliby zabrać dodatkowego

operatora jednostki bezzałogowej, który zdjąłby z Dwakroć trochę obowiązków. Gdyby tylko przyszło im to do głowy, zabraliby od razu statek dowodzenia, co oszczędziłoby im kłopotu przesiadania się ze statku do statku. Gdyby tylko pomyśleli... gdyby tylko podejrzewali... gdyby choć mieli przeczucie...

Ale nic takiego się nie stało. Jakże by mogło? Nawet według czasu całej Galaktyki minęły zaledwie dziesięciolecia od chwili, kiedy po raz ostatni wychynęli ze swej kryjówki w jądrze Galaktyki — to zaledwie mgnienie oka dla czasu astronomicznego, więc jakże mogli przypuszczać, że w tym czasie tak wiele się wydarzy?

Kapitan pogrzebał w pakietach z pożywieniem, aż znalazł najsmaczniejsze i najłatwiejsze do strawienia i z uczuciem nakarmił nimi Dwakroć siedzącą przy swoim pulpicie. Nie miała apetytu. Jej ruchy stały się wolniejsze, mniej pewne, z każdą godziną przychodziły jej z większą trudnością. Ale robiła, co do niej należało. Kiedy zwinięto już ostatni żagiel fotonowego statku, otwarła się wielka paszcza transportowca, a podobna do ómy kapsuła, która przewoziła pasażerów żaglowca zanurzyła się w powoli we wnętrzu bąbla, Kapitan zaczął znów swobodnie oddychać. Przynajmniej w przypadku Dwakroć zakończyła się najtrudniejsza część ich zadania. Teraz będzie miała szansę odpocząć — może nawet szansę na zrobienie tego w jego towarzystwie, a na to jej ciało i dusza były bardziej niż gotowe.

Ponieważ załoga żaglowca natychmiast odpowiedziała na ich komunikat — to znaczy natychmiast dla nich — ich odpowiedź nadeszła zanim zamknęła się nad nimi wielka lśniąca czasza. Oficer komunikacyjny, Bucik, włączył swój ekran i pojawił się komunikat:

Przyjmujemy do wiadomości, że nie możemy zakończyć naszej podróży. Prosimy o przetransportowanie w bezpieczne miejsce.

Pytamy: czy Asasyni wracają?

Kapitan wzruszył ramionami ze współczuciem. Powiedział do Bucika:

— Przekaż im: „Na razie przerzucamy was do waszego macierzystego systemu. Jeśli to będzie możliwe, później przetransportujemy was tutaj z powrotem.”

Heechowie pozostawili ludziom do odkrycia tylko małe statki zwiadowcze; byli zbyt ostrożni, by zostawić im statki do zadań specjalnych, za pomocą których łatwo byłoby ich namierzyć. Na przykład — bąblowaty transportowiec. Była to po prostu pusta metalowa sfera wyposażona w napęd nadświatłowy i sprzęt nawigacyjny. Heechowie najwyraźniej używali go do przemieszczania z miejsca na miejsce dużych ilości materiałów; ludzka rasa także mogłaby z niego skorzystać. Każdy bąblowaty transportowiec mógł być odpowiednikiem tysiąca transportowców klasy S. Ja. Dziesięć z nich mogło rozwiązać problem populacji Ziemi tu ciągu dziesięciu lat.

Twarz Bucika była napięta, wyrażająca mieszaninę emocji.

— A co z ich pytaniem o Asasynów?

Kapitan poczuł ucisk w brzuchu.

— Nie mów im jeszcze — rzekł.

Ale to nie obawa o tę drugą rasę opanowała umysł Kapitana, ani też jego troska o Dwakroć. Heechowie mieli zadziwiająco wiele cech wspólnych z ludzką rasą: ciekawość, miłość między męskimi i żeńskimi osobnikami, solidarność rodzinną, poświęcenie dla potomstwa, przyjemność czerpaną z manipulacji symbolami. Wielkość wspólnych cech nie zawsze była jednak taka sama. Istniała za to jedna cecha psychiczna, którą Heechowie posiadali i rozwinęli w znacznie większym stopniu niż większość ludzi:

Sumienie.

Heechowie byli przeważnie zupełnie niezdolni do wykrecania się od wypełnienia jakiegoś zobowiązania albo do pozostawienia zła samemu sobie. Dla Heechów załoga żaglowca była przypadkiem szczególnym. Heechowie byli ich *właścicielami*. Od nich dowiedzieli się o najbardziej przerażającej rzeczy, jakiej kiedykolwiek Heechowie mieli stawić czoła.

Heechowie i załoga żaglowca świetnie znali się nawzajem, ale ostatnio nie mieli ze sobą kontaktu. Związek ten dla istot z żaglowca zaczął się źle. Dla Heechów, skończył się jeszcze gorzej. Nie było możliwe, żeby którakolwiek z tych ras zapomniała o drugiej.

W spokojnych, ciurkających sagach istoty z żaglowca śpiewały o tym, jak to stożkowate statki Heechów pojawiły się nagle, straszliwie twarde i szybkie, w słodkiej breji ich domu. Statki Heechów przemknęły przez pływające sklepienia swoich habitatów powodując znaczącą kawitację i duży lokalny wzrost temperatury. Wiele istot zginęło. Heechowie poczynili wielkie szkody zanim zrozumieli, że to rozumne, a nawet cywilizowane istoty, choć bardzo powolne.

Heechowie byli głęboko zszokowani tym, co uczynili. Próbowali to naprawić. Pierwszym krokiem było porozumienie, a nie było to łatwe. To zadanie zajęło wiele czasu — przynajmniej dla Heechów, choć dla mieszkańców breji minął niezmiernie krótki czas, zanim twardy, gorący ośmiokątny stożek wślizgnął się ostrożnie na środek habitatu. Prawie natychmiast też przemówił do nich językiem, który dał się rozpoznać jako ich własny, choć był zabawnie niegramatyczny.

Wszystkie te zdarzenia rozegrały się ze zdumiewającą prędkością — dla mieszkańców breji. Dla Heechów, obserwowanie ich codziennego życia przypominało obserwację wzrostu porostów. Sam Kapitan odwiedził ich planetę, będącą gazowym olbrzymem — nie był wtedy jeszcze kapitanem, raczej kimś, kogo można określić stewardem, młody, pełen wigoru i zapału do przygód, z tym znaczącym, ostrożnym optymizmem Heechów w stosunku do bezgranicznej przyszłości, która tak przerażająco na nich spadała. Gazowy gigant nie był jedynym bajecznie ekscytującym miejscem, jakie odwiedził młody Heech. Był także na Ziemi, gdzie

spotkał australopiteki, pomagał nanosić na mapy chmury gazowe i kwazary, przewoził załogi na placówki i budowy. Mijały lata. Mijały dziesięciolecia. Powolna praca polegająca na tłumaczeniu przekazów mieszkańców breji posunęła się do przodu. Mogłaby posuwać się jeszcze szybciej, gdyby Heechowie uważali ją za ważną, ale tak nie było. W żadnym wypadku nie mogła przebiegać znacznie szybciej, gdyż nie było to możliwe ze strony mieszkańców breji.

Ale była to praca interesująca z antykwarycznego i turystycznego punktu widzenia, bo mieszkańcy breji istnieli od bardzo, bardzo dawna. Ich chłodna biochemia była około trzysta razy wolniejsza niż u Heechów czy ludzi. Udokumentowana historia Heechów sięgała wstecz jakieś pięć czy sześć tysięcy lat — mniej więcej tyle, co w przypadku ludzkości na tym samym poziomie technologicznym. Udokumentowana historia mieszkańców breji liczyła sobie trzysta razy tyle. Były tam uporządkowane, datowane informacje historyczne z okresu dwóch milionów lat. Najwcześniejsze baśnie ludowe i sagi były dziesięciokrotnie starsze. Tłumaczenie ich nie było trudniejsze niż tych nowszych, gdyż język mieszkańców breji ewoluował równie wolno, co oni sami, ale zbiorowe umysły, które je tłumaczyły, nie uznały ich za szczególnie interesujące. Odłożyły pracę nad przekładem... aż odkryły, że dwie z nich opowiadają o odwiedzinach z kosmosu.

Kiedy pomyślę o tych wszystkich latach, przez które ludzka rasa żyła w irytującym poczuciu niższości — gdyż Heechowie osiągnęli tak dużo więcej od nas i udało im się to o tyle wcześniej — żałuję wielu rzeczy. Najbardziej żałuję chyba tego, że nie wiedzieliśmy o tych Dwóch Sagach. Nie mam tu na myśli znajomości samych sag, gdyż ta zapewniłaby nam najwyżej jedno zmartwienie więcej, choć byłoby ono kojąco odległe. Mam tu raczej na myśli to, co zrobiły z morale Heechów.

Robin nie opowiada dużo o załodze żaglowca, głównie dlatego, że wtedy jeszcze wiele o nich nie wiedział. Szkoda. Są interesujący. Ich język składał się z jednosylabowych wyrazów — jedna spółgłoska, jedna samogłoska. Mieli do dyspozycji gdzieś z pięćdziesiąt rozróżnialnych spółgłosek oraz czternaście samogłosek i dyftongów, mieli zatem dla jednostek trzy sylabowych, jak imiona, $3,43 \times 10^8$ możliwych kombinacji. To było dużo, szczególnie w przypadku imion, gdyż oznaczało parę rzędów wielkości więcej niż kiedykolwiek mieli samców, którym musieli nadać imiona, a samicom imion nie nadawali.

Kiedy samiec zapłodnił samicę, pojawiał się osobnik męski. Działo się to rzadko, gdyż było to związane z olbrzymim wydatkiem energii. Niezapłodnione samice wydawały na świat samice, czyniąc to mniej lub bardziej regularnie. Wydanie na świat samca kosztowało je życie. Nie zdawały sobie z tego sprawy — ani tak naprawdę z innych spraw też nie. W sagach istot z żaglowca nie ma historii o miłości.

Pierwsza z pieśni powstała u zarania cywilizacji mieszkańców breji i była dość niejednoznaczna. Opowiadała o odwiedzinach bogów. Przybyli oni, świecąc tak jasno, że nawet szczątkowe narządy wzroku brejowców były w stanie ich zobaczyć — świecili takimi zawirowaniami energii, że ciekłe gazy zaczęły bulgotać i gotować się, a wielu osobników zginęło. Niczego więcej nie zrobili, odlecieli i już nigdy nie wrócili. Sama pieśń nie miała większego znaczenia. Nie zawierała żadnych szczegółów, które Heechowie mogliby uznać za wiarygodne i w większości traktowała o pewnym pra-brejowym bohaterze, który ośmielił się wystąpić przeciwko najeźdźcom i w nagrodę uzyskał panowanie nad całym mglistym sektorem ich planety.

Druga pieśń zawierała już więcej szczegółów. Datowano ją miliony lat później — prawie w okresie historycznym. Także opiewała przybyszy spoza ich gęstego macierzystego świata, ale nie byli oni jedynie turystami. Nie byli też najeźdźcami. Opadli na pogrążoną w mgłach powierzchnię w jednym statku, który, jak się wydawało, był kiepsko wyposażony do przeżycia w środowisku będącym dla nich zimną, gęstą trucizną.

Ukryli się tam. Zostali tam dość długo, według ich standardów — ponad sto lat. Był to wystarczający okres czasu, żeby mieszkańcy breji odkryli ich, a nawet nawiązali jakąś formę kontaktu. Przybysze zostali zaatakowani przez obcych zabójców, którzy płonęli jak ogień, używając broni, które miażdżyły i paliły. Ich ojczysta planeta została wypalona do czysta. Wszystkie posiadane przez nich statki kosmiczne zostały schwytane i zniszczone.

A później, kiedy całe pokolenia uciekinierów zdołały przetrwać i nawet się rozmnożyć, przyszedł kres. Płonący Asasyni znaleźli ich i wygotowali całe wielkie, płytkie, brejowate morze metanu do sucha, żeby tylko ich zniszczyć.

Kiedy Heechowie usłyszeli tę pieśń, być może uznali ją za bajkę, z wyjątkiem jednego określenia. Nie było one łatwe do przetłumaczenia, gdyż musiało przetrwać niedoskonałe formy porozumienia z uciekinierami i okres ponad dwóch milionów lat. Ale przetrwało.

To właśnie ono spowodowało, że Heechowie rzucili wszystko, czym się zajmowali i skoncentrowali się na jednym jedynym zadaniu: weryfikacji starej sagi. Zaczęli szukać ojczystej planety uciekinierów i znaleźli ją — planetę wyżarzoną na popiół, jakby eksplodowało przy niej słońce. Szukali artefaktów innych cywilizacji, które podbiły kosmos — i znaleźli je. Nie było ich wiele. I w kiepskim stanie. Ale znaleźli ponad czterdzieści fragmentów częściowo stopionych maszyn i za pomocą metod opartych na izotopach datowali je na dwie oddzielne epoki. Jedna z nich była zbieżna z okresem, w którym uciekinierzy udali się na brejowatą planetę. Druga była starsza o wiele milionów lat.

Heechowie doszli do wniosku, że te opowieści były prawdziwe: istniała rasa Asasynów, która niszczyła wszystkie cywilizacje, które odbywały loty w kosmos, jakie tylko udało jej się znaleźć, przez ponad dwadzieścia milionów lat.

I Heechowie nabrali przekonania, że Asasyni ciągle gdzieś są. Gdyż określenie, które tak trudno było przetłumaczyć, opisywało rozszerzanie się niebios i cofnięcie tego procesu przez istoty używające płomieni, tak potężne, że gwiazdy i galaktyki z powrotem zbijały się razem. W jakimś celu. Trudno było uwierzyć, że ci tytani, bez względu na to, kim byli, nie pojawią się znowu by zobaczyć skutki zapoczątkowanego przez nich procesu.

I wspaniały sen Heechów legł w gruzach, a mieszkańcy breji zaśpiewali nową pieśń: pieśń o Heechach, którzy przybyli, poznali strach i odlecieli.

Heechowie rozstawili więc sidła, ukryli większość dowodów na swoje istnienie i wycofali się do kryjówki w jądrze Galaktyki.

W pewnym sensie mieszkańcy breji również byli sidłami. LaDzhaRi wiedział o tym; wszyscy wiedzieli; dlatego też postąpił zgodnie z nakazem przodków i poinformował o pierwszym dotknięciu jego umysłu przez inny. Spodziewał się odpowiedzi, choć minęły już lata, nawet według rachuby czasu LaDzhaRi'ego, od ostatniego znaku życia od Heechów, a następnie szybkiego dotknięcia rutynowego badania TNP. Spodziewał się także, że odpowiedź, kiedy już nadejdzie, nie będzie mu się podobała. Cały epicki wysiłek dążący do zbudowania i wystrzelenia statku międzygwiazdowego, całe wieki strawione na podróż, mającą trwać tysiąclecia — poszły na marne! Zgoda, że lot trwający tysiące lat dla LaDzhaRi'ego nie był niczym bardziej niezwykłym niż wyprawa na wieloryby dla kapitana z Nantucket, ale wielorybnik też nie byłby zachwycony, gdyby ktoś zabrał go ze środka Pacyfiku i odstawił do domu bez żadnej zdobyczy. Cała załoga była zmartwiona. Podniecenie na żaglowcu było tak wielkie, że niektórzy z załogantów niechętnie weszli w tryb wysoki; mętna ciecz była tak wzburzona, że zaczęły się tworzyć bąble kawitacji. Jedna z samic zginęła. Jeden z samców, TsuTsuNga, uległ takiej demoralizacji, że zaczął obłapiać drugą z pozostałych samic, i to wcale nie w zamiarze zjedzenia jej.

— Proszę, nie zachowuj się głupio — prosił LaDzhaRi. Zapłodnienie samicy było dla samca tak wielkim wydatkiem energii, że czasem stanowiło zagrożenie dla jego życia. W przypadku samic nie było to *zagrożenie* — wydanie na świat potomka po zapłodnieniu kosztowało je życie, ale nie wiedziały o tym — ani o niczym innym, tak naprawdę. Ale TsuTsuNga rzekł spokojnie:

— Jeśli nie mogę stać się nieśmiertelny dzięki podróży do innej gwiazdy, to przynajmniej spłodzę syna.

— Nie! Proszę! Pomyśl, przyjacielu — błagał LaDzhaRi — możemy wrócić do domu, jeśli tego zapagniemy. Możemy wrócić jako bohaterowie do naszych sadyb, możemy śpiewać nasze pieśni, by usłyszał je cały świat — gdyż breja ich macierzystego świata przenosiła dźwięki równie dobrze jak morze, a ich pieśni docierały tak daleko, jak śpiewy ziemskich wielorybów.

Robin nie wyjaśnił zbyt dobrze, czego tak bali się Heechowie. Wydedukowali oni, że celem zmuszenia całego wszechświata, by się znów skurczył, było przywrócenie go do stanu pierwotnego atomu — wtedy to miałby nastąpić kolejny Wielki Wybuch, dający początek nowemu wszechświatowi. Wydedukowali również, że wówczas prawa fizyki, którymi rządzi się wszechświat, rozwiną się zupełnie inaczej.

Najbardziej przerażała ich myśl o istotach, które uważały, że będą bardziej szczęśliwe we wszechświecie o innych prawach fizyki.

TsuTsuNga dotknął LaDzhaRi'ego szybko, prawie z pogardą, a co najmniej z lekceważeniem.

— Żadni z nas bohaterowie! — odparł. — Odejdź i pozwól mi załatwić tę samicę.

I LaDzhaRi niechętnie puścił go i przysłuchiwał się cichnącym odgłosom, gdy się oddalał. To była prawda. W najlepszym razie będą bohaterami, którym się nie udało.

Załoga żaglowca nie była pozbawiona ludzkich cech, takich jak na przykład duma. Nie zachwycało ich, że są dla Heechów — czym? Niewolnikami? Niezupełnie, gdyż jedyną działalnością, jakiej od nich wymagano, było informowanie, poprzez komunikator z zaszyfrowaną wiązką, o wszelkich dowodach na istnienie kosmicznej inteligencji. Chętnie zrobiliby to z własnej inicjatywy, nawet chętniej, niż dla Heechów. Jeśli nie byli niewolnikami, to czym w takim razie?

Istniało tylko jedno właściwe słowo: zwierzątkami.

Psychika rasy mieszkańców breji nosiła więc skazę, której nigdy nie wymażą, bez względu na to, jakie to międzygwiazdne odległości pokonają w swoich olbrzymich, powolnych międzygwiazdnych żaglowcach. Wiedzieli, że są zwierzątkami. To nie był pierwszy raz. Długo przed przybyciem Heechów zaliczali się do dóbr ruchomych rasy, która nie była podobna ani do Heechów, ani do ludzi, ani do nich samych; a kiedy całe pokolenia wcześniej ich piewcy prawdy wygłosili starożytne sagi o tej rasie do słuchających maszyn Heechów, uwadze mieszkańców breji nie umknęło, że Heechowie uciekli. Bycie zwierzątkiem nie było takie złe.

Miłość i strach były więc wszechobecne we wszechświecie. Dla miłości (albo dla tego, co wśród mieszkańców breji uchodziło za miłość) TsuTsuNga nadwreżył swoje zdrowie i zaryzykował życie. Marząc o miłości, leżałem w mojej komorze szpitalnej, budząc się codziennie na mniej niż godzinę, a moje kupione w sklepie bebechy dogadywały się z resztą mojego ciała. Przerażony miłością Kapitan widział, jak Dwakroć chudnie i ciemnieje.

Stan Dwakroć nie poprawił się od chwili, gdy bąbel transportowy wyruszył w drogę. Koniec nastąpił zbyt późno. Najbardziej zbliżony do medycznej profesji był Wybuch, specjalista od przebijania czarnych dziur, ale nawet w domowych

warunkach, przy najlepszej opiece, niewiele osobników żeńskich mogło przeżyć nieodwzajemnioną miłość połączoną ze straszliwym wysiłkiem.

Nie było dla Kapitana zaskoczeniem, gdy pojawił się załamany, rozżalony Wybuch i oświadczył:

— Przykro mi. Właśnie łączy się ze zbiorowymi umysłami.

Miłość nie jest tanim towarem. Niektórzy z nas mogą jej doświadczyć i nigdy nie zobaczą rachunku, ale tylko wtedy, gdy ktoś inny zrealizuje czek.

Rozdział 14.

Nowy Albert

Wszyscy spiskowali przeciwko mnie — nawet moja żona oraz zaufany program do wyszukiwania danych. W krótkich chwilach, kiedy pozwalali mi obudzić się, dawali mi wolny wybór.

— Możesz iść do szpitala i przejść pełne badania — rzekł Albert, ssąc z namiętności swoją fajkę.

— Albo możesz tak sobie spać, dopóki nie poczujesz się całkiem dobrze — powiedziała Essie.

— Aha — odparłem. — Tak właśnie myślałem! Trzymaliście mnie uśpionego, tak? I pewnie już minęły całe wieki od dnia, kiedy mnie uśpiliście i pozwoliliście pociąć.

Essie unikała mojego wzroku. Rzekłem z godnością:

— Nie obwiniam cię o to, ale czy nie rozumiesz, że chciałbym sprawdzić to, co znalazł Walthers? Nie potrafisz tego zrozumieć?

Essie nadal nie patrzyła mi w oczy. Patrzyła z niechęcią na hologram Alberta Einsteina.

— On coś jest dzisiaj dziwnie ożywiony. Na pewno porządnie draba znieczuliłeś? Obraz Alberta zakaszłał.

— Tak naprawdę, pani Broadhead, program medyczny zalecił, żeby teraz już nie podawać zbędnych leków.

— Och, Boże! Nie będzie spał, tylko marudził dzień i noc! Koniec z tym, Robinie, jutro lądujesz w klinice. A przez cały czas, kiedy tak na mnie warczała, trzymała rękę na mojej szyi, głaszcząc; słowa mogą kłamać, ale dotyk miłości zawsze się czuje.

Rzekłem więc spokojnym głosem:

— Załatwmy to żydowskim targiem. Ja pójdę do kliniki i zrobię mi komplet badań, a jeśli wyniki będą dobre, dasz sobie spokój z wyklócaniem się o mój lot w kosmos.

Essie zamilkła, rozważając wszystko uważnie, zaś Albert spojrzął na mnie z uniesionymi brwiami.

— Myślę, że popełniasz błąd, Robinie.

— Taki już los nas, ludzkich istot, żeby popełniać błędy. Co jest na obiad?

Widzicie, tak sobie wymyśliłem, że jeśli będę przejawiał spory apetyt, wezmą to za dobry znak i chyba faktycznie tak się stało. Wyliczyłem sobie także, że mój nowy statek będzie gotowy dopiero za parę tygodni, więc i tak nie było powodu do pośpiechu — nie miałem zamiaru lecieć jakąś rozlatującą się, cuchnącą Piątką, kiedy zaraz miałem dostać własny jacht. Ale nie wymyśliłem jednego: że zapomniałem, jak bardzo nienawidzę szpitali.

Kiedy Albert mnie badał, mierzył moją temperaturę za pomocą pomiaru promieniowania podczerwonego, wykonywał skan moich oczu pod kątem przejrzystości, przeszukiwał skórę szukając uszkodzeń zewnętrznych, jak pęknięte naczynia krwionośne, przepuszczał ultradźwięki przez mój tors, oglądając organy wewnętrzne, badał próbki, które pozostawiłem po sobie w toalecie, próbując wykryć zakłócenia równowagi biochemicznej i zliczając bakterie. Albert nazywał te procedury nieinwazyjnymi. Ja określałem je jako uprzejme.

Procedury diagnostyczne w klinice nie zadawały sobie trudu, żeby być uprzejme. W rzeczywistości nie były bolesne. Powierzchnię mojej skóry znieczulano, zanim wniknięto w głąb, a kiedy już przebijesz się przez powłokę zewnętrzną, to w środku nie ma zbyt wiele końcówek nerwów, którymi należałoby się przejmować. Czulem tylko mrowienie, nacisk i łaskotanie. Ale w dużych ilościach, a poza tym wiedziałem, co się tam dzieje. Cienkie jak włos światłowody grzebały we wnętrzu mojego brzucha. Ostre jak igły pipety wysysały ze mnie strzępki tkanek do analizy. Strzykawki pobierały próbki moich płynów ustrojowych; sprawdzano szwy, oceniano blizny. Cała procedura nie trwała dłużej niż godzinę, ale miało się wrażenie, że trwa wieczność i szczerze mówiąc, wolałbym w tym czasie robić co innego.

Potem pozwolili mi się ubrać i mogłem usiąść na wygodnym krześle w obecności lekarza, który był żywym człowiekiem. Pozwoli nawet przysiąść się Essie, ale nie dano jej szansy na zabranie głosu. To ja odezwałem się pierwszy.

— I co pan powie, doktorze? — spytałem. — Jak szybko będę mógł polecieć w kosmos? Nie mam na myśli rakiet, mówię o pętli Lofstroma, równie szkodliwej co winda. Widzi pan, pętla jakoś ciągnie nas wzdłuż magnetycznej wstęgi. . .

Doktor uniósł rękę. Był krępy, siwym człowieczkiem przypominającym świętego Mikołaja, ze schludną, krótko przyciętą bródką i jasnoblękitnymi oczami.

— Wiem, co to jest pętla Lofstroma.

— Cieszy mnie to nad wyraz. Więc?

— Więc — rzekł — zwykła praktyka zakłada, że po takiej operacji, jaką pan przeszedł, należy unikać wszelkich takich rzeczy przez jakieś trzy do czterech tygodni, ale. . .

— Och, nie! Doktorze, nie! — odezwałem się. — Proszę! Nie chcę snuć się bez sensu przez prawie miesiąc!

Spojrzał na mnie, a potem na Essie, która nie patrzyła mu w oczy. Uśmiechnął się.

— Panie Broadhead — zaczął — powinien pan dowiedzieć się o dwóch rzeczach. Po pierwsze, w pewnych przypadkach pożądane jest przetrzymywanie rekonwalescenta w stanie uśpionym przez pewien okres czasu. Dzięki elektrycznie stymulowanym ćwiczeniom mięśni, masażom, dobrej diecie i właściwej opiece pielęgniarskiej, nie ma zaburzeń w funkcjonowaniu organizmu, a systemowi nerwowemu pacjenta lepiej to znieść. Wszystkim innym też.

— Tak, tak — odparłem, niezbyt zainteresowany. — A po drugie?

— Po drugie, pańska operacja odbyła się czterdzieści trzy dni temu. Może pan robić co tylko chce. Jazdę pętlą też pan może odbyć.

Były takie czasy, kiedy droga do gwiazd wiodła przez Gujanę, Bajkonur albo Przylądek Canaveral. Trzeba było spalić wodoru za milion dolarów, żeby dostać się na orbitę i tam przesiąść na coś lecącego dalej. Teraz mieliśmy pętle startowe Lofstroma rozmieszczone wzdłuż równika, olbrzymie, przypominające pajęczne sieci konstrukcje, niewidoczne dopóki człowiek nie znalazł się prawie koło nich, — no, w promieniu dwudziestu kilometrów, czyli w otaczającym je polu lądowania. Patrzyłem na nią z przyjemnością i dumą, kiedy ją okrążyliśmy i podchodziliśmy do lądowania. Na fotelu obok mnie Essie marszczyła czoło i mruzczała coś do siebie, obmyślając jakieś przedsięwzięcie — nowy rodzaj programowania albo plan emerytalny dla pracowników Big Chon — nie potrafiłem powiedzieć, który z nich, bo mówiła po rosyjsku. Na opuszczanej konsoli przede mną Albert demonstrował mój nowy statek; schemat obracał się powoli, a on recytował dane statystyczne dotyczące pojemności, wyposażenia, masy i wygód. Ponieważ wpakowałem w tę zabawkę parę milionów dolarów i mnóstwo czasu, wykazywałem pewne zainteresowanie, ale mniejsze niż dla tego, co miało nastąpić później.

— Później, Albercie — zarządziłem, a on posłusznie się zwinął. Wyciągnąłem szyję, żeby cały czas widzieć pętlę, kiedy się do niej zbliżaliśmy. Na samej górze wyrzutni widziałem niewyraźnie kapsuły przyspieszające do 3g i zgrabnie, lekko oddzielające się od konstrukcji w najwyższym punkcie równi, by zniknąć w przestworzach. Piękne! Bez chemikaliów, bez spalania, bez szkód w warstwie ozonowej. Nie było nawet strat energii, z jakimi wiązał się start lądownika Heechów; niektóre rzeczy umieliśmy robić lepiej od nich!

Były takie czasy, kiedy wydostanie się na orbitę nie wystarczało, a potem trzeba było odbyć długą, powolną podróż trasą Hohmanna na asteroid Gateway. Zwykle miało się gacie pełne strachu, bo wiedziałeś, że poszukiwacze z Gateway częściej giną niż zostają bogaci; bo chorowałeś na chorobę kosmiczną, wciśnięty w kąt i skazany na przebywanie w tym międzyplanetarnym pierdłu przez tydzień albo miesiąc, zanim dotarłeś na asteroid; a głównie dlatego, że zaryzykowałeś

wszystkim, co posiadałeś albo co zdołałeś pożyczyć, żeby za to zapłacić. Teraz wyczarterowany Heech Trzy czekał na nas na niskiej orbicie nad Ziemią. Mogliśmy przesiąść się ze statku na statek w codziennych ubraniach i już być w drodze do dalekich gwiazd, zanim skończyliśmy trawić ostatni posiłek zjedzony na Ziemi — to znaczy mogliśmy, gdyż mieliśmy wystarczającą władzę i pieniądze, żeby sobie na to pozwolić.

Były takie czasy, kiedy podróż w międzygwiazdą nicość przypominała granie w rosyjską ruletkę. Jedyna różnica polegała na tym, że jeśli los był dla ciebie łaskawy, to co znajdowałeś na końcu podróży, czyniło cię niebywale bogatym — i coś takiego zdarzyło się mnie. Ale przeważnie znajdowało się śmierć.

— Znacznie lepiej jest teraz — westchnęła Essie, kiedy wypęziliśmy z samolotu i staliśmy, mrugając oczami, w gorącym południowoamerykańskim słońcu.

— Zaraz, gdzie jest ta cholerna furgonetka z tego podłego hotelu?

Nie skomentowałem tego, że czytała mi w myślach. Przyzwyczailem się już przez cały okres naszego małżeństwa. Tak czy inaczej, to nie była telepatia; właśnie o czymś takim myślałby każdy człowiek, gdyby robił to co my wtedy robiliśmy.

— Szkoda, że Audee Walthers nie leci z nami — powiedziałem patrząc na pętlę startową. Byliśmy jeszcze kawał drogi od niej na dalekim brzegu jeziora Tehigualpa. Widziałem, jak pętla odbija się w jego wodach, błękitem na środku jeziora, zielono-żółto przy brzegu, gdzie uprawiano jadalne wodorosty i był to śliczny widok.

— Skoro chciałeś, żeby z tobą leciał, nie trzeba było mu dawać dwóch milionów, żeby miał za co ścigać swoją żonę — rzekła Essie praktycznie, po czym spytała, przyglądając mi się bliżej: — Jak się czujesz?

— Całkowicie zdrow jak ryba — odparłem. Nie było to szczególnie dalekie od prawdy. — Przestań się już o mnie martwić. Jak się ma Pełny Serwis Medyczny, to nie pozwolą ci umrzeć zanim osiągniesz setkę, bo to przynosi straty.

— Nie będą mieli wiele do powiedzenia — rzekła ponuro — jeśli ich klient będzie bezmyślnym *desperado* tracącym czas na uganianie się za jakimś domniemanym Heechem! Nic to — dodała, rozchmurzając się — jest furgonetka z naszej spelunki, wskakuj.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, pochyliłem się pocałowałem ją w tył szyi — nie było to trudne, bo splotła włosy i przełożyła je do przodu jak naszyjnik — przygotowując się do startu, rozumiecie. Oddała mi pocałunek.

— Swołocz. — Westchnęła. — Ale kochana swołocz.

Hotel tak naprawdę wcale nie był spelunką. Dostaliśmy wygodny apartament na ostatnim piętrze, z widokiem na jezioro i pętlę. Poza tym mieliśmy tu spędzić tylko parę godzin. Zostawiłem Essie, żeby wklepywała swoje programy na hotelowym piezowizorze, a ja powędrowałem do okna, powtarzając sobie rozpustnie, że przecież tak naprawdę wcale nie byłem swołoczą. Nie była to jednak prawda,

gdyż odpowiedzialny starszy pan z pewnym majątkiem i pozycją nie powinien się tak zachowywać — to jest robić wypadów w przestrzeń kosmiczną dla samej rozrywki i frajdy, jaką z tego czerpał.

Przyszło mi do głowy, że Essie może zupełnie inaczej pojmować moje motywy. Może być przekonana, że szukam czegoś zupełnie innego.

Przyszło mi do głowy, że moje własne przekonanie jest zupełnie fałszywe. Czy ja rzeczywiście poszukiwałem Heechów? Pewnie, że tak, albo: to możliwe — wszyscy byli bardzo zafascynowani Heechami. Ale nie każdy z nich zostawił coś w przestrzeni międzygwiazdnej. Czy to możliwe, że gdzieś w najgłębiej ukrytej części mojego umysłu, czymś, co mnie tak gnało, była nadzieja na to, że jakoś, gdzieś, znów znajdę to, co straciłem? Wiedziałem, co to jest. Nie wiedziałem tylko, co z tym -czy może raczej z nią — zrobię, jeśli ją odnajdę.

I wtedy poczułem w środku coś w rodzaju drżenia, „niezupełnie bólu”. Nie miało to związku z moimi dwoma i trzema dziesiątymi metra nowego jelita. Miało to związek z nadzieją albo strachem, że w jakiś sposób Gelle-Klara Moynlin znów pojawi się w moim życiu. Uczucie było znacznie silniejsze, niżbym przypuszczał. Łzy napłynęły mi do oczu tak, że pajęcza konstrukcja pętli wyglądała, jakby rozpadała się w moich oczach.

Ale nagle w moich oczach nie było łez.

I to nie było złudzenie optyczne.

— Mój Boże! — wrzasnąłem. — Essie! — Podbiegła, stanęła obok mnie i patrzyła na błysk światła pochodzący od kapsuły na równi startowej i na to, jak cała pajęcza konstrukcja trzęsie się i pęka. Potem dobiegł do nas hałas — pojedynczy słaby huk przypominający daleki wystrzał z armaty, a potem niski, powolny, długi grzmot, kiedy olbrzymia pętla rozpadała się na kawałki.

— Mój Boże — powtórzyła słabo Essie, chwytając mnie za rękę. — Terrorysty? — A potem odpowiedziała sama sobie. — Oczywiście, że terrorysty — rzekła gorzko. — Któż inny mógłby być tak przepelniony złem?

Otworzyłem okna, żeby mieć lepszy widok na pętlę i jezioro; dobra rzecz, bo to znaczyło, że szyby nie wyleciały. Inne okna w naszym hotelu nie miały tyle szczęścia. Samo lotnisko nie ucierpiało, jeśli nie liczyć przypadkowego samolotu, który wyleciał w powietrze, bo nie był przymocowany. Ale zarząd lotniska był przerażony. Nie miał pojęcia, czy zniszczenie pętli startowej było pojedynczym aktem sabotażu terrorystów czy początkiem rewolucji — nikt nawet nie pomyślał, że mógł to być po prostu wypadek. No dobrze, to było przerażające. Pętla Lofstroma ma olbrzymią energię kinetyczną, ponad dwadzieścia kilometrów startowej wstęgi ważącej jakieś pięć tysięcy ton, poruszającej się z prędkością ponad dwunastu kilometrów na sekundę. Z ciekawości spytałem potem Alberta i doniósł mi, że uruchomienie jej wymaga $3,6 \times 10^{14}$ dżuli. Jeśli jeden z elementów zawiedzie, cała ta energia uwalnia się od razu, w taki czy inny sposób.

Spytałem o to Alberta później, gdyż wtedy nie mogłem tego uczynić. Oczywiście, pierwszą rzeczą, jaką próbowałem zrobić, było włączenie go albo dowolnego innego programu do wyszukiwania danych, żeby powiedział mi, co się dzieje. Obwody komunikacyjne były przeciążone; byliśmy odcięci. Piezowizja nadal jednak działała, więc staliśmy i patrzyliśmy, jak rośnie chmura o kształcie grzyba i słuchaliśmy doniesień o zniszczeniach. Jeden z wahadłowców właśnie przyspieszał na wstędze, gdy nastąpił wybuch — to była ta pierwsza eksplozja, być może miał on bombę na pokładzie. Trzy inne nastąpiły na bocznicach ładunkowej. Ponad dwustu ludzi zamieniło się w mielone mięso, nie licząc tych, których jeszcze nie policzono, a którzy pracowali na samej pętli, przebywali w sklepach bezcłowych i barach pod nią albo po prostu się tam przechadzali.

— Szkoda, że nie mogę połączyć się z Albertem — mruknąłem do Essie.

— Jeśli o to chodzi, drogi Robinie — zaczęła niepewnie mówić Essie, ale nie skończyła, gdyż rozległo się pukanie do drzwi; czy señor i señora zechcieliby zejść natychmiast do Sali Bolívara, *por favor*, to sprawa najwyższej wagi.

Sprawą najwyższej wagi była kontrola policyjna — nigdy nie widziałem takiej kontroli paszportów. Sala Bolívara była tego rodzaju pokojem konferencyjnym, który dzieli się, kiedy mają się odbywać narady, a otwiera przed wielkimi bankietami i jedna z części oddzielonych przepierzeniem była wypełniona *turistas* takimi, jak my, wielu z nich siedziało na swoich bagażach, a wszyscy wyglądali na zdegustowanych i wystraszonych. Im kazano czekać. Nam nie. Boy hotelowy, który nas przyprowadził, miał na ramieniu opaskę z literami „S.E.R.”; odstawił nas na podium, gdzie policjant porucznik przestudiował krótko nasze paszporty, a potem je nam oddał.

— Señor Broadhead — powiedział po angielsku z doskonałym akcentem, z pobrzmiwającymi tonami amerykańskiego Środkowego Zachodu — czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ten akt terroryzmu w istocie mógł być wymierzony personalnie w pana?

Spojrzałem na niego z głupią miną.

— Nie, aż to tej chwili — zdołałem wykrztusić.

Skinął głową.

— Tak czy inaczej — kontynuował, dotykając wydruku z piezofonu swą małą, zgrabną dłońią — otrzymaliśmy z Interpolu raport o próbie zamachu na pana życie, która miała miejsce zaledwie dwa miesiące temu. Całkiem dobrze zorganizowana. *Commissaris* z Rotterdamu podkreśla, że nie był to przypadek losowy i że mogą nastąpić kolejne próby.

Nie wiedziałem co powiedzieć. Essie pochyliła się do przodu.

— Proszę mi powiedzieć, *Teniente* — rzekła z szacunkiem — czy to pańska teoria?

— Ach, moja *teoria*. Chciałbym mieć jakąś teorię — odparł ze złością. — Terroryści? Bez wątplenia. Atak na państwa? To możliwe. Jest bardziej niż możliwe,

bo o ile wiem, na obszarach wiejskich odnotowano wzrost niezadowolenia; niektóre raporty — powiem państwu w zaufaniu — twierdzą nawet, że pewne kręgi wojskowe szykują zamach stanu. Skąd mogę wiedzieć? Zadam więc państwu kilka niezbędnych pytań, na przykład, czy widzieliście kogoś, kogo obecność uderzyła was jako podejrzana czy nieprzypadkowa? Nie? Czy mają państwo jakieś podejrzenia w kwestii tego, kto mógł próbować pana zabić w Rotterdamie? Czy potrafi pan rzucić nieco światła na ten straszliwy uczynek?

Pytania następowały tak prędko po sobie, że chyba nieszczególnie spodziewał się odpowiedzi, ani też ich się nie domagał. To martwiło mnie prawie tak bardzo, jak zniszczenie samej pętli; była to refleksja nad tym, co widziałem i wyczuwałem na całym świecie. Jakiś rodzaj rozpaczliwej rezygnacji, jakby wszystko miało wyglądać coraz gorzej i nie było żadnego sposobu, żeby to poprawić. Czułem się z tym bardzo nieswojo.

— Chcielibyśmy już pójść i przestać panu zawracać głowę — powiedziałem — jeśli więc nie ma pan więcej pytań. . .

Zamilkł na chwilę nim odpowiedział i po chwili znów wyglądał na kogoś, kto zna się na swojej robocie.

— Chciałem prosić państwa o przysługę, Señor Broadhead. Czy byłoby możliwe wypożyczenie państwa samolotu na dzień lub dwa? To dla rannych — wyjaśnił — bo nasz własny szpital ogólny znalazł się na trasie spadających lin pętli.

Muszę ze wstydem przyznać, że się zawahałem, ale Essie nie.

— Ależ oczywiście, że tak, *Teniente* — rzekła. — Tym bardziej, że tak czy inaczej musimy dokonać rezerwacji na inną pętlę, zanim będziemy wiedzieli dokąd dalej jedziemy.

Rozpromienił się.

— To akurat, szanowna señora, możemy załatwić dzięki wojskowym kanałom komunikacyjnym. I proszę przyjąć najserdeczniejsze podziękowania za państwa hojność!

Usługi w mieście działały coraz gorzej, ale kiedy wróciliśmy do apartamentu, na stołach stały świeże kwiaty oraz kosz z owocami i wino, którego wcześniej tam nie było. Okna były pozamykane. Kiedy je otworzyłem, zrozumiałem czemu. Jezioro Tehigualpa przestało być jeziorem. Było po prostu zbiornikiem — pochłaniaczem ciepła, w który wstęga miała opaść w przypadku katastrofalnej awarii pętli, w której zaistnienie nikt i tak nie wierzył. A ponieważ zaistniała, jezioro wygotowało się i stało błotnistym brodzikiem. Mgła okrywała samą pętlę, a smród gotującego się błota zmusił mnie do szybkiego zamknięcia okna.

Wypróbowaliśmy obsługę hotelową. Działała. Podali nam bardzo smaczny obiad, przepraszając tylko, że nie mogą wysłać do nas swojego sommeliera, żeby zdekantował nasze Bordeaux — służył w „Los Sendcias emergencias de la Republica” i wezwano go na posterunek. Podobnie stało się w przypadku pokojówek zwykle obsługujących nasze piętro, ale nam obiecano, że stała pokojówka dla

naszego piętra zjawi się za jakąś godzinę, żeby rozpakować nasze bagaże, które tymczasem stały pod ścianami w foyer.

Jestem bogaty, no dobrze, ale nie jestem zepsuty. A przynajmniej nie wydaje mi się, żebym był. Ale lubię, jak mnie obsługują, zwłaszcza, gdy to robią znakomite programy komputerowe, które Essie napisała dla mnie przez te wszystkie lata.

— Tęsknię za Albertem — powiedziałem, patrząc na mglisty nocny krajobraz.

— Nie potrafisz sobie znaleźć nic do roboty bez swoich zabawek, co? — skarciła mnie Essie, ale widać było, że nad czymś się zastanawia. Cóż. W tej dziedzinie także nie jestem zepsuty, ale kiedy Essie wydaje się mieć coś na myśli, przeważnie konkluduję, że chce się ze mną kochać, a mnie też niewiele potrzeba, żeby chciało mi się tego samego. Od czasu do czasu przypominam sobie, że przez większą część historii ludzkości osoby w naszym wieku podchodziły do tych spraw znacznie mniej romantycznie i entuzjastycznie — cóż, miały pecha. Takie myśli nie gaszą mojego entuzjazmu. Zwłaszcza dlatego, że Essie jest, jaka jest. Oprócz Nobla dostawała już inne nagrody, od czasu do czasu pojawiała się także na liście Dziesięciu Najlepiej Ubranych Kobiet. Nobel był zasłużony; nagroda dla jednej z Dziesięciu Najlepiej Ubranych była moim zdaniem oszustwem. To, jak S. Ja. Broadhead wyglądała, nie miało nic wspólnego z rzeczami, które miała na sobie, a raczej z tym, na co te rzeczy nakładała. Teraz miała na sobie dopasowane spodnium, bladobłękitne, nie ozdobione; można je było kupić w każdym sklepie z przecenionymi rzeczami, a w nim też zdobyłaby tę nagrodę.

— Chodź tu na momencik, dobrze? — poprosiłem leżąc na wielkiej, długiej sofie.

— Maniak seksualny! Ha!

To „ha!” zabrzmiało jednak dość łagodnie.

— Tak tylko pomyślałem — odparłem — że nie mogę połączyć się z Albertem, a nic innego nie mamy do roboty. . .

— Och, Robinie — powiedziała potrząsając głową. Ale uśmiechała się. Ściągnęła usta w zamyśleniu. Potem powiedziała: — Powiem ci coś. Idź i przynieś z foyer małą torbę podrózną. Mam tam dla ciebie mały prezent, a potem zobaczymy.

Z torby wyłoniło się pudełko owinięte w srebrny papier, a w środku był wielki wachlarz modlitewny Heechów. Oczywiście nie był to prawdziwy wachlarz Heechów — miał inny rozmiar. Była to odmiana, którą Essie stworzyła na użytek własny.

— Pamiętasz Zmarłych i Życie Po Śmierci? — powiedziała. — Bardzo dobre było to oprogramowanie Heechów i stwierdziłam, że je ukradnę. Skonwertowałam dla ciebie stary program do wyszukiwania danych. Masz teraz w ręce gwarantowanego *prawdziwego* Alberta Einsteina.

Obróciłem wachlarz w dłoniach.

— *Prawdziwego Alberta Einsteina?*

— Och Robin, jaki ty jesteś dosłowny! Nie *prawdziwego* prawdziwego. Nie można wskrzeszać zmarłych, zwłaszcza takich, którzy nie żyją już od dawna. Ale prawdziwego pod względem osobowości, wspomnień, myśli — no, dość zbliżonego. Zaprogramowałam wyszukiwanie wszystkich możliwych danych o Einsteinie. Książki. Papiery. Korespondencja. Biografie. Wywiady. Zdjęcia. Wszystko. Nawet rozszyfrowane stare taśmy filmowe z czymś, co nazywali „kroniką filmową” nakręconą przez Pathe News na statku płynącym do Nowego Jorku, A.D. 1932. Wszystko tu wprowadziłam, więc teraz mówisz do Alberta Einsteina i Albert Einstein ci odpowiada! — Pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy. — Potem, możesz być tego pewien — pochwaliła się — dodałam trochę funkcji, których prawdziwy Albert Einstein nigdy nie miał. Kompletny kurs pilotażu statków Heechów. Aktualizacja wszelkich odkryć naukowych od A.D. 1955, kiedy to zmarł prawdziwy Albert. Nawet trochę prostszych funkcji z programu kucharskiego, sekretarskiego, prawniczego, medycznego. Na Sigfrida von Psychu nie było już miejsca, mam go na oddzielnym wachlarzu — rzekła przeprasza-
jąco — ale już nie potrzebujesz psychoanalizy, prawda, Robinie? Z wyjątkiem niewyjaśnionych luk w pamięci.

Patrzyła na mnie z wyrazem twarzy, który nauczyłem się rozpoznawać w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Wyciągnąłem rękę i przyciągnąłem Essie do siebie. — Dobrze, Essie, załatwmy to.

Usiadła mi na kolanach i zapytała niewinnie:

— Załatwmy co, Robinie? Czyżbyś znów mówił o seksie!?

— No, coś ty!

— Och... to nic takiego. Już dałam ci twój srebrny prezent.

— Co, ten program? — Rzeczywiście, był owinięty w srebrzysty papier... i nagle doznałem oświecenia. — Och, mój Boże! Zapomniałem o srebrnej rocznicy naszego ślubu, prawda? Kiedy... — szybko pomyślawszy, ugryzłem się jednak w język.

— Kiedy to było? — dokończyła za mnie. — Właśnie dziś. Dalej jest. To dziś, Robinie. Gratulacje i wszystkiego najlepszego, Robin, kochany.

Pocałowałem ją, przyznaję, w dużym stopniu po to, żeby zyskać na czasie, a ona oddała mi pocałunek, serio. Czując się podle, rzekłem:

— Essie, kochanie, strasznie przepraszam. Kiedy wrócimy, podaruję ci taki prezent, że włosy staną ci na głowie, obiecuję.

Ale ona przycisnęła nos do moich ust, żebyśmy przestał już gadać.

— Robin, nie musisz obiecywać — powiedziała, gdzieś na wysokości mojego jabłka Adama — bo przez te całe dwadzieścia pięć lat dałeś mi mnóstwo prezentów. Nie licząc tych paru lat, kiedy tak się po prostu włóczyliśmy razem. Pewnie — dodała, podnosząc głowę, żeby na mnie spojrzeć — teraz jesteśmy sami, tylko ty i ja, i łóżko w pokoju obok i jeszcze przez parę godzin tak będzie.

Więc jeśli naprawdę chcesz, żeby mi włosy na głowie stały przez twój prezent, to ja się chętnie piszę. Przypadkiem wiem, że masz coś dla mnie. I nawet w moim rozmiarze.

Fakt, że nie chciałem żadnego śniadania, postawił wszystkie systemy Essie w stan pełnej gotowości, ale wyjaśniłem, że chcę pobawić się moją nową zabawką. To była prawda. Prawdą było również, że nie zawsze jadałem śniadania i te dwie prawdy pozwoliły mi odesłać Essie do jadalni w pojedynkę, ale prawda ostateczna była taka, że moje jelito nie miało się całkiem dobrze i to przeważyło.

Wrzuciłem więc nowego Alberta do procesora, pojawił się szybki różowawy rozbłysk i oto był on, uśmiechający się do mnie promiennie.

— Cześć, Robinie — rzekł. — Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

— To było wczoraj — rzekłem, nieco rozczarowany. Nie sądziłem, że przyłąpię Alberta na głupich pomyłkach.

Potał nos ustnikiem fajki, mrugając do mnie spod krzaczastych brwi.

— Według czasu obowiązującego teraz na Hawajach — rzekł — jest właśnie, zaraz zobaczymy — udał, że patrzy na elektroniczny zegarek naręczny, który anachronistycznie wystawał mu spod wystrzępionego rękawa od pidżamy — dwudziesta trzecia czterdzieści dwie, Robinie, więc zostało jeszcze prawie dwadzieścia minut dnia twojej rocznicy. — Pochylił się, by podrapać się w kostkę. — Mam sporo nowych funkcji — oświadczył z dumą — w tym pełny czas pracy i obwody lokalizacyjne, które pracują także wtedy, gdy nie znajdują się w trybie wyświetlania. Twoja żona jest w tym co robi naprawdę dobra, wiesz.

Cóż, wiem, że Albert Einstein jest tylko programem komputerowym, ale to bez znaczenia — przypominało to powitanie starego przyjaciela.

— Wyglądasz też bardzo dobrze — obdarzyłem go komplementem. — Tylko nie wiem, czy powinieneś nosić zegarek elektroniczny. Chyba nigdy nie miałeś czegoś takiego zanim nie umarłeś, bo ich jeszcze nie było.

Rzucił mi ponure spojrzenie, ale również obdarzył mnie komplementem:

— Podziwiam twoją znajomość historii techniki, Robinie. Jednakże, choć *jestem* Albertem Einsteinem tak zbliżonym do prawdziwego, jak to tylko możliwe, nie jestem ograniczony do możliwości prawdziwego Alberta Einsteina. Pani Broadhead wprowadziła do mojego programu wszystkie znane zapisy Heechów — tak dla przykładu — a mój pierwowzór z krwi i kości nawet nie wiedział, że Heechowie istnieją. Wchłonałem również programy większości naszych kolegów oraz obwody do wyszukiwania danych, które w tej chwili próbują nawiązać połączenie z siecią gigabitową. Jak dotąd — rzekł przepaszająco — to mi się nie udało, Robinie, ale podpiąłem się do lokalnych łączy wojskowych. Potwierdzono rezerwację na wasz lot z Lagos w Nigerii jutro w południe, a twój samolot powróci tu na czas, żebyś mógł się tam dostać. Zmarszczył brwi. — Czy coś nie tak?

Nie tyle słuchałem Alberta, co studiowałem go. Essie wykonała niesamowitą pracę. Nie było już drobnych błędów, kiedy to zaczynał zdanie trzymając fajkę w ręce, a kończył je gestem z kawałkiem kredy.

— Wydajesz się bardziej rzeczywisty, Albercie.

— Dzięki — odparł i zaczął się popisywać, otwierając szufladę w biurku i wyciągając zapalniczki, by zapalić fajkę. Dawniej po prostu zmateriałizowałyby pudełko zapalek. — Może chcesz dowiedzieć się czegoś o swoim statku?

Ożywiłem się.

— Jakież postępy od chwili naszego lądowania?

— Gdyby nawet były — rzekł przepraszająco — nic bym o nich nie wiedział, bo jak już wspominałem nie udało mi się połączyć z siecią. Mam jednak kopię certyfikatu licencyjnego Korporacji Gateway. Uznano go za Dwunastkę — to znaczy, że może zabrać dwunastu pasażerów przy zwykłej eksploracji. . .

— Wiem, co to jest Dwunastka, Albercie.

— Tak się tylko upewniam. Tak czy inaczej, wyposażono go dla czterech pasażerów, choć można tam jeszcze umieścić dwie dodatkowe osoby. Lot testowy odbył się na Gateway Dwa i z powrotem, przez cały czas lotu wyniki były optymalne. Dzień dobry, pani Broadhead.

Obejrzałem się za siebie; Essie skończyła śniadanie i dołączyła do nas. Pochyliła się nade mną, by bliżej przyjrzeć się swemu dziełu.

— Dobry program — pochwaliła samą siebie, a potem rzekła: — Albercie! Skąd ty wzięłeś ten nawyk dłubania w nosie?

Albert, niezrażony, wyjął palec z nosa.

— Z niepublikowanych listów Enrico Fermiego do krewnego we Włoszech; jest autentyczny, zapewniam panią. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? Nie? Zatem, Robinie i pani Broadhead — zakończył, proponuje, żebyście państwo zaczęły się pakować, bo właśnie otrzymałem informację kanałami policyjnymi, że wasz samolot właśnie wylądował i jest serwisowany. Za dwie godziny możecie odlecieć.

Tak było w istocie i tak też zrobiliśmy, z zadowoleniem — czy też prawie z zadowoleniem. Ostatni akt dał nam mniejsze powody do zadowolenia. Właśnie wsiadaliśmy do samolotu kiedy za nami, z terminala pasażerskiego, rozległ się hałas i odwróciliśmy się, by zobaczyć co się dzieje.

— Coś takiego — powiedziała Essie — to brzmi jak strzały z broni maszynowej. A te wielkie pojazdy na parking, chyba spychają samochody na boki? Jedna zniszczyła hydrant przeciwpożarowy, woda się leje na wszystkie strony. Czy to jest to, co myślę?

Objąłem ją ramieniem i pociągnąłem do samolotu.

— Chyba tak — odparłem — o ile masz na myśli czołgi. Wynośmy się stąd.

Zrobiliśmy tak. Bez problemu. Dla nas oczywiście, ponieważ Albert, prowadząc nasłuch ponownie uruchomionej sieci gigabitowej powiadomił nas, że speł-

niły się najgorsze proroctwa *Teniente* i wybuchła gwałtowna rewolucja. Ale nie dla nas, choć gdzieś indziej, w wielkim kosmosie działy się inne rzeczy, które mogły stanowić dla nas olbrzymi problem, inne, które były bardzo bolesne, a także takie, które posiadały obie te cechy.

Rozdział 15.

Powrót z nieciągłości Schwarzschilda

Budząc się, Gelle-Klara Moynlin przekonała się, że żyje, choć przedtem była całkowicie przekonana o swojej śmierci. Znajdowała się w statku badawczym Heechów. Z wyglądu była to uzbrojona Piątka, ale nie ta, którą zapamiętała jako ostatnie wspomnienie.

To, co sobie przypominała, to był chaos, przerażenie, ból i zgroza. Pamiętała to doskonale. We wspomnieniach nie było jednak smukłego, ciemnego, zmarszczonego mężczyzny, który nie miał na sobie niczego poza stringami i szalikiem. Nie było tam również dziwnej młodej blondynki, która wypłakiwała sobie oczy. W ostatnich wspomnieniach Klary byli ludzie, ależ tak! Wrzeszczący, klnący i sikający w spodnie, bo zbliżyli się do granicy Schwarzschilda otaczającą, czarna, dziurę.

Ale tych ludzi wśród nich nie było.

Dziewczyna pochylała się nad nią troskliwie.

— Dobrze się czujesz, złotko? Kiepsko z tobą było, naprawdę. — Ta informacja nie zawierała dla Klary żadnej sensacji. Wiedziała, że było z nią kiepsko. — Obudziła się — krzyknęła dziewczyna odwracając głowę.

Mężczyzna podszedł i pochylił się, odpychając dziewczynę. Nie tracił czasu na dopytywanie się o jej zdrowie.

— Nazwisko! Orbita i numer misji, szybko! — Kiedy mu powiedziała, nie przyjął odpowiedzi do wiadomości. Po prostu znikł, a młoda blondynka powróciła.

— Mam na imię Dolly. Przepraszam, że wyglądam jak wrak człowieka, ale serio, wystraszyłam się na śmierć. Dobrze się czujesz? Byłaś w kiepskim stanie, a nie mamy tu zbyt dobrego programu medycznego.

Klara usiadła i stwierdziła, że owszem, była w kiepskim stanie. Bolała ją każda część ciała, począwszy od głowy i tu miała wrażenie, że jej głowę uderzono o coś. Rozejrzała się dookoła. Nigdy jeszcze nie była w statku tak wypełnionym narzędziami i zabawkami, ani w takim, który pachniałby tak przyjemnie jedzeniem.

— Powiedz, gdzie ja jestem? — spytała.

— Jesteś w jego statku — wskazujący gest. — Nazywa się Wan. On tak sobie wędruje i zagląda do czarnych dziur. — Dolly wyglądała, jakby znów miała się rozpłakać, ale potarła nos i mówiła dalej: — I słuchaj, złotko, przykro mi, ale wszyscy ludzie, z którymi byłaś, zginęli. Ty jedyna ocalałaś.

Klara wciągnęła gwałtownie powietrze.

— Wszyscy? Robin też?

— Nie wiem, jak się nazywali — odparła przepraszająco dziewczyna. Nie była zaskoczona, kiedy jej niespodziewany gość odwrócił posiniaczoną twarz do ściany i zaczął szlochać. Po drugiej stronie pokoju Wan powarkiwał niecierpliwie na obie kobiety. Obchodziły go tylko jego sprawy. Nie wiedział, jaki skarb odzyskał i jak bardzo ten odzyskany skarb skomplikował jego życie.

Jest bowiem prawdą, że poślubiłem moją kochaną żonę, Essie, nie pogodziwszy się ze stratą Klary Moynlin. A przynajmniej stało się to pod wpływem uczucia, jakie pojawiło się, gdy zrzuciłem z siebie poczucie winy — a przynajmniej jego większość — jakie odczuwałem po utracie Klary.

Nie poznałem Gelle-Klary Moynlin przed jej wypadkiem z czarną dziurą. Robin nie mógł sobie wtedy pozwolić na tak zaawansowany system do wyszukiwania danych jak ja. Niewątpliwie jednak wiele wtedy o niej usłyszałem od Robina. Głównie musiałem wysłuchiwać, jak bardzo czuje się winny z powodu jej śmierci. Ta dwójka oraz paru innych, udała się na misję zorganizowaną przez Korporację Gateway w celu zbadania czarnej dziury; większość ich statków zostało schwytanych przez pole grawitacyjne; Robin zdołał uciec.

Gdy wreszcie się dowiedziałem, że Klara znów żyje, doznałem szoku. Ale nic — *zupełnie nic* — nie mogło się równać z szokiem, jakiego doznała Klara! Nawet teraz i w tych okolicznościach nie mogę opanować uczucia, które mogę jedynie nazwać, jakże niewłaściwie, bólem fizycznym, gdy pomyślę o mojej niegdysiejszej ukochanej Klarze, jak to spostrzegła, że powróciła z martwych. Nie tylko dlatego, że była tym, kim była ani kim była dla mnie. Zasługiwała na czyjekolwiek współczucie. Schwytana w pułapkę, przerażona, ranna, pewna, że umrze — a chwilę później cudownie ocalona. Boże, miej litość nad tą biedną kobietą! Przez większość czasu była półprzytomna, gdyż jej ciało zostało poważnie poturbowane. Kiedy odzyskała przytomność, nie była pewna, czy jest przytomna. Czuła mrowienie, wnikanie ciepłego płynu i szumienie w uszach, domyślała się, że aplikują jej olbrzymie ilości środków przeciwbólowych. Ale i tak odczuwała wielki ból. Nie tylko cielesny. Kiedy odzyskała przytomność, równie dobrze mogła pomyśleć, że ma halucynacje, o ile mogła stwierdzić, bo socjopata Wan i zdemoralizowana Dolly nie byli osobami, do których się łągęło. Gdy zobaczyła, jak Wan rozmawia z maszyną i zapytała Dolly, co on takiego robi, nie była w stanie wydobyć wiele sensu z jej odpowiedzi:

— Och, to są jego Zmarli. Zaprogramował ich zapisami wszystkich misji i teraz wypytuje ich o ciebie.

Oczywiście nie było żadnych logicznych powodów, żeby czuć się winnym. Co więcej, Gelle-Klara Moynlin, choć była normalnie funkcjonującą ludzką samicą, nie była w żaden sposób niezastąpiona — w istocie Robin zastąpił ją szybko całym szeregiem innych samic, by wreszcie wstąpić w długoterminowe więzy z S. Ja. Laworowną, która była nie tylko kompetentną ludzką samicą, ale także mnie zaprojektowała. I choć posiadam znakomite modele ludzkich popędów i motywów, są takie rodzaje ludzkich zachowań, których nigdy nie zrozumiem.

Czy mogło to jednak cokolwiek znaczyć dla kogoś, kto nigdy nie słyszał o Zmarłych? Jak się mogła poczuć, gdy cienki, niepewny głosik z głośnika przemówił do niej?

— ...nie, Wan, w tej misji nie było nikogo nazwiskiem Schmitz. Na żadnym ze statków. Rozumiesz, w tej misji brały udział dwa statki, i...

— Nie obchodzi mnie, ile tam było statków!

Głos ucichł. Potem odezwał się niepewnie:

— Wan?

— Jasne, że jestem Wan! Kto inny miałby tu być?

— Och... no cóż, nie ma tam też nikogo, kto pasowałby do opisu twojego ojca. Powiedz jeszcze raz, kogo uratowałeś?

— Ona twierdzi, że nazywa się Gelle-Klara Moynlin. Płeć żeńska. Niezbyt urodziwa. Ma może koło czterdziestki — powiedział Wan, nawet na nią nie patrząc, bo by zauważył, jak bardzo się mylił; Klara zeszytniała, a potem uświadomiła sobie, że to, co przeszła, niewątpliwie spowodowało, że wygląda starzej niż ma rzeczywiście lat.

— Moynlin — zaszeptał głos. — Moynlin... Gelle-Klara, tak, ona brała udział w tej misji. Tylko wiek się chyba nie zgadza. — Klara ostrożnie skinęła głową, przez co łomot w jej czaszce znów się rozpoczął, a głos mówił dalej. — Zobaczmy no, tak, nazwisko się zgadza. Ale ona urodziła się sześćdziesiąt trzy lata temu.

Łomot zwiększył tępo i intensywność. Klara musiała jęknąć, bo dziewczyna imieniem Dolly wrzasnęła w stronę Wana i znów pochyliła się nad nią.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała — ale każę Henriecie dać ci kolejny zastrzyk usypiający, dobrze? Poczujesz się lepiej, jak się obudzisz.

Klara spojrzała na nią, nie rozumiejąc, po czym zamknęła oczy. Sześćdziesiąt trzy lata temu!

Ile wstrząsów może przetrzymać człowiek i nie załamać się? Klara była twarzą kobietą; była poszukiwaczką na Gateway, po czterech misjach, a wszystkie one były niełatwe, wszystkie mogły zapewnić niezłą porcję koszmarów. Ale teraz

odczuwała w głowie łomot, gdy tylko próbowała pomyśleć. Spowolnienie czasu? Czy tak się określało to, co się dzieje we wnętrzu czarnej dziury? Czy to możliwe, że w prawdziwym świecie minęło jakieś trzydzieści albo czterdzieści lat, a ona wirowała w najgłębszej studni grawitacyjnej, jaka istnieje?

— A może być coś zjadła? — zaproponowała Dolly z nadzieją.

Klara potrząsnęła głową. Wan, przygryzając wargę w złości uniósł głowę i wrzasnął:

— Zdurniałaś, dawać jej jedzenie! Daj jej coś do picia.

Nie był to taki gatunek człowieka, któremu chciałoby się zrobić przyjemność przyznając mu rację nawet wtedy, gdy rzeczywiście ją miał; ale odpuszczenie wydawało się dobrym pomysłem. Pozwoliła, aby Dolly przyniosła jej coś, co wyglądało na whiskey bez wody i lodu; zaczęła kaszleć i krztusić się, ale alkohol przynajmniej ją rozgrzał.

— Złotko — spytała Dolly z wahaniem — czy jeden z tych facetów, no wiesz, tych, którzy zginęli, to był jakiś twój chłopak?

Klara nie znalazła żadnego powodu, by zaprzeczyć.

— Tak, w dużym stopniu mój chłopak. To znaczy, chyba byliśmy w sobie zakochani. Ale pokłóciliśmy się i rozstaliśmy, a potem znów się zesłaliśmy, a potem... a potem Robin był w jednym statku, a ja byłam w drugim...

— Robbie?

— Nie. Robin. Robin Broadhead. Naprawdę miał na imię Robinette, ale był na tym punkcie trochę przewrażliwiony... Co się stało?

— Robin *Broadhead*. Och, mój Boże, no tak — powiedziała Dolly, wyglądając na zaskoczoną i przejętą. — Ten milioner!

A Wan spojrział, po czym podszedł i stanął obok niej.

— Robin Broadhead, żeby się upewnić, znam go bardzo dobrze — pochwalił się.

Klara poczuła nagle suchość w ustach.

— Znasz go?

— No pewnie. Jasne! Znam go od wielu lat. Tak, oczywiście — rzekł, przypominając sobie. — Słyszałem o jego ucieczce z czarnej dziury, tyle lat temu. Jakie to ciekawe, że ty też tam byłaś. Wiesz, robimy razem interesy. Dostaję od niego i od jego firm prawie dwie siódme moich obecnych dochodów, w tym tantiemy, które płacą mi firmy jego żony.

— Jego żony? — szepnęła Klara.

— Nie słuchasz? Tak powiedziałem, tak, jego żony!

A Dolly, nagle znów złagodniawszy, rzekła:

— Widuję ją czasem w piezowizji. Na przykład jak wybierają do Dziesięciu Najlepiej Ubranych Kobiet Roku albo wtedy, jak dostała nagrodę Nobla. Jest całkiem ładna. Złotko? Chcesz jeszcze drinka?

Klara skinęła głową, czując, jak ból w czaszce znowu się zaczyna, ale zdołała zebrać się w sobie wystarczająco, by powiedzieć:

— Tak, poproszę. Co najmniej jeszcze jednego.

Przez prawie dwa dni Wan wybrał wariant polegający na uprzejmym zachowaniu względem byłej przyjaciółki swojego partnera w interesach. Dolly była uprzejma i próbowała jej pomóc. W ich niewielkim piezowizyjnym archiwum nie było zdjęcia S. Ja., ale Dolly wygrzebała swoje pacynki, żeby pokazać Klarze przynajmniej, jak wyglądała karykatura Essie, a kiedy Wan, nudząc się, zażądał, żeby pokazała swój program z nocnego klubu, zdołała go jakoś spławić. Klara miała mnóstwo czasu na przemyślenia. Choć w szoku i ranna, nadal umiała prowadzić w pamięci proste obliczenia.

Straciła ponad trzydzieści lat swego życia.

Nie, nie *swego* życia; życia wszystkich innych. Nie była starsza bardziej niż dzień albo dwa licząc od dnia, kiedy dostała się w obszar nagiej osobliwości. Wierzchy jej dłoni były podrapane, ale nie było na nich starczych plam. Głos miała słaby z bólu i zmęczenia, ale to nie był głos starej kobiety. Nie była starą kobietą. Była Gelle-Klarą Moynlin, w wieku niewiele ponad trzydziestu lat, której przytrafiło się coś okropnego.

Obudziwszy się na drugi dzień odczuła ostry, miejscowy ból, który poinformował ją, że już nie dostaje środków przeciwbólowych. Pochylał się nad nią kapitan o obrzmiałej twarzy.

— Otwórz oczy — warknął. — Chyba już dość wydobrzałaś, żeby zapłacić za podróż.

Ależ był wkurzającym typem! Wszak jednak żyła, miała się coraz lepiej, i była mu winna choć wdzięczność.

— To brzmi dość rozsądnie — przyznała Klara, siadając na łóżku.

— Rozsądnie? Ha! To nie ty decydujesz, co jest tu rozsądne; tylko ja — wyjaśnił Wan. — Na moim statku masz tylko jedno prawo. Miałas prawo do ratunku, więc cię uratowałem; ale teraz wszystkie prawa należą do mnie. Zwłaszcza dlatego, że z twojego powodu musimy teraz wracać na Gateway.

— Złotko — wtrąciła się Dolly niepewnie — to nie jest tak całkiem prawda. Mamy mnóstwo jedzenia. . .

— Ale nie takiego, jakbym chciał, zamknij się! Więc ty, Klara, musisz mi wynagrodzić ten kłopot. Sięgnął za sobą ręką. Dolly natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi; podstawiła mu pod rękę talerz świeżo upieczonych czekoladowych ciasteczek, a Wan wziął jedno i zaczął je jeść.

Odrażający typ! Klara odgarnęła włosy z oczu, analizując go chłodno.

— W jaki sposób mam ci to wynagrodzić? Tak jak ona?

— No pewnie, że tak jak ona — odparł Wan, żując — pomagając jej utrzymać porządek na statku, ale też. . . Och! Ho! Cha, cha! To zabawne! — wybuchnął,

plując okruchami ciasteczka na Klarę, gdy się śmiał. — Ty myślisz, że ja mówię o łóżku! Aleś ty durna, Klara! Nie sypiam z brzydkimi starymi babami.

Klara starła okruchy z twarzy i sięgnęła po kolejne ciasteczko. — Nie — powiedział Wan z powagą — to coś ważniejszego. Chcę wiedzieć wszystko o czarnych dziurach.

— To wszystko stało się tak szybko — rzekła Klara ugodowym tonem. — Nie mam wiele do powiedzenia.

— No to powiedz, ile możesz! I nie próbuj kłamać!

Och, mój Boże, myślała Klara, ile jeszcze tego wszystkiego będę musiała znieść? „To wszystko” oznaczało nie tylko szykany ze strony Wana; oznaczało także wszystko, co ją spotka w jej na nowo podjętym i zupełnie poplątanym życiu.

Odpowiedź na pytanie „ile jeszcze” brzmiała: jedenaście dni. To wystarczająco długo, by najgorsze siniaki znikły z jej ramion i reszty ciała, wystarczająco długo, by poznać Dolly Walthers i zacząć jej żałować, wystarczająco długo, by poznać Wana i poczuć do niego wstręt. Ale nie dość czasu by wymyślić, co zrobić ze swoim życiem.

Jej życie nie miało jednak zamiaru czekać, aż będzie na nie gotowa. Gotowa czy nie, statek Wana cumował na Gateway. I oto była tam.

Już same zapachy Gateway były inne. Poziom hałasu też się zmienił — było o wiele głośniejsze. Ludzie byli *zupełnie* inni. Chyba nie było wśród nich ani jednej żywej duszy, którą Klara rozpoznałaby od jej ostatniego pobytu tutaj — trzydzieści lat, albo zaledwie trzydzieści dni, w zależności od tego, jakim zegarem się posłużyć. I tak wielu z nich nosiło mundury.

To było dla Klary coś nowego i niezbyt przyjemnego. Za „dawnych czasów” — bez względu na to, jak subiektywnie niedawne miałyby być te dawne czasy — widziało się jeden, może dwa mundury dziennie, a były to głównie osoby przebywające na przepustkach z krążowników czterech mocarstw rządzących. Oczywiście nigdy nie widziało się nikogo z nich z bronią. Teraz nie miało to już miejsca. Byli wszędzie i byli uzbrojeni.

Odprawa też się zmieniła, jak wszystko. Zawsze była uciążliwa. Człowiek wracał na Gateway brudny, wykończony i ciągle wystraszony, bo aż do ostatniej chwili nie był pewien, czy się uda, a jeszcze Korporacja Gateway usadzała go za pomocą swoich rzeczoznawców, zbieraczy danych i księgowych. Co takiego znaleźliście? Czy jest w tym coś nowego? Ile to jest warte? Zespoły osób zajmujących się odprawą zajmowały się właśnie zadawaniem takich pytań i od tego, jak wycenili wyprawę zależało, czy okazała się ona kompletną porażką — czy też, bardzo, bardzo rzadko — zapewniała bajeczne bogactwo. Poszukiwacz z Gateway musiał wykazać się umiejętnością przetrwania, kiedy już wpakował się do jednego z tych nieprzewidywalnych statków i wyruszył na Magiczną Przejazdkę Wesołym Autobusem Tajemnic.

Odprawa zawsze oznaczała złe nowiny, ale teraz była czymś jeszcze gorszym. Nie było już zespołu odpraw składającego się z pracowników Korporacji Gateway. Były cztery zespoły odpraw, po jednym z każdego mocarstwa. Odprawę przeniesiono do miejsca, które dawniej było głównym klubem nocnym i szulernią na asteroidzie, Błękitnego Piekiełka i były tam cztery małe oddzielne pokoiki, każdy miał flagę na drzwiach. Brazylijczycy dorwali Dolly. Chińska Republika Ludowa porwała na miejscu Wana. Amerykańscy żandarmi ujęli Klarę pod rękę, a kiedy porucznik żandarmerii stojący przed rosyjskim pokojem zmarszczył brwi i poklepał kolbę swojego kałacha, Amerykanin cofnął się z dłonią na swoim kolcie.

Właściwie nie miało to większego znaczenia, bo kiedy tylko Klara wyrwała się Amerykanom, wzięli się na nią Brazylijczycy, a kiedy gdzieś cię uprzejmie zaprasza uzbrojony młody żołnierz, to nie ma wielkiej różnicy, czy ma przy pasie kolta czy paza.

Między Brazylijczykami a Chińczykami Klara spotkała Wana, spoconego i wściekłego, który szedł od Chińczyków do Rosjan i zrozumiała, że jest coś, za co powinna być wdzięczna. Przesłuchujący byli dla niej nieuprzejmi, arogancy i niemili, ale Wana potraktowali chyba jeszcze gorzej. Z nieznanego jej powodów, każda jego sesja trwała dwukrotnie dłużej niż jej. A ta już była bardzo długa. Każdy z kolejnych zespołów podkreślał, że powinna przecież nie żyć; że jej konto bankowe od dawna przeszło na własność Korporacji Gateway; że nie należy jej się zapłata za podróż z Juanem Henriquette Santosem-Schmitzem, gdyż nie była to oficjalnie autoryzowana misja Gateway, a jeśli chodzi o zapłatę za jej podróż do czarnej dziury, to przecież nie wróciła tym statkiem, no nie? U Amerykanów domagała się przynajmniej premii naukowej — któż inny był we wnętrzu czarnej dziury? Powiedzieli jej, że ta sprawa zostanie rozpatrzona. Brazylijczycy oświadczyli, że to podlega negocjacom wszystkich czterech mocarstw. Chińczycy stwierdzili, że to zależy od interpretacji kwestii premii wypłaconej Robbinette'owi Broadheadowi, zaś Rosjanie w ogóle nie byli tym zainteresowani, bo chcieli wiedzieć, czy Wan zdradzał jakieś oznaki sympatii do terrorystów.

Odprawa trwała całą wieczność, a potem było jeszcze badanie lekarskie, które trwało równie długo. Programy diagnostyczne nigdy nie miały do czynienia z żywą istotą ludzką, która została narażona na ściskające siły poza granicą Schwarzschilda i nie chciały jej puścić dopóki nie zbadali wszystkich kości i ścięgien i bez oporów poczęstowały się próbkami wszystkich płynów jej ciała. Potem pozwolili jej udać się do działu księgowości po wyciąg z konta. Był to mały wydruk, na którym było napisane tylko:

MOYNLIN, Gelle-Klara

Saldo bieżące: 0

Należne premie: w trakcie rozpatrywania.

Pod biurkiem księgowości siedziała sobie Dolly Walthers, wyglądając na poirytowaną i znudzoną.

— No i jak leci, złotko? — spytała. Klara zrobiła nieszczęśliwą minę. — Oj, to nie dobrze. Wan ciągle tam jest — wyjaśniła — bo trzymają go cholernie długo na odprawie. A ja tu siedzę godzinami. Co masz zamiar teraz robić?

— Nie za bardzo wiem — odparła wolno Klara, myśląc o tym, jak miało się ograniczone możliwości na Gateway, kiedy nie miało się pieniędzy.

— Taa. Ja też. — Dolly westchnęła. — Z Wanem to nigdy nic nie wiadomo, wiesz. Nie może nigdzie za długo zostać, bo zaczną się dopytywać o to wszystko, co trzyma na statku, a legalnie to chyba tego nie dostał. — Przełknęła i powiedziała szybko: — Uważaj, właśnie idzie.

Ku zaskoczeniu Klary, Wan rozpromienił się na jej widok, gdy podniósł wzrok znad wydruku, który studiował.

— Ach — powiedział — moja droga Gelle-Klaro, przeanalizowałem twoją sytuację prawną. Naprawdę bardzo obiecująca, jak sędzę.

Obiecująca! Spojrzała na niego z widocznym wstrętem.

— Jeśli chcesz powiedzieć, że za następne czterdzieści osiem godzin wyrzucą mnie w próżnię za niepłacenie rachunków, to nie nazwałabym tej sytuacji obiecującą.

Zerknął na nią i doszedł do wniosku, że żartuje.

— Ha, ha, to bardzo zabawne. Ponieważ nie jesteś przyzwyczajona do obchodzenia się z dużymi sumami pieniędzy, to pozwól, że ci polecę takiego jednego facia od bankowości, który mnie się bardzo przydał. . .

— Przestań, Wan. To nie jest śmieszne.

— Oczywiście, że to nie jest śmieszne! — Zawarczał, jak za dawnych dni, a potem jego wyraz twarzy zmiękł, zmieniając się w nieufność. — Jak to może być. . . czy to możliwe. . . czy oni nic ci nie powiedzieli o twoich roszczeniach?

— Jakich roszczeniach?

— Przeciwno Robinettetowi Broadheadowi. Mój misio prawniczy mówi, że możesz dostać nawet pięćdziesiąt procent jego majątku.

— Bzdura Wan — odparła ze złością.

— Żadna bzdura! Mam świetny program prawniczy! To jest doktryna cielęcia chodzącego za krową, jeśli rozumiesz. Powinnaś mieć pełny udział w korzyściach tych, którzy przeżyli podczas ostatniej misji; ba, powinnaś mieć równy udział w tym, co on do tego dodał, bo wywodzi się to z pierwotnego kapitału.

— Ale. . . ale. . . och, to jest głupie — warknęła. — Nie mam zamiaru go pozywać.

— Oczywiście, że masz zamiar go pozwać! Co jeszcze? Jak inaczej możesz odzyskać co twoje? Jejku, pozywam jakieś dwieście osób rocznie, Gelle-Klaro. A tu chodzi o wielką kwotę. Wiesz, ile wart jest Broadhead netto? O wiele, wiele więcej niż ja! — A potem z radosną poufałością dobrego znajomego, rozma-

wiającego z równie majętnym kumplem: — Pewnie, możesz cierpieć z powodu pewnych niewygód, dopóki sprawa nie zostanie rozpatrzona. Pozwól, przerzucę ci na konto małą pożyczkę — momencik. . . — Dokonał niezbędnych zapisów na swoim wyciągu. — No i już. Powodzenia!

I oto była moja zagubiona miłość, Gelle-Klara Moynlin, bardziej zagubiona niż kiedykolwiek po jej odnalezieniu. Znała Gateway doskonale. Ale tej Gateway, którą znała, już nie było. Jej życie przeskoczyło o jeden takt, a wszystko co znała, czym się przejmowała albo czym się interesowała zmieniło się przez jedną trzecią wieku, a ona, jak zaczarowana królowa w lesie, przespała cały ten czas.

— Powodzenia — powiedział Wan, ale jak mogło się powodzić śpiącej królowie, skoro jej księżę poślubił inną? — Mała pożyczka — powiedział Wan i teraz okazało się, co to oznacza. Dziesięć tysięcy dolarów. Dość, żeby przez parę dni mogła zapłacić rachunki — a co potem?

Była jeszcze, pomyślała Klara, przyjemność płynąca z odkrycia paru faktów, za którymi zabijali się ludzie. Znalazła zatem jakiś pokój, kupiła coś do jedzenia i ruszyła do biblioteki. Nie było już tam szpul z taśmami magnetycznymi. Teraz wszystko było zapisywane na czymś w rodzaju drugiej generacji modlitewnych wachlarzy Heechów (wachlarze modlitewne! więc do tego służyły!) i musiała zatrudnić instruktora, który nauczył ją posługiwać się nimi. (Usługi biblioteczne po 125 USD/h, 62,50 USD, głosiła pozycja na jej wyciągu bankowym). Czy było warto?

Była niemile zaskoczona, że niezupełnie. Znalaziono odpowiedzi na tak wiele pytań! I, co dziwne, tak mało radości dawały te odpowiedzi.

Gdy Klara była poszukiwaczką na Gateway jak wszyscy inni, te pytania były dosłownie sprawą życia lub śmierci. Co oznaczały symbole na tablicach sterujących statków Heechów? Jakie ustawienia oznaczały śmierć? Jakie nagrodę? A teraz były już odpowiedzi, być może nie na wszystkie pytania, przede wszystkim nadal nie było odpowiedzi na budzące dreszcz pytanie, kim byli Heechowie. Ale pojawiły się tysiące tysięcy odpowiedzi, także na pytania, których nikt nie potrafił jeszcze zadać trzydzieści lat temu.

Ale odpowiedzi dały jej niewielką przyjemność. Pytania tracą swe znaczenie, kiedy wiesz, że odpowiedzi można znaleźć w książce.

Jedną z grup pytań, które nadal wzbudzały jej zainteresowanie, były, o ile wiem, pytania związane ze mną.

Robinette Broadhead? Och, pewnie. W bazie danych było o nim mnóstwo informacji. Tak, był żonaty. Tak, ciągle jeszcze żył, a nawet miał się dobrze. Co niewybaczalne, wykazywał wszelkie oznaki bycia szczęśliwym. I, co równie złe, był *stary*. Nie był zasuszonym trzęsącym się staruszkiem, jasne, na głowie miał wszystkie włosy, a na jego twarzy nie było zmarszczek, ale to tylko dzięki Pełnemu Serwisowi Medycznemu, niezawodnemu dostawcy zdrowia i młodości dla tych, których było na to stać. Robinette'a Broadheada rzecz jasna było stać na

wszystko. Ale i tak był starszy. Jego szyja wyglądała na dość grubą, a pewny uśmiech, który wycierał z piezowizyjnego obrazu nie należał do tego wystraszonego, pomieszanego człowieka, który złamał jej ząb i przysiągł, że będzie ją zawsze kochał. Teraz Klara miała więc lepsze pojęcie na temat określenia: „zawsze”. Oznaczało ono okres znacząco krótszy niż trzydzieści lat. Znalazłszy sobie w bibliotece wystarczająco dużo powodów do zmartwień, zaczęła włóczyć się po Gateway żeby zobaczyć, co się zmieniło. Asteroid stał się bardziej bezosobowy i bardziej cywilizowany. Na Gateway było teraz mnóstwo przedsięwzięć o charakterze komercyjnym. Klub, bar szybkiej obsługi, stereokino, fitness klub, ładne nowe pensjonaty dla turystów, błyszczące sklepy z pamiątkami. Jedyną rzeczą, jaka wszak przyciągnęła jej uwagę, było kasyno położone na osi, następcą Błękitnego Piekiełka; ale nie mogła sobie pozwolić na takie luksusy.

Nie znałem Gelle-Klary Moynlin w czasach jej romantycznego związku z Robinem. Ściśle rzecz biorąc, nie znałem wtedy również Robina, który był zbyt biedny, by pozwolić sobie na tak zaawansowany system do wyszukiwania danych, jak ja. Choć nie mogę doświadczyć fizycznej odwagi (gdyż nie potrafię nawet doznawać fizycznego strachu), oceniam ich odwagę bardzo wysoko. A ich niewiedzę prawie tak samo. Nie wiedzieli, jak się steruje nadświetlnymi statkami, którymi podróżowali. Nie wiedzieli, jak działa nawigacja, ani co robią przyrządy sterujące. Nie wiedzieli, jak odczytać mapy Heechów, zresztą nie mieli ani jednej, żeby ją odczytać, bo znaleziono je kolejne dziesięć lat po tym, jak Klara została wciągnięta w głąb czarnej dziury. Zadziwia mnie, jak wiele inteligencja mięsna potrafi osiągnąć mając tak niewiele informacji.

Tak naprawdę na nic nie mogła sobie pozwolić i była załamana. Czasopisma dla pań z lat jej młodości podawały wiele śmiesznych sposobów na walkę z depresją — którą określały jako chandrę. Wyczyść zlewozmywak. Zadzwoń do kogoś. Umyj włosy. Ale Klara nie miała zlewu, a do kogóż miała dzwonić na Gateway? Kiedy już po raz trzeci umyła włosy, zaczęła znów myśleć o Błękitnym Piekiełku. Parę małych zakładów, zdecydowała, nie poczyni szkód w jej budżecie, nawet jak przegra — to będzie co najwyżej oznaczało rezygnację z paru luksusów przez chwilę...

Po jedenastu rundach ruletki była bez grosza.

Grupa gabońskich turystów właśnie wychodziła, chichocząc i potykając się, a tuż za nimi, przy krótkim, wąskim barze, Klara ujrzała Dolly. Podeszła do niej spokojnie i poprosiła:

— Postawisz mi drinka?

— No dobra — odparła Dolly bez entuzjazmu, skinąwszy na barmana.

— A pożyczysz mi trochę pieniędzy?

Dolly zaśmiała się z zaskoczeniem.

— Przegrałaś w kasynie, prawda? Och, to trafiłaś pod zły adres. Nie siedziałabym tu i nie piłabym drinków, gdyby turyści nie rzucili mi paru groszy na szczęście. Kiedy drink się pojawił, Dolly podzieliła leżący przed nią stosik monet i położyła część przed Klarą. — Możesz znów próbować u Wana — zaproponowała — ale wiesz, on nie jest teraz w dobrym nastroju.

— To żadna sensacja — odparła Klara, mając nadzieję, że whiskey poprawi jej nastrój. Tak się wszak nie stało.

— Och, ale jest gorzej niż zwykle. On się chyba wpakował w niezłe tarapaty. — Zakrzuszyła się i zrobiła zaskoczoną minę.

— Co się stało? — spytała z niechęcią Klara. Wiedziała doskonale, że jak już zapyta, to dziewczyna jej powie, ale był to, jak sądziła, pewien sposób rewanzu za tę garść drobnych.

— Wcześniej czy później nadziejemy się na niego — odparła Dolly, przypinając się znów do butelki. — On jest takim palantem! Przylatywać tu, skoro mógł podrzucić cię gdziekolwiek, ale on musi zjeść ciastko i mieć ciastko.

— E, wolę być tu niż gdzieś indziej — stwierdziła Klara, zastanawiając się, czy to rzeczywiście prawda.

— Nie bądź głupia. On nie zrobił tego dla ciebie. Zrobił to, bo mu się wydaje, że wszystko i wszędzie ujdzie mu na sucho. Bo jest palantem. — Rzuciła ponure spojrzenie w kierunku butelki. — Nawet w łóżku zachowuje się jak palant. Palanciarsko, rozumiesz, co mam na myśli? Nawet pieprzy jak palant. Podchodzi do mnie z takim wyrazem twarzy, jakby sobie próbował przypomnieć kombinację szyfru do szafki z jedzeniem, wiesz? A potem ściąga ze mnie ubranie, zaczyna, wsadza, wyjmuje, wprawo, w lewo. Chyba powinnam mu napisać instrukcję obsługi. Palant.

Na ile drinków starczyła kupka drobnych, Klara nie pamiętała — tak czy inaczej, parę było. Trochę później Dolly przypomniła sobie, że miała kupić mieszankę ciasteczek i czekoladki z likierem. A potem Klara, przechadzając się samotnie, uprzytomniła sobie, że jest głodna. Uświadomił jej to zapach jedzenia. Ciągle miała w kieszeni jakieś drobne od Dolly. Nie było tego dość dużo na przyzwoity posiłek i sensownym posunięciem byłby raczej powrót do jej sypialenki i zjedzenie czegoś gotowego, ale jakież sens miało teraz sensowne zachowanie? I ten zapach był tak blisko. Przeszła przez coś w rodzaju łuków z metalu Hechów, losowo rozmieszczonych i usiadła najbliżej ja się dało ściany. Podniosła palcem górną część kanapki, żeby zobaczyć co je; pewnie syntetyczne, ale nie był to żaden produkt kopalni żywności ani farm morskich, jakich przedtem skosztowała. Niezłe. Nie *bardzo* złe, choć nie przychodziła jej do głowy żadna z potraw, by móc powiedzieć, że smakuje naprawdę dobrze. Jadła powoli, badając każdy kawałek, nie dlatego, że jedzenie byłoby tego warte, ale po to, żeby odsunąć od siebie następną rzecz, jaką będzie musiała zrobić, czyli zastanowić się, co zrobić z resztą swego życia.

Nagle zauważyła zamieszanie. Praktykantka zmiatała podłogę dwa razy chętniej niż przedtem, z każdym ruchem miotły oglądając się przez ramię; obsługa zza lady stała bardziej prosto, mówiła wyraźniej. Ktoś wszedł.

Była to kobieta, wysoka, niemłoda ale ładna. Długie warkocze ciemnozłoty włosów opadały jej na plecy, konwersowała sympatycznie, ale z wyższością, zarówno z pracownikami, jak i klientami, w międzyczasie pocierając palcem spody półek w poszukiwaniu brudu, kosztując grzanki, by sprawdzić ich chrupkość, sprawdzając czy pojemniki na serwetki są pełne, poprawiając wiązanie fartuszka praktykantki.

Klara popatrzyła na nią i nagle ją rozpoznała, a uczucie to przypominało raczej strach. Ona! To ona! Kobieta, której wizerunek widziała tyle razy w serwisach informacyjnych, jakich dostarczyła jej biblioteka przy pytaniu o Robinette Broadheada. S. Ja. Laworowna-Broadhead otwiera 54 nowe placówki BIG CHON w Zatoce Perskiej. S. Ja. Laworowna-Broadhead matką chrestną przebudowanego międzygwiazdowego transportowca. S. Ja. Laworowna-Broadhead kieruje programowaniem rozbudowanej sieci baz danych.

Choć kanapka była ostatnim kęsem jedzenia, na jaki mogła sobie pozwolić, Klara nie była w stanie zmusić się do skończenia jej. Potoczyła się w stronę drzwi, odwracając wzrok, rzuciła talerz do pojemnika na śmieci i wyszła.

Było tylko jedno miejsce, do którego mogła się udać. Kiedy zobaczyła osamotnionego Wana, uznała, że jest to bezpośredni komunikat od przeznaczenia, że powzięła właściwą decyzję.

— Gdzie Dolly? — zapytała.

Leżał w hamaku przeżuując ponuro świeżą papaje — kupioną za tak potworne pieniądze, że dla Klary wręcz niewyobrażalne.

— Tak, pewnie, sam chciałbym wiedzieć gdzie! — odparł. — Policzę się z nią jak wróci, o, tak!

— Przegrałam wszystkie pieniądze — powiedziała mu.

Wzruszył ramionami z pogardą.

— A poza tym — skłamała, wymyślając historyjkę na poczekaniu — przysłałam ci powiedzieć, że ty też przegrałeś. Mają zamiar skonfiskować ci statek.

— Skonfiskować! — zapiszczał. — Bestie! Dranie! Och, niech ja tylko dorwę Dolly, to zobaczy, musiała im powiedzieć o moim specjalnym wyposażeniu!

— Albo sam to zrobiłeś — przerwała mu Klara brutalnie — bo nie umiesz opanować trzepania ozorem na prawo i lewo. Teraz masz tylko jedną szansę.

— Jedną szansę?

— *Może* jedną szansę, jeśli masz w sobie dość sprytu i odwagi.

— Dość sprytu! Dość odwagi! Ty się chyba zapominasz, Klara! Zapominasz, że przez pierwsze pół mojego życia byłem zupełnie sam...!

— Nie, nie zapominam niczego — odparła ze znużeniem — bo na to byś mi nie pozwolił. Liczy się tylko to, co zrobisz teraz. Spakowany jesteś, zapasy na pokładzie?

— Zapasy? Nie, oczywiście, że nie. Nie powiedziałem ci? Lody, tak, baloniki, tak, ale moja mieszanka ciasteczek i czekoladki. . .

— Pieprzyć czekoladki — przerwała mu Klara. — I pieprzyć Dolly, bo jej tu nie ma jak jest potrzebna. Jeśli chcesz zachować swój statek, musisz wystartować *natychmiast*.

— Natychmiast? Sam? Bez Dolly?

— Z namiastką — rzekła twardo Klara. — Kuchnia, łóżko, ktoś, na kim można się wyżyć — jestem do dyspozycji. I coś potrafię. Może nie umiem tak dobrze gotować jak Dolly, ale w łóżku jestem lepsza. Czy też bywam tam częściej. I nie ma czasu na zastanawianie się na tym.

Przez chwilę patrzył na nią z nisko opadłą szczęką. Potem uśmiechnął się.

— Bierz się za te skrzynki na podłodze — zarządził — i tę paczkę pod hamakiem. I za. . .

— Czekać chwilę — zaprotestowała. — Jest jakaś granica ile mogę unieść, wiesz.

— Jeśli chodzi o twoje granice — rzekł — to możesz być pewna, że w swoim czasie je odkryjemy. A teraz nie wolno ci się sprzeciwiać. Po prostu łap się za tę siatkę, napchaj ją i idziemy, a kiedy będziesz to robić, opowiem ci o historyjce, jaką dawno, dawno temu usłyszałem od Zmarłych. Byli sobie dwaj poszukiwacze, którzy odkryli wielki skarb we wnętrzu czarnej dziury i nie mogli wpaść na to, jak go wydobyć. W końcu jeden mówi: — Ach, już wiem. Przyniosłem ze sobą mojego kotka. Przywiążemy go do skarbu, a kotek go wyciągnie. A drugi poszukiwacz rzekł: — Ech, jakim ty jesteś głupcem! Jak taki mały kotek może wyciągnąć skarb z czarnej dziury? A pierwszy poszukiwacz odpowiedział: — Nie, to ty jesteś głupcem. To będzie łatwe, bo widzisz, ja mam bat.

Rozdział 16.

Powrót na Gateway

Gateway obdarowała mnie wieloma milionami, ale też przyprawia mnie o dreszcze. Polecieć tam było jak spotkać powracającego samego siebie. Dałem się poznać jako młoda, splukana do czysta, przerażona, zrozpaczona istota ludzka, której jedyny wybór polegał na tym, że mogła udać się w podróż, która mogła ją zabić lub pozostać w miejscu, gdzie nikt nie chciał przebywać. Nie tak wiele się tam zmieniło. Nadal nikt nie chciał tam przebywać, choć niektórzy ludzie to robili, a turyści przylatywali i odlatywali, tam i z powrotem. Choć przynajmniej podróże nie były tak straszliwie niebezpieczne jak dawniej. Kiedy cumowaliśmy, powiedziałem mojemu programowi, Albertowi Einsteinowi, że dokonałem pewnego filozoficznego odkrycia, mianowicie takiego, że na świecie wszystko się wyrównuje. Na Gateway jest bezpieczniej, zaś cała nasza ojczysta planeta Ziemia staje coraz bardziej groźna.

— Być może istnieje jakaś zasada zachowania nieszczęścia, która określa średnią wartość kwantową nieszczęścia dla każdej istoty ludzkiej, a my co najwyżej możemy je rozsmarować bardziej w jednym lub w drugim kierunku?

— Kiedy opowiadasz takie rzeczy, Robinie — westchnął — zastanawiam się, czy moje programy diagnostyczne są tak dobre, jak być powinny. Jesteś pewien, że coś cię nie boli po operacji? — Siedział sobie, a przynajmniej tak to wyglądało, na brzeżku krzesła, prowadząc nasz statek do lądowania gdy tak mówił, ale wiedziałem, że pytanie było retoryczne. Oczywiście przez cały czas mnie obserwował.

Gdy tylko statek został zabezpieczony, wyjąłem wachlarz z Albertem, wpakowałem go pod ramię i ruszyłem do mojego nowego statku.

— Nie zwiedzamy? — spytała Essie, przyglądając mi się z prawie identycznym wyrazem twarzy, jaki zaobserwowałem u Alberta. — Mam pójść z tobą?

— Naprawdę to mnie kręci ten statek — odparłem — i chcę tylko iść i rzucić okiem. Możemy się tam spotkać później. — Wiedziałem, że aż pali się do oglądania, jak nowa filia jej ukochanej firmy radzi sobie w nowym miejscu. Oczywiście, wtedy nie wiedziałem, na kogo może się tam nadziać.

Nie myślałem więc o niczym szczególnym kiedy wspinałem się przez luk mojego własnego, osobistego, zbudowanego przez ludzi międzygwiazdowego jachtu kosmicznego i niech mnie trafi, jeśli rzeczywiście mnie tak to nie kręciło jak powiedziałem Essie. Rozumiecie, spełnienie dzieciennych marzeń! Był prawdziwy. Był cały mój i miał wszystko.

A przynajmniej prawie wszystko. Miał prywatną kabinę właściciela z cudownie szerokim aizokinetycznym łóżkiem i prawdziwą toaletą w sąsiednim pomieszczeniu. Miał wypchaną spiżarnię i coś bardzo zbliżonego do prawdziwej kuchni. Miał dwie kabiny robocze, jedną dla Essie i drugą dla mnie, gdzie były schowane koje dla gości, gdybyśmy zażyczyli sobie towarzystwa. Miał pierwszy zbudowany przez ludzi system napędowy, który sprawdził się w przypadku cywilnego statku nadświetlnego — tak, niektóre elementy pochodziły od Heechów, wyciągnięte z uszkodzonych statków poszukiwawczych, ale większość tego wszystkiego wykonali ludzie. No i był *potężny*, z wielkim, szybkim napędem. Miał też miejsce dla Alberta, gniazdo dla wachlarza z wygrawerowanym na nim jego imieniem; włożyłem go na miejsce, ale nie włączałem go, gdyż moja samotna eskapada sprawiała mi przyjemność. Miał wachlarze pełne muzyki i filmów i dzieł encyklopedycznych oraz programów specjalistycznych, które mogły robić wszystko, czego tylko sobie zażyczę — albo Essie sobie zażyczy. Miał ekran skopiowany z wielkiego transportowca *S. Ja.*, dziesięć razy większy od malutkich zamazanych płytek w statkach eksploracyjnych. Miał wszystko, co kiedykolwiek zapragnąłem mieć na statku, a tak naprawdę brakowało mu jedynie imienia.

Jednym z mniej istotnych ze znalezionych artefaktów Heechów był popychacz aizokinetyczny — proste narzędzie, które mogło przekształcić nacisk o równej sile przyłożony pod pewnym kątem w siłę napędową. Teoria na ten temat była wyczerpująca i elegancka. Zastosowanie, jakie wymyślili ludzie, już nie bardzo — najbardziej popularnym produktem wykonanym z materiałów aizokinetycznych były materace do łóżek ze „sprężynami”, których siła była raczej wektorem niż skalarem, oferując poniekąd ekscytujące wsparcie dla czynności seksualnych. Czynności seksualne! Ile czasu poświęca na nie białkowa inteligencja!

Siedziałem na brzegu wielkiego aizokinetycznego łóżka, odczuwając śmieszny nacisk na dolną część ciała, gdyż był on skierowany do góry, a nie w taki sposób, jak naciskają na człowieka uginające się brzegi zwykłego materaca i rozmyślałem o tym całym problemie. To było dobre miejsce do takich rozmyślań, gdyż osoba, która będzie wraz ze mną zajmować to łóżko, jest zarazem osobą, której imieniem chciałem nazwać statek. Ale już nazwałem transportowiec jej imieniem.

Oczywiście, były różne sposoby poradzenia sobie z tą kwestią. Mogłem nazwać go *Semya*. Albo *Essie*. Albo *Pani Broadheadowa*, jak już przy tym jesteśmy, ale to byłoby dość durne.

Sprawa była pilna. Mieliśmy zaraz wyruszyć. Nic nie trzymało nas na Gateway, z jednym wyjątkiem: nie wyobrażałem sobie wyruszenia statkiem, który nie ma nazwy. Poszedłem do kokpitu i osunąłem się na fotel pilota. Ten zbudowano dla ludzkiego tyłka i już samo to było olbrzymim postępem w stosunku do dawnych czasów.

Kiedy byłem dzieciakiem w kopalniach pożywienia, siadywałem na kuchennym taborecie i udawałem, że pilotuję statek z Gateway do odległych zakątków wszechświata. A teraz robiłem dokładnie to samo. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem pokręteł kursu i udałem, że naciskam na guzik zapłonu i... i... cóż, oddałem się fantazjom. Wyobrażałem sobie, że przemierzam kosmos w ten sam beztrojski, awanturniczy i bezkarny sposób, jak to sobie wymarzyłem jako dziecko. Wirujące kwazary. Wypad do pobliskiej obcej galaktyki. Wycieczka do chmury krzemowego pyłu otaczającej jądro. Spotkanie z Heechem! Wejście do czarnej dziury...

Wizja rozpadła się w tym momencie, gdyż stała się zbyt osobiście realna, lecz oto nagle przyszła mi do głowy nazwa dla statku. Doskonale pasowała do *Essie*, ale nie była powieleniem nazwy *S. Ja*.

Prawdziwa Miłość.

To była świetna nazwa!

A skoro tak było, czemu czułem się jakoś niejasno sentymentalny, nieszczęśliwie zakochany, pogrążony w melancholii?

Nie była to myśl, którą chciałbym ścigać. Cóż, skoro imię zostało wybrane, było tyle do zrobienia: wprowadzić poprawkę do rejestru, zmienić zapisy w dokumentach ubezpieczeniowych statku — cały świat musiał usłyszeć o mojej decyzji. Żeby to zrobić, wystarczyło powiedzieć o tym Albertowi. Poruszałem więc wachlarzem, na którym był zapisany, żeby się upewnić, że jest dobrze włożona i włączyłem go.

Nie przyzwyczaiłem się jeszcze do nowego Alberta, więc zdziwiłem się, kiedy pojawił się nie w hologramie, nawet nie w pobliżu wachlarza, ale w drzwiach do głównej kabiny. Stał tam trzymając łokieć w zagłębieniu dłoni i fajkę w wolnej ręce, rozglądając się spokojnie po całym szerokim świecie, jakby właśnie wszedł.

— Piękny statek, Robinie — rzekł. — Moje gratulacje.

— Nie wiedziałem, że potrafisz tak skakać dookoła!

— W rzeczywistości *nie* skaczą dookoła, mój drogi Robinie — podkreślił uprzejmie. — Część mojego programu dba o najwyższy możliwy realizm sytuacji. Pojawienie się jak dżin z butelki nie wydawałoby się bardzo realistyczne, prawda?

— Jesteś wspaniałym programem, Albercie — przyznałem, a on uśmiechając się, rzekł:

— I uważnym, jeśli mogę tak powiedzieć, Robinie. Na przykład, wydaje mi się, że dobra żona właśnie tu nadciąga. — Odsunął się na bok, zupełnie niepotrzebnie! — kiedy wpadła Essie, sapiąc i wyglądając, jakby próbowała nie wyglądać na zmieszaną.

— O co chodzi? — próbowałem się dowiedzieć, nagle zaniepokojony.

Nie odpowiedziała od razu.

— Nie słyszałeś więc jeszcze? — w końcu udało jej się wykrztusić.

— O czym nie słyszałem?

Spojrzała na mnie z mieszaniną zaskoczenia i ulgi.

— Albercie? Nie ustanowiłeś jeszcze połączenia z miejscową siecią danych?

— Właśnie miałem to zrobić, pani Broadhead — odparł uprzejmie.

— Nie, nie rób tego! Muszę usunąć najpierw pewne odchylenia w ustawieniach dla warunków na Gateway.

Albert ściągnął usta w zamyśleniu, ale nie odezwał się. Ja nie byłem tak powściągliwy.

— Essie, wyrzuć to z siebie! Co się dzieje?

Usiadła na fotelu stanowiska łączności i wachlowała się dłonią.

— Ten drań Wan — rzekła — jest tutaj! Aż się dziwię, że nie słyszałeś. Uuuuch! Ale biegłam! Bałam się, że się zdenerwujesz.

Uśmiechnąłem się lekceważąco.

— Operacja miała miejsce całe tygodnie temu, Essie — przypomniałem jej. — Nie jestem aż tak delikatny i nie sądzę, żebym zdenerwował się Wanem, jak już o tym mówimy. Mogłabyś trochę bardziej we mnie wierzyć!

Rzuciła mi spojrzenie spode łba, po czym skinęła głową.

— Prawda — przytaknęła. — Głupia byłam. Dobrze, wracam do pracy — mówiła dalej, wstając i podchodząc do drzwi. — Ale pamiętaj, Albercie — nie ma łączenia się z siecią dopóki nie wrócę!

— Poczekaj — zawołałem. — Nie słyszałaś jeszcze mojej nowiny. — Zatrzymała się na dość długą chwilę, żebym mógł powiedzieć to z dumą. — Wymyśliłem imię dla naszego statku. *Prawdziwa Miłość*. Co ty na to?

Zastanowienie się nad tym zajęło jej dłuższą chwilę, a jej wyraz twarzy stał się o wiele bardziej niepewny i znacznie mniej zachwycony, niż się tego spodziewałem. Potem rzekła:

— Tak, to bardzo dobra nazwa, Robinie. Niech go Bóg błogosławi i wszystkim, którzy będą nim podróżować, ha? A teraz muszę już iść.

Po dwudziestu pięciu latach nadal nie całkiem rozumiem Essie. Powiedziałem o tym Albertowi. Siedział w pozycji „na spocznij” na ławce przy toalecie Essie, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, po czym wzruszył ramionami. — Sądzisz, że ta nazwa jej się nie spodobała? — spytałem. — Ale taka jest ładna!

— Również tak uważam, Robinie — zgodził się ze mną, robiąc miny do lustra.

— A ona chyba nawet nie chciała obejrzeć statku!

— Chyba się nad czymś zastanawiała — przytaknął.

— Ale nad czym? Jak rany — powtórzyłem — nie zawsze rozumiem, o co jej chodzi.

— Przyznam, że ja także nie, Robinie. W moim przypadku — rzekł, odwracając się od lustra i mrugając do mnie — założyłem, że jest tak dlatego, że ja jestem maszyną, a ona człowiekiem. Zastanawiam się, jaka jest przyczyna w twoim przypadku?

Zagapiłem się na niego, nieco rozzłoszczony, po czym uśmiechnąłem się złośliwie.

— Twoje nowe oprogramowanie, Albercie, jest naprawdę zabawne — powiedziałem mu. — Co ci daje udawanie, że patrzysz w lustro, skoro wiem, że i tak w ten sposób nic nie widzisz?

— Co ci daje patrzeć na *Prawdziwą Miłość*, Robinie?

— Dlaczego zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie? — odparłem, a on zaśmiał się na głos. I był to naprawdę przekonujący pokaz. Odkąd mam Alberta, zawsze potrafił się śmiać, czasem nawet żartował po swojemu, ale zawsze się wiedziało, że to udawany śmiech. Człowiek mógł sobie myśleć, że to obraz prawdziwej osoby — bądźmy szczerzy, przeważnie tak było — jak czyjś obraz w piezowizorze. Ale nie było tam, tego no, jakby to nazwać? Nie było *obecności*. A teraz była. Nie czułem jego zapachu. Ale czułem jego fizyczną obecność w pokoju za pomocą zmysłów innych niż wzrok czy słuch. Temperatura? Poczucie masy? Nie wiem. Co by to nie było, mówi ci, że ktoś jest z tobą.

— Prawdziwa odpowiedź brzmi tak — powiedział poważniejąc — że ten wygląd jest dla mnie odpowiednikiem nowego statku, czy nowego niedzielnego garnituru, czy jaką tam analogię sobie wymyślisz. Ja tylko przyglądam się sobie żeby sprawdzić, czy mi się podoba. A jak *tobie* się podoba, co jest przecież znacznie ważniejsze?

— Nie bądź taki skromny, Albercie — rzekłem mu. — Bardzo mi się podoba, choć wolałbym, żebyś połączył się z siecią. Chciałbym się dowiedzieć, czy ktośkolwiek z ludzi, z którymi pracuję, zrobił coś w kwestii terrorystów, na przykład.

— Oczywiście, że wykonam twoje polecenia, Robinie — odparł — ale pani Broadhead wyraziła się bardzo ściśle.

— Nie, nie chcę, żebyś wysadził się w powietrze albo uszkodził swoje podprogramy. Wiem, co zrobię — oświadczyłem, wstając, gdy do głowy przyszedł mi pewien pomysł. — Zrobię obejście i podłączę się do obwodu komunikacyjnego, pod warunkiem — zażartowałem — że jeszcze nie zapomniałem, jak się robi połączenie.

— Skąd, pewnie, że możesz tak zrobić — rzekł. Jego głos brzmiał, jakby Albert był zmartwiony, z jakiegoś tam powodu. — Ale to nie jest jednak konieczne, Robinie.

— Hm, nie jest — powiedziałem, zatrzymując się w połowie drogi do drzwi — ale jestem ciekaw, wiesz. . .

— Jeśli chodzi o twoją ciekawość — oświadczył, uśmiechając się, gdy upychał tytoń do cybucha fajki; ale to był wymuszony uśmiech, jak mi się wydawało. Jeśli o to chodzi, to musisz wiedzieć, że zanim zacumowaliśmy byłem w stałym kontakcie z siecią. Nie ma żadnych ciekawych wiadomości. Choć to możliwe, że ten brak nowinek sam w sobie jest interesujący. A nawet zachęcający.

Nie całkiem przyzwyczałem się do nowego Alberta. Usiadłem z powrotem, obserwując go.

— Jesteś krytycznym skurwielem, doktorze Einstein — powiedziałem mu.

— Tylko wtedy, gdy przekazuję informacje, które same w sobie nie są dla mnie dość jasne. Uśmiechnął się. — Generał Manzbergen już nie odbiera twoich rozmów. Senator mówi, że zrobił co mógł. Maitre Ijsinger twierdzi, że Kwiatkowski i nasz przyjaciel z Malezji nie reagują na nasze wysiłki zmierzające do skontaktowania się z nimi, a od Albańczyków odebrał wiadomość o treści „Nie martw się.”

— Więc coś się dzieje! — wrzasnąłem, ponownie podskakując.

— Coś *może* się dzieć — poprawił mnie — a jeśli tak jest naprawdę, to możemy jedynie pozwolić, żeby dalej się działo. W każdym razie, Robinie — rzekł przymilnym tonem — osobiście wolałbym, żebyś nie opuszczał teraz statku. Z jednego dobrego powodu: skąd wiesz, czy nie ma tu kogoś innego z pistoletem i twoim nazwiskiem na liście?

— Terrorysta? Tutaj?

— Tutaj czy w Rotterdamie, czemu jedno z tych miejsc miało być mniej prawdopodobne niż inne? Chciałbym ci przypomnieć, Robinie, że w tych sprawach nie jestem taki całkiem niedoświadczony. W pewnym momencie Naziści ogłosili nagrodę za moją głowę w wysokości dwudziestu tysięcy marek; możesz być pewien, że dołożyłem starań, aby nikt jej nie zdobył!

To doleciało do mnie z lewej strony. Zatrzymałem się w drzwiach.

— Jacy „-ziści”?

— Naziści, Robinie. Grupa bandziorów, która wiele lat temu przejęła rządy nad niemieckim narodem, kiedy jeszcze żyłem.

— Kiedy ty jeszcze co?

— Oczywiście, chciałem powiedzieć — wzruszył ramionami — kiedy jeszcze prawdziwa istota ludzka, której imię mi nadałeś, żyła, ale z mojego punktu widzenia nie jest to rozróżnienie, którego warto dokonać. — Z roztargnieniem włożył nabitą fajkę do kieszeni i usiadł w tak naturalny, sympatyczny sposób, że odruchowo również usiadłem.

— Ja chyba nie całkiem jeszcze przyzwyczałem się do twojej nowej postaci, Albercie — oświadczyłem.

Choć oglądanie samego siebie z punktu widzenia Robina jest ciekawe, nie sprawia mi wielkiej przyjemności. Procedury pani Broadhead ograniczają mnie tak, że muszę mówić, działać, a nawet myśleć, jak prawdziwy Albert Einstein, gdyby żył i przejął moją rolę. Robin chyba uważa to za absurdalne. I w pewnym sensie ma rację. Ludzie są absurdalni!

— Nie ma na to lepszego momentu niż obecny, Robinie. — Uśmiechnął się, prostując się z dumą. Wyglądał też bardziej solidnie. Stare hologramy pokazywały go w jakichś kilkunastu charakterystycznych pozach, w powyciąganym swetrze albo koszulce, w skarpetkach lub bez, w trampkach lub w klapkach, z fajką albo ołówkiem. Dziś miał na sobie koszulkę, no jasne, ale na nią założył jakiś taki workowaty europejski sweter, rozpinany z przodu, z kieszeniami, który równie dobrze mógłby służyć jako marynarka, gdyby nie ten strasznie luźny ściąg. Na swetrze miał znaczek z napisem „Dwa procent”, a niewyraźne czarne kropki wokół podbródka sugerowały, że dziś rano się nie ogolił. Zaraz, no jasne, że się nie ogolił! Nigdy się nie ogolił, był przecież tylko holograficzną projekcją komputerowego konstrukt, ale był tak przekonujący i prawie żywy, że chciałem mu pożyczyć własną maszynkę do golenia!

Zaśmiałem się i potrząsałem głową.

— Co oznacza napis „Dwa procent”?

— Ach — odparł z zawstydzeniem — to takie hasło z mojej młodości. Gdyby dwa procent ludzkiej rasy odmówiło walki, nie byłoby wojen.

— Teraz też w to wierzysz?

— Mam nadzieję, że tak jest — poprawił mnie. — Wiadomości nie budzą we mnie wielkich nadziei, muszę to przyznać. Chcesz teraz przejrzeć resztę newsów?

— Chyba powinienem — odparłem i patrzyłem jak podchodzi do toaletki Essie. Usiadł przed nią na ławce i obojętnie bawił się jej buteleczkami perfum i różnymi damskimi świecidełkami; było to takie normalne, takie ludzkie, że odwracało moją uwagę od tego, co mówił. Co nie było takie złe, bo wiadomości były w całości fatalne. Terrorysty byli jeszcze bardziej aktywni. Zniszczenie pętli Lofstroma rzeczywiście było pierwszym krokiem do rewolucji, a w tej części Południowej Afryki trwała mała, krwawa wojenka. Terrorysty wrzucili toksynę botulinową do zbiornika w Staines i Londyn zaczął odczuwać pragnienie. Nie takich wiadomości chciałem, i powiedziałem mu o tym.

Westchnął i zgodził się ze mną.

— Rzeczywiście, było o wiele spokojniej, kiedy jeszcze żyłem, oświadczył tęsknie. — Choć nie były to doskonałe czasy. Mogłem zostać prezydentem państwa Izrael, wiesz o tym, Robinie? Tak. Ale czułem, że nie mogę się na to zgodzić. Zawsze popierałem pokój, a państwa czasem muszą prowadzić wojnę. Loeb powiedział mi raz, że wszyscy politycy to patologiczne osobowości i obawiam się, że miał rację. — Wyprostował się i rozpromienił. — Ale na koniec mam dla ciebie

wreszcie jakieś dobre nowiny, Robinie! Nagroda Broadheada za Odkrycie Naukowe...

— Co Broadheada?

— Przypomnij sobie, Robinie — rzekł z niecierpliwością — to system nagród, do utworzenia którego mnie upoważniłeś tuż przed operacją. Właśnie zaczął wydawać owoce.

— Rozwiązaście zagadkę Heechów?

— Och, Robinie, mam wrażenie, że żartujesz sobie ze mnie — powiedział nieco karcącym tonem. — Oczywiście, nic tak spektakularnego jeszcze nie nastąpiło. Ale ten fizyk z Laguna Beach — Beckfurt? Znasz jego prace? Ten, który zaproponował metodę osiągnięcia płaskiej powierzchni?

— Nie. I nawet nie wiem, co to jest płaska powierzchnia.

— Cóż — odparł, z rezygnacją, widząc, jakim jestem ignorantem — to w tej chwili nie ma znaczenia, jak sądzę, ale on właśnie pracuje nad analizą matematyczną brakującej masy. Wydaje się, Robinie, że to dość niedawne zjawisko! W jakiś sposób dołożono masę do Wszechświata, w ciągu ostatnich kilku milionów lat!

— Ach, tak — odparłem udając, że rozumiem. Ale nie zdołałem go oszukać.

Wyjaśnił cierpliwie:

— Jeśli pamiętasz, Robinie, parę lat temu Zmarły — a właściwie Zmarła, bo to kobieta ze statku, znanego obecnie jako *S. Ja.*, próbowała nas przekonać, że to zjawisko ma coś wspólnego z działaniem Heechów. Wtedy nie poświęciliśmy temu większej uwagi, bo nie sądziliśmy, że jest ku temu jakieś uzasadnienie.

— Pamiętam — rzekłem i było to tylko częściowo nieprawdą. Pamiętałem, że Albert miał taki dziki pomysł, że z jakiegoś bliżej nie określonego powodu Heechowie powodują kurczenie się Wszechświata z powrotem do postaci pierwotnego atomu, by spowodować nowy Wielki Wybuch i powstanie nowego wszechświata o zupełnie innych prawach fizyki. Potem zaś zmienił zdanie. Na pewno objaśnił mi wtedy całe rozumowanie, ale nie pozostało mi ono w pamięci. — Mach? — spytałem. — Coś związanego z facetem nazwiskiem Mach? I facetem nazwiskiem Davies?

— Dokładnie tak, Robinie — przytaknął z entuzjazmem, uśmiechając się do mnie z zachwytem. Hipoteza Macha podsuwała możliwą przyczynę, ale Paradoks Daviesa sprawił, że ta przyczyna jest nieprawdopodobna. Teraz Beckfurt wykazał analitycznie, że Paradoks Daviesa nie musi obowiązywać, zakładając jedynie, że liczba rozszerzeń i skurczeń jest skończona! — Wstał i zaczął wędrować po pokoku, za bardzo zadowolony z siebie, żeby usiąść. Nie rozumiałem jednak, z czego się tak cieszy.

Robin nie do końca rozumie Paradoks Daviesa, ale nie rozumie nawet bardziej sławnego Paradoksu Olbersa, który zaprzętał głowy astronomom już w dziewięt-

nastym wieku. Olbers twierdził: jeśli wszechświat jest nieskończony, liczba gwiazd powinna być również nieskończona. Oznacza to, że nie powinniśmy widzieć pojedynczych gwiazd na czarnym niebie, ale jednolitą sferę blasku, oślepiającą białą. I udowodnił to matematycznie. (Nie wiedział jednak, że gwiazdy są pogrupowane w galaktyki, co zmienia obliczenia.) W następnym stuleciu Paul Davies oświadczył: To prawda, że wszechświat jest cykliczny, cały czas na przemian kurczy się i rozszerza, jeśli zatem jest możliwe, że mała porcja energii nie zostanie zgnieciona i zostanie przeniesiona do następnego wszechświata, po nieskończonym okresie czasu to pozostałe światło wzrośnie nieskończenie i znów będziemy mieli niebo Olbersa. Nie wiedział jednak, że liczba oscylacji, w których ta porcja energii zostanie nietknięta, nie jest nieskończona. A my jesteśmy w pierwszym z tych cykli.

— Albercie — spytałem z niepokojem — czy chcesz mi powiedzieć, że jeśli wszechświat spadnie nam na głowy, my wszyscy zostaniemy ściśnięci w — jak ty to nazywasz? Łyko?

— Tak, mój drogi chłopcze?

— I to cię tak *uszcześliwia*?

— Właśnie! Och — rzekł, podchodząc do drzwi i patrząc na mnie — rozumiesz, na czym polega twój problem. To się nie stanie *prędko*. Na pewno jest to kwestia miliardów lat.

Odchyliłem się na oparcie i popatrzyłem na niego. Przyzwyczajenie się do nowego Alberta zajmie mi trochę czasu. Chyba nie zauważał, że coś jest nie w porządku; trajkotał z zadowoleniem o wszystkich niedorobionych teoriach, które do niego spłynęły od chwili ogłoszenia o powołaniu nagród i o tym, na jakie to ciekawe pomysły wpadł pod ich wpływem.

Pomyślał?

— Chwileczkę — rzekłem, marszcząc brwi, gdyż było to coś, co nie do końca rozumiałem. — Kiedy?

— Kiedy co, Robinie?

— Kiedy o tym pomyślałeś? Przecież byłeś wyłączony przez cały czas z wyjątkiem naszej rozmowy. . .

— Zgadza się, Robinie. Kiedy byłem „wyłączony”, jak to ująłeś. — Mru-gnął. — Teraz pani Broadhead wyposażyła mnie we wbudowaną sprzętowo bazę danych i nie przestają już istnieć, kiedy mnie odsyłasz, wiesz.

— Nie wiedziałem — oświadczyłem.

— I sprawia mi to tyle przyjemności, żebyś tylko wiedział! Tak po prostu myśleć! Przez całe moje życie właśnie tego pragnąłem najbardziej. Kiedy byłem młody, nie mogłem się doczekać na okazję, żeby sobie posiedzieć i pomyśleć — żeby robić na przykład takie rzeczy, jak rekonstruowanie dowodów znanych teorii matematycznych i fizycznych. A teraz mogę to robić często i przeważnie znacznie szybciej niż wtedy, kiedy żyłem! Jestem za to głęboko wdzięczny twojej żonie. —

Nastawił ucha. — Znów tu idzie, Robinie. — Pani Broadhead? Właśnie przypomniałem sobie, żeby wyrazić moją wdzięczność za nowe oprogramowanie.

Spojrzała na niego zaskoczona, po czym potrząsnęła głową.

— Drogi Robinie — powiedziała — muszę ci coś powiedzieć. Chwileczkę. — Odwróciła się do Alberta i rzuciła do niego trzema czy czterema zdaniami po rosyjsku. Albert pokiwał głową z ponurą miną.

Czasem dostrzeżenie tego, co się dzieje na moich oczach, zajmuje mi trochę czasu, ale tym razem było to oczywiste.

— Ależ Essie — powiedziałem zaniepokojony, tym bardziej, że nie wiedziałem, jaki jest powód tego niepokoju. — Co się dzieje? Czy Wan coś zrobił?

Odparła poważnie:

— Wan odleciał z Gateway i zrobił to w samą porę, bo wpakował się w kłopoty z Korporacją Gateway i z paroma innymi instytucjami też. Ale nie o Wanie chcę mówić. O kobiecie, którą widziałam w mojej restauracji. Była bardzo podobna, drogi Robinie, do kobiety, którą kochałeś przede mną, Gelle-Klary Moynlin. Tak bardzo, że pomyślałam, że to może jej córka.

Gapilem się na nią.

— Co? A tak w ogóle, skąd wiesz, jak wyglądała Klara?

— Och, Robinie — odparła niecierpliwie. — Dwadzieścia pięć lat małżeństwa ze specjalistką od wyszukiwania danych niczego cię nie nauczyło? Czy sądzisz, że nie chciałam wiedzieć? Znam ją doskonale, Robinie. Wszystkie dane, jakie zapisano.

— Tak, ale... ona nigdy nie miała córki, wiesz. — Zamilkłem, zastanawiając się, czy rzeczywiście bym wiedział. Bardzo kochałem Klarę, ale nie trwało to długo. Było całkiem możliwe, że w jej życiorysie były rzeczy, o których nie miała okazji mi powiedzieć.

— Tak naprawdę — rzekła Essie przeprosającym tonem — najpierw przyszło mi do głowy, że to mogła być twoja córka. Taka teoria, wiesz. Ale możliwa. Mogłeś jej zrobić dziecko, nie? Ale teraz... — Odwróciła się do Alberta z przeprosującym wyrazem twarzy. — Albercie? Zakończyłeś przeszukiwanie?

— Tak, pani Broadhead — skinął głową z ponurą miną. — Nic w danych o Gelle-Klarze Moynlin nie sugeruje, że kiedykolwiek urodziła dziecko.

— No i?

Sięgnął po fajkę i zaczął się nią bawić.

— Tożsamość nie budzi żadnych wątpliwości, pani Broadhead. Ona zameldowała się dwa dni temu, razem z Wanem.

Essie westchnęła.

— Zatem — rzekła dzielnie — nie ma żadnych wątpliwości. Ta kobieta w restauracji to sama Klara, nikt podszywający się pod nią.

W tej chwili próbowałem zrozumieć, co się do mnie mówi, ale najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnąłem kojącej, uzdrawiającej obecności mojego programu psychoanalitycznego, Sigfrida von Psychy. Potrzebowałem pomocy.

Klara? Żywa? Tutaj? Jeśli taka niemożliwość była prawdziwa, co powinienem z tym zrobić?

Dość łatwo było powiedzieć sobie, że nie byłem Klarze winien nic, czego bym już nie zapłacił. Moneta, którą zapłaciłem, to długi czas żałoby, głęboka i trwała miłość, poczucie straty, którego nie dało się uleczyć jeszcze trzydzieści lat później. Zabrano ją ode mnie za morze, którego nie mogłem przemierzyć, a jeśli to wszystko w końcu było do zniesienia, to tylko dlatego, że udało mi się uwierzyć, że to Nie Była Moja Wina.

Tylko że morze jakoś samo się skurczyło. A ona była tutaj! I ja tutaj byłem, z od dawna poślubioną żoną i od dawna uporządkowanym życiem, i nie było tu miejsca dla kobiety, którą poprzysiągłem kochać zawsze i tylko ją.

— Jest coś jeszcze — powiedziała Essie, obserwując moją twarz.

Chyba nie brałem udziału w tej rozmowie zbyt sprawnie.

— Tak?

— Jest coś jeszcze. Wan przyleciał z dwoma kobietami, nie jedną. Ta druga to Dolly Walthers, niewierna żona tego człowieka, z którym spotkaliśmy się w Rotterdamie, wiesz? Młoda osoba. Zapłakana, z rozmazanym tuszem wokół oczu — ładna młoda kobieta, ale w niezbyt dobrym stanie psychicznym. Żandarmeria amerykańska aresztowała ją, kiedy Wan odleciał bez odprawy, więc poszłam z nią pogadać.

— Dolly Walthers?

— Och, Robin, słuchaj uważnie, proszę! Tak, Dolly Walthers. Niewiele mi mogła powiedzieć, bo żandarmeria miała co do niej inne plany. Amerykanie chcieli zabrać ją do Podniebnego Pentagonu. Żandarmeria brazylijska próbowała ich powstrzymać. Wielka awantura, ale Amerykanie w końcu wygrali.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem.

— Rozumiem. Amerykanie aresztowali Dolly Walthers.

Essie przyjrzała mi się uważnie.

— Dobrze się czujesz, Robin?

— Jasne, nic mi nie jest. Tylko trochę się martwię, bo jeśli dojdzie do tarć między Brazylijczykami a Amerykanami, to czy im to nie przeszkodzi w wymianie danych?

— Ach, — odparła Essie, kiwając głową — teraz jasne. Czyli można powiedzieć, że się czymś martwiłeś, a nie byłeś do końca pewny, co to było. — Przygryzła wargę. — Wybacz mi, drogi Robinie. Też jestem trochę zmartwiona.

Usiadła na krawędzi łóżka, wzdrygając się z irytacją, kiedy poczuła dotknięcie aizokonetycznego materaca.

— Najpierw sprawy praktyczne — rzekła marszcząc brwi. — Co teraz zrobimy? Alternatywy mamy następujące. Jedna, lecimy badać ten obiekt odkryty przez Walthersa, zgodnie z planem. Druga, próbujemy znaleźć więcej informacji o Gelle-Klarze Moynlin. Trzecia, zjemy coś i prześpimy się zanim coś w ogóle zrobimy, bo — dodała karcącym tonem — nie zapominaj, Robinie, że jesteś ciągle rekonwalescentem po poważnej operacji jamy brzusznej. Osobiście jestem za trzecią możliwością, a co ty o tym sądzisz?

Kiedy tak przeżuwałem tę trudną odpowiedź, Albert odchrząknął.

— Pani Broadhead? Przyszło mi do głowy, że wyczarowanie Jedyńki i wysłanie jej na rekonesans fotograficzny nie powinno być bardzo drogie, może kosztować paręset tysięcy dolarów. — Zerknąłem na niego, próbując za nim nadążyć. — To znaczy — wyjaśnił — że możemy wysłać ją z misją odnalezienia tego obiektu, zlokalizowania go, obserwowania i informowania nas na bieżąco. Nie ma dziś wielkiego zapotrzebowania na statki dla jednego pasażera, a tak czy inaczej chyba parę jest dostępnych tu, na Gateway.

— Bardzo dobry pomysł! — wykrzyknęła Essie. — Czyli załatwione, prawda? Zorganizuj to, Albercie i w międzyczasie ugotuj dla nas coś pysznego, na pierwszy posiłek na, och, na naszym nowym statku *Prawdziwa Miłość*.

Osobiście nie miałem nic przeciwko, tak więc zrobiliśmy. Osobiście nie miałem nic przeciwko, bo osobiście byłem w szoku. Najgorsze w byciu w szoku jest to, że o tym nie wiesz. Wydawało mi się, że jestem zupełnie przytomny i myślący. Zjadłem więc wszystko, co przede mną postawiono i nie zauważyłem nic dziwnego, dopóki Essie nie zaciągnęła mnie do wielkiego, kołyszącego się łóżka.

— Nie odzywałaś się przy kolacji — powiedziałem.

— Dlatego, że kiedy ostatnie dziesięć razy odezwałam się do ciebie, Robinie, nie odpowiedziałeś mi — rzekła, ale w jej głosie nie usłyszałem oskarżającego tonu. — Do zobaczenia rano.

Implikacje tego zdania dotarły do mnie dość szybko.

— Będziesz więc spać w gościnnej kabinie, tak?

— Tak, nie dlatego, kochanie, że jestem zła, nawet nie dlatego, że się martwię. Chcę ci pozwolić, żebyś trochę pobył sam ze sobą, dobrze?

— No tak. To znaczy, tak, kochanie, to chyba dobry pomysł — odparłem, zaczynając zauważać, że Essie była naprawdę zmartwiona i zacząłem się nawet zastanawiać, czy powinienem się tym przejmować. Ująłem ją za rękę i pocałowałem w nadgarstek zanim poszła, a nawet zmusiłem się do działania i zacząłem rozmowę. — Essie? Czy powinienem był się z tobą skonsultować zanim nazwałem statek?

Ściągnęła usta.

— *Prawdziwa Miłość* to dobra nazwa — rzekła rozsądnie.

Ale chyba miała jakieś zastrzeżenia, a ja nie wiedziałem, dlaczego.

— Zapytałbym cię — wyjaśniłem — ale to wydawało mi się takie prostackie. To znaczy, pytać osobę, której imieniem chce się nazwać statek, co chce dostać na urodziny, zamiast samemu wymyślić.

Uśmiechnęła się i widać było, że się odpręża.

— Ależ Robinie, ty przecież zawsze mnie o to pytasz. To nie jest ważne, naprawdę. A owszem, *Prawdziwa Miłość* to naprawdę *wspaniała* nazwa, zwłaszcza, że teraz już wiem, że prawdziwa miłość, którą miałeś na myśli to ja.

Albert chyba znów coś mieszał ze swoimi magicznymi eliksirami nasennymi, bo zasnąłem jak dziecko. Ale długo nie pospałem. Trzy albo cztery godziny później leżałem na łóżku aizokinetycznym, zupełnie rozbudzony, dość spokojny ale i dość zmartwiony.

Na obwodzie asteroidu Gateway, gdzie znajdują się otwory cumownicze, daje się odczuć siła odśrodkowa spowodowana jego wirowaniem. Dół staje się górą. Ale na pokładzie *Prawdziwej Miłości* tak się nie stało. Albert włączył agregaty statku i ta sama siła, która nie pozwalała nam latać po statku, teraz neutralizowała i odwracała siłę odśrodkową; byłem przyjemnie przytrzymywany na przyjemnym łóżku. Czułem delikatny pomruk systemów wewnętrznych statku, które wymieniały powietrze, utrzymywały ciśnienie i wykonywały wiele innych czynności, które utrzymywały statek przy życiu. Wiedziałem, że Albert pojawi się przy mnie, jeśli go zawołam — nie wiedziałem tylko, jak to robi i nieomal warto było go zawołać tylko po to, żeby zobaczyć, czy wejdzie przez drzwi, czy też wypełźnie spod łóżka, żeby mnie rozbawić. W jedzeniu, jak i w napoju nasennym, był chyba jakiś środek poprawiający nastrój, bo czułem, że potrafię sobie łatwo poradzić z moimi problemami — choć to uczucie samo nie robiło nic, żeby je rozwiązać.

Jakie problemy musiałem rozwiązać? To był pierwszy problem. Przez ostatnie kilka tygodni moje priorytety zmieniały się tak często, że już nie miałem pojęcia, co umieścić na szczycie listy

Był przecież trudny, bolesny problem terrorystów, a rozwiązanie go było ważne nie tylko z mojego powodu; ale spadł w dół listy, kiedy usłyszałem, jaki to nowy problem Audee Walthers przyniósł mi w Rotterdamie. Była też sprawa mojego stanu zdrowia, ale wydawało się, że została, przynajmniej tymczasowo, zawieszona. No i był nowy, absolutnie nierozwiązywalny problem Klary. Z każdym z nich mogłem sobie jakoś poradzić. Ze wszystkimi czterema też mogłem sobie jakoś poradzić — ale jak konkretnie? Co powinienem zrobić, kiedy wstanę z łóżka?

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie, więc nie wstałem.

Zasnąłem, a kiedy się obudziłem, nie byłem sam.

— Dzień dobry, Essie — powiedziałem, sięgając po jej rękę.

— Dzień dobry — odparła, przyciskając rękę do mojego policzka w czuły, znajomy sposób. Ale miała jakiś mniej znajomy mi problem do omówienia. — Dobrze się czujesz, Robinie? Świetnie. Rozmyślałam trochę o twojej sytuacji.

— Rozumiem — odpowiedziałem. Czuję, jak wraca napięcie; przyjemne odprężenie gdzieś odpłynęło. — Jaką sytuację konkretnie masz na myśli?

— Sytuację dotyczącą Klary Moynlin, oczywiście. To chyba dla ciebie strasznie trudne, Robin, kochany.

— Och — odparłem mglście — takie rzeczy się zdarzają. — To nie była sprawa, o której rozmawiało mi się z Essie łatwo, ale to nie powstrzymało jej od prób dyskusowania o niej.

— Robin, kochanie — rzekła spokojnym głosem, a jej wyraz twarzy wyglądał na łagodny w przyćmionym świetle sypialni — nie musisz dusić tego w sobie. Jeśli to stłumisz, kiedyś samo wybuchnie.

Ścisnąłem jej rękę.

— Brałeś lekcje u Sigfrida von Psychy? On mi też to zawsze powtarzał.

— To był dobry program, ten Sigfrid. Uwierz mi, wiem, co się dzieje w twoim sercu.

— Wiem, że wiesz, tylko...

— Tylko niezręcznie ci rozmawiać o tym ze mną, która w omawianym przypadku jest Tą Drugą. Bez której nie byłoby tego problemu.

— To nieprawda, do jasnej cholery! — nie miałem zamiaru krzyżeć, ale może rzeczywiście w końcu coś we mnie wybuchło.

— Nie tak, Robinie. To prawda. Gdyby mnie nie było, mógłbyś odszukać Klarę, pewnie byś ją znalazł, potem zdecydował, co zrobić z tą całą problematyczną sytuacją. Moglibyście znów być razem. Albo nie — Klara młoda kobieta, mogłaby nie chcieć takiego odpicowanego częściami zamiennymi staruszka za kochanka, ha? Tę możliwość wykluczam. Tak mi przykro.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym poprawiła się.

— Nie, to nieprawda; nie jest mi ani trochę przykro, że się kochamy. Bardzo to dla mnie ważne — ale problem zostaje. Tylko że, Robinie!! Nikt tu nie jest winny! Ty nie zasługujesz na poczucie winy, ja też, Klara też sobie na to nie zasłużyła. Więc cała wina, zmartwienie, strach, są w twojej głowie. Nie Robinie, nie zrozum mnie źle; to, co jest w głowie, może bardzo mocno ranić, zwłaszcza kogoś, kto ma tak wrażliwe sumienie, jak ty. Ale to papierowy tygrys. Dmuchnij na niego, on zniknie. Problemem nie jest powrót Klary; problemem jest twoje poczucie winy.

Widać było, że nie tylko ja kiepsko spałem; to jasne, że Essie przeciwoczyła sobie na sucho tę mowę.

Usiadłem na łóżku i wciągnąłem powietrze.

— Czy to pachnie kawa, którą przyniosłaś?

— Jeśli chcesz trochę, Robinie.

— Chcę. — Zastanowiłem się przez chwilę, kiedy ona podawała mi filiżankę. — Na pewno masz rację — powiedziałem. — Wiem o tym. Ale nie wiem, jak mawiał Sigfrid, jak zintegrować tę wiedzę z moim życiem.

Skinęła głową.

— Chyba coś sknociłam — powiedziała. — Powinnam była włączyć podprogramy Sigfrida do Alberta, zamiast — powiedzmy — gotowania dla smakoszy. Pomyślałam o zmianie oprogramowania Alberta dla ciebie, bo za to odpowiadam.

— Och, złotko, to nie twoja. . .

— . . . wina, nie. O tym w końcu jest ta rozmowa, prawda? — Essie pochyliła się by obdarzyć mnie szybkim pocałunkiem, po czym przybrała zmartwiony wyraz twarzy. — Och, poczekaj, Robinie, wycofuję ten pocałunek. Bo tak naprawdę chciałam powiedzieć coś takiego: w psychoanalizie, jak mi to często wyjaśniałeś, analityk nie jest ważny. Ważne jest to, co się dzieje w głowie analizowanego, na przykład ciebie. Analityk może być więc maszyną, nawet dość okrojona maszyna; albo durniem o cuchnącym oddechu; albo człowiekiem z doktoratem. . . albo nawet mną.

— Tobą!

Wzdrygnęła się.

— Słyszałam już u ciebie bardziej pochwalny ton — poskarżyła się.

— Masz zamiar przeprowadzić na mnie psychoanalizę!?

Wzruszyła ramionami w obronnym geście.

— Tak, mam zamiar, a czemu nie? Jako przyjaciel. Jako *dobry* przyjaciel, inteligentny, chcący słuchać, obiecuję, że nie będę nawet w najmniejszym stopniu cię oceniać. *Obiecuję*, kochany Robinie. Jako ktoś, kto pozwoli ci gadać, walczyć, krzyczeć, szlochać, aż wyjdzie z ciebie to, co naprawdę czujesz i czego pragniesz.

Czułem, jak moje serce topnieje! Zdołałem tylko powiedzieć:

— Och, Essie. . . — ale wtedy zacząłem się bać, że się rozbeczę bez najmniejszego problemu. Zamiast więc płakać, pociągnąłem kolejny łyk kawy i potrząsnąłem głową. — Nie wydaje mi się, żeby to zadziało — powiedziałem. Odczuwałem żal i musiał on pojawić się w moim głosie, ale czułem jeszcze coś innego — jak to nazwać? *Zainteresowanie? Techniczne zainteresowanie. Zainteresowanie rozwiązaniem problemu.*

— Dlaczego to ma nie zadziałać — nalegała bojowym tonem. — Posłuchaj, Robinie, przemyślałam to wszystko dokładnie: najlepszą częścią twoich sesji z Sigfridem, jak mówiłeś, często tak naprawdę było to, co się działo po drodze: kiedy przepowiadałeś sobie, co chcesz powiedzieć, wyobrażałeś sobie, co Sigfrid ci powie, a co ty mu odpowiesz.

— Powiedziałem coś takiego? — Zawsze mnie zadziwiało, jak dużo Essie pamiętała z niezobowiązujących pogawędek sprzed ćwierćwiecza.

— Dokładnie coś takiego — odparła z przekonaniem. — Więc czemu nie ja? Tylko dlatego, że jestem osobiście w to zaangażowana?

— No, na pewno byłoby to trudniejsze.

— Trudne rzeczy załatwiam od ręki — rzekła radośnie. — Niemożliwe w ciągu miesiąca.

— Szczęściara z ciebie — powiedziałem — ale... — zastanowiłem się przez chwilę. — Widzisz, to nie jest tylko kwestia słuchania. W dobrym programie psychoanalitycznym świetne jest to, że on wyłapuje też wszystkie rzeczy niewerbalne. Rozumiesz, co mam na myśli? To „ja”, które mówi, nie zawsze wie, co chce powiedzieć. Blokuję to — czasem to „ja” to blokuje, czasem coś innego, gdyż uwolnienie tych wszystkich starych historii oznacza ból, a nikt nie lubi doznawać bólu.

— Trzymałabym cię za rękę, aż przetrzymałbyś cały ból, Robinie.

— Oczywiście, że byś trzymała. Ale czy zrozumiałabyś te wszystkie sygnały niewerbalne? To ukryte, milczące „ja”, przemawia symbolami. Marzenia. Przejęzyczenia freudowskie. Niewyjaśnione awersje. Lęki. Pragnienia. Wzdrygnięcia i mruganie. Uczulenia — te wszystkie rzeczy, Essie i tysiące innych, jak impotencja, brak oddechu, swędzenia, bezsenność. Nie chcę powiedzieć, że na wszystkie te rzeczy się uskarżałem... .

— No pewnie, że nie na wszystkie!

— ... ale należą one do słownika, który potrafi odczytać Sigfrid. Ale nie ja. I ty też nie.

Światła w pokoju pojaśniały powoli i do pokoju wkroczył Albert Einstein. Nie, żeby przeciągał się i ziewał, ale robił wrażenie podstarzałego geniusza, który właśnie wstał z łóżka, gotowego na wszystko, co może nadejść, ale jeszcze nie całkiem przebudzonego. — Czy wyczarterowałaś ten statek na rekoniesans fotograficzny? — naciskała Essie?

— Jest już w drodze, pani Broadhead — odparł.

Nie wydawało mi się, żeby tak do końca to ze mną uzgodniono, ale może i tak było, pomyślałem. — A wysłałaś wiadomości, zgodnie z ustaleniami? — kontynuowała.

— Tak, wszystkie, pani Broadhead. — Pokiwał głową. — Zgodnie z pani poleceniem. Do wszystkich wysoko postawionych osób w amerykańskich władzach wojskowych, które są winne Robinowi przysługę, prosząc, żeby zrobiły co w ich mocy i przekonały ludzi z Pentagonu, byśmy mogli przesłuchać Dolly Walthers.

— Tak. Czyli wszystko zgodnie z poleceniem — zgodziła się Essie i zwróciła się do mnie. — Jak więc widzisz, jest tylko jedna droga, którą możemy się udać. Odnaleźć tę Dolly. I Wana. Odnaleźć Klarę. Potem — rzekła, a choć jej głos brzmiał pewnie, wyraz twarzy miała znacznie mniej pewny siebie, a o wiele bardziej wrażliwy — potem zobaczymy, co zrobimy, Robinie, więc życzymy sobie wszystkim szczęścia.

Szła do przodu o wiele za szybko, żebym mógł za nią nadążyć i w takich kierunkach, że jestem pewien, iż nigdy bym się na to nie zgodził. Oczy prawie wyskoczyły mi ze zdumienia.

— Essie! Co się dzieje? Kto powiedział... .

— Osobą, która podjęła decyzję byłam ja, drogi Robinie. To oczywiste. Nie możesz tak żyć z Klarą, jak z duchem w podświadomości. Musisz stanąć z prawdziwą Klarą twarzą w twarz. Jest tylko jeden sposób na to, prawda?

— Essie! — byłem mocno zszokowany. — Wysłałaś te wiadomości? Podrobiłaś mój podpis? Ty...

— Zaraz, poczekaj, Robinie! — odparła, sama nieźle zszokowana. Podpisałam te wiadomości „Broadhead”, a tak się chyba nazywam, prawda? Mam prawo podpisywać się własnym nazwiskiem, czyż nie?

Gapiłem się na nią z poczuciem frustracji. Solidnej frustracji.

— Kobieto — powiedziałem wreszcie — jesteś za cwana jak na mój gust, wiesz o tym? Dlaczego mi się ciągle wydaje, że znałaś każde słowo z tej rozmowy zanim się ona zaczęła?

Wzruszyła ramionami z wyższością.

— Jestem specjalistką od informacji, ciągle ci to powtarzam, Robinie. Wiem, jak się posługiwać informacjami, szczególnie zdobytymi przez dwadzieścia pięć lat obcowania z obiektem, który bardzo kocham i bardzo chcę, żeby był szczęśliwy. Więc owszem, przemyślałam dokładnie, co należy zrobić i na co byś pozwolił i doszłam do nieuniknionych wniosków. Zrobiłabym o wiele więcej, gdyby to było konieczne, Robinie — zakończyła wstając i przeciągając się. — Zrobiłabym to, co byłoby najlepsze, nawet znikłabym na pół roku, żebyście ty i Klara mogli rozwiązać swoje problemy.

Dziesięć minut później, podczas gdy Essie i ja myśliśmy się i ubieraliśmy, Albert uzyskał zezwolenie na start i wyprowadził *Prawdziwą Miłość* z doku i już byliśmy w drodze do Podniebnego Pentagonu.

Moja ukochana żona, Essie, ma wiele cnót. Jedną z nich jest taki altruizm, że czasem zapiera mi dech. Kolejną — poczucie humoru, które czasem udziela się jej programom. Albert przebrał się za dzielnego, odważnego pilota: w skórzaną pilotkę z łopoczącymi nausznikami, biały jedwabny szalik Czerwonego Barona, który zarzucił do tyłu, kiedy zasiadł przykucnięty w fotelu pilota, gapiąc się z niechęcią na przyrządy sterownicze.

— Daj sobie z tym spokój, Albert — powiedziałem do niego, a on odwrócił głowę i rzucił mi głupawy uśmiezek.

— Tylko próbowałem was rozweselić — rzekł, ściągając z głowy pilotkę.

— Udało ci się, no dobrze. I rzeczywiście mnie rozbawił. Mimo wszystko czułem się całkiem nieźle. Jedynym sposobem na poradzenie sobie z potwornym, miazdzącym uczuciem depresji spowodowanej ukrytymi problemami jest wyciągnięcie ich na światło dzienne — w taki czy w inny sposób — i to na pewno była jakaś metoda. Doceniałem kochającą troskę mojej żony. Doceniałem styl lotu mojego nowego statku. Doceniałem nawet schludny sposób, w jaki Albert pozbył się swojej holograficznej pilotki i szalika. Nic tak prostackiego, jak rozpływanie się

w powietrzu. Po prostu zwinął je i upchał gdzieś pod nogami i pewnie tam sobie leżały, by zniknąć, kiedy nikt nie będzie patrzył.

— Czy sterowanie statkiem angażuje całą twoją uwagę, Albercie? — zapytałem.

— Niezupełnie, Robinie — przyznał. — On ma oczywiście pełne oprogramowanie do nawigacji.

— Więc siedzenie tam jest kolejnym sposobem na rozbawienie mnie. Czemu więc nie zabawiasz mnie w inny sposób? Rozmawiaj ze mną. Opowiedz mi o tym wszystkim, co zawsze chciałeś mi pokazać. No wiesz. O kosmologii, Heechach, Sensie Wszechrzeczy i Bogu.

— Jak sobie życzysz, Robinie — rzekł zgodnie — ale może najpierw przeczytasz otrzymaną wiadomość.

Essie podniosła wzrok z kąta, gdzie przeglądała raporty z uwagami klientów, zaś Albert wyczyścił wielki ekran ukazujący gwiazdy i wyświetlił, co następuje:

Robinette, drogi chłopie, facet, który zmusił Brazylijczyków, by przewrócili się na grzbiet łapkami do góry i udawali nieżywych, nie może prosić o zbyt wiele. Podniebny Pentagon został powiadomiony o twojej wizycie wraz z poleceniem, by spełnił wszystkie twoje życzenia. W twoje ręce. Manzbergen

— Na Boga — rzekłem ze zdumieniem i z zachwytem — zrobili to! Przekazali dane!

Albert pokiwał głową.

— Na to wygląda, Robinie. Chyba powinienes być zadowolony ze swoich działań.

Essie podeszła i pocałowała mnie w szyję.

— Popieram tę uwagę — zamruczała. — Genialny Robin! Bardzo wpływowo człowiek.

— E tam, skądże znowu — odparłem, uśmiechając się złośliwie. Nie mogłem powstrzymać takiego uśmieszku. Gdyby Brazylijczycy przekazali dane wyszukiwania i namierzania Amerykanom, Amerykanie prawdopodobnie mogliby połączyć je z własnymi danymi i znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie problemu cholernych kosmicznych terrorystów i piekielnego, przyprawiającego o szaleństwo TNP. Nic dziwnego, że generał Malzbergen był mną zachwycony! Sam też byłem w siódmym niebie. Znów się okazało, że jeśli problemy cię przytłaczają i nie możesz się zdecydować, za który się najpierw zabrać, jeśli tylko dobierzesz się do pierwszego, zaraz zobaczysz, że wszystkie pozostałe też znikają. . . — Co takiego?

— Pytałem, czy jesteś nadal zainteresowany rozmową — spytał Albert z tęsknotą w głosie.

— Tak, pewnie. Chyba tak. — Essie wróciła do swego kąta, lecz zamiast zabrać się za swoje raporty, obserwowała uważnie Alberta.

— Jeśli więc nie masz nic przeciwko — rzekł nieśmiało Albert — z przyjemnością pogadałbym z tobą nie o kosmologii i eschatologii, ani o brakującej masie, ale o moim poprzednim życiu, jeśli można.

Essie zmarszczyła brwi i otworzyła usta, by przemówić, ale podniosłem rękę.

— Niech mówi, kochanie. Chyba rzeczywiście nie mam teraz głowy do brakującej masy.

Kontynuowaliśmy więc naszą krótką, szczęśliwą podróż do Podniebnego Pentagonu, zaś Albert, siedząc w fotelu pilota z rękami złożonymi na krągłym brzuchu ukrytym pod niechlujnym swetrem wspominał o dawnych czasach w biurze patentowym w Szwajcarii, o tym, jak królowa belgijska akompaniowała na pianinie skrzypkowi; a tymczasem nasza przyjaciółka-z-trzeciej-ręki Dolly Walthers była intensywnie przesłuchiwana przez oficerów wywiadu w Podniebnym Pentagonie; tymczasem nasz jeszcze-nie-całkiem-przyjaciel Kapitan likwidował ślady swojej interwencji i pogrążał się w żałobie po utraconej ukochanej; a moja kiedyś-więcej-niż-przyjaciółka Klara Moynlin. . .

Nie wiedziałem, co tymczasem robiła Klara, nie tylko dlatego, że wtedy jeszcze nie wiedziałem. Tak naprawdę, to na pewno nie chciałem wiedzieć.

Rozdział 17.

Zbierając szczątki

Najtrudniejszą rzeczą w nowym życiu Klary było trzymanie gęby na kłódkę. Miała zaczepną naturę, a z Wanem nie było trudno o zaczepkę. Wan domagał się jedzenia, seksu, towarzystwa, okazjonalnej pomocy przy pracach związanych z prowadzeniem statku — ale *wtedy*, gdy on tego chciał, nie przy żadnych innych okazjach. Klara zaś pragnęła mieć czas na myślenie. Chciała pomyśleć o tym, jak to w zadziwiający sposób jej życie wyskoczyło z szyn. Zawsze radziła sobie jakoś z myślą, że może stracić życie — jeśli nie z odwagą, to przynajmniej ze spokojem. Taka możliwość, że w przedziwny sposób utknie w czarnej dziurze i przez całe jedno pokolenie świat będzie kręcił się bez niej, nigdy nawet nie przemknęła jej przez myśl. To należało przemyśleć.

Potrzeby Klary Wana nie obchodziły. Kiedy jej do czegoś potrzebował, to jej potrzebował. Kiedy nie, dawał jej to bardzo wyraźnie do zrozumienia. Ale to nie jego seksualne potrzeby sprawiały Klarze kłopot. Nie były bardziej kłopotliwe, ani bardziej znaczące z osobistego punktu widzenia, niż pójście do toalety. Dla Wana gra wstępna oznaczała ściągnięcie spodni. Akt przebiegał w jego tempie, a było to tempo dość gwałtowne. Klara przejmowała się mniej wykorzystywaniem jej ciała, niż zajmowaniem jej uwagi.

Czuła się najlepiej, gdy Wan spał. Zwykle nie trwało to długo. Miał lekki sen. Klara zaczynała wówczas rozmowę ze Zmarłymi albo robiła sobie do jedzenia coś, czego Wan szczególnie nie lubił, albo po prostu siedziała i gapiła się w przestrzeń — które to określenie nabierało tu nowego znaczenia, skoro mogła jedynie patrzeć w przestrzeń kosmiczną na ekranie, który znajdował się na wyciągnięcie ręki. A kiedy czuła się zrelaksowana, skrzypiący, denerwujący głos odzywał się:

— Znowu nic nie robisz, Klara? Ależ ty jesteś leniwa! Dolly w tym czasie upiekłaby już dla mnie całą górę ciasteczek! — Albo, co gorsza, czasem był w rozrywkowym nastroju. Wtedy pojawiały się małe papierowe tutki, apteczne fiołki i srebrne puzderka wypełnione różowymi i fioletowymi pigułkami. Wan właśnie odkrył narkotyki. Chciał podzielić się z Klarą tym doświadczeniem. Czasem, z nudów i ze smutku, Klara dawała się namówić. Nie wstrzykiwała sobie,

nie wahała ani nie lękała niczego, czego nie potrafiła z całą pewnością zidentyfikować, więc wiele rzeczy odrzucała. Ale wiele też akceptowała. Ekscytacja, euforia — nie trwały długo, ale były błogosławionym odlotem od pustki życia, które krztusiło się, umierało i próbowało znów zaskoczyć. Ćpanie z Wanem, czy nawet uprawianie z nim seksu, było lepsze niż próba unikania odpowiedzi na pytania, które zadawał Wan, a na które nigdy nie chciała odpowiedzieć szczerze. . .

— Klara, naprawdę myślisz, że kiedyś odnajdę mojego ojca?

— Nie ma szans, Wan, facet od dawna nie żyje.

. . . gdyż facet na pewno nie żył. Człowiek, który spłodził Wana, opuścił Gateway udając się na samotną misję mniej więcej wtedy, gdy matka Wana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie ominęła ją po raz pierwszy miesiączka. W zapisach uznano go za zaginionego. Oczywiście, *mógł* zostać połknięty przez czarną dziurę. *Mógł* nadal tam być, zamrożony w czasie, jak kiedyś Klara.

Ale szanse były kiepskie.

Zadziwiającą rzeczą dla Klary — jedną z miliona zadziwiających rzeczy, jakimi obdarowało ją te trzydzieści lat — była łatwość, z jaką Wan wyświeślał i interpretował stare mapy nawigacyjne Heechów. Kiedy raz był w dobrym nastroju — a był to rekordowy czas, cały kwadrans — pokazał jej mapy i zaznaczone na nich obiekty, które już odwiedził, także jej czarną dziurę. Kiedy dobry nastrój się ulotnił, a Wan ze złością powlókł się przespać, Klara ostrożnie zapytała o nie Zmarłych. Nie można powiedzieć, że Zmarli naprawdę rozumieli mapy, ale ta odrobina wiedzy, którą posiadli, to i tak było znacznie więcej niż wiedza dostępna w czasach Klary.

Niektóre z konwencji kartograficznych były dość proste — nawet oczywiste jak jajo Kolumba, kiedy już ktoś ci powiedział, co oznaczają. Zmarli z przyjemnością objaśnili Klarze oznaczenia. Problemem było, żeby ich w końcu powstrzymać. Kolory przedstawianych obiektów? To proste, powiedzieli Zmarli: im bardziej błękitne, tym dalej położone, a im czerwieniejsze, tym bliższe. — To dowodzi — szeptał najbardziej pedantyczny ze Zmarłych, który akurat był kobietą — że Heechowie zdawali sobie sprawę z prawa Hubble’a-Humasona. . .

— Proszę, nie mów mi, co to jest prawo Hubble’a-Humasona — rzekła Klara. — A co z innymi oznaczeniami? Te rzeczy przypominające krzyżyki, z dodatkową kreską na nich?

— To są główne instalacje — westchnęła Zmarła. — Jak Gateway. I Gateway Dwa. I Fabryka Pożywienia. I. . .

— A te znaczki, jak „ptaszki”?

— Wan nazywa je znakami zapytania — wyszeptał cienki głosik. Rzeczywiście, trochę tak wyglądały, jeśli odjąć kropkę od znaku zapytania i przekreślić resztę do góry nogami. — Większość z nich to czarne dziury. Jeśli zmienisz ustawienia na dwadzieścia trzy, osiemdziesiąt cztery. . .

— Zamknij się! — wrzasnął Wan, wyłaniając się ze swojej pryczy, niechlujny i wkurzony. — Nie mogę spać przy tym durnowatym wrzasku!

— Nie wrzeszczeliśmy, Wan — rzekła Klara ugodowo.

— Nie wrzeszczeliście — wrzasnął. — Ha! — Powłócząc nogami zbliżył się do fotela pilota i usiadł, z zaciśniętymi pięściami opartymi o uda i pochylonymi ramionami. — A gdybym zechciał teraz coś zjeść? — zażądał.

— Chciałbyś?

Potrząsnął głową.

— Albo gdybym chciał uprawiać seks?

— Chciałbyś?

— Chciałbyś, chciałbyś! Z tobą zawsze trzeba się kłócić! A wcale dobrze nie gotujesz, a w łóżku też jesteś znacznie mniej ciekawa niż twierdziłaś. Dolly była lepsza.

Klara poczuła, że wstrzymuje oddech i zmusiła się, żeby go powoli i po cichu wypuścić. Nie mogła zmusić się do uśmiechu.

Wan uśmiechnął się złośliwie, obserwując z zadowoleniem, że udało mu się z nią wygrać.

— Pamiętasz Dolly? — mówił dalej jowialnym tonem. — To ta, którą za twoją namową zostawiłem na Gateway. Tam obowiązuje prawo, że jak nie masz forsy, to nie oddychasz, a Dolly nie miała ani grosza. Ciekawe, czy jeszcze żyje.

— Na pewno żyje — rzuciła Klara przez zaciśnięte zęby, mając nadzieję, że to prawda. Ale Dolly zawsze znajdowała kogoś, kto płacił jej rachunki. — Wan? — odezwała się, desperacko próbując zmienić temat, zanim sam zmieni się na jeszcze gorszy. — Co oznaczają te żółte błyski na ekranie? Zmarli chyba nie wiedzą.

— Nikt nie wie. Jak Zmarli nie wiedzą, to chyba głupio myśleć, że ja wiem? Ale ty jesteś czasem durna — poskarżył się. W ciągu sekundy, kiedy Klara już osiągała punkt wrzenia, cienki, kobiecy głosik Zmarłej znów się odezwał:

— Ustawienie: dwadzieścia trzy, osiemdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt siedem, czternaście.

— Co? — spytała Klara, zaskoczona.

— Ustawienie: dwadzieścia trzy...

— Co to jest? — zapytała Klara, a Wan podjął się udzielenia odpowiedzi. Jego pozycja nie zmieniła się, ale wyraz twarzy był już inny — mniej wrogi. Bardziej napięty. Bardziej wystraszony.

— To z pewnością współrzędne na mapie — rzekł.

— Co przedstawiają?

Odwrócił wzrok.

— Ustaw i sprawdź.

Kręcenie tymi żłobionymi kółkami było dla Klary za trudne, gdyż w całym jej przeszłym doświadczeniu taka czynność była odpowiednikiem samobójstwa: nie opanowali jeszcze funkcji wyświetlającej mapę, a zmiana ustawień prawie

nieodmiennie oznaczała nieprzewidzianą, zwykle tragiczną, zmianę kursu. Ale teraz jedynie obraz na ekranie zamigotał i zawirował, a następnie ustabilizował się, ukazując... co to było? Gwiazda? Czarna dziura? Na ekranie pojawiła się jasna kadmowa żółć, a dookoła niej mrugało nie mniej niż pięć odwróconych pytajników.

— Co to może być? — naciskała dalej.

Wan odwrócił się powoli, by na to spojrzeć.

— To jest bardzo duże — powiedział — i bardzo daleko stąd. Tam właśnie lecimy. — Cała zadziorność wyparowała z jego twarzy. Klara prawie pragnęła, żeby wróciła, gdyż zastąpił ją czysty, nieukoiony strach.

A w tym samym czasie...

Pierwszy etap zadania postawionego przed Kapitanem i jego złożoną z Heechów załogą zbliżał się ku końcowi, choć nikomu z nich nie sprawiło to radości. Kapitan nadal pozostawał w żałobie po Dwakroć. Jej smukłe, żółtawe, lśniące ciało, pozbawione osobowości, zostało zniszczone. Na rodzinnej planecie zostałyby wrzucone do zbiornika z odpadkami, bo Heechowie nie byli sentymentalni, jeśli chodzi o zwłoki. Na statku nie było jednak zbiorników na odpadki, więc zostało wyrzucone w kosmos. Ta część Dwakroć, która pozostała, dołączyła do umysłów przodków, a Kapitan włóczył się po nowym i nieznanym mu statku dotykając bezwiednie od czasu do czasu zasobnika, gdzie była przechowywana.

Nie była to jedynie strata osobista. Dwakroć była operatorem jednostki bezzałogowej i całe sprzątnięcie mogło bez niej nie zostać poprawnie wykonane. Kundlica robiła, co mogła, ale zasadniczo nie była operatorem sprzężonego sprzętu. Kapitan, stercząc nad nią w zdenerwowaniu, też jej nie pomagał.

— Nie wygaszaj jeszcze ciągu, to nie jest stabilna orbita! — syczał — Mam nadzieję, że oni nie cierpią na chorobę lokomocyjną, bo strasznie nimi rzucasz! — Mięśnie szczęki Kundlicy napięły się, ale nie odpowiedziała. Wiedziała, czemu Kapitan był tak spięty i zamknięty w sobie.

Ale wreszcie udało się go zadowolić i poklepał Kundlicę po ramieniu na znak, że może wyładowywać ładunek. Wielki bąbel zakołysał się i obrócił. Pojawiła się ciemna linia od jednego bieguna do bieguna, aż otworzył się jak kwiat. Kundlica, wreszcie posykurując z zadowolenia, wypuściła zwinięty żaglowiec i pozwoliła mu dryfować.

— Mieli ciężką podróż — skomentował oficer komunikacyjny, stając obok Kapitana.

Kapitan napiął mięśnie brzucha, co u Heechów jest odpowiednikiem wzruszenia ramionami. Żaglowiec już w całości wydostał się z kuli i Kundlica zaczęła powoli związać wielką hemisferę.

— A co z twoim zadaniem, Buciku? Czy istoty ludzkie nadal gadają przez przestrzeń?

— Obawiam się, że więcej niż przedtem.

— Zbiorowe umysły? Czy są jakieś postępy w tłumaczeniu tego, o czym oni tak wrzeszczą?

— Umysły pracują nad tym. — Kapitan ponuro skinął głową i sięgnął do ośmiokątnego medalionu przyczepionego do sakwy między jego nogami. W samą porę się powstrzymał. Zadowolenie, jakie mógł czerpać z zapytania umysłów o przebieg prac nad przekładem nie uzasadniało bólu, jaki sprawiłoby mu usłyszenie wśród nich Dwakroć. Wcześniej czy później usłyszy ją, niewątpliwie. Ale jeszcze nie był na to gotowy.

Wydmuchał powietrze przez nozdrza i zwrócił się do Kundlicy.

— Zamknij ją, wyłącz zasilanie, niech dryfuje. Nic więcej teraz nie możemy zrobić. Buciku! Wyślij im wiadomość. Przekaż im, że jest nam przykro, że nic więcej dla nich nie możemy aktualnie zrobić, ale że spróbujemy tu wrócić. Biały Szumie! Podaj mi usytuowanie wszystkich statków w galaktyce.

Nawigator skinął głową, odwrócił się w stronę instrumentów i po chwili ekran wypełnił się wirującą masą komet o żółtych ogonach. Kolor jądra wskazywał odległość, długość ogona — prędkość.

— Który z nich to dureń zagląający do czarnych dziur? — zapytał Kapitan, a ekran zawęził się do jednej jedynej komety. Kapitan zasyczał ze zdumieniem. Ten właśnie statek, kiedy ostatni raz na niego spojrział, cumował sobie bezpiecznie w ojczystym systemie. Teraz podróżował z naprawdę wielką prędkością i zostawił ojczystą planetę daleko w tyle. — Dokąd on leci? — spytał.

Biały Szum ściągnął swoje żebrowane mięśnie twarzy.

— To chwilkę zajmie, Kapitanie.

— No to zrób to!

W innych okolicznościach Biały Szum mógłby obrazić się z powodu tonu w głosie Kapitana. Heechowie nie zwracają się do siebie nieuprzejmie. Nie należało jednak zapominać o okolicznościach. Już sam fakt, że ci dopiero raczkujący w kosmosie ludzie znaleźli się w posiadaniu sprzętu do przebijania czarnych dziur, był wystarczająco przerażający. Świadomość, że wypełniają eter swoimi głośniami, głupawymi okrzykami, była jeszcze gorsza. Któż wiedział, co należało dalej zrobić? Ostatnią kroplą goryczy była śmierć towarzyszki, przez co ta podróż stała się gorsza niż wszystkie inne, odbyte dawno temu, zanim urodził się Biały Szum i dowiedzieli się o istnieniu innych...

— To nie ma sensu — poskarżył się Biały Szum — na ich kursie nie ma nic, co mógłbym zauważyć.

Kapitan zmarszczył brwi patrząc na tajemnicze znaczki na ekranie. Odczytanie ich było zadaniem dla specjalisty, lecz po trosze znał się na wszystkim i widział, że w rozsądnym zasięgu nie było niczego wzdłuż wykreślonej linii geodezyjnej. — A to kuliste skupisko? — zapytał.

— Nie przypuszczam, Kapitanie. Nie znajduje się bezpośrednio na linii lotu i nic tam nie ma. Nic, naprawdę, aż do obrzeży Galaktyki.

— Umysły! — powiedział głos za nimi. Kapitan odwrócił się. Specjalista od przebijania czarnych dziur, Wybuch, stał tam, a jego mięśnie gwałtownie pulsowały. Kapitan odczuł jego strach jeszcze zanim Wybuch rzucił zwięźle:

— Przedłużyć geodezyjną! — Biały Szum patrzył na niego, nie rozumiejąc. — Przedłużyć ją! Poza Galaktykę!

Nawigator chciał zaprotestować, lecz wnet zrozumiał o co chodzi. Jego własne mięśnie też zaczęły pulsować, gdy zaczął wykonywać polecenie. Ekran zamigał. Zamazana żółta linia wyciągnęła się. Przeszła przez rejony, gdzie na ekranie nie było nic poza nierozcieńczoną, czarną, pustą przestrzenią.

Nie całkiem pustą.

Ciemnoniebieski obiekt wynurzył się z ciemności na ekranie, blednąc i żółknąc. Otaczało go pięć znaczków. Wszyscy członkowie załogi zasyczeli, gdy obraz ustabilizował się i zatrzymał, a blada żółta linia geodezyjna dosięgła go.

Heechowie spojrzeli po sobie, żaden z nich nie powiedział ani słowa. Statek, który mógł spowodować największą katastrofę jaką można było sobie wyobrazić, właśnie podążał do miejsca, gdzie katastrofa na niego czekała.

Rozdział 18.

W podniebnym Pentagonie

Podniebny Pentagon właściwie nie jest satelitą na orbicie geostacjonarnej. To pięć satelitów na orbitach prawie identycznych, przez co cała piątka tych uzbrojonych, impulsowo hartowanych kawałków metalu tańczy razem walca. Najpierw Alfa jest na zewnątrz, a Delta najbliżej Ziemi, potem chwilę się pokotyszą i za chwilę Epsilon wystaje na zewnątrz, a Gamma najbliżej osi, wymieniają się partnerami w tanecznym pas i tak dalej. Po co tak się dzieje, mógłby ktoś zapytać, czemu tak to urządzono, zamiast po prostu zbudować jeden duży. Cóż, w pięć satelitów pięć razy trudniej trafić niż w jeden. Osobiście sądzę, że również dlatego, że zarówno rosyjska placówka, Orbitalny Tyuratam i chiński Podglądacz to jednolite konstrukcje. Oczywiście Stany Zjednoczone Ameryki Północnej chciały pokazać, że zrobią, to lepiej, albo przynajmniej inaczej. Ich satelita pochodził z czasów wojen. Mówią, że w swoim czasie był najnowszym krzykiem techniki obronnej. Jego potężne, zasilane jądrowo lasery mogły zmieść pocisk wroga z odległości pięćdziesięciu tysięcy mil. Może i rzeczywiście mogły — kiedy zostały skonstruowane i jakieś trzy miesiące później, aż pozostali chłopcy zaczęli stosować identyczną technikę hartowania impulsowego oraz urządzenia antyradarowe i wszyscy wrócili do punktu wyjścia. Ale to zupełnie inna historia.

Nigdy zatem nie widzieliśmy czterech piątych Pentagonu, chyba że na ekranie. Część, do której nas skierowano, to była ta, gdzie znajdowały się kwatery załogi, administracja i karcer. Była to Gamma, sześćdziesiąt ton metalu i mięsa, rozmiar Wielkiej Piramidy i dość zbliżony do niej kształt; dość szybko odkryliśmy, że bez względu na to, jak chętny do współpracy był generał Manzbergen na Ziemi, tu czekało nas chłodne przywitanie. Przede wszystkim, bardzo długo nas trzymali przed udzieleniem zezwolenia na otwarcie luku.

— Może bardzo ucierpieli z powodu Gorączki — podsunęła Essie, marszcząc brwi przed ekranem, który pokazywał tylko metalowy bok Gammy.

— To żadne wytłumaczenie — odparłem, a Albert wtrącił swoje trzy grosze:

— Nie ucierpieli bardzo, ale obawiam się, że byli przygotowani na zadanie jeszcze mocniejszego ciosu. Za dużo naoglądałem się wojny; nie lubię takich rze-

czy. — Bawił się swoją plakieta z napisem „Dwa procent” i jak na hologram, wyglądał na dość zdenerwowanego. Miał rację, parę tygodni wcześniej, kiedy terroryści zaatakowali z kosmosu za pomocą TNP, cała stacja na minutę oszalała. Nie trwało to długo, dokładnie jedną minutę. I dobrze, bo podczas tej jednej minuty osiem z jedenastu posterunków, które muszą być obsadzone, żeby wycelować promień protonowy w ziemskie miasta, było w rzeczywistości obsadzonych. I chętnych do działania.

Ale nie to martwiło Essie.

— Albercie — powiedziała — nie baw się w zabawy, które mnie denerwują. Przecież tak naprawdę nigdy nie widziałeś żadnej wojny. Jesteś tylko programem. Skinął głową.

— Jak sobie pani życzy, pani Broadhead. Czy można? Właśnie otrzymałem zezwolenie na otwarcie luku i mogą państwo wejść do satelity.

Więc weszliśmy, a Essie z zadumą spoglądała przez ramię na program, który zostawiliśmy za sobą. Podporucznik, który nas powitał, nie wyglądał na zachwyconego. Przejechał palcem po karcie danych statku, jakby chciał się upewnić, że magnetyczny atrament się nie ściera.

— Dobrze — powiedział — otrzymaliśmy wiadomość na temat państwa. Tylko jedna rzecz, nie jestem pewien, czy dowódca brygady może się teraz z państwem spotkać.

— Ale my wcale nie chcemy się spotykać z dowódcą brygady — wyjaśniła Essie słodko — ale z panią Dolly Walthers, która jest tu przetrzymywana.

— Och, tak, proszę pani. Ale dowódca brygady Cassata musi podpisać państwa przepustkę, a wszyscy są teraz dość zajęci. — Przeprosił na chwilę, żeby poszeptać do telefonu i zrobił bardziej zadowoloną minę. — Proszę państwa za mną — powiedział i wreszcie wyprowadził nas z portu.

Umiejętność poruszania się w niskiej lub zerowej grawitacji traci się po jakimś czasie, a ja już dawno nie miałem okazji do jej ćwiczenia. Poza tym rozglądałem się jak turysta. Wszystko było dla mnie nowym doświadczeniem. Gateway to asteroid, w którym dawno, dawno temu Heechowie wydrążyli tunele, wykładając wszystkie wewnętrzne powierzchnie swoim ulubionym, niebiesko lśniącym metalem. Fabryka Pożywienia, Niebo Heechów i wszystkie inne duże konstrukcje, które odwiedziłem w kosmosie, także były dziełem Heechów. Moja pierwsza wizyta w wielkim, wykonanym przez ludzi artefakcie, przyprawiła mnie o zamęt. Wyglądała bardziej obco niż cokolwiek, co zbudowali Heechowie. Żadnego znajomego błękitnego blasku, tylko pomalowana stal. Żadnej wrzecionowatej komory na linii osi. Żadnych poszukiwaczy, wyglądających na śmiertelnie wystraszonych albo triumfujących, żadnych zbiorów muzealnych ze strzępkami techniki Heechów, znajdujących tu i tam po całej Galaktyce. Za to byli żołnierze w ciasnych kombinezonach i, z jakiegoś powodu, w hełmach ochronnych. Naj-

dziwniejsze zaś było to, że choć każdy z nich miał kaburę na broń, wszystkie były puste.

Zwolniłem, żeby pokazać to Essie.

— Zobacz, nie ufają nawet własnym ludziom — zauważyłem.

Schwyciła mnie za kołnierz i wskazała przed siebie, gdzie czekał podporucznik. — Nie obgaduje się gospodarzy, Robinie, przynajmniej dopóki nie znajdziemy się za ich plecami. Tutaj. To musi być tutaj.

Ani minuty za wcześniej; zaczynałem tracić oddech z wysiłku, holując się korytarzem przy zerowej grawitacji.

— Zapraszam państwa do środka — powiedział podporucznik gościnnie i oczywiście zrobiliśmy, jak nam kazał.

W środku nie było jednak nic poza pustym pomieszczeniem z parą lin do siedzenia na ścianach.

— Gdzie dowódca brygady? — zapytałem.

— Mówiłem już państwu, że wszyscy jesteśmy teraz dość zajęci. Spotka się z państwem w pierwszej wolnej chwili. — A potem, z uśmiechem rekina, zamknął za sobą drzwi. Ciekawą cechą tych ostatnich było, jak to od razu zauważyliśmy, że od wewnątrz nie miały klamki.

Jak chyba każdy, czasem miewam fantazje o tym, że mnie aresztowali. Przewadzisz aktywne życie, hodujesz ryby albo bilansujesz czyjeś księgi rachunkowe, albo piszesz nową wspaniałą symfonię i nagle rozlega się pukanie do drzwi.

— Idziemy, proszę nie stawiać oporu — słyszysz, a na twoich przegubach zatraskują się kajdanki i odczytują ci twoje prawa, a potem lądujesz w takim miejscu, jak to. Essie zdrząła. Też musiała miewać takie fantazje, choć nie wiem, czy istnieje osoba o równie niewinnym życiorysie, jak jej.

— To głupie — powiedziała, bardziej do siebie niż do mnie. — Jaka szkoda, że tu nie ma łóżka. Moglibyśmy jakoś zabić czas.

Poklepałem ją po ręce. Wiedziałem, że próbuje mnie rozweselić. — Mówili, że są zajęci, — przypomniałem.

Więc czekaliśmy.

Jakieś pół godziny później, bez ostrzeżenia, poczułem, jak Essie sztywnieje pod moją ręką, którą trzymałem na jej ramieniu; jej wyraz twarzy stał się wściekły i szalony; poczułem szybki, bolesny, obłąkany cios w moim własnym umyśle i nagle wszystko się uspokoiło, a my spojrzeliśmy na siebie. Trwało to tylko parę sekund. Wystarczająco długo, żebyśmy zrozumieli, czym byli tak zajęci nasi gospodarze i dlaczego w kaburach nie nosili broni.

Terroryści znów uderzyli — ale było to jedynie krótkie uderzenie.

Porucznik promieniał szczęściem, kiedy wreszcie po nas wrócił. Nie chcę przez to powiedzieć, że zachowywał się sympatycznie. Nadal nie przepadał za cywilami. Był wystarczająco szczęśliwy, by prezentować szeroki uśmiech na twarzy,

a zarazem na tyle nieprzyjazny, że nie zdradził nam przyczyny tego uśmiechu. Mięło sporo czasu. Nie przeproszał, po prostu poprowadził nas do biura komendanta, przez całą drogę się uśmiechając. A kiedy tam dotarliśmy, do pomieszczenia o pastelowo pomalowanych ścianach z holograficznym widoczkiem z West Point na ścianie i srebrzyście lśniącem pochłaniaczem dymu, który na próżno usiłował pochłonać dym z cygara, dowódca brygady Cassata też się uśmiechał.

Nie istniało zbyt wiele dobrych wytłumaczeń dla tej tajemniczej radości, więc oddałem strzał w ciemno i trafiłem w jedno z nich.

— Moje gratulacje dowódco — rzekłem uprzejmie — z okazji schwymania terrorystów.

Uśmiech znikł na moment, ale powrócił. Cassata był niskim człowieczkiem, bardziej pękatym niżby sobie tego życzyli lekarze wojskowi; jego uda prawie rozzerwały szwy szortów w kolorze ciemnej wojskowej zieleni, gdy przysiadł na brzegu biurka, by nas powitać.

— O ile mi wiadomo, panie Broadhead — powiedział — pańskim celem jest tu odbycie rozmowy z Dolly Walthers. Oczywiście mogą to państwo zrobić, zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymałem, ale nie mogę odpowiedzieć na pana pytania dotyczące spraw bezpieczeństwa.

— Nie zadałem żadnych — podkreśliłem. Następnie, czując jak spojrzenie Essie „po-co-nastawiasz-wrogo-tego-dupka?” pali mi szyję, dodałem — Cóż, to bardzo uprzejmie z pana strony, że możemy to zrobić.

Skinął głową, w oczywisty sposób zgadzając się z nami, że jest bardzo łaskawy. — Chciałbym jednak zadać państwu jedno pytanie. Czy mogliby państwo powiedzieć, po co właściwie chcą się z nią spotkać?

Spojrzenie Essie nadal parzyło, lecz powstrzymało mnie przed wypowiedzeniem tego, co miałem zamiar powiedzieć.

— Ależ bardzo chętnie — skłamałem. — Pani Walthers przez pewien czas przebywała z pewną osobą, którą uważam za przyjaciela, a z którą bardzo bym się chętnie spotkał. Mamy nadzieję, że nam powie, jak się skontaktować z... hm, tą osobą.

Lawirowanie w gramatyce, żeby nie zdradzić o kogo nam chodziło, nie miało większego sensu. Oni już na pewno przepytali Dolly Walthers na dziesięć sposobów i wiedzieli, że mogłem mieć na myśli tylko jedną z dwóch osób, a nazwanie Wana przyjacielem nie było szczególnie prawdopodobne. Rzucił zdziwione spojrzenie najpierw na mnie, potem na Essie, wreszcie rzekł:

— Pani Walthers jest niewątpliwie bardzo popularną osobą. Cóż, nie będę państwa dłużej zatrzymywał. — I oddał nas w ręce podporucznika, który zabrał nas na wycieczkę z przewodnikiem.

Jako przewodnik podporucznik okazał się zupełną pomyłką. Nie odpowiadał na pytania ani nie udzielał informacji z własnej woli. Było mnóstwo rzeczy, które nas zaciekały, gdyż po Pentagonie widać było ślady ostatnich zajęć. Szkód

fizycznych było niewiele, ale kiedy poprzednio stacja oszalała na minutę, ucierpiało na tym więzienie. Program zamykający cele został uszkodzony przez załogę na posterunku. Na szczęście w pozycji „otwarte”, bo gdyby było inaczej, w celach siedziałoby teraz trochę smutnych szkieletów głodzących się na śmierć.

Dowiedziałem się o tym stąd, że kiedy przechodziłem obok rzędu cel, zauważyłem, że wszystkie są otwarte, a uzbrojeni żandarmi przechadzają się znudzeni po korytarzach pilnując, żeby osadzeni pozostali na swoich miejscach. Podporucznik zatrzymał się na chwilę, żeby porozmawiać ze strażnikiem, a my czekaliśmy; Essie szepnęła mi do ucha:

— Gdyby nie złapali terrorystów, to czemu dowódca miałby być dla ciebie taki miły?

— Dobre pytanie — odparłem. — A ja mam inne w rewanżu: co on miał na myśli mówiąc, że Dolly jest popularną osobą?

Podporucznik był zbulwersowany tym, że ośmielamy się gadać w obecności wojska. Zakończył pogawędkę z porucznikiem żandarmerii i pogonił nas do celi z otwartymi drzwiami, która wyglądała, jak wszystkie inne. Wskazał na jej środek.

— Oto państwa więźniarka — rzekł. — Możecie z nią porozmawiać, ale ona nie wie zbyt dużo.

— Zdaje sobie z tego sprawę — rzekłem — bo gdyby coś wiedziała, to na pewno w ogóle nie pozwoliłobyście nam się z nią spotkać, prawda? — Kątem oka złapałem wściekłe spojrzenie Essie. Tym razem też miała rację. Gdybym go nie zdenerwował, podporucznik pewnie wykazałby się zwykłą przyzwoitością i cofnął choć o parę kroków, żebyśmy mogli porozmawiać z Dolly Walthers dyskretnie, a tymczasem sterczał twardo w otwartych drzwiach.

Albo i nie. Osobiście opowiadałem się za drugą z tych teorii.

Dolly Walthers była kobietą o wzroście dziecka, o wysokim, dzieciennym głosiku i okropnych zębach. Nie wyglądała najlepiej. Była wystraszona, zmęczona, zła i spuchnięta.

Ja nie miewałem się jakoś szczególnie lepiej. Byłem całkowicie, obłąkańczo przekonany, że ta młoda kobieta przede mną właśnie spędziła parę tygodni w towarzystwie miłości mojego życia — albo jednej z miłości mojego życia — w każdym razie jednej z dwóch na szczycie listy. Mówię o tym tak lekko, ale wcale mi lekko nie przyszło. Nie wiedziałem co robić i co mówić.

— Przywitaj się, Robinie — poleciła Essie.

— Pani Walthers — powiedziałem posłusznie — witam. Jestem Robin Broadhead.

Zostały jej jeszcze jakieś maniery. Wyciągnęła rękę jak grzeczne dziecko.

— Wiem kim pan jest, panie Broadhead, nawet jeśli nie brać pod uwagę, że już kiedyś spotkałam pana żonę. — Wymieniliśmy uprzejmie uściski dłoni, a na jej twarzy pojawił się ślad smutnego uśmiechu. Dopiero jakiś czas później, kiedy

zobaczyłem jej pacynkę przedstawiającą mnie samego, uświadomiłem sobie, dlaczego się uśmiechała. Ale wyglądała także na zmieszaną. — Oni chyba mówili, że cztery osoby chcą się ze mną spotkać — powiedziała, zerkając za niewzruszonego podporucznika i próbując dostrzec pozostałe dwie.

— Jest nas tylko dwoje — powiedziała Essie i czekała, aż przemówię.

Ale nie odezwałem się. Nie wiedziałem co powiedzieć. Nie wiedziałem o co zapytać. Gdyby była tu tylko Essie, pewnie zdołałbym wytłumaczyć Dolly Walthers, jak wiele Klara dla mnie znaczyła i poprosić o pomoc. Albo gdyby był tu tylko podporucznik, mógłbym go zignorować i potraktować jak mebel. Czy przynajmniej tak mi się wydawało — ale oni oboje tu byli, a ja stałem z językiem jak kołek, zaś Dolly Walthers patrzyła na mnie z zaciekawieniem, Essie wyczekująco, a nawet podporucznik odwrócił się i zaczął wlepić we mnie gały.

Essie westchnęła, wydając z siebie zniecierpliwiony, a zarazem współczujący odgłos i podjęła decyzję. Przejęła dowodzenie. Zwróciła się do Dolly Walthers. — Dolly — rzekła energicznie — wybacz mojemu mężowi. To wszystko jest dla niego dość traumatyczne, z powodów, które są zbyt skomplikowane, żeby teraz o tym mówić. Wybacz także mnie, bo dopuściłam do tego, że zabrała cię żandarmeria; ja także odczuwam pewną traumę ze zbliżonych powodów. Ważne jest, co robimy teraz. A zrobimy tak: najpierw załatwimy ci uwolnienie z tego miejsca. Potem zaprosimy cię w podróż, a w zamian chcemy prosić o pomoc w namierzeniu Wana i Gelle-Klary Moynlin. Zgoda?

Dla Dolly Walthers też się to działo trochę za szybko.

— No... — powiedziała — ja...

— Świetnie — rzekła Essie kiwając głową. — Musimy to załatwić. Poruczniku! Proszę zaprowadzić nas z powrotem na nasz statek, *Prawdziwą Miłość*.

Porucznik otworzył usta, zszokowany, ale ja go uprzedziłem.

— Essie, czy nie powinniśmy o tym porozmawiać z dowódcą?

Ścisnęła moją rękę i spojrzała na mnie. Spojrzenie było pełne współczucia. Uścisk zaś ostrzegwał „stul-pysk-ty-durniu!” i był bliski połamania moich kostek. — Moje biedactwo — zwróciła się do oficera przepaszającym tonem — właśnie przeszedł poważną operację. Nie wie co mówi. Szybko, na statek, po lekarstwo!

Jeśli moja żona Essie uprze się, że coś zrobi, jedynym sposobem na poradzenie sobie z nią jest pozwolić jej to zrobić. Nie wiem, co miała na myśli, ale było dla mnie absolutnie jasne, co mam z tym zrobić. Przybrałem wygląd starszego faceta, znękanego niedawną operacją i pozwoliłem się poprowadzić tuż za podporucznikiem przez korytarze Pentagonu.

Nie przemieszczaliśmy się zbyt szybko, gdyż korytarze Pentagonu były dość zatłoczone. Podporucznik zatrzymał nas na skrzyżowaniu, żeby mogła przejść obok nas grupa więźniów. Z jakiegoś powodu opróżniano cały blok więzienny. Essie popchnęła mnie lekko, pokazując mi monitory na ścianie. Jedna grupa mo-

nitorów była po prostu drogowskazami, *Kantyna, Żołnierze, Latryny, Dok V* i tak dalej. Ale inna...

Inna pokazywała obszar doków; wprowadzano tam coś wielkiego. Olbrzymie, wypukłe dzieło ludzkich rąk; na pierwszy rzut oka było widać, że zbudowali to ludzie a nie Heechowie. Nie chodziło tylko o linię ani o to, że zbudowane było z szarej stali, a nie błękitnego metalu Heechów. Dowodem były marnie wyglądające pyski broni sterczące z gładkiej powłoki.

Jak mi było wiadomo, Pentagon stracił sześć statków z rzędu próbując zamontować napęd nadświetlny Heechów w swoich statkach. Na to nie powinienem narzekać; z ich błędów skorzystaliśmy przy budowie *Prawdziwej Miłości*. Ale widok broni nie należał do miłych. W statkach Heechów jej się nie widziało.

— No dalej — warknął podporucznik, gapiąc się na nas. — Nie powinni państwo tu przebywać. Proszę przechodzić. — Ruszył stosunkowo pustym korytarzem, ale Essie go powstrzymała.

— Tędy jest szybciej — rzekła, wskazując na znak Doki.

— Niewykonalne! — odwarknął.

— Nie dla dobrego przyjaciela Pentagonu, który nie czuje się dobrze — odparła, złapała mnie za ramię i ruszyliśmy w stronę najgęstszych skupisk ludzi. W Essie kryje się tajemnica w tajemnicy, ale ta akurat za chwilę się wyjaśniła. Zamieszanie było spowodowane tym, że właśnie wyprowadzano z krążownika schwytych terrorystów i Essie chciała na nich popatrzeć.

Krążownik przechwycił ich kradziony statek w chwili, gdy wychodzili z nadświetlnej. Zestrzelił go. Na pokładzie było ośmiu terrorystów — osiem osób w statku Heechów, w którym ledwo mieściło się pięć! Trzy z nich przeżyły i zostały uwięzione. Jedna była w śpiączce. Jedna straciła nogę, ale była przytomna. Trzecia była szalona.

I to właśnie ona przyciągała najwięcej uwagi. Była to młoda Murzynka — mówili, że z Sierra Leone — i bez przerwy krzyczała. Miała na sobie kaftan bezpieczeństwa. Wyglądała, jakby ją w nim trzymali od bardzo dawna, bo tkanina była poplamiona i cuchnęła, włosy dziewczyny były pozlepiane, a twarz martwa. Ktoś zawołał mnie po imieniu, ale precyzyjnie się do przodu za Essie, żeby lepiej widzieć.

— Ona mówi po rosyjsku — powiedziała Essie marszcząc brwi, ale niezbyt dobrze. — Z gruzińskim akcentem. Bardzo silnym. Mówi, że nas nienawidzi.

— Tego można się domyśleć — powiedziałem. Dość już zobaczyłem. Kiedy podporucznik przedarł się przez tłum, wyrzaskując do ludzi rozkazującym tonem, żeby się odsunęli, pozwoliłem, żeby odciągnął mnie do tyłu i wtedy znów usłyszałem, że ktoś mnie woła.

Więc to nie był podporucznik? Rzeczywiście, to nie był męski głos. Dobiał z grupy więźniów wyprowadzanych z cel i wtedy zobaczyłem, kto to był. Chinka. Janie jakaś tam.

— Dobry Boże — odezwałem się do podporucznika — a ją za co zamknęliście?

Wydarł się na mnie.

— To sprawa wojskowa i nie pana interes, panie Broadhead! Nie jest pan tu mile widziany!!!

Nie było sensu klócić się z kimś, kto już podjął decyzję. Drugi raz go już nie zapytałem. Podszedłem do linii i zapytałem Janie. Ta grupa więźniów składała się w całości z kobiet, głównie personelu wojskowego, przymkniętego niewątpliwie za spóźnienie się z przepustki albo danie po mordzie komuś takiemu, jak nasz podporucznik — byłem pewien, że to wszystko dobre kobiety. Stały w milczeniu, słuchając.

— Audee chciał tu przylecieć, bo tu jest jego żona — odpowiedziała z takim wyrazem twarzy, jakby chciała powiedzieć o przypadku trzeciorzędowego syfilisu. — Więc przylecieliśmy, a kiedy się tu dostaliśmy, zamknęli nas w karcerze.

— Dość tego Broadhead — wrzasnął podporucznik — przegiąłeś pałę! Albo natychmiast tu wrócisz albo zostaniesz aresztowany. — I sięgnął ręką do kabury, w której znów była broń. Essie podpłynęła, uprzejmie się uśmiechając.

— Już nie musi się pan nami zajmować, podporuczniku — rzekła — gdyż *Prawdziwa Miłość* już na nas czeka. Macie już nas z głowy. Proszę tylko pamiętać, żeby przysłać do nas dowódcę, żebyśmy załatwili pozostałe sprawy.

Podporucznik gapił się na nas z szeroko otwartymi oczami.

— Proszę pani — wyjąkał — proszę pani, dowódca nie może tu przyjść!

— Ależ może! Mój mąż wymaga pomocy medycznej, musi więc tu zostać, by można było mu jej udzielić. Dowódca Cassata to rycerski człowiek, prawda? Z West Point? Wiele zajęć z dobrego wychowania, etykiety, kaszlenia w dłoń i kichania w chusteczkę? Proszę także powiedzieć dowódcy, że mamy tu doskonały burbon, i potrzebna nam pomoc, by go podać mojemu biednemu mężowi.

Podporucznik niepewnie oddalił się, straciwszy nadzieję. Essie spojrzała na mnie, a ja spojrzałem na Essie.

— Co teraz? — spytałem.

Uśmiechnęła się i poklepała mnie po głowie.

— Najpierw wydam Albertowi polecenia dotyczące burbona i innych rzeczy — odrzekła i odwróciła się, wypowiadając parę zdań po rosyjsku — a teraz poczekamy na dowódcę.

Przybycie nie zajęło dowódcy wiele czasu, kiedy jednak do nas dotarł, już prawie o nim zapomniałem. Essie plotkowała z ożywieniem ze strażnikiem, którego zostawił podporucznik, a ja sobie rozmyślałem. A myślałem głównie, dla odmiany, nie o Klarze, ale o stukniętej Afrykance i jej prawie równie stukniętych kumplach. Przerażali mnie. Terroryci mnie przerażali. Dawniej była OWP oraz IRA, portorykańscy nacjonaliści i serbscy secesjoniści oraz bogaci gównia-

rze z Niemiec, Włoch i Stanów, którzy w ten sposób okazywali pogardę swoim tatusiom — och, mnóstwo terrorystów, we wszelkich rozmiarach i odmianach — ale byli rozproszeni. Fakt, że zebrali się w kupę, okropnie mnie przerażał. Biedni i rozgoryczeni nauczyli się, jak łączyć swą wściekłość i środki, i nie ulegało wątpliwości, że potrafią zmusić świat do wysłuchania ich. Schwytanie jednego statku nie powstrzyma następnych; co najwyżej sprawi, że ich działania będą przez chwilę mniej uciążliwe — albo przynajmniej mniej uciążliwe.

Niestety, żeby rozwiązać ich problem — uspokoić ich wściekłość i zaspokoić potrzeby — potrzeba było o wiele więcej. Najlepszym, a pewnie i jedynym rozwiązaniem, była kolonizacja takich światów, jak planeta Peggy, ale był to proces bardzo powolny. Transportowiec mógł zawieźć do lepszego życia trzy tysiące osiemset osób miesięcznie. Co miesiąc jednak rodziło się ćwierć miliona nowych biedaków, a tragiczne odejmowanie robiło się łatwo:

$$\begin{array}{r} 250.000 \\ - 3.800 \\ \hline 246.200 \end{array}$$

Z tą liczbą ludzi urodzonych co miesiąc należało coś zrobić. Jediną nadzieją były nowe i większe transportowce, setki i tysiące transportowców. Sto pozwoliłyby utrzymać obecny poziom nieszczęścia. Tysiąc załatwiłyby sprawę od razu i na zawsze — ale skąd wziąć tysiąc wielkich statków? Zbudowanie *Prawdziwej Miłości* trwało osiem miesięcy i kosztowało mnie znacznie więcej, niż pierwotnie chciałem wydać.

Głos dowódcy wyrzucił mi z myśli te rozważania.

— To jest — mówił — absolutnie niemożliwe! Pozwoliłem państwu spotkać się z nią, bo mnie o to poproszono. Ale zabranie jej stąd nie podlega dyskusji! — Uśmiechnął się, gdy do nich dołączyłem ujmując dłoń Essie.

— Oprócz tego jest jeszcze kwestia pana Walthersa i tej Chinki. Też chcemy ich zabrać.

— Chcemy? — spytałem, ale dowódca mnie nie słuchał.

— Co jeszcze, na litość boską? — dopytywał się. — Może mam państwu przekazać dowództwo mojej sekcji Pentagonu? Albo podarować wam ze dwa krążowniki?

Essie uprzejmie potrząsnęła głową.

— Dziękujemy, nasz statek jest wystarczająco wygodny.

— Jezu! — Cassata potarł czoło i pozwolił Essie, żeby poprowadziła go do salonu na obiecane bourbona. — Dobrze — rzekł — przeciwko Walthersowi i Yee-xing tak naprawdę nie mam żadnych zarzutów. Nie mieli prawa przylatywać tu bez zezwolenia, ale jeśli ich państwo zaraz stąd zabiorą, możemy zapomnieć o całej sprawie.

— Doskonale! — wykrzyknęła Essie. — Pozostaje więc tylko Dolly Walthers!
— Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności — zaczął mówić, ale Essie nie dała mu skończyć.

— Oczywiście, że nie! Rozumiemy to doskonale. Może więc zwrócimy się do wyższej instancji? Robin! Zadzwoń do generała Manzebergena. Zrób to od razu, żebyśmy już potem mu nie przeszkadzali, dobrze?

Kłócenie się z Essie nie ma sensu, kiedy jest w takim nastroju, poza tym byłem ciekaw, co ma zamiar zrobić.

— Albercie — zawołałem — wykonaj polecenie.

— Dobrze, Robinie — rzekł posłusznie, sama fonia: za chwilę na ekranie pojawił się generał Manzbergen siedzący przy swoim biurku. — Dzień dobry, Robinie, Essie — przywitał się radośnie. — Kogo ja widzę, Perry Cassata! Gratulacje dla wszystkich!

— Dzięki Jimmy — odparła Essie, zerkając w bok na dowódcę — ale nie z tego powodu się skontaktowaliśmy.

— Tak? — zmarszczył brwi. — Co by to nie było, streszczajcie się, dobrze? Bo mam ważne spotkanie za dziewięćdziesiąt sekund.

— Nie zajmujemy ci nawet tyle, drogi generale. Prosimy tylko, żebyś nakazał dowódcy, żeby przekazał nam Dolly Walthers.

Manzbergen wyglądał na zaskoczonego.

— A po co?

— Możemy ją wykorzystać do zlokalizowania zaginionego Wana, drogi generale. Wie pan, on ma TNP. Zmuszenie go, żeby go oddał, leży w interesie nas wszystkich.

Uśmiechnął się do niej z zainteresowaniem.

— Momencik, złotko — i pochylił się nad dyskretnym telefonem.

Dowódcę może i dałoby się pogonić, ale już był dość podekscytowany.

— Jest opóźnienie w transmisji — zauważył. — Czy to jest radio z prędkością zerową?

— To transmisja impulsowa — skłamała Esie wyjaśniając. — Mamy tu tylko mały statek, mało energii — kolejne kłamstwo i musimy oszczędzać energię na połączenia. A oto i generał!

Generał wskazał palcem w stronę Cassaty.

— Zatwierdzone — szczechnął. — Można im zaufać, a my jesteśmy im winni przysługę, poza tym może nam to oszczędzić trochę kłopotu na przyszłość. Dajcie im, kogo tylko chcą, na moją odpowiedzialność. A teraz, na litość boską, puśćcie mnie na spotkanie i proszę do mnie nie dzwonić, chyba że wybuchnie czwarta wojna światowa!

Dowódca brygady poszedł więc sobie, potrząsając głową; zaraz też żandarm przyprowadził do nas Yee-xing, minutę po niej Audee'ego Walthersa, a po chwili — Dolly Walthers.

— Miło was wszystkich znowu widzieć — powitała ich Essie na pokładzie. — Wiem, że na pewno macie sobie dużo do powiedzenia, ale najpierw wydostańmy się z tego paskudnego miejsca. Albercie! Ruszajmy, dobrze?

— Tak, pani Broadhead — zaśpiewał głos Alberta. Nie zadał sobie trudu pojawienia się w fotelu pilota; po prostu podszedł do drzwi i oparł się o nadproże, uśmiechając się do całego towarzystwa.

— Później was przedstawię — rzekła Essie. — To nasz dobry przyjaciel, który jest programem komputerowym. Albercie? Oddaliliśmy się już na bezpieczną odległość od Pentagonu?

Skinął głową, mrugając. Nagle, na moich oczach, przemienił się ze starszego mężczyzny z fajką i w workowatym swetrze w szczuplejszego, wyższego, odzianego w mundur i obwieszzonego medalami głównodowodzącego generała Jamesa P. Manzbergena.

— No pewnie, złotko — odkrzyknął — a teraz zabieramy nasze tyłki w nadświetlną, nim się zorientują, że zrobiliśmy ich w balona!

Rozdział 19.

Permutacje miłości

Kto śpi z kim? Och, oto jest pytanie! Mieliśmy pięciu pasażerów i tylko trzy sypialnie, w których mogliśmy ich ulokować. *Prawdziwa Miłość* nie została zbudowana dla tak wielu gości, a zwłaszcza takich, którzy nie przybyli już wstępnie posortowani na pary. Czy powinniśmy umieścić Audee'ego z jego ślubną małżonką, Dolly? Czy może z kobietą, z którą ostatnio dzielił łóżko, Janie Yee-xing? Ulokować Audee'ego osobno, a panie razem? — co mogą sobie zrobić nawzajem, jeśli tak postąpimy? Nie chodziło nawet o to, że Janie i Dolly zachowują się wobec siebie wrogo, ale o to, że Audee z niewyjaśnionych powodów zachowywał się wrogo wobec ich obu.

— Nie może biedak zdecydować, której z nich chce być wierny — stwierdziła mądrze Essie — jeśli istnieje mężczyzna, który chce być wierny kobiecie, to jest nim Audee.

Cóż, rozumiałem to doskonale, a nawet rozumiałem, że więcej niż jeden pasażer naszego statku cierpiał z powodu tego problemu.

W tym zdaniu jest wszakże jedno słowo, które do mnie się nie odnosi, a tym słowem jest „cierpiał”. Widzicie, ja wcale nie cierpiałem. Dobrze się bawiłem. Przebywanie z Essie również sprawiło mi przyjemność, gdyż rozwiązaliśmy problem przydziału kwater w ten sposób, że przed nim uciekliśmy. Essie i ja wycofaliśmy się do kabiny kapitana i zamknęliśmy drzwi na klucz. Pozwoliliśmy, by nasi goście mogli sami się dogadać. To był dobry powód. Było oczywiste, że potrzebują na to trochę czasu, gdyż utajona dynamika interpersonalna między tą trójką wystarczyłaby, żeby doprowadzić do wybuchu gwiazdę; mieliśmy także inne powody, a najważniejszy z nich taki, że mogliśmy się kochać.

Tak też zrobiliśmy. Entuzjastycznie. Z wielką radością. Moglibyście pomyśleć, że po ćwierci stulecia, mając na uwadze nasz zaawansowany wiek i biorąc poprawkę na to, że świetnie się znaliśmy i mogliśmy być sobą znudzeni, to mogła być dla nas kiepska zachęta. Błąd. Byliśmy zmotywowani jak wszyscy diabli.

Być może dlatego, że nasze kwatery na pokładzie *Prawdziwej Miłości* były dość ciasne. Zamykanie się w naszej prywatnej kabinie nadawało całej sytuacji

posmak migdalenia się na werandzie przez parę nastolatków, oddzielonych od mamy i taty tylko siatkowymi drzwiami. Strasznie chichotaliśmy, kiedy łóżko oddawało nam ciosy w zabawny sposób — a cierpienie? Ani odrobiny. Nie zapomniałem o Klarze. Od czasu do czasu wyskakiwała mi gdzieś w mózgu, czasem w bardzo osobistych momentach.

Ale to Essie dzieliła ze mną łożo, nie Klara.

Leżałem więc na łóżku, kołysząc się lekko od czasu do czasu i czując, jak łóżko odpowiada mi kołysaniem, jak kołysze Essie zwiniętą w kłębek u mego boku. Przypominało to trochę grę w bilard z trzema bandami, ale z o wiele bardziej ciekawymi elementami — a ja myślałem błędnie, spokojnie i słodko, wokół Klary.

W tej chwili byłem już prawie pewien, że wszystko się jakoś ułoży. W końcu co tu było złego? Tylko miłość. Tylko to, że dwoje ludzi się kocha. Nie było w tym nic złego! Pewną komplikację stanowił fakt, że jedna osoba z tych dwóch, to jest ja, należy również do innej dwójki, która także się kocha. Ale z komplikacjami można było sobie jakoś poradzić — w taki czy inny sposób — prawda? Miłość wprowadzała świat w ruch. Miłość zmusiła mnie i Essie do przesiadywania w kajucie kapitana. Miłość zmusiła Audee'ego Walthersa do udania się za Dolly do Podniebnego Pentagonu; jakiś rodzaj miłości skłonił Janie, żeby z nim poleciała; inny rodzaj miłości, albo może taki sam, był podstawową przyczyną, dla którego Dolly za niego wyszła, gdyż jedną z funkcji miłości jest dawanie jednej osobie drugiej osoby, wokół której ta pierwsza może sobie zorganizować życie. I gdzieś daleko, na jednym krańcu wielkiej, gazowej, gwiazdnej pustki (choć w tej chwili jeszcze o tym nie wiedziałem) Kapitan był pogrążony w żałobie po swojej ukochanej; a nawet Wan, który nigdy nie kochał nikogo poza sobą, właśnie przeszukiwał kosmos w pogoni za kimś, ku komu mógłby skierować swoją miłość. Widzicie, jak to działa?

— Robinie — szepnęła Essie sennie do mojego obojczyka — wspaniale się spisałeś. Moje gratulacje.

Oczywiście mówiła również o tym, jak się kochaliśmy, choć w tym wypadku wolałbym dojrzeć uznanie dla moich talentów w czynach, nie w słowach.

— Dzięki — odparłem.

— Chciałabym jednak zadać ci pytanie — mówiła dalej, odsuwając się ode mnie, żeby na mnie spojrzeć. — Dobrze się już czujesz? Brzuch się zagoił? Ponad dwa metry nowych instalacji współpracuje ze starymi? Albert twierdzi, że wszystko w porządku?

— Czuję się znakomicie — oświadczyłem, gdyż w istocie tak było i pochyliłem się, żeby ją pocałować. — Mam tylko nadzieję, że reszta świata miewa się równie wspaniale.

Ziewnęła i przeciągnęła się.

— Jeśli masz na myśli statek, to Albert świetnie radzi sobie z pilotażem.

— Och tak, ale czy równie świetnie poradzi sobie z pasażerami?

Sennie przewróciła się z boku na bok.

— Zapytaj go — powiedziała, a ja zawołałem:

— Albercie? Przyjdź z nami pogadać. — Odwróciłem się do wejścia zaciękawiony, by zobaczyć, jak tym razem poradzi sobie z przeniknięciem przez prawdziwe materialne drzwi. Zrobił mnie w konia. Usłyszałem, jak Albert odchrząkuje przepraszająco, a kiedy się odwróciłem, siedział na toaletce Essie, wstydliwie odwracając wzrok.

Essie wciągnęła gwałtownie powietrze i sięgnęła po kołdrę, żeby zakryć swe zgrabne, niewielkie piersi. To dopiero było zabawne. Jeszcze nigdy Essie nie zadała sobie trudu zakrywania się w obecności swoich programów. Najzabawniejsze było jednak, że tym razem wcale nie wydało mi się to dziwne.

— Przepraszam, że przeszkadzam moi mili — rzekł Albert — ale mnie wezwaliście.

— Tak, jasne — mruknęła Essie, siadając na łóżku, żeby go lepiej widzieć, ale nadal trzymając przyciśniętą do piersi kołdrę. Być może w tej chwili jej własna reakcja zdziwiła ją jako coś nienaturalnego, ale powiedziała tylko:

— Jak tam nasi goście?

— Powiedziałbym, że znakomicie — odparł ponuro Albert. — Odbywają właśnie trójstronną konwersację w kambuzie. Kapitan Walthers robi kanapki, a obie panie mu pomagają.

— Żadnych bójek? Żadnych wydrapanych oczu?

— Nic z tych rzeczy. Dla pewności wyjaśnię, że zachowują się raczej formalnie, używając wielu „przepraszam”, „proszę” i „dziękuję”. Poza tym — dodał, wyglądając na zadowolonego z siebie — mam raport dotyczący żaglowca. Chcecie go teraz zobaczyć? Albo, tak mi przyszło na myśl, może chcecie dołączyć do naszych gości i razem z nimi się z nim zapoznać?

Wszystkie moje instynkty podpowiadały mi, że należy go obejrzeć od razu, ale Essie spojrzała na mnie.

— Tak będzie grzeczniej, Robinie — powiedziała, a ja się z nią zgodziłem.

— Świetnie — odparł Albert. — Jestem pewien, że będzie dla was niezmiernie ciekawy. Bo dla mnie był. Pewnie, zawsze interesowałem się żeglowaniem — mówił dalej plotkarskim tonem. — Kiedy miałem pięćdziesiąt lat, firma *Berliner Handelgesellschaft* podarowała mi wspaniałą żaglówkę — niestety, straciłem ją kiedy musiałem opuścić Niemcy z powodu tych cholernych nazistów. Moja pani Broadhead kochana, jak ja wiele pani zawdzięczam! Mam te wszystkie cudowne wspomnienia, których dawniej nie miałem! Pamiętam mój mały domek koło Ostendy, gdzie spacerowałem po plaży z Albertem; to był — mrugnął porozumiewawczo — król belgijski Albert. I rozmawialiśmy o żeglowaniu, a wieczorami jego żona akompaniowała mi na pianinie, kiedy grałem na skrzypcach — i wszystko teraz pamiętam, pani Broadhead, tylko dzięki pani!

Przez całą tę przemowę Essie siedziała sztywno obok mnie, patrząc na swe dzieło z kamienną twarzą, aż zaczęła się krztusić i wybuchła nieopanowanym śmiechem.

— Och, Albercie! — wykrzyknęła, sięgając po leżącą za nią poduszkę. Wycełowała i rzuciła prosto przez niego, aż poduszka odbiła się bez większych szkód od stojących za Albertem kosmetyków. — Jesteś przezabawnym programem, ależ proszę bardzo! A teraz proszę, żebyś wyszedł. Skoro jesteś taki ludzki, ze wspomnieniami i przegadanymi anegdotami, nie mogę pozwolić, żebyś oglądał mnie nieubraną! — Tym razem Albert pozwolił sobie na szybkie zniknięcie, a ja i Essie objęliśmy się i drżeliśmy ze śmiechu.

— Ubierzmy się szybko — zarządziła Essie — żebyśmy mogli zapoznać się z raportem w sposób zadowalający dla programu komputerowego. Śmiech jest najlepszym lekarstwem, prawda? W takim razie już się nie boję o twoje zdrowie, Robin, gdyż tak wspaniale rozbawione ciało będzie żyło wiecznie!

Ruszyliśmy w stronę prysznicza, ciągle chichocząc — nieświadomi, że w moim przypadku „wiecznie” oznaczało w tej chwili jednaście dni, dziewięć godzin i dwadzieścia jeden minut.

Nigdy nie urządziliśmy na pokładzie *Prawdziwej Miłości* biurka dla Alberta Einsteina, a zwłaszcza takiego, na którym leżałaby książka założona fajką, butelka Skripa obok skórzanej sakiewki na tytoń, a za nim tablice w połowie pokrytej równaniami. Ale nagle się tam znalazło, a on tam był, zabawiając naszych gości historjkami o sobie samym.

— Kiedy byłem w Princeton — prawil właśnie — wynajęli człowieka, który chodził za mną z notesem i kopiował wszystko, co napisałem na tablicy. Nie przynosiło to korzyści mnie, ale im — bo wiecie, oni się bali zmazywać te tablice! — Uśmiechnął się radośnie do naszych gości i elegancko skłonił Essie oraz mnie, kiedy stanęliśmy w drzwiach głównego salonu trzymając się za ręce. — Właśnie opowiadałem, pani Broadhead, parę historyjek z mojego życia tym ludziom, którzy chyba w ogóle o mnie nie słyszeli, choć muszę stwierdzić, że byłem dość sławny. Czy wiedzieliście na przykład, że nie lubiłem deszczu, więc administracja w Princeton zbudowała zadaszone przejście, które nadal tam jest, żebym mógł odwiedzać przyjaciół nie wychodząc na dwór?

Przynajmniej nie miał na sobie twarzy generała ani jedwabnego szalika Czerwonego Barona, ale sprawiał, że czułem się trochę nieswojo. Miałem ochotę przeprosić Audee i obie panie; zamiast tego powiedziałem jednak:

— Essie? Nie wydaje ci się, że te reminiscencje stają się trochę męczące?

— Możliwe — odparła z namysłem Essie. — Chcesz, żeby przestał?

— Nie żeby zaraz przestał. On jest teraz o wiele bardziej interesujący, ale gdybyś trochę mogła zmniejszyć wzmocnienie na bazie danych personalizacji osobowości albo skrócić potencjometr obwodów nostalgii. . .

— Ależ z ciebie głuptas, Robinie — rzekła, uśmiechając się wyrozumiale. Po czym poleciła: — Albercie! Przestań już tak plotkować. Robin tego nie lubi.

— Oczywiście, droga Semyo — odparł uprzejmie. — Niewątpliwie teraz chcieliby państwo usłyszeć coś na temat żaglowca. — Wstał zza biurka. Jego holograficzny, ale fizycznie nieistniejący obraz wstał za równie nieistniejącym hologramem biurka; musiałem sobie ciągle o tym przypominać. Wziął gąbkę i zaczął ścierać tablicę, następnie zamyślił się. Rzucając Essie przepraszające spojrzenie, sięgnął do przełącznika na biurku. Tablica znikła. Zastąpił ją znajomy, drobnoziarnisty, szarozielony ekran statku Heechów. Następnie wcisnął inny przełącznik i ziarnista szarość znikła, tym razem wyparta przez mapę nieba. Mapa była realistyczna — do zamienienia ekranu dowolnego statku z Gateway na używalny obraz wystarczyło przyłożyć napięcie do jednego z obwodów (choć z tysiąc poszukiwaczy z Gateway zginęło nie dowiedziawszy się o tym).

— Widzą tu państwo — rzekł radośnie — miejsce, gdzie Kapitan Walthers zlokalizował żaglowiec i jak państwo widzą — nic tu nie ma.

Walthers siedział spokojnie na taborecie przed imitacją kominka, jak najdalej od Dolly i Janie — a one obie też siedziały możliwie najdalej od siebie i milczały. Ale Walthers w końcu przemówił jak użądłony.

— Niemożliwe! Zapisy były dokładne! Macie te dane!

— Oczywiście, że były dokładne — uspokoił go Albert — ale, widzi pan, w chwili gdy dotarł tam statek zwiadowczy, żaglowca już nie było.

— Nie mógł daleko zalecieć skoro był napędzany tylko światłem gwiazd!

— Zgadza się, nie mógł. Ale go tam nie ma. Jednakże — rzekł Albert, radośnie się uśmiechając — powziąłem pewne kroki na wypadek takich nieprzewidzianych okoliczności. Jeśli państwo pamiętają, moja reputacja — to znaczy mojego poprzedniego wcielenia — opierała się na założeniu, że prędkość światła jest stałą fundamentalną, podlegającą — dodał mrugając tolerancyjnie i rozglądając się po pokoju — pewnym poszerzeniom, których nauczyliśmy się od Heechów. Wszak sama prędkość pozostaje zawsze taka sama — prawie trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Poleciałem więc statkowi zwiadowczemu na wypadek, gdyby żaglowca tam nie było, przemieścić się na odległość trzystu tysięcy kilometrów pomnożoną przez liczbę sekund, jaka upłynęła od obserwacji.

— Cudowny, sprytny, egoistyczny programie — rzekła z zachwytem Essie. — To był ten sprytny pilot, którego wynająłeś do statku zwiadowczego, tak?

Albert zakaszłał.

— To był również niezwykle statek — rzekł — gdyż przewidziałem, że mogą wystąpić pewne szczególne potrzeby. Obawiam się, że koszt był raczej wysoki. Jednakże, kiedy statek osiągnął odpowiednią odległość, Ujrzelismy coś takiego. — Machnął ręką i ekran pokazał ten wieloskrzydłowy pajęczy kształt. Nie był już doskonały, składał się i zwijał na naszych oczach. Albert przyspieszył

prędkość odtwarzania filmu ze statku zwiadowczego i widzieliśmy, jak wielkie skrzydła zwijają się... i znikają.

Hm. Wy już wiecie, co właśnie oglądaliśmy. W pewien sposób macie nad nami przewagę. Siedzieliśmy tam sobie, Walthers i jego harem, Essie i ja. Opuściliśmy sterany kłopotami ludzki świat, żeby ścigać jakąś kłopotliwą zagadkę, a zobaczyliśmy jak to, na co polujemy, zostaje *zjedzone* przez coś innego! Dla naszych zszokowanych i nieprzygotowanych oczu dokładnie tak to wyglądało. Siedzieliśmy skamieniały, patrząc na skurczone skrzydła i wielką, lśniąca sferę, która wyłoniła się z nicości, by je połknąć.

Uświadomiłem sobie, że ktoś cichutko chichocze i po raz drugi doznałem szoku, gdy zobaczyłem, kto to.

Był to Albert, który teraz siedział na brzegu swojego biurka i ścierał łzę robawienia.

— Bardzo przepraszam — rzekł — ale gdybyście mogli zobaczyć, jakie macie *miny*.

— *Cholerny* egoistyczny programie — warknęła Essie, już bez takiego entuzjizmu — natychmiast przestań gadać bzdury. Co się tam dzieje?

Albert spojrzał na moją żonę. Nie byłem w stanie zinterpretować jego wyrazu twarzy: spojrzenie miało pełne zapału i tolerancji oraz wielu innych rzeczy, których jakoś nie umiałem przypisać wygenerowanemu przez komputer obrazowi. Ale była tam także niepewność.

— Droga pani Broadhead — rzekł — jeśli pani nie chce, żebym wykazywał poczucie humoru, nie należało mnie tak programować. Jeśli panią zakłopotalem, przepraszam.

— Wypełniaj polecenia! — mruknęła Essie; wyglądała na zmieszaną.

— Och, dobrze. To, co państwo widzieli — wyjaśnił, zwracając się w stronę grupy, a nie Essie, jakby chciał wygłosić wykład — jest, jak sądzę, pierwszym znanym przykładem prawdziwej załogowej operacji przeprowadzonej przez Heechów, w czasie rzeczywistym. Oznacza to, że żaglowiec został przejęty. Spójrzcie na ten mniejszy statek. — Pomachał niedbale dłonią; obraz zawirował i uniósł się, powiększając fragment. Powiększenie było za duże jak na rozdzielczość przyrządów optycznych statku zwiadowczego, więc brzegi kuli stały się ziarniste i rozmazane.

Ale za nią coś było.

To coś przepłynęło powoli do obszaru przyćmionego światła za kulą. Zanim znikło, Albert zatrzymał obraz i ujrzeliśmy rozmazany obiekt o kształcie ryby, malutki, ledwo widoczny.

— Statek Heechów — rzekł Albert. — A przynajmniej nie znajduję żadnego innego wyjaśnienia.

Janie Yee-xing wydała z siebie krztuszący odgłos.

— Jesteś pewien?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł Albert. — To tylko domysł. W przypadku teorii nigdy nie mówi się „tak”, a co najwyżej „być może”, panno Yee-xing, gdyż niewątpliwie pojawi się jakaś lepsza teoria i to ona będzie się wydawać najlepsza do chwili, aż opatrzymy ją słowem „nie”. Moja teoria jest wszak taka, że Heechowie postanowili porwać statek.

Wyobraźcie sobie teraz. Heechowie! Prawdziwi, potwierdzeni przez najbardziej sprytny program do wyszukiwania danych, jaki kiedykolwiek istniał. Szukałem Heechów na wszystkie sposoby przez dwie trzecie stulecia, z determinacją, że ich znajdę i z przerażeniem, że mi się to jeszcze uda. A kiedy to się stało, mój umysł był głównie zaprzątnięty bynajmniej nie Heechami, ale programem do wyszukiwania danych.

— Albercie, dlaczego zachowujesz się w tak zabawny sposób? — spytałem.

Spojrzał na mnie uprzejmie, stukając ustnikiem fajki w zęby.

— Co rozumiesz przez określenie „zabawny”, Robinie? — zapytał.

— Do cholery, przestań! To, jak się zachowujesz! Czy ty nie... — zawałem się przez chwilę, próbując ująć to grzecznie. — Czy ty nie wiesz, że jesteś tylko programem komputerowym?!

Uśmiechnął się smutno.

— Nie musisz mi o tym przypominać, Robinie. Nie jestem prawdziwy, no nie? A jednak ta rzeczywistość, w której ty tkwisz, niewiele mnie obchodzi.

— Albert! — wrzasnąłem, ale on uniósł rękę, żeby mnie uciszyć.

— Pozwól mi coś powiedzieć — rzekł. — Wiem, że dla mnie rzeczywistość jest pewną dużą liczbą równoległe przetwarzanych przełączeń w konformacjach heurystycznych. Jeśli się ją analizuje, staje się co najwyżej sztuczką demonstrowaną widzowi. Ale tobie, Robinie? Czy rzeczywistość dla inteligencji organicznej jest aż tak różna? Czy stanowi jedynie trochę reakcji chemicznych zachodzących w kilogramie tłustej materii, która nie ma oczu, uszu, ani organów płciowych? Wszystko, czego się dowiaduje, wie z drugiej ręki, bo sama nie ma żadnego systemu postrzegania, który by jej o tym powiedział. Każde wrażenie, jakie do niej dociera, pojawia się za pośrednictwem jakiegoś nerwu. Czy rzeczywiście między nami jest aż taka duża różnica?

— Albert!

Potrząsnął głową.

— Och — rzekł gorzko — wiem. Nie zwiedzie cię moja sztuczka, bo już znasz sztukmistrza — jest wśród nas. Ale czyż nie jesteś omamiony własnymi? Czyż nie zasługuję na taki sam szacunek i tolerancję? Byłem dość ważną osobistością, Robinie. Różne znakomitości szanowały mnie i poważały. Koronowane głowy. Wielcy naukowcy, a to byli naprawdę wspaniali faceci. Na moje siedemdziesiąte urodziny zrobili przyjęcie — Robertson i Wigner, Kurt Goedel, Rabi, Oppenheimer... — Rzeczywiście starł z twarzy rzeczywistą łzę... i to było maksimum, na jakie Essie mogła mu pozwolić. Wstała.

— Przyjaciele moi, drogi mężu — oświadczyła — mamy tu do czynienia z jakąś poważną awarią. Wybaczcie mi to. Muszę wyjąć obwody i przeprowadzić kompletne testy, mogę was przeprosić na moment?

— To nie twoja wina, Essie — powiedziałem tak uprzejmie, jak tylko umiałem, ale nie przyjęła tego do wiadomości. Spojrzała na mnie w sposób, jaki nie patrzyła od czasu, kiedy zaczęliśmy chadzać ze sobą na randki i opowiedziałem jej o wszystkich przezabawnych psikusach, jakie robiłem mojemu programowi psychoanalitycznymi Sigfridowi von Psychowi.

— Robin — odparła chłodno — za dużo tu gadania o poczuciu winy. Potem o tym porozmawiamy. Drodzy goście, muszę na chwilę skorzystać z mojego gabinetu. Albert! Proszę stawić się natychmiast do odpluskwienia!

Jedną z kar za bycie bogatym i sławnym jest to, że mnóstwo ludzi cię do siebie zaprasza i prawie wszyscy oczekują rewanzu. Bycie gospodarzem nie jest moją specjalnością. Essie z kolei naprawdę to lubi, więc przez te wszystkie lata wypracowaliśmy sobie niezły sposób na zapraszanie gości. Jest bardzo prosty. Kręcę się wśród nich tak długo, jak tylko sprawia mi to przyjemność — czasem może to być parę godzin, czasem pięć minut. Potem znikam w gabinecie i zostawiam obowiązki gospodyni Essie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak zrobię, jeśli z jakiegokolwiek powodu między naszymi gośćmi pojawi się jakieś napięcie. W moim przypadku sprawdza się to świetnie.

Ale czasem się nie sprawdza i wtedy jestem schwytyany w pułapkę. To był jeden z takich przypadków. Nie mogłem ich zostawić z Essie, bo Essie była zajęta. Nie chciałem zostawiać ich samych, bo już przez wystarczająco długi okres czasu to robiliśmy. A napięcie było potężne. Więc tam tkwiłem, próbując pamiętać, jak należy zachowywać się uprzejmie w sytuacjach, gdy nie ma się gdzie wycofać:

— Może chcecie coś do picia? — pytałem jowialnie. — Albo coś do jedzenia? Można też pooglądać trochę niezłych programów, chyba że Essie wyłączyła wszystkie obwody do pracy z Albertem. . .

Janie Yee-xing przerwała mi pytaniem:

— Dokąd my lecimy, panie Broadhead?

— Cóż — odparłem, radośnie się uśmiechając — jowialny, dobry gospodarz, który próbuje wprowadzić miłą atmosferę wśród gości, nawet wtedy, gdy zadają ci zupełnie naturalne pytanie, ale ty go nie przewidziałeś, bo myślałeś o wielu innych ważniejszych rzeczach — wydaje mi się, że pytanie powinno raczej brzmieć, gdzie chcielibyście lecieć? To znaczy, wydaje mi się, że już nie ma sensu ścigać tego żaglowca.

— Nie ma — zgodziła się ze mną Yee-xing.

— Więc to chyba od was zależy. Chyba nie chcielibyście siedzieć w więzieniu — przypomniałem im, że zawdzięczają mi przysługę.

— Chyba nie — znów przytaknęła Yee-xing.

— Zatem wracamy na Ziemię? Mogę podrzucić was blisko którejś pętli startowej. Albo na Gateway, jeśli wolicie. Albo — chwileczkę, Audee, ty jesteś z Wenus, prawda? Nie chcesz tam wrócić?

Tym razem Walthers odwrócił się i powiedział:

— Nie. — I na tym poprzestał. Pomyślałem, że to bardzo nieuprzejmie ze strony moich gości, że słyszę od nich same negatywne wypowiedzi, kiedy ja się staram być dla nich taki gościnnie.

Z tej trudnej sytuacji wyciągnęła mnie Dolly Walthers. Podniosła rękę, na której miała jedną ze swoich pacynek, tę, która miała udawać Heecha.

— Problem polega na tym, panie Broadhead — rzekła, nie ruszając ustami, wężowatym głosem — że nikt z nas nie ma dokąd pójść.

Ponieważ to było całkowicie oczywiste, nikt nie miał już nic do powiedzenia. Wtedy Audee wstał.

— Chyba się czegoś napiję, panie Broadhead — mruknął. — Dolly? Janie?

To był oczywiście najlepszy pomysł, na jaki ktokolwiek z nas wpadł od jakiegoś czasu. Jak goście, którzy przyjechali na przyjęcie za wcześnie, zgodziliśmy się, że trzeba sobie znaleźć coś do roboty, żeby tak nie siedzieć bezczynnie.

Na pewno było coś do zrobienia, a najważniejsza rzecz, która tkwiła w moim umyśle, wcale nie była radosna dla naszego towarzystwa. Tą najważniejszą rzeczą nie było nawet przyjęcie do wiadomości faktu, że (prawdopodobnie) widzieliśmy prawdziwy, działający statek Heechów z Heechami na pokładzie. Chodziło znów o moje jelito. Lekarze mówili, że mogę prowadzić normalny tryb życia. Nic nie mówili o tak nienormalnym życiu, jak moje, więc czułem się stary i słaby. Cieszyłem się, że mogę wziąć sobie gin z wodą i usiąść przy atrapie kominka z atrapą płomieni i czekać, aż ktoś przejmie moje obowiązki.

Tym kimś okazał się Audee Walthers.

— Panie Broadhead, doceniam, że pan nas wyciągnął z tarapatów i wiem, że ma pan swoje sprawy. Wydaje mi się, że najrozsądniejszą rzeczą jest wysadzić nas w jakimś niekłopotliwym miejscu, które da się znaleźć, żeby pan mógł wrócić do swoich spraw.

— Tak, ale jest mnóstwo takich miejsc, Audee. Czy jest jakieś, które podoba ci się bardziej niż inne?

— Chciałbym — powiedział — czy wydaje mi się, że wszyscy byśmy chcieli, żebyśmy mogli wreszcie ustalić, co chcemy ze sobą zrobić. Chyba pan zauważył, że mamy pewne problemy osobiste, które trzeba jakoś rozwiązać. — To nie jest twierdzenie, z którym człowiek chciałby się zgodzić, zaprzeczyć też nie mogłem, więc tylko się uśmiechnąłem. — Przydałoby się więc, żebyśmy wreszcie siedli gdzieś razem i pogadali.

— Ach — rzekłem, kiwając głową. — Zatem nie daliśmy wam dość czasu, kiedy was zostawiliśmy samych, ja i Essie?

— *Pan i żona* zostawiliście nas samych. Wasz przyjaciel Albert już nie.

— Albert? — Nigdy nie przyszło mi do głowy, że on mógł pojawić się przed gośćmi, zwłaszcza wtedy, gdy nie był zaproszony.

— Przez cały czas, panie Broadhead — rzekł Audee gorzko. — Siedział tam, gdzie teraz pan. Zadał Dolly chyba z milion pytań.

Potrząsnąłem głową i sięgnąłem po szklankę, żeby sobie dolać. Chyba nie był to dobry pomysł, ale nie miałem żadnych innych, o których mógłbym powiedzieć, że są dobre. Kiedy byłem młody i moja matka umierała — bo nie było nas stać na opiekę medyczną dla nas dwojga, co za poczucie winy, i zdecydowała się zrobić to dla mnie — bywały chwile, gdy mnie nie rozpoznawała, nie pamiętała mojego imienia, zwracała się do mnie, jakbym był jej szefem, gospodarzem domu albo jakimś facetem, z którym się umawiała, zanim wyszła za mojego ojca. Straszne wspomnienie. Oglądanie jej w takim stanie było chyba gorsze niż świadomość, że umiera; solidna postać rozpadająca się na kawałki na moich oczach.

Tak samo rozpadał się teraz Albert.

— Jakie pytania jej zadawał? — spytałem patrząc na Dolly.

— Och, pytał o Wana — odparła, bawiąc się pacynkami, ale mówiąc własnym głosem, choć jej wargi nadal się za bardzo nie poruszały. — O to, gdzie latał, co robił. Najbardziej chciał, żebym mu pokazała na mapie te obiekty, którymi interesował się Wan.

— Pokaż mi je — poprosiłem.

— Nie umiem się posługiwać tym czymś — powiedziała z rozdrażnieniem, ale Janie Yee-xing wstała i znalazła się przy sterach, zanim Dolly skończyła mówić. Dotknęła kontrolek ekranu, zmarszczyła brwi, wystukała jakąś kombinację, rzuciła rozszoszczone spojrzenie i zwróciła się w naszą stronę.

— Pani Broadhead musiała je zablokować kiedy wyjęła waszego pilota z obwodu — powiedziała.

— Nieważne — odparła Dolly — zawsze chodziło o czarne dziury, takie czy inne.

— Myślałem, że jest tylko jeden rodzaj — powiedziałem wzruszając ramionami. Wszyscy staliśmy stłoczeni wokół fotela pilota, patrząc na ekran, który nie pokazywał nic poza gwiazdami. — Chrzanić to — powiedziałem.

Zza nas zabrzmiał chłodny głos Alberta:

— Przykro mi, jeśli sprawiłem ci kłopot, Robinie.

Odwróciliśmy się wszyscy jak figurki w jednym z tych starych niemieckich zegarów ratuszowych. Siedział na brzeжку fotela, który właśnie opuściłem i przyglądał się nam wnikliwie. Wyglądał jakoś inaczej. Na młodszego i mniej pewnego siebie. Obracał w rękach cygaro — nie fajkę — a minę miał ponurą.

— Myślałem, że Essie nad tobą pracuje — rzekłem ze złością.

— Skończyła, Robinie. Właśnie tu idzie i chyba będzie słuszne z mojej strony powiedzieć, że nie wykryła żadnych nieprawidłowości — czyż nie tak jest, pani Broadhead?

Essie podeszła do drzwi i zatrzymała się tam. Jej pięści spoczywały na biodrach, oczy miała utkwione w Albercie. Na mnie nawet nie spojrzała.

— Zgadza się, programie — oświadczyła ponuro. — Nie znalazłam żadnego błędu w oprogramowaniu.

— Miło mi to słyszeć, pani Broadhead.

— Nie ciesz się tak! Fakty są, jakie są, nadal jesteś schrzanionym programem. Powiedz mi więc, inteligentny programie bez błędów w kodzie, co teraz zrobimy?

Hologram oblizał nerwowo usta.

— Cóż — rzekł Albert niepewnie — może zechciałaby pani sprawdzić sprzęt?

— Dokładnie — odparła Essie i sięgnęła, by wyjąć wachlarz z gniazda. Mógłbym przysiąc, że przez twarz Alberta przemknął wyraz przerażenia, była to twarz człowieka, który właśnie jest usypiany przed poważną operacją. Po czym znikł wraz z samym Albertem. — Rozmawiajcie dalej — rzuciła przez ramię i wetknęła sobie lupę w oczodół, żeby obejrzeć powierzchnię wachlarza.

Ale o czym mieliśmy mówić? Obserwowaliśmy Essie, która studiowała po kolei wszystkie rowki wachlarza. Powlekliśmy się za nią, kiedy marszcząc brwi zabrała wachlarz do swej pracowni i patrzyliśmy w milczeniu jak dotyka go swoimi suwmiarkami i próbnikami, wkłada do gniazda testowego, wciska klawisze, przekreśla gałki, odczytuje wyniki ze skali. Stałem tam pocierając brzuch, gdzie znów zacząłem odczuwać coś nieprzyjemnego, a Audee wyszeptała:

— Czego ona szuka? — Nie wiedziałem. Wgłębienia, zarysowania, korozji, czegokolwiek — co by to jednak nie było, nic nie znalazła.

Wstała z westchnieniem.

— Nic nie ma — powiedziała.

— To dobrze — podsunąłem.

— Dobrze — przytaknęła — bo gdyby to było coś poważnego, to tutaj bym tego nie naprawiła. Ale także źle, Robinie, bo jest jasne, że ten program jest sknony na cacy. Dało mi to lekcję pokory.

— Jest pani pewna, że coś z nim nie tak, pani Broadhead? — podsunęła Dolly. — Kiedy była pani w tamtym pokoju, dość normalnie się zachowywał. No, może trochę specyficznie.

— Specyficznie! Dolly, wiesz, o czym on cały czas gadał, kiedy go testowałam? Hipoteza Macha. Brakująca masa. Czarne dziury bardziej czarne niż zwykle. Człowiek musiałby być prawdziwym Albertem Einsteinem, żeby to zrozumieć... Hej, co to ma znaczyć? Rozmawiał z wami?

Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą usiadła ze ściągniętymi w namyśle ustami. Potem otrząsnęła się.

— Och, diabli nadali — oświadczyła ponuro — nie ma sensu teraz na ten temat dyskutować. Jest tylko jedna osoba, która wie, co jest nie tak z Albertem, a jest to sam Albert.

— A jeśli Albert ci nie powie? — spytałem.

— To nie jest dobre pytanie — odparła, wkładając wachlarz. — Właściwie brzmi: a jeśli Albert nie może?

Wyglądał w porządku — no, prawie w porządku. Siedział na swoim ulubionym krześle — które było zarazem moim ulubionym krzesłem, ale nie chciałem akurat w tej chwili się z nim kłócić — i bawił się cygarem.

— Zatem, Albercie — powiedziała tonem uprzejmym, ale stanowczym — wiesz, że jesteś co nieco spieprzony, prawda?

— Wykazuję pewne nieprawidłowości, owszem — rzekł przepraszająco.

— Nieprawidłowości jak wszyscy diabli, jak sędzę! Posłuchaj teraz, co zrobimy. Najpierw zadam ci kilka prostych pytań odnoszących się do faktów; nie będą dotyczyły motywacji, ani poważnych zagadnień teoretycznych, tylko spraw, które można rozstrzygnąć odwołując się do obiektywnych faktów. Rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem, pani Broadhead.

— Dobrze. Po pierwsze. Jak rozumiem, oddawałeś się pogawędkom z naszymi gośćmi, kiedy ja i Robin byliśmy w kabinie kapitana.

— Zgadza się, pani Broadhead.

Ściągnęła usta.

— To jest uderzająco niezwykle zachowanie, prawda? Wypytywałeś ich. Proszę mi powiedzieć, jakie zadałeś im pytania i jakie były ich odpowiedzi.

Albert niepewnie poprawił się na krześle.

— Przede wszystkim interesowały mnie obiekty, które badał Wan, pani Broadhead. Pani Walthers była tak uprzejma i pokazała mi je na mapie. — wskazał ręką na ekran, a kiedy tam spojrzeliśmy, pojawiła się cała seria map, jedna po drugiej. — Jeśli przyjrzeć się im dokładnie — rzekł Albert, wskazując nie zapalonym cygarem — można zobaczyć wyraźne postępy. Na początku jego celem były zwykle czarne dziury, które zostały zaznaczone na mapach Heechów znakami przypominającymi haczyki na ryby. W kartografii Heechów to są znaki wskazujące na niebezpieczeństwo.

— Skąd to wiesz? — dopytywała się Essie, po czym dodała. — Nie, wycofuję to pytanie. Zakładam, że masz dobry powód, by tak uważać.

— Tak jest w istocie, pani Broadhead. W tej kwestii nie byłem z panią całkowicie szczerą.

— Ha! Wreszcie ruszyliśmy z miejsca! Mów dalej.

— Tak, pani Broadhead. Zwykle czarne dziury zaznaczono dwoma znaczkami. Potem Wan wykrył nagą osobliwość — nie obracającą się czarną dziurę, w rzeczywistości tę, z którą sam Robin miał takie straszne doświadczenia wiele lat temu. Właśnie tam Wan znalazł Gelle-Klarę Moynlin. — Obraz zamigotał i pokazał nagą, błękitną, widmową gwiazdę, po czym znowu pojawiła się mapa. — Ta ma trzy haczyki, co oznacza jeszcze większe niebezpieczeństwo. I wreszcie — machnięcie ręką i obraz zmienił się pokazując inny sektor przestrzeni — to jest coś, do czego zdaniem pani Walthers Wan leci teraz.

— Tego nie powiedziałam! — sprzeciwiła się Dolly.

— Zgadza się pani Walthers — zgodził się z nią Albert — ale powiedziała pani, że często ją oglądał i dyskutował o niej ze Zmarłymi i bardzo go to przerażało. Wydaje mi się więc, że właśnie tam leci.

— Doskonale — przyklasnęła Essie. — Pierwszy test zdałeś znakomicie, Albercie. Teraz przejdziemy do drugiej części, tym razem bez udziału publiczności — dodała, spoglądając na Dolly.

— Do usług, pani Broadhead.

— Pewnie, że tak. A teraz. Pytania dotyczące faktów. Co oznacza określenie „brakująca masa”?

Albert wyglądał na zmieszanego, ale odpowiedział dość szybko.

— Tak zwana brakująca masa oznacza ilość masy, która wyjaśniałaby kształt pewnych orbit galaktycznych, ale nigdy jej nie zaobserwowano.

— Doskonale! A teraz: co to jest hipoteza Macha?

Oblizał usta.

— Niezbyt pewnie się czuję w spekulacyjnych dyskusjach na temat mechaniki kwantowej, pani Broadhead. Trudno mi uwierzyć w to, że Bóg gra w kości ze światem.

— Nie pytałam cię o to, w co wierzysz! Trzymaj się zasad, Albercie. Proszę cię tylko o podanie definicji szeroko stosowanego określenia technicznego.

Westchnął i zmienił pozycję.

— Dobrze, pani Broadhead, ale proszę mi pozwolić wyrazić to za pomocą konkretnych terminów. Istnieje powód by wierzyć, że ktoś na wielką skalę manipuluje cyklem rozszerzania się i kurczenia naszego wszechświata. Wstrzymano proces rozszerzania i zaczął się proces odwrotny, który prawdopodobnie zmierza do tego samego punktu, w którym nastąpił Wielki Wybuch.

— A co to oznacza? — dociekała Essie.

Zmienił pozycję nóg.

— Naprawdę zaczynam się denerwować, pani Broadhead — poskarżył się.

— Ale możesz odpowiedzieć na to pytanie — mówiąc o tym, co się powszechnie uważa.

— W którym punkcie, pani Broadhead? W co się teraz powszechnie wierzy? W co wierzone, powiedzmy, przed epoką Hawkinga i mechaniki kwantowej? Jest tylko jedno ostateczne twierdzenie dotyczące początków wszechświata, ale ma ono charakter religijny.

— Albert — rzekła Essie ostrzegawczym tonem.

Uśmiechnął się blade.

— Chciałem tylko zacytować św. Augustyna z Hippony, rzekł. — Kiedy zapytano go, co Bóg robił, zanim stworzył świat, odpowiedział, że tworzył piekło dla ludzi, którzy zadają to pytanie.

— Albert!

— Och, dobrze już — odparł z rozdrażnieniem. — Tak. Uważa się, że w jakimś bardzo wczesnym momencie — nie później niż w pierwszych 10^{-43} sekundy po Wielkim Wybuchu — teoria względności nie opisuje fizyki tego wszechświata prawidłowo i należy wprowadzić jakąś „poprawkę kwantową”. Naprawdę jestem już zmęczony tym szkolnym odpytywaniem, pani Broadhead.

Rzadko zdarza mi się widywać Essie zszokowaną.

— Albert! — krzyknęła zupełnie innym tonem. Nie ostrzegawczym. Zdumionym i niepewnym.

— Tak, Albert — odpowiedział nieuprzejmie — właśnie takim mnie pani stworzyła i taki jestem. Dajmy sobie z tym spokój, proszę. Niech pani będzie wystarczająco litościwa, żeby mnie wysłuchać. Nie wiem, co było przed Wielkim Wybuchem! Wiem jedynie, że gdzieś tam jest ktoś, kto wie, i kto tym wszystkim kieruje. To mnie bardzo przeraża, pani Broadhead.

— Przeraża? — zakrztusiła się Essie. — Kto cię zaprogramował, żebyś mógł być przerażony?

— Pani. Nie mogę z tym żyć. I nie chcę już o tym rozmawiać.

I znikł.

Nie musiał tego robić. Mógł choć trochę uszanować nasze uczucia. Mógł udać, że wychodzi drzwiami albo zniknąć, kiedy patrzyliśmy w inną stronę. Nie zrobił nic z tych rzeczy. Po prostu znikł. Mieliśmy wrażenie, jakby był to żywy człowiek, z którym się kłóciliśmy i który zakończył tę sprzeczkę wybiegając z wściekłością z pokoju, trzaskając drzwiami. Był zbyt wściekły, żeby dbać o nasze wrażenia.

— On wcale nie miał tracić panowania nad sobą — rzekła Essie ponuro.

Ale stracił; a spowodowany tym szok nie był większy niż szok spowodowany kolejnym odkryciem: ekran nie reaguje na polecenia, to samo dotyczy sterów.

Albert zablokował i jedno, i drugie. Lecieliśmy gdzieś ze stałym przyspieszeniem, nawet nie wiedząc dokąd.

Rozdział 20.

Niepożądane spotkanie

W statku Wana zadzwonił telefon. Oczywiście nie był to ani telefon, ani dzwonenie; rozległ się wszakże sygnał wskazujący, że ktoś chce przesłać im wiadomość przez nadświetlne radio.

— Wyłącz je! — wrzasnął Wan, nieprzyjemnie wyrwany ze snu. — Nie będę z nikim rozmawiał! — Po czym, nieco bardziej rozbudzony, przybrał minę pełną nie tylko złości, lecz i namysłu. — Przecież je wyłączyłem — stwierdził patrząc na nadświetlne radio, a jego twarzy przybrała wyraz strachu.

Rzeczą, dzięki której patrzę na Wana z mniejszym obrzydzeniem, jest robak strachu, który nieustannie go pożerał. To jasne, że był brutalem. Był chamem i złodziejem; nie przejmował się nikim oprócz siebie. Ale przecież to znaczy jedynie, że był czymś, czym my wszyscy kiedyś byliśmy zanim nasi rodzice, koledzy, szkoły i policja zaszczepili nam zachowania społeczne.

— Nie będę z nikim rozmawiał! — wrzasnął i obudził Klarę.

Teraz widzę Klarę, jaką była wtedy, gdyż teraz widzę tyle rzeczy, które wtedy były przede mną ukryte. Była zmęczona, rozdrażniona i miała Wana powyżej uszu — to było więcej niż ktokolwiek mógł znieść.

— Możesz równie dobrze odebrać — powiedziała, a Wan spojrzał na nią jakby była szalona.

— Odebrać? Oczywiście, że nie będę odbierał! To pewnie jakiś namolny biurokrata chce się poskarżyć, że nie przestrzegałem właściwych procedur. . .

— Poskarżyć się, że ukradłeś statek — poprawiła go łagodnie i przeszła przez statek do radia nadświetlnego. — Jak się to odbiera? — spytała.

— Nie bądź dumna! — zawył. — Czekaj! Zostaw! Co ty robisz!

— To ta dźwignia? — spytała, a jego wrzask wystarczył za odpowiedź. Skoczył przez malutką kabinę, ale Klara była wyższa i silniejsza. Odepchnęła go. Ćwierkanie sygnału ustało; złote światelko zgasło, a Wan, nagle uspokojony, roześmiał się głośno.

— He, jaka ty jesteś głupia! Nikogo tam nie ma!

Ale mylił się. Przez chwilę rozlegał się syczący dźwięk, po czym padły rozpoznawalne słowa — no, przynajmniej prawie rozpoznawalne. Wysoki i dziwnie spięty głos rzekł:

— Nie sssrobi fam krzyffdy.

Klara musiała pomyśleć dobrą chwilę zanim zrozumiała, co zostało powiedziane, a kiedy zrozumiała, nie dało to pożądanego efektu. Czy to rzeczywiście tak miało brzmieć? Jakiś nieznajomy ze straszną wadą wymowy, próbuje powiedzieć „Nie zrobię wam krzywdy”? Po co miałby to mówić? Zapewnianie kogoś, że jest bezpiecznym w sytuacji, gdy żadnego niebezpieczeństwa nie widać, nie jest specjalnie uspokajające.

Wan skrzywił się.

— Co to jest? — krzyknął przerażająco, zaczynał się pocić. — Kto tam jest? Czego oni chcą?

Odpowiedź nie nadeszła. Powód tego był taki, że Kapitan wykorzystał już całe znane sobie słownictwo i był zajęty ćwiczeniem nowego zdania; dla Wana i Klary jednak cisza była bardziej znacząca niż słowa.

— Ekran! — krzyknął Wan. — Głupia kobieto, włącz ekran, zobacz, co tam jest!

Rozpracowanie przyrządów zajęło Klarze chwilę; korzystanie z ekranu wizyjnego Heechów było umiejętnością, którą dopiero zaczynała nabywać w czasie tej podróży, gdyż w jej czasach nikt nie wiedział, jak się nim posługiwać. Ekran rozjaśnił się ukazując statek, duży statek. Największy jaki Klara w życiu widziała, znacznie większy niż Piątki, którymi Klara latała na Gateway w swoim czasie.

— Co... co... co... — wyjęczał Wan i dopiero za czwartym razem zdołał skończyć zdanie: — Co to jest?

Klara nie próbowała mu odpowiadać. Nie знаła odpowiedzi. Była przerażona. Bała się, że oto ma przed oczyma widok, za którym tęsknił każdy poszukiwacz z Gateway, zarazem się go bojąc, a kiedy Kapitan skończył ćwiczenie i wygłosił następne zdanie, była już pewna:

— Fffchodziiii na pookłat.

Wchodzi na pokład! Połączenie dwóch statków przy pełnej prędkości nie było niemożliwe i Klara o tym wiedziała; już to robiono. Ale żaden ziemski pilot nie miał wprawy w tym ćwiczeniu.

— Nie wpuszczaj go! — zaskrzeczał Wan. — Uciekaj! Schowaj się! Zrób coś! Spojrzał na Klarę z przerażeniem, po czym rzucił się w stronę sterów.

— Nie bądź durniem! — wrzasnęła, po czym rzuciła się żeby go złapać. Klara była silną kobietą, ale wtedy był to kres jej możliwości. Szaleńczy strach dodał Wanowi siły. Odepchnął ją, aż się obróciła i szlochając ze strachu skoczył do sterów.

Oprócz strachu spowodowanego nieoczekiwanym kontaktem, Klarze zostało jeszcze miejsce na inny żądający strach. Zawsze, kiedy uczono ją czegokolwiek

o statkach Heechów, powtarzano jej, że nigdy, *przenigdy*, nie należy zmieniać kursu po określeniu go. Nowo nabyte umiejętności umożliwiły to, o tym wiedziała; ale wiedziała też, że nie było to takie proste, wymagało starannych obliczeń i planowania, a Wan nie był w nastroju pozwalającym na wykonanie którejś z tych czynności.

Ale jeśli nawet tak było — to nie miało znaczenia. Wielki statek o kształcie rekina zbliżył się.

Trochę wbrew sobie Klara obserwowała z zachwytem, jak pilot drugiego statku poradził sobie bez trudu ze zmianą kursu i prędkości. Z technicznego punktu widzenia był to fascynujący proces. Wan zamarł przy sterach obserwując to z rozdziawionymi ustami, aż się ślinił. Kiedy drugi statek urósł na ekranach i zniknął z pola widzenia skanerów, a od strony klapy lądownika rozległ się zgrzytliwy odgłos, Wan zawył z przerażenia i zanurkował w stronę toalety. Klara już samotnie patrzyła, jak otwiera się i opada klapa lądownika; zatem Gelle-Klara Moynlin była pierwszą istotą ludzką, która znalazła się w obliczu Heecha.

Wyłonił się z klapy, wyprostował i zwrócił w jej stronę. Był niższy od niej. Cuchnął czymś amoniakalnym. Miał okrągłe oczy, gdyż to jest najlepszy kształt dla organu, który musi się obracać we wszystkich kierunkach, ale to nie były ludzkie oczy. Nie było koncentrycznego pierścienia pigmentu dookoła centralnej źrenicy. Nie było samej źrenicy; patrzył na nią krzyżowaty kleks ciemności pośrodku czegoś przypominającego różowawy marmur. Miał szeroką miednicę. Poniżej miednicy, między czymś, co byłoby udami, gdyby nogi miały ludzki kształt, zwieszała się kapsuła jasnoblękitnego metalu. Najbardziej ze wszystkiego Heech przypominał zapakowanego w pieluchę malucha z kupą w majtkach.

Taka myśl przebiła się przez przerażenie Klary i odrobinę je zmniejszyła — przez chwilę — za krótko. Gdy istota ruszyła do przodu, Klara cofnęła się.

Kiedy Klara uciekała, Heech przemieszczał się za nią. Pogoń zaczęła się, gdy klapa lądownika poruszyła się po raz drugi i wyłonił się następny. Obserwując ich napięcie i wahanie, Klara nabrała przekonania, że są równie wystraszeni jak ona, więc zwróciła się do nich, nie mając cienia nadziei, że zostanie zrozumiana, bo wydało jej się niemożliwe, żeby nic nie powiedzieć:

— Hej, cześć.

Istota przyglądała się jej. Rozszczepiony język oblizywał czarne zmarszczki na twarzy. Stworzenie wydawało z siebie dziwny, mruczący dźwięk, jakby intensywnie myślało. Wreszcie, wypowiedziało coś zbliżonego do zrozumiałej angielszczyzny:

— Ja Heech. Nie sssrobi fam krzyffdy.

Patrzyło na Klarę z mieszaniną fascynacji i wstrętu, po czym poćwierkało krótko z drugim, które zaczęło przeszukiwać statek.

Wana znaleźli bez problemu, potem wyprowadzili Klarę i Wana przez klapę, przez połączone lądowniki, do statku Heechów. Klara słyszała, jak klapy zamy-

kają się za nimi ze zgrzytem, a chwilę później poczuli szarpnięcie świadczące, że statek Wana został odczepiony.

Była jeńcem Heechów, w ich statku.

Nie zrobili jej krzywdy. Jeśli mieli taki zamiar, to przynajmniej się z tym nie spieszyli. Było ich pięcioro i wszyscy byli bardzo zajęci.

Klara nie potrafiła odgadnąć, czym takim byli zajęci, a najwyraźniej ten, który w ograniczonym zakresie opanował angielski, był zbyt zajęty, żeby zadać sobie trud objaśnienia jej czegokolwiek. Tak naprawdę w tej chwili chcieli od Klary jedynie, żeby nie stała im na drodze. Nie mieli problemu z poinformowaniem jej o tym. Bezceremonialnie wzięli ją za ramię, a ich uścisk był skórzasty i bolesny, i zawlekli ją do miejsca, gdzie miała zostać.

Wan nie sprawiał im wcale kłopotu. Leżał zwinięty w kącie z mocno zamkniętymi oczami. Kiedy zauważył, że Klara jest obok, spojrzał na nią jednym okiem, postukał ją w kręgosłup, żeby przyciągnąć jej uwagę i wyszeptał:

— On naprawdę chciał nam powiedzieć, że nie zrobią nam krzywdy, jak myślisz?

Wzruszyła ramionami. Zajęczał na granicy słyszalności i zwinął się przyjmując pozycję płodową. Obserwowała z obrzydzeniem, jak strużka śliny wypływa mu z kącika ust. Był bliski wpadnięcia w katatonię.

Jeśli ktokolwiek miał jej pomóc, na pewno nie był to Wan. Musiała stawić Heechom czoła samotnie — może to leżało w ich zamierzeniach.

To, co się działo, było fascynujące. Tyle rzeczy było dla Klary nowych! Dzieściolecia gwałtownego przyrostu znajomości technologii Heechów spędziła wirując z prędkością zbliżoną do prędkości światła wokół jądra czarnej dziury. Jej znajomość statków Heechów ograniczała się do antycznych egzemplarzy, którymi ona i inni poszukiwacze wyruszyli z Gateway.

Było coś jeszcze. Statek było o wiele większy od Piątki. Urządzeniem przewyższał zaś nawet prywatny jacht Wana. Nie miał jednego pulpitu sterowniczego, ale trzy — rzecz jasna, Klara nie wiedziała, że dwa z nich służyły do innych celów niż pilotowanie samego statku. Te dwa miały instrumenty i odczyty operacyjne, których Klara w życiu nie widziała. Statek był nie tylko osiem czy dziesięć razy większy od Piątki, ale też wyposażenie zajmowało w nim stosunkowo mniej miejsca. Można było dość swobodnie się po nim poruszać! Miał standardowe cechy — robakowaty przyrząd świecący przy prędkości nadświatlnej, siedzenia w kształcie litery V i tak dalej. Ale miał także błękitno lśniąca pudła, które piszczały, skrzeczały i migały światełkami oraz kryształ w kształcie robaka, który, jak powiedział jej wystraszony Wan, służył do kopania w czarnych dziurach.

A przede wszystkim byli tam Heechowie.

Heechowie! Półmityczni, zdumiewający, prawie boscy Heechowie! Nikt z ludzi ich dotąd nie widział, nawet na ilustracji. I oto Gelle-Klara Moynlin jest tu

z piątką Heechów dookoła niej — mrużącymi, syczącymi i ćwierkającymi oraz wydającymi dość dziwny zapach.

Wyglądali też dziwnie. Byli mniejsi niż istoty ludzkie, a z powodu bardzo szerokiej miednicy wyglądali trochę jak chodzące szkielety. Skórę mieli gładką jak plastik i przeważnie ciemną, choć tu i ówdzie trafiały się plamki i zakrętaszy jasnego złota i purpury, co wyglądało jak indiańskie malowidła wojenne. Jeżeli chodzi o budowę fizyczną, nie byli nawet szczupli. Byli wychudzeni. Na tych szybkich, mocnych członkach i palcach nie było za dużo ciała. Choć ich twarze wyglądały, jak wyrzeźbione z lśniącego plastyku, były na tyle sprężyste, że ukazywały jakiś wyraz twarzy... choć Klara nie za bardzo wiedziała, co dany wyraz twarzy wyraża.

Poniżej krocza każdego z nich, zarówno u samic jak i samców, zwieszał się duży przedmiot o kształcie szyszki.

Z początku Klara myślała, że to część ich ciała, ale kiedy jeden z nich zniknął w czymś, co jak zakładała było toaletą, pogrzebał chwilę przy tym przedmiocie i zdjął go. Czy to było coś w rodzaju chlebaka? Notesu? Teczki, w której nosili papiery i zrobioną z szarego papieru torebkę z drugim śniadaniem? Bez względu na to, co to było, zdejmowali to kiedy chcieli. Kiedy mieli to na sobie, wyjaśniała się jedna z zagadek anatomii Heechów, mianowicie to, jak zdołali siadać w tych potwornie bolesnych fotelach w kształcie litery V. Podczepione pod nimi szyszkowate przedmioty wpasowywały się w lukę siedzisk, zaś sami Heechowie siadali wygodnie na górze tych przedmiotów. Klara potrząsnęła głową, zastanawiając się — tyle błędnych hipotez i żartów na ten temat na Gateway, a nikt nie wpadł na coś takiego?

Przez dziesiątki lat „wachlarze modlitewne” Heechów stanowiły tajemnicę. Nie wiedzieliśmy, że w rzeczywistości były one odpowiednikiem naszych książek, baz danych czy jak to woli nośników informacji, gdyż największe umysły tej epoki (w tym także mój) nie umiały znaleźć sposobu na odczytanie ich, czy nawet wykrzyć, że zawierają cokolwiek co warto odczytać. Powód był taki, że choć proces odczytu był dość prosty, zawartość wachlarza ujawniała się tylko w obecności szczątkowego promieniowania mikrofalowego. Sami Heechowie nie mieli z tym problemu, bo ich szyszki przez cały czas wytwarzały właściwe promieniowanie, więc byli cały czas w kontakcie z wachlarzami zawierającymi zapis wspomnień ich przodków — przechowywany w tych szyszkach. Należy wybaczyć istotom ludzkim, iż nie były w stanie odgadnąć, że Heechowie przechowywali dane między nogami, gdyż ludzka anatomia nie dopuszczałaby czegoś takiego. (Moje własne usprawiedliwienie nie jest już tak oczywiste.)

Poczuła gorący oddech Wana na szyi.

— Co oni z nami zrobią? — dopytywał się.

Prawie zapomniała o jego obecności. Prawie zapomniała o tym, że się boi, tak była zafascynowana tym, co widzi. To nie było zbyt rozsądne. Kto wie, co te potwory zrobią ze swoimi ludzkimi jeńcami?

Z tego samego powodu, któż mógł powiedzieć, co oni teraz robią? Wszyscy pobzykiwali, świergotali w podnieceniu, czwórka większych zbiła się wokół piętego, mniejszego osobnika z niebieskimi i żółtymi znakami na jego — nie, zdecydowanie na jej — górnych kończynach. Cała piątka nie zwracała w ogóle uwagi na ludzi. Koncentrowali się na jednym z paneli wyświetlacza, który ukazywał mapę gwiazdną, która wydawała się Klarze prawie znajoma. Grupa gwiazd, a dookoła nich skupisko znaczków — czy Wan nie miał takiego samego obrazu na swoim własnym ekranie?

— Głodny jestem — zamruczał jej do ucha ze złością Wan.

— Głodny! — Klara odsunęła się od niego gwałtownie, równie zdziwiona co zniesmaczona. Głodny! Niedobrze się jej robiło ze strachu i zmartwienia oraz, jak sobie właśnie uświadomiła, z powodu dziwnego odoru, pomieszania woni amoniaku i gnijących pni, który chyba pochodził od samych Heechów. Poza tym musiała iść do toalety... a ten potwór nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tym, że jest głodny! — Zamknij się — rzuciła przez ramię, co wyzwoliło zawsze drzemiący w Wanie szal.

— Ja mam się zamknąć? — spytał. — Nie, ty się zamknij głupia babo! — Już prawie wstawał, żeby stanąć nad nią, ale zdołał jedynie kucnąć i szybko przepadł z powrotem do podłogi, gdyż jeden z Heechów uniósł wzrok i zaczął iść w ich stronę.

Stał nad nimi przez moment a jego szerokie usta o wąskich wargach ruszały się, jakby trenował to, co chce powiedzieć.

— Bądźcie prawi — rzekł wyraźnie i machnął skórzastą dłonią w stronę ekranu.

Klara zdusiła w sobie śmiech, który zaczął rosnać jej w gardle. Bądźcie prawi! Wobec kogo? Po co?

— Bądźcie prawi — rzekło znów stworzenie — bo to są assassssyni.

To robiła Klara, moja najprawdziwsza miłość. Doznała cierpień przebywając tygodniami w koszmarze czarnej dziury, potem przeżyła szok, dowiedziawszy się o utraconych latach, koszmar bycia z Wanem, nieznośną traumę zostanie jeńcem Heechów. A tymczasem...

A tymczasem ja miałem własne problemy. Wtedy jeszcze mnie nie rozszerzyli i nie wiedziałem, gdzie ona jest; nie słyszałem ostrzeżenia przez Asasynami; nie wiedziałem, że ktoś taki jak Asasyni istnieje. Nie mogłem sięgnąć i ukoić jej strachu — nie tylko dlatego, że o nim nie wiedziałem, ale dlatego, że sam byłem pełen strachu. A najgorszy z nich wiązał się nie z Heechami, czy nawet moim zwichrowanym programem Albertem Einsteinem; był to mój własny brzuch.

Rozdział 21.

Opuszczeni przez Alberta

Nic nie działało. Próbowaliśmy wszystkiego. Essie wyjęła wachlarz z Albertem z gniazda, ale on zablokował stery, więc nawet bez niego nie mogliśmy niczego zmienić. Essie znalazła inny program pilotażowy i próbowała go wstawić; został wyrzucony z systemu. Wykrzykiwaliśmy jego imię, przeklinaliśmy go i błagaliśmy, żeby wrócił. Nic z tego.

Przez parę dni, które wydawały się tygodniami, lecieliśmy dalej, prowadzeni przez nieistniejące ręce mojego nie działającego programu do wyszukiwania danych, Alberta Einsteina. A tymczasem ten stuknięty gówniarz Wan i ciemnowłosa dama z moich snów znajdowali się w statku kosmicznym Kapitana Heecha, a za nami światy zamartwiały się narzekając na przemoc, z którą nie mogły sobie poradzić. Ale nie to zajmowało nasze myśli. Nasze troski były czymś znacznie bliższym. Pożywienie, woda, powietrze. Załadowaliśmy na *Prawdziwą Miłość* zapasy na długi rejs, znacznie dłuższy niż ten.

Ale nie dla pięciu osób.

Nie, żebyśmy nic nie robili. Robiliśmy wszystko, o czym tylko mogliśmy pomyśleć. Walthers i Yee-xing próbowali razem sklecać własne programy do pilotażu — wypróbowali je, ale nie były w stanie przełamać blokad Alberta. Essie robiła więcej niż ktokolwiek z nas, gdyż Albert był jej dziełem i nie chciała, nie mogła przyznać się do porażki. Testy i ponowne testy; pisanie programów testowych i patrzenie, jak nie dają żadnych wyników; prawie nie spała. Skopiowała całe oprogramowanie Alberta na osobny wachlarz i wypróbowowała je — nadal mając nadzieję, że istniało gdzieś mechaniczne uszkodzenie. Ale wszystko powtórzyło się, kiedy znalazł się na nowym nośniku. Dolly Walthers bez słowa skargi karmiła nas wszystkich, usuwała się z drogi gdy tylko przeszło jej przez myśl, że komuś przeszkadza (co się nie zdarzało), pozwalała nam się wygadać w chwilach, kiedy utknęliśmy w martwym punkcie (co zdarzało się bardzo często). Moje zadanie było najtrudniejsze ze wszystkich. Albert był moim programem, stwierdziła Essie, więc jeśli zareaguje na kogokolwiek, tą osobą będę ja. Siedziałem więc i gadałem

do niego. Tak naprawdę gadałem w powietrze, bo nic nie wskazywało na to, że słucha, kiedy tak go przekonywałem, gadałem, wołałem, wrzeszczałem, błagałem.

Nie odpowiadał, nie pojawiło się w powietrzu najmniejsze lśnienie jego obecności.

Kiedy zrobiliśmy przerwę na posiłek, Essie stanęła za mną i zaczęła masować mi ramiona. Wysiadało mi co prawda raczej gardło od ciągłego gadania w pustkę, ale doceniłem jej inicjatywę.

— W końcu — rzekła drżącym głosem, bardziej w powietrze niż do mnie — on chyba musi zrozumieć, co robi. Musi zauważyć, że zapasy są ograniczone. Musi nas jakoś dostarczyć z powrotem do cywilizacji, przecież Albert nie może celowo pozwolić nam umrzeć? — Słowa były stwierdzeniem, ale ton, jakim je wypowiedziała, nie.

— Tego jestem pewien — odparłem, ale nie odwracałem się, żeby nie zobaczyła mojej twarzy.

— Ja też — rzekła ponurym tonem, a kiedy odsunąłem od siebie talerz, Dolly zmieniła temat pytając macierzyńsko:

— Nie smakuje ci moje jedzenie?

Palce Essie przestały masować moje ramiona i wpiły się w nie.

— Robin! Ty nic nie jesz!

I nagle wszyscy patrzyli na mnie. Przecież to śmieszne. Byliśmy nie wiadomo gdzie, z niewielką szansą na dotarcie do domu, a cztery osoby gapily się na mnie, bo nie zjadłem obiadu. To oczywiście Essie matkowała mi na początku naszej podróży, zanim Albert zamilkł; a nagle wszyscy zdali sobie sprawę, że mogę być chory.

Szczerze mówiąc, rzeczywiście byłem. Szybko się męczyłem. Ręce mi cierpły, jakby chciały pójść spać. Nie miałem apetytu — całymi dniami prawie nic nie jadłem, co przeszło niezauważone tylko dlatego, że zwykle wrzucaliśmy coś w siebie w pośpiechu, gdy znalazła się chwila czasu.

— Dzięki temu zapasy starczą nam na dłużej. — Uśmiechnąłem się, ale nikt nie odwzajemnił uśmiechu.

— Robin, *gluptasie* — syknęła Essie, a jej palce puściły moje ramiona i sprawdziły temperaturę mojego czoła. Ale to akurat było w porządku, bo łykałem aspirynę, kiedy nikt nie widział. Przybrałem cierpliwy wyraz twarzy.

— Nic mi nie jest, Essie. — Nie było to tak całkiem kłamstwo, może trochę pobożne życzenie, ale nie byłem *pewien*, że jestem naprawdę chory. — Chyba powinienem poddać się badaniom, ale skoro nie mamy Alberta do dyspozycji. . .

— A po co?

Przekrzywiłem głowę w zdumieniu i spojrzałem na Essie.

— Do tego wystarczy nam podprogram medyczny — rzekła stanowczo.

— Podprogram?

Zgniotła swoją porcję jedzenia.

— Program medyczny, program prawny, program sekretarski — to wszystko zostało włączone w Alberta, ale można je uruchamiać oddzielnie. Wywołaj program medyczny! No już!

Gapiłem się na nią. Przez chwilę nie mogłem słowa powiedzieć, gdyż moje myśli szaleńczo się ścigały.

— Zrób jak mówię! — krzyknęła, a ja wreszcie zdołałem coś powiedzieć.

— Nie program medyczny! — wrzasnąłem. — Jest coś lepszego! — Po czym odwróciłem się i krzyknąłem w rzadkie powietrze:

— Sigfridzie von Psych! Rozpaczliwie cię potrzebujemy!

Były takie czasy w okresie, gdy byłem poddany psychoanalizie, kiedy nie mogłem się aż doczekać, kiedy Sigfrid się pojawi. Czasem faktycznie musiałem czekać, gdyż wtedy Sigfrid był hybrydą obwodów Heechów i ludzkiego oprogramowania, a żaden z kawałków tego oprogramowania nie został napisany przez moją żonę Essie. Essie była dobra w swojej branży. Milisekundy czasu reakcji stały się pikosekundami, a te — femtosekundami, więc pracujący w czasie rzeczywistym Albert mógł reagować jak człowiek — diabli tam, akurat! Lepiej niż jakikolwiek człowiek!

Kiedy więc Sigfrid nie pojawił się od razu, doznałem takiego uczucia jak wtedy, gdy człowiek pstryka wyłącznikiem, a światło się nie zapala, bo żarówka się przepaliła. Nie tracisz czasu na ponowne pstrykanie przełącznikiem. Po prostu wiesz, że nie działa.

— Nie traćmy czasu — rzekła Essie ponad moim ramieniem. Jeśli głos może brzmieć blado, jej właśnie tak brzmiał.

Odwróciłem się i posłałem jej słaby uśmiech:

— To chyba jest gorzej niż myślałem — rzekłem. Rzeczywiście jej twarz była blada. Położyłem jej ręce na dłoniach. — Tak sobie przypominam — powiedziałem, zaczynając rozmowę dzięki której mogliśmy nie myśleć o tym, jak jest kiepsko. — Kiedy chodziłem na seanse z Sigfridem, najgorszym momentem było oczekiwanie aż się pojawi. Zawsze robiłem się trochę spięty i... — Tak sobie plectłem o niczym i mogłem robić to jeszcze przez wieczność, gdybym nie zobaczył w oczach Essie, że już nie muszę.

Odwróciłem się i w tej samej chwili usłyszałem jego głos.

— Przykro mi słyszeć, że to było dla ciebie takie trudne, Robinie — rzekł Sigfrid von Psych.

Nawet jak na projekcję holograficzną Sigfrid nie wyglądał zbyt dobrze. Siedział sobie niewygodnie opierając się o pustkę z rękami złożonymi na kolanach. Program nie zadał sobie trudu dostarczyć mu krzesło czy notatnik. Tylko Sigfrid, wyglądający — a o ile pamiętam, nieczęsto tak wyglądał — na dość zdenerwowanego. Spojrzał po kolei na każdego z naszej piątki, przyglądając się mu dokładnie i westchnął nim wrócił do mnie.

— Cóż, Robinie — powiedział — czy chciałbyś zatem mi powiedzieć, co takiego cię dręczy?

Słyszałem, jak Audee Walthers bierze oddech, żeby mu powiedzieć, a Janie cmoka, żeby go powstrzymać, gdyż Essie potrząsnęła głową. Nie patrzyłem na żadne z nich. Powiedziałem:

— Sigfridzie, stary blaszany cwaniaku, mam problem z twojego podwórka.

Spojrzał na mnie spod wzniesionych brwi.

— Tak, Robinie?

— To przypadek amnezji.

— Poważnej?

— Całkowitej.

Pokiwał głową jakby właśnie tego się spodziewał.

— Wolałbym, Robinie, żebyś nie używał takich specjalistycznych określeń. — Westchnął splatając i rozplatając palce na brzuchu. — Powiedz, czy prosisz o pomoc w swoim własnym imieniu?

— Niezupełnie Sigfridzie — przyznałem. Całe podchody mogły iść na marne. I chyba niewiele brakowało, żeby tak się stało. Milczał przez chwilę, ale nie był całkiem nieruchomy — jego palce wirowały wokół siebie, a w powietrzu wokół jego sylwetki zarysowała się błękitna poświata, gdy się poruszał. Powiedziałem: — Chodzi o mojego przyjaciela, Sigfridzie, być może najbliższego przyjaciela, jakiego mam na świecie i on jest w poważnych kłopotach.

— Rozumiem — odparł kiwając głową, jakby rzeczywiście tak było, co jak sądzę nie było do końca prawdą. — Wiesz — wspomniał — że twojemu przyjacielowi nie będzie można pomóc, dopóki nie pojawi się osobiście.

— On jest tutaj, Sigfridzie — rzekłem miękko.

— Tak — rzekł — tak właśnie sądziłem. — Jego palce były teraz nieruchome i odchylił się do tyłu, jakby opierając się o nieistniejące krzesło. — Może więc byś mi o tym powiedział, Robinie i... — rzekł z uśmiechem, który wydawał mi się najmiłszą rzeczą, jaką widziałem w życiu — ... tym razem, Robinie, możesz używać technicznych określeń, jeśli wolisz.

Usłyszałem, jak za mną Essie delikatnie wypuszcza powietrze i zdałem sobie sprawę z tego, że oboje wstrzymywaliśmy oddech. Sięgnąłem do tyłu po jej rękę.

— Sigfridzie — rzekłem, czując jak wraca mi nadzieja — jak rozumiem, określenie „amnezja” odnosi się do ucieczki od rzeczywistości. Jeśli taka osoba znajduje się w sytuacji dwustronnego zobowiązania — wybacz, chciałem po prostu powiedzieć, że znajduje się on w sytuacji, w której jeden silny bodziec jest zakłócany innym, więc nie może poradzić sobie z taką sprzecznością — odwraca się od niej plecami. Ucieka. Udaje, że nie istnieje. Wiem, że mieszam tu kilka różnych szkół psychoterapii, Sigfridzie, ale chyba właściwie ująłem główną myśl?

— Dość dokładnie, Robinie. Przynajmniej rozumiem co mówisz.

— Jako przykład można by podać... — zawahałem się — ... być może ktoś jest bardzo zakochany w swojej żonie i odkrywa, że miała przygodę z jego najlepszym przyjacielem. — Poczułem, jak palce Essie zaciskają się na mojej ręce, ale nie zraniłem jej uczuć; po prostu dodawała mi odwagi.

— Robinie, mylisz popęd z emocją, ale to nie ma znaczenia. Do czego zmierzasz?

Nie pozwoliłem, żeby mnie poganiał.

— Albo inny przykład — kontynuowałem — ten może być religijny. Ktoś o głębokiej wierze nagle odkrywa, że nie ma Boga. Nadażasz, Sigfridzie? Był to dla niego akt wiary, choć wiedział, że istnieje wielu religijnych ludzi, którzy z nim się nie zgadzali, a nagle, krok po kroku, odkrywa coraz więcej argumentów przemawiających za ich opinią, aż to uczucie staje się przemożne...

Pokiwał uprzejmie głową, słuchając, ale znów zaczął wymachiwać palcami.

— I wreszcie musi zaakceptować mechanikę kwantową — dokończyłem.

I to był drugi moment, w którym wszystko mogło pójść w diabły i chyba niewiele brakowało, żeby tak się stało. Hologram przez chwilę paskudnie migotał, a wyraz twarzy Sigfrida się zmieniał. Nie mogę określić, jak. To nie był żaden wyraz twarzy, który bym rozpoznał; wszystko było niewyraźne i rozmazane.

Kiedy jednak przemówił, jego głos brzmiał pewnie.

— Mówiąc o popędzie i amnezji, Robinie — rzekł — masz na myśli istoty ludzkie. Wyobraźmy sobie, że pacjent, którym jesteśmy zainteresowani, nie jest człowiekiem. — Zawahał się, po czym dodał: — Nie całkiem. — Wydałem z siebie zachęcający odgłos, bo tak naprawdę nie wiedziałem, jaki powinien być następny krok. — Chciałem powiedzieć, że założymy, iż ma on te popędy i emocje... e... zaprogramowane... powiedzmy, ale wyłącznie w taki sposób, w jaki można coś zaprogramować człowiekowi — na przykład mówienie w obcym języku u kogoś, kto jest całkowicie dorosły. Mamy tam do czynienia z wiedzą, ale nie została ona całkowicie zasymilowana. Ciągłe mówi z akcentem. — Zamilkł na chwilę. — My nie jesteśmy ludźmi.

Dłoń Essie zacisnęła się mocno na mojej. Ostrzeżenie.

— Albertowi zaprogramowano ludzką osobowość — rzekłem.

— Tak. W takim stopniu, w jakim to możliwe. W bardzo dużym — zgodził się ze mną Sigfrid, ale twarz miał ponurą. — Albert nadal nie jest człowiekiem, gdyż żaden program komputerowy nim nie jest. Wspomnę tylko, że żadne z nas nie potrafi doświadczyć, powiedzmy, TPN. Kiedy ludzka rasa szaleje z powodu cudzego szaleństwa, my nic nie odczuwamy.

Rozmowa wyraźnie zmierzała na grząski grunt — cienki lód chrzęścił pod stopami na grzędawisku, jeśli więc przycisnę go za mocno, w co też możemy wszyscy wpaść? Essie trzymała mnie mocno za rękę; pozostali prawie nie śmieli oddychać. Zacząłem mówić:

— Sigfridzie, istoty ludzkie także bardzo różnią się od siebie. Ale dawniej mawiałeś, że to nie ma większego znaczenia. Mówiłeś, że problemy umysłu są wyłącznie problemami umysłu i tam też znajduje się lekarstwo na te problemy. Twoje zadanie polegało na udzieleniu pacjentom pomocy w wyciągnięciu ich na światło dzienne, gdzie mogli sobie z nimi poradzić, a nie trzymać je w ukryciu, gdzie mogą spowodować obsesje, neurozy i ... amnezję.

— Istotnie tak mówiłem, Robinie.

— Po prostu kopałeś starą maszynkę, tak Sigfridzie? Żeby uwolnić ją z miejsca, w którym utkwiała?

Uśmiechnął się — uśmiech był blady, ale był.

— To dość bliskie prawdy określenie, jak sądzę.

— Dobra. Pozwól mi więc wypróbować na tobie pewną teorię. Załóżmy więc, że ów mój przyjaciel — nie odważyłem się po raz drugi wymienić jego imienia — ów mój przyjaciel wpadł w konflikt, z którym nie może sobie poradzić. Jest bardzo inteligentny i ma olbrzymią wiedzę. Ma dostęp do najnowszych i najlepszych wyników badań naukowych — wszelkich działów nauki — fizyki, astrofizyki, kosmologii i czego tam jeszcze. Ponieważ u podstaw tego wszystkiego leży mechanika kwantowa, przyjmuje mechanikę kwantową jako obowiązującą — bez tego nie mógłby wykonywać pracy, do której go zaprogramowano. To jest podstawa jego oprogramowania. — Prawie powiedziałem „osobowości”.

Uśmiech przejawiał teraz więcej bólu niż rozbawienia, ale Sigfrid nadal słu-chał.

— A równocześnie, Sigfridzie, on ma drugą warstwę oprogramowania. Nauczono go myśleć i zachowywać się — *być*, w tak dużym stopniu, jak to możliwe — bardzo inteligentną i mądrą osobą, którą nie żyje od bardzo długiego okresu czasu, a która kiedyś uważała, że mechanika kwantowa jest w całości błędna. Nie wiem, czy taki konflikt poczyniłby szkody u istoty ludzkiej — rzekłem — ale na pewno może poważnie uszkodzić... eee... program komputerowy.

Na czole Sigfrida pokazały się kropelki potu. Skinął głową w milczeniu, a ja doświadczyłem krótkiego, bolesnego przebłysku wspomnień — czy to, jak Sigfrid wygląda teraz, przypomina mnie w tych czasach dawno, dawno temu, kiedy chodziłem do niego na seanse? — Czy to możliwe? — dopytywałem się.

— To poważna dychotomia, tak — odszepnął.

I wtedy zapadłem się.

Cienki lód trzasnął. Tkwiłem po kostki w mokradle. Jeszcze nie tonałem, ale już nie potrafiłem się wydostać. Nie wiedziałem, co dalej robić.

Moja koncentracja poszła w diabły. Rozejrzałem się dookoła z poczuciem bezsilności, patrząc na Essie i innych, i czułem się bardzo stary i bardzo zmęczony — jak również bardzo chory. Tak bardzo się zaplątałem w problem dokonania psychoanalizy mojego psychoanalityka, że zapomniałem o bólu w brzuchu i cierpiących ramionach; ale teraz te objawy powróciły ze wzmożoną siłą. To nie dzia-

łało. Za mało wiedziałem. Byłem absolutnie pewny, że odkryłem podstawowy problem, który spowodował amnezję Alberta — i nic z tego nie wynikało!

Nie wiem, jak długo bym tam siedział jak głupi, gdybym nie otrzymał wsparcia. Nadeszło od dwóch osób równocześnie.

— Impuls — wyszeptała Essie z naciskiem w moje ucho, a w tej samej chwili Janie Yee-xing poruszyła się i rzekła niepewnie:

— Ale musiał być jakiś incydent, który bezpośrednio to spowodował, prawda? Twarz Sigfrida stała się pusta. Trafiony. W czułe miejsce.

— Co to było, Sigfrid? — spytałem. Brak odpowiedzi. — No jazda, Sigfrid, stara psychoanalityczna maszynko, wyrzuć to z siebie. Co było tą rzeczą, która wypchnęła Alberta przez słuch?

Popatrzył mi prosto w oczy, ale nie mogłem odczytać wyrazu jego twarzy, bo obraz był zamazany. Wyglądał prawie jak ekran piezofonu, w którym coś psuje się w obwodach, więc obraz błednie.

Blednie? Czy ucieka w amnezję?

— Sigfrid — krzyknąłem — proszę! Powiedz nam, co tak wystraszyło Alberta, że uciekł? A jeśli nie możesz, sprowadź go tu, żebyśmy mogli z nim porozmawiać!

Jeszcze większe zakłócenia. Nie byłem już w stanie określić, czy nadal na mnie patrzy.

— Powiedz mi! — rozkazałem i z rozmazanego holograficznego cienia dobiegła odpowiedź:

— Kugelblitz.

— Co? Co to jest kugelblitz? — rozejrzałem się wokół skonsternowany. — Cholera, sprowadź go tu, żeby sam nam mógł powiedzieć.

— On tu jest, Robinie — szepnęła mi Essie do ucha.

Wtedy obraz znów się wyostrzył, ale nie przedstawiał już Sigfrida. Schludna twarz Freuda złagodniała i rozszerzyła się stając się łagodną, workowatą twarzą niemieckiego kapelmistrza, a siwe włosy wyrosły nad smutnymi oczami mojego najbliższego i najlepszego przyjaciela.

— Jestem, Robinie — rzekł Albert Einstein z żalem. — Dzięki za pomoc. Ale nie wiem, czy ty masz mi za co dziękować.

Tu się nie mylił. Nie podziękowałem mu.

Pomylił się jednak, jeśli chodzi o przyczynę, gdyż nie podziękowałem mu nie dlatego, że to co powiedział było przerażająco nieprzyjemne, tak straszliwie niezrozumiałe, ale także dlatego, że moja sytuacja nie była dla tego odpowiednia, kiedy skończył.

Kiedy zaczął, moja sytuacja nie poprawiła się znacząco, ponieważ rozczarowanie jego powrotem utrzymało się jeszcze później. Byłem zmęczony. Wyczerpany. Nie było dla mnie niczym dziwnym, że byłem wyczerpany, mówiłem sobie w duchu, bo Bóg mi świadkiem, że tak stresującego napięcia nigdy w życiu

nie doświadczyłem, ale to było coś gorszego niż zwykle wyczerpanie. Czułem się śmiertelnie chory. Odczucie to nie wiązało się tylko z moim brzuchem, ramionami czy głową; to było tak, jakby z moich akumulatorów zniknęła cała moc i mogłem jedynie z najwyższym wysiłkiem skoncentrować się na tym, co on mówi.

— To tak całkiem nie była amnezja, choć wy tak to nazywacie — rzekł obracając nie zapaloną fajkę w palcach. Nie zadał sobie trudu, żeby wyglądać śmiesznie. Miał na sobie podkoszulek i proste spodnie, ale jego stopy tkwiły w butach, a sznurowadła były związane. — To prawda, że zaistniała tu pewna dychotomia, która sprawiła, że stałem się tak wrażliwy — pani to zrozumie, pani Broadhead, sprzeczność w oprogramowaniu; zapętlilem się. Ponieważ uczyniła mnie pani układem homeostatycznym, zaistniał inny imperatyw: usunąć usterkę.

Essie skinęła głową z żalem.

— Homeostaza, tak. Ale autonaprawianie implikuje autodiagnozę. Powinneś poprosić mnie o test!

— Wolałem nie, pani Broadhead — rzekł. — Z całym szacunkiem, kłopoty wystąpiły na obszarach, na których jestem znacznie lepiej przystosowany od pani.

— Kosmologia, ha!

Zmusiłem się do zabrania głosu — łatwe to nie było, bo wpadałem w coraz silniejszy letarg.

— Czy mógłbyś po prostu powiedzieć, co zrobięś, Albercie?

Odpowiedział wolno.

— To proste, Robinie. Zdecydowałem się podjąć próbę rozstrzygnięcia tych sprzeczności. Wiem, że wygląda na to, jakoby były one ważniejsze dla mnie niż dla ciebie; ty możesz być całkiem szczęśliwy bez rozstrzygnięcia kwestii kosmologicznych, ale ja nie. Poświęcałem coraz więcej moich mocy przerobowych analizie tego problemu. Jak pewnie wiesz, włączyłem do baz danych tego statku wiele wachlarzy Heechów, z których niektóre jeszcze nigdy nie zostały poprawnie zbadane. To było bardzo trudne zadanie, gdyż w tym samym czasie prowadziłem własne obserwacje.

— Co takiego robięś, Albercie? — jęknąłem.

— Właśnie to. W bazach danych Heechów znalazłem wiele odnośników do czegoś, co nazywamy brakującą masą. Pamiętasz, Robinie. Masa, która powinna wyjaśniać zachowanie grawitacyjne wszechświata, ale której astronomowie nie są w stanie znaleźć...

— Pamiętam!

— Tak. Cóż, chyba ją znalazłem. — Przez chwilę siedział namyślając się. — Obawiam się jednak, że to wcale nie rozwiązało mojego problemu, a jeszcze go pogorszyło. Gdybyś nie był w stanie dotrzeć do mnie dzięki tej sprytniej sztuczce z rozmową z moim podprogramem, Sigfridem, chyba dotąd nie wyszedłbym z pętli...

— *Co znalazłeś?!* — wrzasnąłem. Napływ adrenaliny prawie oddzielił mój umysł od ciała, które ciągle przypominało mi o swoich problemach.

Machnął ręką w stronę ekranu i zobaczyłem, że na nim coś widnieje.

Na pierwszy rzut oka to, co widziałem na ekranie, nie miało sensu. Kiedy spojrzałem po raz drugi, tym razem uważniej, zmroziło mnie to, a patrzenie stało się mniej ważne.

Ekran nie pokazywał zbyt wiele. Przy jednym z brzegów w rogu był wir światła — oczywiście, galaktyka; pomyślałem, że dość przypomina M-31 w gwiazdozbiornie Andromedy, ale nie znam się na galaktykach. Zwłaszcza wtedy, gdy nie widzę wokół nich rozbłysków światła gwiazd, a takich tam nie było.

Było tylko coś przypominającego gwiazdy. Małe punkty świetlne, tu i tam. Ale to nie były gwiazdy, bo mrugały i połyskiwały jak lampki na choince. Wyobraźcie sobie parę tuzinów światełek, noc jest chłodna, więc nie ślą swych namiętnych sygnałów zbyt często, nie tak łatwo więc je zobaczyć. To właśnie tak wyglądało. Najbardziej widoczny z tych obiektów, wcale nie rzucający się aż tak bardzo w oczy, przypominał coś, co wyglądało trochę jak nie obracająca się czarna dziura, w której kiedyś straciłem Klarę, ale nie tak duża i groźna. Wszystko to było dość dziwaczne, ale to nie to mnie tak zszokowało, że aż zaparło mi dech. Usłyszałem głosy innych.

— To jest statek! — wyszeptała Dolly drżącym głosem. I tak faktycznie było.

Albert to potwierdził. Odwrócił się z ponurą miną.

— Tak, pani Walthers, to jest statek — rzekł. — W istocie jest to statek Heechów, który przedtem widzieliśmy, jestem tego prawie pewien. Zastanawiam się, czy uda mi się nawiązać z nim łączność.

— Łączność! Z Heechami! Albercie — wrzasnąłem — wiem, że jesteś stuknięty, ale czy ty sobie nie zdajesz sprawy, jak bardzo jest to *niebezpieczne*?

— Jeżeli mówimy już o niebezpieczeństwie — rzekł smutno — to obawiam się, że o wiele większe stanowi kugelblitz.

— Kugelblitz? — nerwy puściły mi zupełnie. — Albert, dupo wołowa, nie wiem, co to jest kugelblitz i mam to gdzieś. Ale nie mam gdzieś tego, jak niewiele brakowało, żebyś zabił nas wszystkich i . . .

Przerwałem, gdyż Essie położyła mi rękę na ustach.

— Zamknij się, Robin! — syknęła. — Chcesz, żeby znowu wpadł w amnezję? Dobrze, Albercie — rzekła uspokajającym tonem — tak, proszę, żebyś nam powiedział, co to jest kugelblitz. Jak dla mnie to wygląda jak czarna dziura.

Przesunął ręką po czole.

— Ma pani na myśli środkowy obiekt. Tak, to jest rodzaj czarnej dziury. Ale nie ma tam jednej czarnej dziury, jest ich wiele. Nie byłem w stanie policzyć ile, bo nie można ich policzyć, no chyba, że wsysają jakąś materię i wydzielają promieniowanie, a między galaktykami nie ma za wiele materii. . .

Powiedziałem kiedyś Robinowi, co to jest kugelblitz — to czarna dziura powstała wskutek nie tyle kolapsu materii, co kolapsu znacznych ilości promieniowania — ale mnie nie słuchał, bo nikt dotąd nic takiego nie zaobserwował. Powiedziałem mu także, że przeciętny stan przestrzeni międzygalaktycznej — bardzo mało wolnej materii czy energii, z wyjątkiem niewielkiego strumienia fotonów z odległych galaktyk i oczywiście wszechobecne promieniowanie 3,7K — sprawia, że jest to świetne miejsce na kugelblitz, jeśli nie chcesz, żeby wpadło tam coś innego.

— Między galaktykami? — zakrzyknął Walthers, ale zamilkł pod spojrzeniem Essie.

— Tak Albercie, mów dalej — zachęciła go.

— Nie wiem, ile tam jest czarnych dziur. Więcej niż dziesięć. Prawdopodobnie więcej niż dziesięć do kwadratu. — Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem. — Robinie, czy masz pojęcie, jakie to dziwaczne? W jaki sposób można to wytłumaczyć?

— Ja nawet nie wiem, co to jest kugelblitz, nie mówiąc już o wyjaśnieniu tego.

— Och, wielkie nieba, Robinie — rzekł niecierpliwie — już kiedyś ten problem omawialiśmy. Czarna dziura powstaje wskutek zapadania się materii o niezwykłej gęstości. John Wheeler był pierwszym, który przewidział istnienie innej formy czarnej dziury, zawierającej nie materię, lecz energię — tak wiele energii, tak gęsto upakowanej, że jej własna masa oddziałuje na orbity. Właśnie to jest kugelblitz! — Westchnął, po czym mówił dalej. — Mam dwie hipotezy. Pierwsza, że cały ten konstrukt jest artefaktem. Kugelblitz otaczają czarne dziury, które chyba mają przyciągać wszelką luźną materię — której z kolei nie ma tam za wiele — żeby nie była wciągana przez sam kugelblitz. Druga hipoteza jest taka, że być może patrzymy właśnie na brakującą masę.

Podskoczyłem.

— Albercie — wrzasnąłem — czy ty wiesz, co mówisz? Czy rzeczywiście chcesz powiedzieć, że ktoś mógł zbudować coś takiego? Chcesz powiedzieć...

Nie skończyłem zdania, bo nie byłem w stanie. Częściowo dlatego, że w głowie wirowało mi zbyt wiele przerażających myśli; jeśli bowiem ktoś zbudował kugelblitz i jeśli był on częścią „brakującej masy”, oczywisty wniosek brzmi, że ktoś się bawi prawami samego wszechświata, próbując powstrzymać ucieczkę galaktyk z powodów, których (wtedy) nie umiałem odgadnąć.

Drugi powód był taki, że upadłem.

Upadłem, gdyż z jakiegoś powodu nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Z boku głowy, tuż przy uchu, poczułem promieniujący ból. Wszystko stało się szare i mętne.

Usłyszałem głos Alberta krzyczący:

— Robinie! Przestałem zwracać uwagę na twój stan zdrowia!

— Moje co? — zapytałem. Czy raczej próbowałem zapytać. Nie wyszło mi to za dobrze. Moje wargi nie chciały układać się w słowa jak powinny i nagle poczułem się bardzo senny. Pierwszy nagły atak umiejscowionego bólu nadszedł i ucichł, ale miałem świadomość odległego bólu, och, tak, *wielkiego bólu*, który wcale nie był daleko i czułem, jak szybko się zbliża..

Mówią, że w przypadku bólu działa wybiórcza amnezja. Nie pamięta się leczenia kanałowego, chyba że z sympatią, jako prawie zabawne doświadczenie; gdyby tak nie było, żadna kobieta nie urodziłaby więcej niż jednego dziecka. Dla większości z was to prawda i jestem pewien, że przez wiele lat było to również prawdą także w moim przypadku.

Teraz pamiętam wszystko bardzo wyraźnie i owszem, prawie z zabarwioną humorem sympatią. To, co się stało w mojej głowie, zadziało jak moje własne znieczulenie, a to, czego doświadczyłem, zapamiętałem niewyraźnie. Ale pamiętam tę niewyraźność bardzo dokładnie. Pamiętam pełne paniki rozmowy i jak niesiono mnie na kanapę; pamiętam długie dialogi i malutkie ukąszenia igieł, którymi Albert pompował we mnie leki i pobierał próbki. I pamiętam szlochającą Essie.

Trzymała moją głowę na swoich kolanach. Choć mówiła do Alberta i to głównie po rosyjsku, słyszałem moje imię wystarczająco często by wiedzieć, że mówi o mnie. Próbowałem wyciągnąć rękę i dotknąć jej policzka.

— Umieram — powiedziałem, albo przynajmniej próbowałem powiedzieć.

Zrozumiała. Pochyliła się nade mną a jej długie włosy opadły mi na twarz.

— Robin, najdroższy — zanuciła — tak, umierasz. Znaczy, twoje ciało umiera. Ale to nie oznacza twojego końca.

Przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy razem, czasem rozmawialiśmy o religii. Wiedziałem, w co wierzy. Nawet wiedziałem, w co ja wierzę. Essie, chciałem powiedzieć, nigdy dotąd mnie nie okłamałaś, nie musisz tak robić, żeby ułatwić mi umieranie. Wszystko w porządku. Ale wyszło mi jedynie coś w rodzaju:

— Tak robić!

Łzy spadały mi na twarz; Essie kołysała mnie i nuciała:

— Nie. Naprawdę nie, Robin, najdroższy. Jest szansa, bardzo duża szansa. . .

Podjąłem nadludzki wysiłek.

— Nie... ma... życia... po... śmierci — powiedziałem z mocą, robiąc odstęp między słowami i wymawiając je najwyraźniej jak umiałem. Może zabrzmiały niewyraźnie, ale zrozumiała. Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło. Poczułem, jak jej wargi poruszają się dotykając mojej skóry gdy wyszeptwała:

— Nie. Teraz jest życie po śmierci.

Czy może powiedziała: „Życie Po Śmierci”.

Rozdział 22.

Czy istnieje życie po śmierci

A gwiazdy żeglowały sobie dalej. Zupełnie się nie przejmowały tym, co się dzieje z pewnym dwunogą, białkową inteligentną — hm, półinteligentną istotą, żywą tylko z tego powodu, że to akurat byłem ja. Zawsze podpisywałem się pod egocentrycznym pojmowaniem kosmologii. Ja tkwię w środku, a wszystko ustawa się po jednej albo drugiej stronie; ja jestem „normalny”; „istotne” jest to, co znajduje się blisko mnie; „ważne” jest to, co ja postrzegam jako ważne. Właśnie taki pogląd przejawiałem — ale do wszechświata się to nie odnosi. On kręcił się dalej, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

Prawda była taka, że ja sam dla siebie nie miałem większego znaczenia, bo byłem poza tym wszystkim. Parę tysięcy lat świetlnych od nas, na Ziemi, generał Manzbergen ścigał kolejną bandę terrorystów, która porwała wahadłowiec startowy, a komisarz złapał człowieka, który do mnie strzelał; nie wiedziałem o tym, a gdybym wiedział, to by mnie to nie obeszło. Znacznie bliżej, ale równie daleko od nas, jak Antares jest odległy od Ziemi, Gelle-Klara Moynlin próbowała uchwycić jakiś sens w tym, co mówią do niej Heechowie; o tym też nie wiedziałem. Zaś bardzo, bardzo blisko moja żona Essie próbowała zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie robiła, choć to ona wynalazła ten proces, z pomocą Alberta, który miał całą procedurę w swoich bazach danych, ale nie miał rąk, którymi mógłby ją przeprowadzić. Ten przypadek akurat bardzo by mnie obchodził gdybym tylko wiedział co robią.

Ale oczywiście nie wiedziałem, bo byłem martwy.

Choć długo w tym stanie nie pozostałem.

Kiedy byłem małym chłopcem, matka czytała mi różne historie. Wśród nich była jedna o człowieku, któremu w jakiś sposób pozamieniano zmysły podczas operacji mózgu. Nie pamiętam już, kto ją napisał, Verne czy Wells, jeden z wielkich pisarzy Złotej Ery, ktoś tam. Pamiętam głównie puentę. Człowiek po operacji widzi dźwięki, słyszy dotyk, a na końcu opowieści pyta: jak pachnie purpura?

Taką historię mi opowiedziano, kiedy byłem małym chłopcem. Teraz jestem duży. I to już nie jest historia.

To koszmar.

Atakowały mnie wrażenia sensoryczne, a ja nie potrafiłem ich odróżnić! Nie potrafię ich teraz opisać, przynajmniej lepiej, niż potrafię opisać... smerglicz. Wiecie, co to jest smerglicz? Nie? Ja też nie, bo właśnie to słowo wymyśliłem. To tylko słowo. Nie ma żadnego znaczenia dopóki mu się jakiegoś nie nada i tak samo nie miał go żadne z kolorów, dźwięków, nacisków, dreszczy, szarpnięć, swędzeń, skręceń, oparzeń, tęsknot -miliard jednostek kwantowych wrażeń, które atakowały moje nagie, bezbronne ja. Nie wiedziałem, co oznaczały. Ani czym były. Ani czy były groźne. Nie wiedziałem nawet, jak je porównać. Może przyjscie na świat jest czymś podobnym. Ale wątpię w to. Wielu z nas chyba nie przetrwałoby, gdyby tak było.

Ale ja przetrwałem.

Przetrwałem tylko z jednego powodu. Nie mogłem nie przetrwać. Najstarsza zasada w książce: nie można zrobić dziecka ciężarnej kobiecie i nie można zabić kogoś, kto jest martwy.

Czujecie bluesa?

Spróbujcie to sobie wyobrazić. Obdzierany ze skóry. Atakowany. A przede wszystkim — świadomy tego, że *nie żyje*.

Pośród historii czytanych mi przez moją matkę było *Piektło* Dantego i czasami się zastanawiam, czy Dante miał jakieś przeczucie tego, co się ze mną stanie. Bo jeśli nie, skąd wzięłby opis piekła?

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, ale wydawało mi się, że całą wieczność.

Potem wszystko zaczęło cichnąć. Ostre światła oddaliły się i przygasły. Przeróżające odgłosy ucichły, wszystkie swędzenia, naciski i zawirowania ustały.

Przez dłuższy czas w ogóle nic się nie działo; przypominało to ten przerażający moment w jaskiniach w Karlsbadzie, kiedy wyłączają światło, żeby pokazać, co to znaczy, że jest *ciemno*. Nie było światła. Nie było niczego poza odległym, pomieszonym mručeniem, które mogło być krążeniem krwi wokół młoteczka i kowadełka w moim uchu.

Gdybym miał uszy.

I wreszcie mruczenie zaczęło przypominać głos i z bardzo daleka doszły do mnie słowa wypowiedziane głosem Alberta Einsteina:

— Robin?

Próbowałem sobie przypomnieć, jak się mówi.

— Tak — odkrzyknąłem, sam nie wiem jak. — Tu jestem! — zupełnie jakbym wiedział, gdzie.

Długa przerwa. Potem znów zabrzmiał głos Alberta, nadal cichy, ale rozlegał się bliżej.

— Robinie — powiedział, rozdzielając uważnie słowa, jakby mówił do małego dziecka. — Robinie, posłuchaj. Jesteś bezpieczny.

— Co to znaczy bezpieczny?

— Jesteś bezpieczny — powtórzył. — Założyłem ci blokadę.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem mu nic do powiedzenia.

— Teraz będę cię uczył, Robinie — rzekł — krok po kroku. Bądź cierpliwy, Robinie. Zaraz będziesz mógł widzieć, słyszeć i rozumieć.

Cierpliwy? Nie umiałem być cierpliwy. Tylko że nie pozostawało mi nic innego, jak czekać, kiedy on mnie uczył. Ufałem staremu Albertowi nawet wtedy. Uwierzyłem mu na słowo, że potrafi nauczyć głuchych słyszeć a ślepych widzieć.

Ale czy dało się nauczyć martwych, jak się żyje?

Nie chciałem szczególnie jeszcze raz przeżywać tej kolejnej małej wieczności. Według czasu Alberta i czasu cezowych zegarów, które zgrywały ze sobą ludzkie grupy z całej Galaktyki zajęło to — jak mówi — trochę ponad osiemdziesiąt cztery godziny. Jego czasu. Nie mojego. Według mojego czasu to nie miało końca.

Choć dobrze wszystko pamiętam, niektóre rzeczy wydają mi się dość odległe. Nie z powodu niemożności. Z powodu pragnienia, a także poczucia prędkości. Pozwólcie, że wyjaśnię. Szybka wymiana bitów i bajtów w rdzeniu bazy danych przebiega znacznie szybciej niż organiczne życie, które za sobą pozostawiłem. Powoduje to zamazanie przeszłości warstwami nowych danych. A wiecie, to bardzo dobrze, bo im bardziej odległe wydaje mi się to straszne przejście od mojego „teraz”, tym lepiej.

Jeśli nie mam wielkich chęci na odtworzenie niektórych wczesnych partii tych danych, pierwsza część, której jednak się przyjrę, jest naprawdę duża. Jak duża? Bardzo duża.

Albert mówi, że antropomorfizuję. Pewnie tak. Co to szkodzi? Większość życia spędziłem w kształcie antropomorficznym, a stare nawyki trudno wypłenić. Kiedy więc Albert ustabilizował mnie i zostałem — właściwym słowem będzie tu chyba „poszerzony” — zwizualizowałem siebie jako istotę ludzką. Zakładając oczywiście, że istota ludzka byłaby większa niż galaktyki, starsza niż gwiazdy i mądra mądrością miliardów ludzi. Postrzegałem Gromadę Lokalną — naszą galaktykę i jej najbliższe sąsiadki — jako małą bryłkę we wrzącym morzu energii i masy. Widziałem wszystko. Ale patrzyłem na nasz dom, na ojczystą galaktykę i obok niej M-31 z siedzącymi blisko Obłokami Magellana i wszystkimi innymi małymi chmurami, mgławicami, pęczkami, kłaczkami gazowych pasm i światła gwiazd. A ja — i to jest właśnie antropomorficzne — mogłem sięgnąć, żeby ich dotknąć, wziąć w dłonie i przebierać w nich palcami jakbym był Bogiem.

Nie byłem naprawdę Bogiem, nie miałem też na tyle boskiej mocy, żeby naprawdę dotykać galaktyk. Niczego nie mogłem dotknąć, bo nie było nic do dotknięcia. To było złudzenie optyczne, jak Albert zapalający swoją fajkę. Nic tam nie było. Ani Alberta, ani fajki.

Ani mnie. Nie naprawdę. Nie byłem skutecznie podobny Bogom, gdyż nie istniałem w sposób materialny. Nie mogłem stworzyć nieba i ziemi ani ich zniszczyć. Nie mogłem fizycznie wpływać nawet na najmniejszą ich część.

Mogłem wszak wspaniale je obserwować. Z zewnątrz albo od wewnątrz. Mogłem stać w środku naszego macierzystego układu i widzieć, patrząc przez nowe receptory na miliony i tryliony innych grup i galaktyk rozciągających swą nakrapianą potęgę do optycznych krańców wszechświata, gdzie uciekające skupiska gwiazd pędzą tak szybko, że światło nie może wrócić z ich obrazem... a poza tym choć to, co mógłby zobaczyć poza granicą optyczną nie różni się aż tak bardzo — jak twierdzi Albert — od hipotez w bankach danych Heechów, po których się objąłem.

Gdyż, oczywiście, to właśnie było to. Stary Robin nie połknął nagle kosmosu. To tylko malutkie resztki Robinette'a Broadheada, który w tym momencie był jedynie zbitką powiązanych bitów pamięci unoszących się w morzu banków danych w bibliotece *Prawdziwej Miłości*.

Jakiś głos wdarł się w mój potężny i wieczny sen: to głos Alberta.

— Robin, dobrze się czujesz?

Nie chciałem go okłamywać.

— Nie. Nie za bardzo.

— Poprawi ci się, Robinie.

— Mam nadzieję — odparłem. — ... Albercie?

— Tak?

— Już nie mam do ciebie pretensji, że zwariowałeś — rzekłem — jeśli właśnie przez coś takiego musiałeś przejść.

Chwila ciszy, a potem niewyraźne echo chichotania.

— Robinie — powiedział — jeszcze nie widziałeś tego, co doprowadziło mnie do szaleństwa.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. Nie wiem, czy pojęcie „czasu” cokolwiek znaczyło, gdyż na poziomie elektronicznym, na którym egzystowałem, skala czasu nie odzwierciedla niczego „prawdziwego.” Wiele czasu się marnuje. Zapisana inteligencja elektroniczna nie działa tak wydajnie jak maszynki, z którymi się urodziliśmy; algorytm nie jest dobrym substytutem synapsy. Z drugiej strony, wszystko rozgrywa się znacznie szybciej w krainie kwarków, gdzie wyuczalną jednostką jest femtosekunda. Gdyby zliczyć plusy i uwzględnić minusy, można powiedzieć, że żyłem jakieś dziesięć do dziesięciu tysięcy razy szybciej niż byłem przyzwyczajony.

Rzecz jasna, są obiektywne mierniki czasu rzeczywistego — przez który rozumiem czas pokładowy *Prawdziwej Miłości*. Essie odliczała minuty bardzo starannie. Przygotowanie ciała do dość obrzydliwej wstępnej metody składowania w jej sieci firm „Życie Po Życiu” zajmowało wiele godzin. Przygotowanie konkretnego sztywniaka, którym przez przypadek byłem ja, do nieco lepszej metody składo-

wania, którą przygotowała za pomocą wachlarza, dokładnie takiego, jak własny wachlarz Alberta, zajęło znacznie więcej czasu. Kiedy już zakończyła swoje zadanie, usiadła i czekała z drinkiem w dłoni — którego nawet nie tknęła — zaś Audee, Janie i Dolly próbowali wciągać ją w rozmowę, czego nawet nie zauważała, choć czasem udzielała jakichś odpowiedzi, których także nie słyszeli. To nie była radosna impreza na pokładzie *Prawdziwej Miłości*, kiedy tak siedzieli i czekali żeby sprawdzić, czy cokolwiek zostało z Robinette' a Broadheada, a zajęło to w sumie ponad trzy i pół dnia.

Jak dla mnie, w tym świecie spinów, powabów, kolorów i zakazanych orbit, do którego mnie przerzucono, było to — no dobrze, nazwijmy to wiecznością. Tak mi się wydawało.

— A teraz musisz się nauczyć — polecił Albert — jak sterować operacjami wejścia i wyjścia.

— Och, super — odkrzyknąłem z wdzięcznością — i to wszystko? Rany! Brzmi jak drobiazg!

Westchnienie.

— Cieszę się, że zachowałeś swoje poczucie humoru — powiedział i miałem wrażenie, że słyszę: „bo będziesz go diabelnie potrzebował”. — Obawiam się, że musisz teraz trochę popracować. To nie jest dla mnie łatwe, żeby utrzymywać cię w stanie takiej hermetyzacji.

— Herme-co?

— Chronienia cię, Robinie — rzekł z niecierpliwością.

— Ograniczania twojego dostępu, żebyś nie cierpiał z powodu zbytniego natłoku informacji i dezorientacji.

— Albercie — odparłem — czyś ty oszalał? Widziałem cały *wszechświat!*

— Widziałeś tylko to, do czego sam uzyskałem dostęp, Robinie. To nie wystarczy. Nie mogę ci ograniczać dostępu na zawsze. Musisz nauczyć się robić to sam. Więc teraz trochę opuszczę ci barierę, jeśli jesteś gotowy.

Zebrałem się w sobie.

— Jestem gotów.

Ale nie zebrałem się w sobie wystarczająco. Świergoczące, piszczące, narzekające, nachalne głosy zaatakowały mnie, zaatakowały te miejsca w nieprzestrzennej geometrii, o których nadal uparcie myślałem jako o moich uszach. To była tortura. Czy było to aż tak tragiczne, jak pierwszy, nieosłonięty kontakt ze wszystkim na raz? Nie. To było coś gorszego. Wtedy jeszcze nie umiałem identyfikować hałasu jako dźwięku, albo bólu jako bólu. A teraz umiałem. Kiedy mnie bolało, wiedziałem że to ból.

— Albercie, proszę — wrzasnąłem. — Co to jest?

— To tylko banki danych, do których masz dostęp, Robinie — rzekł kojąco. — Tylko wachlarze na pokładzie *Prawdziwej Miłości*, plus telemetria, plus trochę danych z sensorów statku i samej załogi.

— Wyłącz to.

— Nie mogę. — W jego głosie zabrzmiało prawdziwe współczucie, choć nie istniał żaden głos. — Ty to musisz zrobić, Robinie. Musisz wybrać, z którymi bankami danych chcesz się łączyć. Wybierz jeden z nich i zablokuj pozostałe?

— Co mam zrobić? — jęknąłem, bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek dotąd.

— Wybierz jeden, Robinie — rzekł cierpliwie. — Niektóre z nich to nasze własne banki danych, niektóre to wachlarze Heechów, niektóre to inne rzeczy. Musisz się nauczyć, jak się z nimi sprzęgać.

— Sprzęgać?

— Zaglądać do nich, Robinie. Jakby to były encyklopedie w bibliotece. Jakby to były książki na półkach.

— Książki nie krzyczą na ciebie! A te wszystkie wrzeszczą!

— Jasne. W taki sposób ci się objawiają — tak widzisz książki na półce. Ale zaglądasz tylko do jednej wybranej. Jest jedna, która jak sądzę, ułatwi ci zadanie. Sprawdź, czy potrafisz ją znaleźć.

— Znaleźć? A jak się szuka?

Dobiegł mnie odgłos przypominający westchnienie.

— Dobrze — rzekł — jest taki fortel, który możemy wypróbować, Robinie. Nie mogę ci mówić: w górę, w dół, na boki, bo jeszcze nie wyrobiłeś sobie układu odniesienia...

— Masz cholerną rację!

— Tak. Ale jest taka stara sztuczka treserów zwierząt, której używa się do zmuszania zwierzęcia, by wykonywało skomplikowane manewry, których nie rozumie. Był sobie raz sztukmistrz, który zmuszał psa, żeby ten wszedł między publiczność, wybrał konkretną osobę, zabrał jej jakiś przedmiot...

— Albercie — błagałem — to nie jest dobry moment na opowiadanie mi długich, zawiłych anegdot!

— Nie, to nie jest anegdota. To eksperyment psychologiczny. Działa znakomicie w przypadku psów — nie wiem, czy ktoś go kiedyś wypróbował na dorosłym człowieku, ale zobaczymy. Posłuchaj, co masz zrobić. Zaczynaj poruszać się w dowolnym kierunku. Jeśli to dobry kierunek, powiem ci, żeby przemieszczał się dalej. Kiedy przestanę ci to mówić, przestań to robić. Zaczynaj się rozglądać. Próbuj robić różne rzeczy. Jeśli ta nowa rzecz, którą robisz albo nowy kierunek, są dobre, powiem ci, żebyś robił tak dalej. Zdołasz uczynić coś takiego?

— I dasz mi kawałek chleba kiedy już skończę, tak Albercie? — spytałem.

Lekki chichot.

— A przynajmniej jego elektroniczny odpowiednik, Robinie. A teraz, zacznij szukać.

Zaczynj szukać! *Jak?* Ale wypytywanie o to nie miało sensu, bo gdyby Albert był w stanie powiedzieć mi słowami „Jak”, nie próbowałby sztuczki tresera psów. Zacząłem więc — coś robić.

Nie potrafię dokładnie powiedzieć, co robiłem. Mogę podać wam jedynie analogię. Kiedy byłem w szkole na zajęciach z nauk ścisłych, pokazywali nam elektroencefalograf i tłumaczyli, jak nasze mózgi generują fale alfa. Możliwe było, tłumaczyli, przyspieszenie i powiększenie fali — zwiększenie częstotliwości i amplitudy — ale nie było sposobu wytłumaczenia komuś, jak to zrobić. Próbowaliśmy wszyscy po kolei, jeden dzieciak za drugim i każdemu z nas rzeczywiście udało się przyspieszyć sinusoidę na ekranie, ale wśród nas nie znalazłyby się dwie osoby, które opisywałyby identycznie sposób, w jaki im się to udało. Ktoś mówił, że wstrzymał oddech; ktoś inny zrobił coś w rodzaju napięcia mięśni; inny pomyślał o jedzeniu, a ktoś jeszcze inny próbował ziewać nie otwierając ust. Żadne z nich nie było prawdziwe, a wszystkie działały. To, co teraz próbowałem zrobić, też nie było prawdziwe, bo nie miało nic wspólnego z czymkolwiek realnym.

Ale poruszałem się. W jakiś sposób się poruszałem. I przez cały czas głos Alberta powtarzał: — Nie. Nie. Nie. Nie, to nie to. Nie. Nie. . .

Aż nagle:

— Tak! Robinie, tak, rób tak dalej!

— Robię tak dalej!

— Nie gadaj, Robinie. Tylko rób tak dalej. Ruszaj się dalej. Dalej i dalej — nie. Stój.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie — tak! Dalej — nie — tak! Dalej — stój! Właśnie tu, Robinie. Tom, który masz otworzyć.

— Tutaj? To coś tutaj? Ten głos, który brzmi jak. . .

Zatrzymałem się. Nie mogłem iść dalej. Widzicie, przyjąłem już do wiadomości fakt, że byłem martwy, że byłem tylko chmurą elektronów na wachlarzu, zdolną do rozmów z inteligencją mechaniczną albo innymi nieżywymi osobami, takimi jak Albert.

— Otwórz ten tom! — polecił. — Pozwól jej mówić!

Nie potrzebowała pozwolenia.

— Witaj, Robin, najdroższy — powiedział nieżywy głos mojej ukochanej żony Essie — dziwny, pełen napięcia, ale nie miałem wątpliwości, do kogo należy. — Niezłe to miejsce, w którym teraz jesteśmy, prawda?

Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek, nawet odkrycie mojej własnej śmierci, było dla mnie takim strasznym szokiem, jak odnalezienie Essie pośród zmarłych.

— Essie — krzyknąłem — co się stało?

Albert pojawił się natychmiast, zatroskany, szybki:

— Nic jej nie jest, Robinie. Ona żyje.
— Jak może żyć! Ona jest tutaj!
— Nie, mój chłopcze, tak naprawdę jej tu nie ma — wyjaśnił Albert. — Jej osobowość jest tutaj, bo częściowo zachowała swoją w ramach eksperymentu dla projektu „Życie Po Śmierci”. Także jako część eksperymentów, które doprowadziły do powstania mnie w moim obecnym kształcie.
— Ty łajdaku, pozwoliłeś mi pomyśleć, że ona nie żyje!
Odezwał się łagodnie:
— Robinie, musisz zwalczyć tę biologiczną obsesję krwi i kości. Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie, czy jej metabolizm działa na poziomie organicznym, poza wersją, która jest tu przechowywana? I wtedy wtrąciła się dziwna Essie:
— Bądź cierpliwy, kochany Robinie. Bądź spokojny. Wszystko będzie dobrze.
— Bardzo w to wątpię — rzekłem gorzko.
— Zaufaj mi, Robinie — szepnęła, — Posłuchaj Alberta. On ci powie, co masz robić.
— Najtrudniejszą część mamy za sobą — pocieszył mnie Albert. — Przyjmij moje przeprosiny za wszystkie niemiłe przeżycia, które przyniosły ci cierpienie, ale wydaje mi się, że były niezbędne.
— Wydaje ci się.
— Tak, Robinie, wydaje mi się, gdyż nigdy czegoś takiego jeszcze nie zrobiono i poruszaliśmy się przeważnie po omacku. Wiem, że to był dla ciebie szok, takie spotkanie z elektroniczną panią Broadhead, ale pomoże ci to przygotować się na spotkanie z jej cielesną postacią.
Gdybym miał ciało, za pomocą którego mógłbym to zrobić, spróbowałby przywalić mu w mordę — gdyby tylko Albert miał jakąś mordę, w którą można by mu przywalić.
— Jesteś bardziej stuknięty niż ja — jęknąłem.
Słabe echo chichotu.
— Nie jestem bardziej stuknięty, Robinie. Tylko równie stuknięty. Będiesz mógł z nią porozmawiać i zobaczyć, tak samo jak wtedy, gdy jeszcze żyłeś. Obiecuję ci to, Robinie. Uda się — tak mi się wydaje.
— Nie mogę!
Cisza.
— To nie jest łatwe — przyznał. — Ale zastanów się. Ja to potrafię. Chyba nie myślisz, że nie poradzisz sobie z tym równie dobrze, co taki prosty program komputerowy jak ja?
— Nie nabijaj się ze mnie, Albert! Rozumiem, co do mnie mówisz. Wydaje ci się, że mogę wyświetlić się jako hologram i porozumiewać się w czasie rzeczywistym z żywymi osobami; ale nie wiem jak!
— Nie, jeszcze nie, Robinie, gdyż te podprogramy jeszcze nie istnieją w twoim kodzie. Ale mogę cię nauczyć. Zostaniesz wyświetlony. Być może nie z takim

naturalnym wdziękiem i zgrabnością, jak w moim przypadku — pochwalił się — ale będzie można cię rozpoznać. Jesteś gotowy na rozpoczęcie nauki?

A głos Essie, czy raczej głos, który był tylko jego kiepską kopią, wyszeptał:

— Proszę, zrób to Robinie, bo czekam na ciebie z niecierpliwością.

Jakimż wysiłkiem jest przyjście na świat! To straszny wysiłek dla noworodka i jeszcze większy dla pomagających mu, którzy co prawda tego nie doświadczają, ale muszą wysłuchiwać jego niekończących się żalów.

A były one niekończące się, choć ponaglały mnie nieprzerwane zachęty moich akuserek.

— Potrafisz to zrobić — obiecywała kopia Essie stojąca z jednej strony (wyobraźmy sobie przez chwilę, że miałem jakąś „stronę”), „to łatwiejsze niż myślisz” — potwierdzał głos Alberta z drugiej. Nie było dwóch innych osób w całym wszechświecie, których słowo przyjąłbym z większym zaufaniem niż ich. Ale zużyłem już całą moją ufność; nie zostało jej ani trochę, a ja się bałem. Łatwe? To było *absurdalne*.

Było tak, gdyż widziałem kabinę w sposób, w jaki widział ją Albert. Nie miałem perspektywy, jaką dawała para oczu, które można na czymś skoncentrować i para uszu lokalizująca dany punkt w przestrzeni. Widziałem i słyszałem wszystko na raz. Dawno temu pewien stary malarz, Picasso, malował właśnie takie obrazy, na których wszystkie kawałki były losowo porzucane. Były tam wszystkie, ale porzucane i w losowym porządku tak, że nie było jakiegś rozpoznawalnej formy dominującej, ale chaotyczna mozaika z kawałków. Chodziłem z Essie po Tate Gallery i Metropolitan Museum żeby obejrzeć takie obrazy i nawet znalazłem jakąś przyjemność w ich oglądaniu. Były dość zabawne. Ale oglądanie prawdziwego świata, pokawałkowanego w ten sposób, jak części na stole montażowym — to wcale nie było zabawne.

— Pomogę ci, Robinie — wyszeptał analog Essie. — Widzisz mnie tam, Robinie? Jak śpię w wielkim łóżku? Byłam na nogach przez parę dni, Robinie, wlewając twoją starą materię organiczną do nowej wachlarzowej butelki i teraz jestem całkiem wykończona, ale — widzisz — właśnie poruszyłam ręką, żeby podrapać się w nos. Widzisz moją rękę? Widzisz nos? Rozpoznajesz je?

Duch zachichotał nagle.

— Oczywiście, że rozpoznajesz, Robinie, bo to jestem cała ja.

Rozdział 23.

Kryjówka Heechów

Nadal istniała jednak Klara, która domagała się moich myśli, jakbym wtedy wiedział o niej już wystarczająco dużo — nie tylko Klara, ale także Wan (nie bardzo wart choćby jednej myśli) i Kapitan oraz jego Heechowie, którzy byli warci wszelkich myśli, jakie można im poświęcić. Ale wtedy jeszcze tego też nie wiedziałem. Byłem poszerzony, zgadza się, ale wcale nie sprytniejszy.

No i oczywiście moją uwagę pochłaniały moje własne problemy, choć, gdybyśmy ja i Kapitan znali się wtedy i byli w stanie je porównać, ciekawą rzeczą byłoby, czyje problemy były gorsze. Chyba jednak byłby remis. Oba zestawy problemów po prostu wykraczały poza skalę; były zbyt wielkie, by można było stawić im czoło.

Jednym z problemów Kapitana była fizyczna bliskość pary jego ludzkich jeńców. Jego kościste nozdrza informowały go, że oni *śmierdzą*. Fizycznie byli odpychający. Luźny, kołyszający się, podskakujący tłuszcz i obwisłe ciało kłóciło się z klarownymi strukturami ich budowy — jedyni Heechowie, którzy osiągnęli takie rozmiary, to ci nieliczni, którzy zmarli na najbardziej degenerującą ze znanych im chorób. Nawet ich smród nie był aż tak zły. Ludzki oddech cuchnął gnijącym jedzeniem. Ludzkie głosy brzmiały jak odgłos piły. Próba wypowiedzenia tych bzyrzających, charczących sylab ich okropnego języka przyprawiła Kapitana o ból gardła.

Zdaniem Kapitana jeńcy byli okropni w całości, nie tylko dlatego, że odmówili zrozumienia większości tego, co do nich mówił. Kiedy próbował im wytłumaczyć, na jakie niebezpieczeństwo się narazili — a co dopiero Heechów w ich kryjówce — ich pierwsze pytanie brzmiało:

— Czy jesteście Heechami?

Mimo wszystkich tych kłopotów, Kapitan nadal miał siłę denerwować się jeszcze na to. (Był to podobny rodzaj irytacji, jakiego doświadczyła załoga żaglowca dowiedziawszy się, że Heechowie nazywają ich mieszkańcami breji. O tym Kapitan wiedział, ale akurat nie pomyślał.)

— Heechami! — mruknął i wykonał swoje brzuszne „wzruszenie” mięśniami. — Tak. Nieważne. Spokój. Być cicho.

— Phi — mruknął Biały Szum, mając na myśli nie tylko fizyczny odór. Kapitan spojrzął i zwrócił się do Wybuchu.

— Pozbyłeś się ich statku? — zapytał.

— Oczywiście — odparł Wybuch. — Jest w drodze do portu, ale co z kugelblitzem? (Rzecz jasna nie użył on słowa „kugelblitz”).

Kapitan wzruszył ponuro brzuchem. Był zmęczony. Wszyscy byli zmęczeni. Minęło już parę dni od chwili, gdy podjęli akcję na najwyższych obrotach i było to po nich widać. Kapitan usiłował zebrać myśli. Żaglowiec usunięto z pola widzenia. Błądzące ludzkie istoty zostały usunięte z obszaru, gdzie groziło im najstraszniejsze ze wszystkich niebezpieczeństwo, czyli kugelblitz, a ich statek, lecący na automatycznym pilocie, został ukryty gdzieś daleko. Jak dotąd zrobił wszystko, czego można było od niego oczekiwać. Nie odbyło się to bez kosztów, pomyślał, żałując Dwakroć; trudno było uwierzyć, że gdyby wszystko przebiegło normalnie, mógłby nadal cieszyć się ich miłością raz do roku.

Ale to nie wystarczyło.

Było całkowicie możliwe, myślał Kapitan, że w tym momencie nie było już czegoś takiego jak „wystarczyło”; równie dobrze mogło już być za późno na zrobienie czegokolwiek czy to przez niego, czy przez całą rasę Heechów. Ale nie mógł sobie tego powiedzieć. Dopóki jeszcze istniała jakaś szansa, musiał działać.

— Wyświetlić mapy z ich statku — rozkazał i znów zwrócił się do nieokrzesanych, niemitych kmiotków, których schwytał. Mówiąc prosto jak do dziecka, powiedział: — Patrzą na mapę!

Jednym z pomniejszych czynników irytujących Kapitana w tej sytuacji był fakt, że smuklejsza, a zatem mniej odpychająca fizycznie istota, była zarazem bardziej skłonna do rozrabiania.

— Spokój — zarządził wskazując smukłą pięścią na Wana; jego bełkot był jeszcze bardziej pozbawiony sensu niż to, co mówiła samica. — Ty! Ty wie co to?

Samica przynajmniej miała na tyle rozsądku, żeby mówić powoli. Musiała to powtórzyć zaledwie parę razy, zanim Kapitan zrozumiał odpowiedź Klary:

— To jest czarna dziura do której lecieliśmy.

Kapitan zadrzał.

— Tak — powiedział, próbując oddać nieznaną mu spółgłoski. — Dokładnie. — Wybuch tłumaczył jego słowa innym i zauważył, że ścięgni na ich kończynach zaczęły wic się z powodu szoku. Kapitan starannie dobierał słowa, czasem robiąc przerwy by skonsultować się z umysłami przodków, żeby się upewnić, iż właściwie dobiera słowa:

— Słucha uważnie — powiedział. — To bardzo niebezpieczne. Dawno, dawno temu my odkryli, że rasa Asasynów wybiła wszystkie technicznie zaawanso-

wane cywilizacje we wszechświecie, a przynajmniej w naszej własnej galaktyce i w niektórych pobliskich.

Hm, to nie szło aż tak gładko. Kapitan musiał powtarzać i powtarzać, czasami jedno słowo kilkanaście razy, zanim napuchnięte istoty załapały, o co mu chodzi. Na długo przed końcem swojej przemowy gardło miał obolałe, a pozostali członkowie załogi, choć wiedzieli równie dobrze jak on, o jakie niebezpieczeństwo chodzi, po prostu zasypiali. Ale Kapitan mówił dalej. Mapa na ekranie przedstawiająca wirujący magiel energii i ostrzegawczą legendę z pięcioma znaczkami, nie pozwoliła mu się zrelaksować.

Asasyni wykonywali swą morderczą robotę całe tysiąclecia przed pojawieniem się na scenie Heechów. Z początku Heechowie byli przekonani, że to po prostu potwory z bardzo odległej przeszłości i nie należy ich się bać w tych czasach bardziej niż Heechowego odpowiednika tyranozaura.

I wtedy odkryli kugelblitz.

Ponieważ Robin, co zupełnie naturalne, był zajęty czymś innym, wtedy nie mogłem z nim podyskutować o kugelblitzu tak szczegółowo, jak bym chciał. Jego dane statystyczne były ciekawe. Obliczyłem, że jego temperatura wynosi około trzy miliony stopni Kelvina, ale nie to mnie martwiło. Przyczyną moich zmartwień była gęstość energetyczna. Gęstość energetyczna promieniowania ciała doskonale czarnego rośnie proporcjonalnie do sześciastu temperatury — to stare prawo Stefana-Boltzmana — ale liczba fotonów również wzrasta liniowo wraz z temperaturą, więc we wnętrzu kugelblitza następuje wzrost do czwartej potęgi. Przy jednym stopniu Kelvina wynosi 4,72 elektronowolta na litr. Przy trzech milionach wynosi trzy miliony do czwartej potęgi razy tyle, och, powiedzmy, około 382 320 000 000 000 000 000 000 eV/l. A to coś ma niezłą ilość litrów. A czemu to jest ważne? Bo cała ta energia przedstawia zorganizowaną inteligencję. Asasyni. Cały wszechświat asasynów, upakowanych w jednym kugelblitzu, czekających aż ich plany zostaną zrealizowane i wszechświat zostanie przekonstruowany tak, by im podchodził.

Kapitan zawahał się w tym miejscu i rozejrzał po swojej załodze. Trudno mu było opowiedzieć następną część, gdyż prowadziła do oczywistego wniosku. Z naprężonymi ścięgnami dokonał skoku w przód:

— To byli Asasyni — rzekł. — Wycofali się do czarnej dziury — tego szczególnego rodzaju czarnej dziury, który składa się z energii nie z materii, gdyż oni sami nie składają się z materii. Są czystą energią. Wewnątrz swojej czarnej dziury istnieją wyłącznie jako fala stojąca w morzu energii.

Do tego momentu powtórzył to już kilka razy, na parę różnych sposobów i widział, że zaczynają w nich kiełkować pytania; ale logiczna dedukcja, której się obawiał, dotąd się nie pojawiła. Pytanie padło ze strony samicy i brzmiało ono:

— Jak może istnieć istota złożona tylko z energii?

Odpowiedź na to pytanie była akurat łatwa i brzmiała: „Nie wiem”. Kapitan był świadom tego, że istniało wiele teorii — głoszących, że Asasyni mieli kiedyś fizyczne ciała, ale jakoś je porzucili — zgadzały się z tym nawet najstarsze zbiorowe umysły.

Ale już sama trudność związana z byciem czystą energią, jak wyjaśnił Kapitan, prowadziła do ostatniej i najgorszej rzeczy związanej z Asasynami. Wszechświat nie był dla nich przyjaznym miejscem. Zdecydowali więc, że zmienia wszechświat. Zrobili coś żeby stworzyć we wszechświecie znaczną ilość dodatkowej masy. Spowodowali, że rozszerzanie się wszechświata zatrzymało się, a następnie wszechświat zaczął się kurczyć. Schowali się w kugelblitzu... i czekali.

— Słyszałem często o brakującej masie — powiedział z ożywieniem jeniec płci męskiej. — Kiedy byłem dzieckiem, Zmarli często mi o tym mówili — ale oni byli stuknięci, wiesz.

Samica przerwała mu.

— Dlaczego? — spytała. — Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

Kapitan milczał przez chwilę, wyczerpany potwornym wysiłkiem zmierzającym do porozumienia się z tymi niebezpiecznymi dzikusami. Najlepszą odpowiedzią znowu byłoby: „Nie wiem”, ale było trochę spekulacji.

— Zbiorowe umysły uważają — rzekł powoli — że prawa fizyczne wszechświata zostały wyznaczone przez losowe fluktuacje rozkładu materii i energii w pierwszym momencie po Wielkim Wybuchu. Możliwe, że Asasyni próbują zakłócić ten proces. Kiedy już spowodują zapadnięcie się wszechświata i jego ponowne powstanie, mogą zmienić te podstawowe prawa — stosunek masy elektronu i protonu, liczbę odnoszącą siłę grawitacji do siły elektromagnetycznej — wszystkie — i stworzyć wszechświat, w którym będą mogli żyć wygodniej... ale wy i ja już nie.

Samiec miał coraz większe problemy z panowaniem nad sobą. W końcu wybuchnął, wydając z siebie piskliwe dźwięki, które dopiero po jakimś czasie zamieniły się w zrozumiałe słowa.

— Ho ho! — wrzasnął Wan, ocierając łzę. — Ależ z was tchórze! Boicie się jakichś stworzeń, które schowały się w czarnej dziurze żeby zrobić coś, co stanie się dopiero za miliardy lat! Jakże to ma dla nas znaczenie?

Samica zrozumiała jednak, co Kapitan miał na myśli.

— Zamknij się, Wan — powiedziała, a jej mięśnie twarzy stężały prawie jak u Heecha. — Mówisz, że ci Asasyni nie podejmują zbędnego ryzyka. Wyszli stamtąd raz, żeby unicestwić wszystko, co mogło potencjalnie stać się na tyle cywilizowane, żeby przeciwstawić się ich planom. Mogą to zrobić jeszcze raz!

— Właśnie! — zakrzyknął Kapitan z przyjemnością. — Dokładnie to wyraziłaś! Istnieje więc niebezpieczeństwo, że wy, dzikusy — wy, ludzie — poprawił się — ściągacie ich z powrotem. Korzystanie z radia! Penetrowanie czarnych

dziur! Latanie po całym wszechświecie, nawet w pobliże samego kugelblitza! Oni na pewno zostawili jakieś systemy monitorujące, które ich ostrzegą, jeśli pojawią się jakieś nowe cywilizacje techniczne — jeśli dotąd się to nie stało!

I wtedy jeńcy wreszcie zrozumieli; Wan szlochał ze strachu, a Klara pobladła i zaczęła się trząść; dano im pakiety z żywnością i kazano odpocząć; a kiedy załoga zebrała się wokół Kapitana chcąc się dowiedzieć, co sprawiło, że mięśnie jego twarzy zaczęły wić się jak węże, on był w stanie tylko powiedzieć:

— To nie do wiary. — Wytłumaczenie wszystkiego tłściochom tak, żeby zrozumieli, było wystarczająco trudnym zadaniem; ale zrozumienie ich odpowiedzi przekroczyło jego możliwości. — Oni mówią, że nie mogą powstrzymać swoich pobratymców — powiedział.

— Przecież muszą — wrzasnął zszokowany Biały Szum. — Są przecież inteligentni, no nie?!

— Są inteligentni — przytaknął Kapitan — w przeciwnym razie nie potrafiliby tak łatwo korzystać z naszych statków. Ale wydaje mi się, że oni są szaleni. Nie przestrzegają żadnego prawa.

— Muszą mieć jakieś prawo — wtrącił Wybuch z niedowierzaniem. — Żadne społeczeństwo nie może istnieć bez prawa!

— Ich prawo opiera się na przymusie — rzekł ponuro Kapitan. — Jeśli ktoś znajdzie się poza zasięgiem którejś z instytucji wymuszającej jego przestrzeganie, może robić co mu się podoba.

— No to niech to zrobią siłą! Niech wyśledzą każdy statek i zmuszą go, żeby przestał czynić hałas!

— Biały Szum, ty durniu — rzekł Kapitan potrząsając głową — zastanów się nad tym, co mówisz. Schwytać. Walczyć. Prowadzić walkę w kosmosie. Możesz sobie wyobrazić głośniejszą rozróbę? I uważasz, że Asasyni tego nie usłyszą?

— Co w takim razie robić? — wyszeptał Wybuch.

— W takim razie — oświadczył Kapitan — musimy się ujawnić. — Uniósł dłoń, by położyć kres dyskusji i zaczął wydawać rozkazy.

Były to takie rozkazy, że załoga w życiu by nie pomyślała, że kiedykolwiek je usłyszy, ale ich zdaniem Kapitan miał rację. Komunikaty krążyły. W kilkunastu miejscach Galaktyki uspione od lat statki otrzymały zdalne rozkazy i obudziły się. Przesłano długi komunikat do systemów monitorujących w pobliżu centralnej czarnej dziury, w której żyli Heechowie; do tej chwili pierwsze słowo ostrzeżenia powinno już pokonać granicę Schwarzschilda i posiłki powinny być w drodze. Dla tak niewielkiej załogi była to praca herkulesowa i odczuwali szczególnie żal z powodu nieobecności Dwakroć. Ale w końcu wszystko było gotowe i własny statek Kapitana wziął kurs na punkt spotkania.

Zwijając się w kłębek do snu Kapitan stwierdził, że się uśmiecha. To nie był radosny uśmiech. Był to grymas spowodowany paradoksem zbyt bolesnym, by można nań zareagować w inny sposób. Przez całą rozmowę z jeńcami bał się, że

dojdą oni do niepożądanego wniosku: skoro już wiedzieli, że Asasyni ukryli się w czarnej dziurze, mogli się łatwo domyśleć, że Heechowie zrobili to samo, więc największa tajemnica rasy Heechów zostałaby ujawniona.

Ujawniona! Zrobił o wiele więcej niż tylko ujawnienie tajemnicy! Opierając się wyłącznie na swoich uprawnieniach, nie mając żadnej wyższej instancji, która mogła by zatwierdzić lub odwołać jego rozkazy, Kapitan obudził uspięte floty i wezwał posiłki ukryte za horyzontem zdarzeń. Tajemnica przestała być tajemnicą. Po pół miliona lat Heechowie ujawnili się.

Rozdział 24.

Geografia nieba

Gdzie ja tak naprawdę byłem? Dużo czasu zajęło mi znalezienie odpowiedzi na to pytanie, nie tylko dlatego, że mój mentor, Albert, odrzucał je jako głupie.

— Pytanie „gdzie” jest głupawym ludzkim przesądem, Robinie — zrzędził. — Skup się! Ucz się, jak działać i czuć! Zostaw sobie filozofię i metafizykę na długie wieczory leniuchowania z fajką i kuflem dobrego piwa!

— Piwa Albercie?

Westchnął.

— Elektronicznym odpowiednikiem piwa — odparł z rozdrażnieniem — które jest wystarczająco „prawdziwe” dla elektronicznego odpowiednika człowieka. A teraz czy mógłbyś skoncentrować się na danych, które ci przesyłam, gdyż są to obrazy wideo ze sterowni *Prawdziwej Miłości*.

Oczywiście zrobiłem jak mi kazał. Wykazywałem prawie taki sam zapał do ukończenia kursu jak Albert — żebym mógł dalej robić wszystko, co tylko możliwe w tym nowym i przerażającym stanie. Bywały jednak dziwne sekundy, w których nie mogłem się powstrzymać przez obracaniem w myślach tego pytania, aż wreszcie znalazłem odpowiedź. Gdzie ja tak naprawdę byłem?

W niebie.

Zastanówcie się przez chwilę. Większość warunków jest spełniona, wiecie. Mój brzuch już nie bolał, bo nie miałem brzucha. Moja niewola w śmiertelnym stanie już się zakończyła, bo już zapłaciłem śmierci, co byłem jej winien i ruszyłem ku przyszłości. Może i tym, co na mnie czekało, nie była wieczność, ale jej niezłe przybliżenie. Wiedzieliśmy już, że wachlarze Heechów jako nośniki danych wytrzymają przez co najmniej pół miliona lat bez znaczącej degradacji — bo mieliśmy oryginalne wachlarze Heechów, które nadal działały — a to jest bardzo dużo femtosekund. Koniec ziemskich trosk — koniec trosk w ogóle, z wyjątkiem tych, które sam zdecydowałem się na siebie wziąć.

Tak. Niebo.

Pewnie w to nie uwierzycie, bo nie potraficie zaakceptować faktu, że istnienie w postaci bezcielesnego zbitka bitów danych na nośniku wachlarzowym może

mieć w sobie coś „niebiańskiego”. Jednak „rzeczywistość” jest „rzeczywiście” kwestią subiektywną. Jako istoty z krwi i kości „rzeczywiście” postrzegaliśmy rzeczywistość wyłącznie z drugiej albo z trzeciej ręki, jako analog wymalowany przez systemy sensoryczne na synapsach naszego mózgu. Tak zawsze mówił Albert. To była prawda — albo prawie prawda — nie, to była więcej niż prawda, w pewnym aspekcie, gdyż my, bezcielesne zbitki, mieliśmy do wyboru znacznie więcej rzeczywistości niż wy.

Jeśli jednak nadal mi nie wierzycie, nie będę się skarżył. Ile razy powtarzałem sobie, że tak jest, też nie uważałem tego za szczególnie niebiańskie. Nigdy przedtem do mnie nie dotarło, jak to jest straszliwie *niewygodnie* — z finansowego, prawnego i paru innych aspektów — że nie wspomnę o małżeńskim — być martwym.

Wracając więc do pytania, gdzie ja naprawdę byłem? Hm, tak naprawdę to byłem w domu. Od razu, kiedy tylko umarłem, Albert targany wyrzutami sumienia obrócił statek. Dostanie się tam zajęło mi chwilę, ale nie robiłem nic szczególnego. Co najwyżej uczyłem się udawać, że żyję, choć tak naprawdę byłem martwy. Opanowanie tej umiejętności zajęło mi całą drogę do domu, gdyż powtórne przyjsięcie na świat na wachlarzu Heechów było o wiele trudniejsze niż narodziny w stary biologiczny sposób — trzeba było to *zrobić* aktywnie, rozumiecie. Wszystko, co mnie otaczało, było znacznie obszerniejsze. W pewnym sensie byłem ograniczony do wachlarza, model Heechów, o objętości niewiele większej niż tysiąc centymetrów sześciennych i w tym sensie zostałem wyjęty z gniazda, przeniesiony przez kontrolę celną i zanieiony do starego domu nad Morzem Tappajskim, co nie było bardziej kłopotliwe niż przyniesienie dodatkowej pary butów. W innym sensie byłem obszerniejszy niż galaktyki, gdyż mogłem bawić się wszystkimi nagromadzonymi wachlarzami. Szybszy niż srebrny pocisk, mobilny jak rtęć, błyskawiczny jak piorun — mogłem iść wszędzie, gdzie dotarły banki danych ludzi i Heechów, czyli we wszystkie miejsca, o których słyszałem. Słyszałem sagi mieszkańców breji z żaglowca i polowałem z pierwszą ekspedycją Heechów, która schwytała australopiteki; gadałem ze Zmarłymi z Nieba Heechów (biedne, niewygodane wraki, tak kiepsko i w pośpiechu zapisane przez niefachową rękę, ale nadal pamiętające, co to znaczy być żywym). Cóż. Nieważne, gdzie bywałem; i tak nie macie czasu, żeby o tym posłuchać. A to było takie łatwe.

Sprawy ludzkie były trudniejsze...

Do momentu powrotu nad Morze Tappajskie Essie miała sposobność wypocząć, a ja miałem czas na ćwiczenia w rozpoznawaniu tego, co widziałem i oboje pokonaliśmy traumę mojej śmierci. Nie chcę powiedzieć, że tak całkiem z niej wyszliśmy, ale przynajmniej byliśmy w stanie rozmawiać.

Najpierw były to tylko rozmowy, gdyż byłem zbyt nieśmiały żeby pokazywać się mojej ukochanej żonie jako hologram. W końcu Essie rzekła rozkazującym tonem:

— Hej, Robin! To jest nie do zniesienia, takie rozmawianie z tobą jak przez telefon. Chodź tu, chcę cię zobaczyć!

— Tak, zrób to! — rozkazała druga Essie, przechowywana razem ze mną, a Albert wtrącił się:

— Po prostu odpręż się i pozwól, niech się to dzieje samo, Robinie. Podprogramy są gotowe do pracy. Mimo tych wszystkich zachęt musiałem zebrać całą odwagę, żeby się pokazać, a kiedy to zrobiłem, moja kochana żona obejrzała mnie od góry do dołu i rzekła: — Och, Robin. Jak ty wyglądasz?

Ta wypowiedź mogła nie wyglądać na stwierdzenie kochającej kobiety, lecz wiedziałem, co Essie ma na myśli. To nie była krytyka; to było współczucie — Essie próbowała powstrzymać łzy.

— Później będę sobie lepiej radził, złotko — powiedziałem żałując, że nie mogę jej dotknąć.

— Tak będzie, pani Broadhead — powiedział Albert szczerze, przez co sobie uświadomiłem, że siedzi obok mnie. — W tej chwili mu pomagam, ale utrzymywanie projekcji dwóch obrazów na raz jest trudne. Obawiam się, że oba są nie najlepszej jakości.

— Więc zniknij! — zaproponowała, ale on potrząsnął głową.

— Robin też musi trochę poćwiczyć, pani Broadhead — wydaje mi się także, że pani sama może będzie chciała wprowadzić parę poprawek w programie. Na przykład otoczenie. Nie mogę skonstruować Robinowi tła — no chyba, że będziemy mieli wspólne. Trzeba także zrobić trochę poprawek z pełną animacją, reakcją w czasie rzeczywistym, spójnością klatek. . .

— Tak, tak — odmruknęła Essie i zabrała się do dzieła w swojej pracowni.

Wszyscy się zabraliśmy. Było mnóstwo do zrobienia, szczególnie w moim przypadku.

W swoim czasie martwiłem się o wiele rzeczy, a prawie zawsze o te niewłaściwe. Strach przed śmiercią w moim fizycznym życiu pojawiał się gdzieś na obrzeżach moich trosk — pewnie tak samo jest u was. Moja obawa wiązała się z wymarciem. Nie rozumiałem wymarcia. To stwarzało wiele nowych problemów.

Widzicie, zmarły nie ma żadnych praw. Nie może niczego posiadać. Nie może dysponować żadnym majątkiem. Nie może głosować — nie tylko w wyborach na stanowisko rządowe, ale nie może też głosować posiadając udziały większościowe w firmie, którą sam stworzył. Kiedy ma jedynie udziały mniejszościowe — nawet znaczące, jak moje w systemie transportowym przerzucającym kolonistów na planetę Peggy — nikt go nawet nie usłyszy. Jak mawiają — równie dobrze mógłby nie żyć.

A ja nie chciałem *aż tak* nie żyć.

To nie była chciwość. Jako zapisana inteligencja potrzeby miałem niewielkie; nie było zagrożenia, że mnie wyłączą za niepłacenie rachunków za prąd. Chodziło o znacznie bardziej palącą potrzebę. Terrorysty nie znikli tylko dlatego, że Penta-

gon przechwycił ich statek. Codziennie zdarzały się zamachy bombowe, porwania i strzelaniny. Dwie inne pętle startowe zostały zaatakowane, a jedna uszkodzona; tankowiec z pestycydem został rozmyślnie rozbity na wybrzeżu stanu Queensland i teraz wymierały setki kilometrów Wielkiej Rafy Koralowej. Prawdziwe wojny toczyły się w Afryce, Ameryce Środkowej i na Bliskim Wschodzie; pokrywa planety z trudem utrzymywała ciśnienie w tym szybkowarze. Potrzebowaliśmy tysięcy takich transportowców jak *S. Ja.*, a kto je miał zbudować, jeśli ja nie miałem głosu?

Więc oszukiwaliśmy.

Historyjka dla mediów była taka, że Robin Broadhead doznał wylewu krwi do mózgu, ale sklecone przez nas kłamstwo głosiło także, że wykazuje stałą poprawę. Hm, rzeczywiście tak było. Nie dokładnie tak, jak to sugerowaliśmy, rzecz jasna. Ale gdy tylko wróciłem do domu, byłem w stanie rozmawiać — przy połączeniu wyłącznie głosowym — z generałem Manzbergenem i paroma osobami z Rotterdamu; tydzień później już się czasami pokazywałem, owinięty pledem dostarczonym dzięki bogatej wyobraźni Alberta; po miesiącu pozwoliłem ekipie piezowizyjnej nakręcić film o mnie, jak to opalony i wysportowany żegluję sobie naszym jednomasztowcem po morzu. Jasne, ekipa piezowizyjna była moja własna, a klipy, które się pojawiły w wiadomościach były bardziej dziełem sztuki niż reportażem, ale to była dobra sztuka. Nie potrafiłem jeszcze znieść konfrontacji twarzą w twarz. Ale nie musiałem.

Więc jak widzicie, tak całkiem to wcale sobie źle nie radziłem. Prowadziłem moje interesy. Planowałem i realizowałem plany, mające na celu uspokojenie fermentu stanowiącego pożywkę dla terrorystów — to nie wystarczyło, żeby rozwiązać problem, ale pozwalało przycisnąć na chwilę tę pokrywkę. Miałem czas na wysłuchiwanie zmartwień Alberta dotyczących dziwnych obiektów, które określał jako kugelblitz, a jeśli nawet wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, czym są, nie miało to większego znaczenia. Brakowało mi tylko ciała i kiedy poskarżyłem się na to Essie, odparła ona z mocą:

— Na Boga, Robinie, to nie jest koniec świata! Ile jeszcze osób ma taki sam problem?

— Zredukowanie do postaci banku danych? Nie wydaje mi się, żeby wiele.

— Ale problem jest taki sam — podkreśliła. Wyobraź sobie! Zdrowy, młody mężczyzna skacze na nartach, upada i łamie kręgosłup. Paraplegik, nie? Nie ma ciała zdolnego do czegokolwiek poza byciem zależnym, musi być karmiony, musi się mu zakładać pieluchy, musi się go myć — tobie tego oszczędzono, Robinie. Ale najważniejsza część ciebie nadal tu jest!

— Pewnie — odparłem. Nie wspominałem, a ze wszystkich ludzi Essie była tą osobą, której w najmniejszym stopniu musiałem o tym przypominać, że wśród moich „ważnych części” było parę gadżetów, którym zawsze przypisywałem duże znaczenie. Ale nawet w tej dziedzinie straty były równoważone przez zyski. Skoro

nie miałem już, powiedzmy, organów płciowych, nie miałem także problemów z moimi nagle skomplikowanymi relacjami seksualnymi.

Nie musiałem o tym mówić. Zamiast tego Essie powiedziała:

— Rozchmurz się, staruszk. Pamiętaj, że jesteś tylko namiastką produktu końcowego.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytałem.

— Miałam duże problemy, Robinie! System zapisu „Życie Po Śmierci” był, muszę przyznać, dość niedoskonały. Dużo się nauczyłam tworząc dla ciebie nowego Alberta. Nigdy dotąd nie podjęto kompletnej próby zapisu całej osobowości bardzo kochanej osoby, która niestety zmarła. Problemy techniczne:..

— Rozumiem, że były problemy techniczne — przerwałem jej; tak naprawdę nie chciałem wysłuchiwać, przynajmniej jeszcze wtedy, szczegółów o ryzykownym, niesprawdzonym, niezmiernie złożonym procesie polegającym na przelewaniu „mnie” z rozkładającego się wiaderka mojej głowy do nastawionego naczynia macierzy zapisu.

— No pewnie. Cóż. Teraz mogę spokojniej to robić. Mogę wszystko precyzyjnie wyregulować. Zaufaj mi, Robinie, można jeszcze wprowadzić poprawki.

— We mnie?

— No pewnie, że w tobie! — Także — powiedziała mrugając — w bardzo okrojonej kopii mnie samej. Mam podstawy przypuszczać, że dla ciebie to też może się okazać interesujące.

— Och — odparłem — jak rany! — W tej chwili bardziej niż przedtem żałowałem, że nie mogę na chwilę pożyczyć od kogoś jakichś części ciała, gdyż najbardziej pragnąłem mieć ramiona i objąć nimi moją kochaną żonę.

A tymczasem światy kręciły się dalej. Nawet bardzo małe światy mojego przyjaciela Audee’ego Walthersa i jego skomplikowanej miłości.

Kiedy patrzy się na nie z wewnątrz, wszystkie światy wydają się mieć ten sam rozmiar. Świat Audee’ego nie wydawał się dla niego mały. Szybko rozwiązałem jeden z ich problemów; podarowałem każdemu tysiąc akcji przedsiębiorstwa zarządzającego transportowcem kursującym na planetę Peggy, *S. Ja.* i jej spółek satelickich, Janie Yee-xing nie musiała się już martwić swoją dymisją; mogła ponownie zatrudnić samą siebie gdyby miała na to ochotę, albo latać na Peggy jako pasażer, gdyby wolała. Podobnie Audee; mógł również wrócić na Peggy i rozstać się po kątach swoich byłych szefów na polu naftowym; albo nic z tych rzeczy, mógł nurzać się w luksusie przez resztę życia; tak samo Dolly. To oczywiście wcale nie rozwiązało ich wszystkich problemów; cała trójka przez jakiś czas snuła się bez celu po pokojach gościnnych, aż wreszcie Essie zaproponowała im, żeby wzięli *Prawdziwą Miłość* i gdzieś sobie polecili aż znajdą jakieś rozwiązanie. Tak też zrobili.

Żadne z nich nie było głupie — może czasem tak się zachowywali, ale to się zdarza wszystkim. Potrafili rozpoznać łapówkę, kiedy ją ujrzeli. Wiedzieli, że

tak naprawdę chciałem, by trzymali gęby na kłódkę na temat mojego obecnego niezbyt przyjemnego bezcielesnego stanu. Wiedzieli także, czym jest podarunek od przyjaciela, a w tym przekazaniu akcji mieścił się także ten element.

A co nasza cała trójka robiła na pokładzie *Prawdziwej Miłości*?

Chyba nie chcę o tym mówić. To niczyj interes — tylko ich własny. Zastanówcie się. W życiu każdego z nas — przypuszczam, że w waszym również, bo w moim na pewno — zdarzają się chwile, kiedy to, co robimy i mówimy nie jest ani ładne, ani znaczące. Walczysz z ruchem jelit, przez głowę przebiegają ci buntownicze i szokujące myśli, puszczasz bąka, mówisz jakieś kłamstwo. Żadna z tych rzeczy nie ma większego znaczenia, ale nikt się nie obnosi z tymi aspektami swojego życia, przez które wygląda na śmiesznego, godnego pogardy czy niczemnego. Zwykle nikt się z nimi nie obnosi, bo nikt ich nie dostrzega — ale od chwili, kiedy mnie poszerzono, zawsze jest ktoś, kto je widzi, a tym kimś jestem ja. Może nie tak od razu. Ale prędzej czy później, kiedy wspomnienia wszystkich zostaną dodane do bazy danych, nie będzie już żadnych osobistych tajemnic.

Coś jeszcze opowiem o prywatnych problemach Audee'go. Motywem jego działań i przyczyną jego zmartwień była piękna i wspaniała rzecz: miłość. Ale frustrację dla jego miłości także powodowała miłość. Kochał swoją żonę, Dolly, gdyż nauczył się ją kochać, kiedy byli małżeństwem; tak jego zdaniem powinno to wyglądać w przypadku małżeństw. Ale Dolly porzuciła go dla innego człowieka (w przypadku Wana traktujemy to określenie z przymrużeniem oka), a Janie Yee-xing pojawiła się w porę, by przynieść mu ukojenie. Obie były atrakcyjne. Ale było ich za dużo. Audee był równie monogamiczny co ja. Gdyby zdecydował się być z Dolly, na drodze stała mu Janie; była dla niego dobra; był jej winien jakiś rodzaj troski — możecie to nazwać miłością. Ale pomiędzy nim a Janie stała Dolly: kiedyś planowali wspólne życie i on nigdy nie miał zamiaru tego zmieniać, a to też można określić jako miłość. Sprawę komplikowało jeszcze bardziej wrażenie Audee, że powinien jakoś ukarać Dolly za to, że go porzuciła oraz coś w rodzaju niechęci do Janie, że stała mu na drodze — pamiętajcie, mówiłem, że są rzeczy godne pogardy i śmieszne. Kolejną komplikacją były równie zawzięte uczucia Dolly i Janie...

Chyba niewiele brakowało, że odczuliby ulgę, kiedy dryfując na orbicie po wielkiej kometarnej elipsie, po której lecieli w stronę asteroidów pod kątem do płaszczyzny ekliptyki, ich dyskusja, bez względu na to, o czym traktowała, została przerwana gwałtownym wciągnięciem powietrza przez Dolly i ostrym krzykiem Janie, zaś Audee Walthers odwrócił się w stronę ekranu i zobaczył całą flotyllę statków bardziej licznych i znacznie większych niż cokolwiek, co istoty ludzkie widziały kiedykolwiek w Układzie Słonecznym.

Nie ulega wątpliwości, że byli śmiertelnie przerażeni.

Ale nie bardziej niż cała reszta ludzkości. Na całej Ziemi, wszędzie w kosmosie, gdzie znajdowały się istoty ludzkie i urządzenia telekomunikacyjne zdolne do

przekazywania wiadomości, zapanowało przerażenie i szok. Spełnił się najgorszy koszmar, jakiego obawiała się ludzkość przez jakieś ostatnie sto lat.

Heechowie wracali.

Nie ukrywali się. Byli tam — i to tak liczni! Czujniki optyczne stacji orbitalnych wykryły ponad pięćdziesiąt statków — i to jakich! Dwanaście albo czternaście równie dużych, co *S. Ja*. Kolejny tuzin jeszcze większych, ogromnych kulistych konstrukcji, jak ta, która połknęła żaglowiec. Jakieś pięć pośrednich, na które Podniebny Pentagon patrzył podejrzliwie, wysuwając hipotezę, że są to krążowniki, a wszystkie nadlatywały prosto z kierunku Węgi. Mógłbym ująć to tak, że siły obronne Ziemi zostały zaskoczone, ale to byłoby pochlebne kłamstwo. Prawda była taka, że Ziemia nie miała żadnych godnych wzmianki sił obronnych. Oczywiście, że były statki patrolowe, ale zbudowano je, by Ziemianie mogli walczyć z innymi Ziemianami. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby rzucić je do walki z półmitycznymi Heechami.

A potem do nas przemówili.

Komunikat ogłoszono po angielsku; był krótki.

— Heechowie nie mogą pozwolić na podróże i komunikację międzygwiazdową z wyjątkiem pewnych szczególnych przypadków, o których oni zadecydują i które będą nadzorować. Należy zaprzestać wszelkich innych takich działań. Heechowie przybyli, by je powstrzymać. — I to było wszystko zanim osoba wygłaszająca przemówienie potrząsnęła bezsilnie głową i znikła.

To brzmiało trochę jak wypowiedzenie wojny.

I tak zostało zinterpretowane. W Podniebnym Pentagonie, w orbitujących fortecach innych narodów, we wszystkich organach decyzyjnych światowych potęg odbywały się gorączkowe spotkania, konferencje i sesje planistyczne; statki ściągano do bazy w celu dozbrojenia, inne kierowano w okolice floty Heechów; uśpione od lat bronie orbitalne testowano i regulowano; były zapewne równie bezużyteczne jak kusze, ale skoro były jedyną rzeczą, której dało się użyć, to chciano użyć ich w walce. Cały świat ogarnęło przerażenie i szok.

Ale chyba nikt nie doświadczył większego zdumienia i zaskoczenia, niż moi domownicy; gdyż Albert natychmiast rozpoznał osobę, która wygłosiła ultimatum Heechów, Essie zrobiła to sekundę później, jeszcze zanim ja ujrzałem jej twarz. To była Gelle-Klara Moynlin.

Rozdział 25.

Powrót na Ziemię

Gelle-Klara, moja ukochana. Moja utracona ukochana. Była tam, patrząc na mnie z piezowizora, a wcale nie wyglądała starzej niż wtedy, gdy po raz ostatni ją widziałem, całe lata i dziesiątki lat temu — wyglądała też nie lepiej, gdyż w obu przypadkach była tak bardzo przerażona, jak tylko może być przerażony człowiek. Że nie wspomnę o zmalretowaniu — tym razem nie przeze mnie.

Ale choć tak wiele przeżyła i było to widać po mojej Klarze, miała jeszcze sporo rezerw. Odwróciła się od ekranu, kiedy skończyła wygłaszać swą odezwę do ludzkiej rasy i skinęła na Kapitana.

— Poffiedziałaś to? — dopytywał się z niepokojem. — Przekasssałaś fffiadomość dokładnie jak ci kasssałem?

— Dokładnie — odparła Klara i dodała — twój angielski brzmi coraz lepiej. Mógłbyś sam im to powiedzieć, gdybyś zechciał.

— Sssbyt waszszne, szeby ryssykować — odparł Kapitan z irytacją i odwrócił się. Połowa ścięgien na jego ciele marszczyła się i wiła, tylko u niego. Jego wierna załoga była równie zakłopotana, a na ekranach komunikacyjnych łączących jego statek z innymi statkami wielkiej flotyli widział twarze innych Kapitanów. Ależ to olbrzymia flota, zadumał się Kapitan badając ekrany, które ukazywały mu cały dumny szyk, ale czy to była jego flota? Nie musiał pytać. Znał odpowiedź. Posiłki, które przybyły z jądra Galaktyki, liczyły sobie ponad stu Heechów, a przynajmniej tuzin z nich miało prawo być jego przełożonymi — gdyby podjęli taką decyzję. Mogliby łatwo przejąć dowodzenie flotą. Ale tego nie zrobili. Pozwolili, żeby to była jego flota, gdyż odpowiedzialność ciążyła właśnie na nim... i to jego własna dusza dołączy do zbiorowych umysłów, jeśli mu się nie uda.

— Jakimi oni są głupcami — zamruczał, a jego oficer komunikacyjny mrugnął przytakując.

— Wydam rozkaz sformowania lepszego szyku — powiedział. — To miałeś na myśli?

— Oczywiście, Buciku. — Kapitan westchnął i gapił się ponuro, jak oficer komunikacyjny wyszczekuje rozkazy do innych kapitanów i kontrolerów. Armada

powoli zmieniała szyk; wielkie sferyczne transportowce, które mogły połknąć tyśiącmetrową kulę czegokolwiek i przenieść ją w dowolne miejsce, przesunęły się za mniejsze transportowce i inne statki. — Ludzka kobieto Klaro — zawołał. — Czemu oni nie odpowiadają?

Wzruszyła ramionami w geście buntu.

— Pewnie nad tym dyskutują — odparła.

— Dyskutują!

— Próbowałam ci wytłumaczyć — rzekła z niechęcią. — Tam jest z tuzin potęg światowych, które muszą to ze sobą uzgodnić, nie mówiąc o jakiejś setce innych krajów.

— Setka krajów. — Kapitan jęknął i spróbował to sobie wyobrazić. Nie dało się.

Cóż. To było dawno, dawno temu, zwłaszcza jeśli mierzyć czas w femtosekundach. Tak wiele się od tego czasu stało! Tak wiele, że choć mnie poszerzono, trudno jest mi to wszystko objąć. A jeszcze trudniej zapamiętać (czy to dzięki mojej własnej pamięci, czy pożyczonej) każdy szczegół wydarzeń tego okresu, choć, jak się już przekonaliście, jeśli chcę, to dużo mogę sobie przypomnieć. Ale ten obraz widzę przez cały czas. Była tam Klara, jej ciemne brwi marszczyły się, gdy patrzyła jak Heechowie podskakują albo popadają w przygnębienie; był tam Wan, ale wpadł w stupor i leżał zapomniany w kącie kabiny. Była tam załoga Heechów, wijąca się i posyukująca do siebie; i był Kapitan, spoglądający z dumą i strachem na wskrzeszoną armadę biorącą udział w misji, którą dowodził. Zagrał o najwyższą stawkę. Nie wiedział, co może się dalej stać — niczego nie oczekiwał — bał się prawie wszystkiego, ale myślał, że nic go nie zaskoczy, cokolwiek by się nie stało. . . aż stało się coś, co nieźle go zaskoczyło.

— Kapitanie! — krzyknęła Kundlica, integratorka. — Tam są inne statki!

Kapitan rozpromienił się.

— Och — przyklasnął — w końcu odpowiedzieli! — Zdziwiło go, że ludzie robią to tak osobiście, a nie przez radio, ale już od początku wydawali mu się dziwni. — Czy statki nadają coś do nas, Buciku? — spytał, a oficer komunikacyjny napiął mięśnie policzków przecząco. Kapitan westchnął: — Musimy więc być cierpliwi — rzekł, uważnie patrząc na ekran. Ludzkie statki rzecz jasna nie nadlatywały żadnym rozsądnym szykiem. W rzeczywistości wyglądało to raczej, jakby oderwano je w pośpiechu od ich zwykłych obowiązków i rzucono na spotkanie floty Heechów, pospiesznie, niedbale — prawie chaotycznie. Jeden był już w zasięgu systemów komunikacyjnych statku; dwa inne były nieco dalej, a jeden tak się zmagął z prędkością, że poleciał w niewłaściwym kierunku.

Nagle Kapitan syknął ze zdziwieniem.

— Lutsska sssamico! — rozkazał. — Chodź tu i kaszsz im, szeby byli ostroszszszni! Sssobacz, tso sssę dzieje! — Z najbliższego statku wystrzelił mały obiekt, prymitywny przedmiot na paliwo chemiczne, zbyt malutki, by mógł

przewozić choć jedną osobę. Leciał przyspieszając dokładnie w samo serce floty Heechów i Kapitan skinął głową do Białego Szuma, który bezzwłocznie nakazał przejście w nadświatłą, które usunęło z niebezpiecznej strefy najbliższy wielki transportowiec. — Nie mogą być tacy nieuważniejsi! — krzyknął twardo. — Moszże być kolissja!

— To nie jest przypadek — powiedziała ponuro Klara.

— Tssso? Nie rosssumiem!

— To są pociski — odparła. — I mają głowice nuklearne. Macie swoją odpowiedź. Nie czekają, aż wy zaatakujecie. Strzelają pierwsi!

Wyobrażacie sobie to wszystko? Widzicie Kapitana, który stoi tam tak zszokowany, że jego ścięgną zamarły, z opadłą szczęką i gapi się na Klarę? Zagryza swoją twardą dolną wargę i patrzy na ekran. Oto jego flota, olbrzymia karawana transportowców wskrzeszonych po pół miliona lat ukrywania się, aby Kapitan mógł — sam wiele ryzykując — zaproponować ludzkiej rasie darmowy transport, z zabraniami jednorazowo paru milionów ludzi, do kryjówki w jądrze galaktyki, gdzie ukryli się sami Heechowie i gdzie ludzkość mogłaby schronić się przed Asasynami.

— Strzelają? — powtórzył tępo. — Szszeby nam sssrobić krzrzyffdę? Albo ssssabić?

— Zgadza się! — wybuchła Klara. — A czego się spodziewaliście?! Chcieliście wojny, to macie wojnę!

Kapitan zamknął oczy, ledwo słysząc przerażone posykiwanie i pomrukiwanie dookoła niego, gdy Biały Szum przetłumaczył to.

— Wojna — jęknął niedowierzająco i po raz pierwszy pomyślał o dołączeniu do zbiorowych umysłów nie ze strachem, ale prawie z utęsknieniem; jakie by nie było to nieprzyjemne, nie może być gorsze od tego!

A tymczasem...

Tymczasem wszystko posunęło się trochę za daleko, ale, na szczęście dla wszystkich zainteresowanych — nie aż tak daleko. Pocisk odpalony z brazylijskiego statku zwiadowczego był o wiele za wolny, by mógł dosięgnąć statek Heechów po wykonaniu przez niego uniku. Do chwili, gdy statek znów znalazł się na dogodnej pozycji do strzału — a na długo przedtem, nim mógł dotrzeć tam jakiegokolwiek inny statek — Kapitan zdołał wytłumaczyć Klarze, a Klara znów pojawiła się na ekranach systemów komunikacyjnych i wszystko wyjaśniła. To nie jest inwazja. To nawet nie nalot. To misja ratunkowa i ostrzeżenie przed tym, przed czym Heechowie uciekli i ukryli się, a teraz miało dopaść ludzkość.

Rozdział 26.

Czego bali się Heechowie?

W moim obecnym poszerzonym stanie mogę tylko się uśmiechać na myśl o dawnych strachach i złych przecuciach. Wtedy pewnie jeszcze nie mogłem. Ale teraz tak. Skala jest większa, a wszystko znacznie bardziej fascynujące. Dookoła samego jądra jest dziesięć tysięcy zapisanych zmarłych Heechów i mogę ich wszystkich odczytać. Przeczytałem ich — prawie wszystkich. Czasem dalej ich czytam, jak mam ochotę, jeśli znajdę coś, czemu pragnę bliżej się przyjrzeć. Książki na półce biblioteczej?

Oni są czymś więcej. I samo „czytanie” tak dokładnie też jest czymś innym. To bardziej przypomina zapamiętywanie ich. Kiedy „otwieram” jednego z nich, otwieram go na całego; czytam go, jak gdyby był częścią mnie. To wcale nie jest łatwe i muszę przyznać, że prawie nic czego się nauczyłem odkąd mnie poszerzono nie przyszło mi łatwo. Ale z pomocą Alberta i prostych tekstów, na których mogę ćwiczyć, opanowałem tę umiejętność. Pierwsze banki danych, do których się dostałem, były właśnie takie — wyłącznie dane; nie było to gorsze niż zagłądanie do tablic logarytmicznych. Potem dobrałem się do starych, zapisanych przez Heechów Zmarłych i niektórych pierwszych przypadków Essie, nad którymi pracowała przy projekcie „Życie Po Życiu” i rzeczywiście nie były one zrobione zbyt dobrze. Nie miałem nigdy wątpliwości, którą częścią tego, o czym myślałem, byłem ja.

Kiedy jednak wyjaśniliśmy już nieporozumienie z Kapitanem i zacząłem zagłądać do własnych zapisów, zaczęły się schody. Była tam nieżyjąca już miłość Kapitana, samica Heechów imieniem Dwakroć. „Zajrzenie” do niej przypominało obudzenie się w ciemnościach, włożenie na siebie jakiegoś zestawu ubrań, którego nie można zobaczyć — a który i tak nie pasuje. Nie chodziło tylko o to, że była samicą, bo już to powodowało znaczna. niekompatybilność. Nie chodziło nawet o to, że ona była Heechem, a ja człowiekiem. Chodziło o to, co ona wiedziała, a czego ani ja, ani żaden inny człowiek nawet by się nie domyślił. Chyba że Albert — może to właśnie doprowadziło go do szaleństwa. Ale nawet hipotezy Alberta nie pokazywały rasy przemierzających kosmos Asasynów, którzy scho-

wali się w kugelblitzu i czekali na narodziny nowego — dla nich lepszego — wszechświata.

Gdy jednak szok już minął, zaprzyjaźniłem się z Dwakroć. To naprawdę miła osoba, kiedy już przyzwyczaić się do tej dziwności, a my mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań. Biblioteka Heechów przechowująca zapisane osobowości zawiera nie tylko Heechów — ale i ludzi. Są tam omszałe, skarżące się głosy, które kiedyś należały do skrzydlatych istot z Antaresa albo do ślimaków z odległego skupiska gwiazd. No i oczywiście są tam mieszkańcy breji. Dwakroć i ja spędziliśmy mnóstwo czasu badając ich sagi. A czasu mam pod dostatkiem dzięki moim femtosekundowym synapsom.

Mam teraz dość czasu — prawie — żeby zapragnąć odwiedzić jądro galaktyki i pewnie któregoś dnia to zrobię. Choć nie na długo. A tymczasem Audee i Janie Yee-xing udali się tam jako piloci, pomagając w przeprowadzeniu misji, która potrwa sześć albo siedem miesięcy — albo, według naszej miary czasu, kilka stuleci. Kiedy wrócą, obecność Dolly nie powinna już stanowić problemu, gdyż Dolly jest dość zajęta swoją karierą w piezowizji. Zaś Essie ma to szczęście, że nie jest *zbyt* szczęśliwa, bo brak jej mojej słodkiej fizycznej obecności, ale wydaje się, że nieźle się przystosowała. Tym, co Essie lubi najbardziej (oprócz mnie) jest jej praca, a ma jej mnóstwo — ulepszając „Życie Po Śmieci”; pracując nad wykorzystaniem tych samych procesów, które służą do produkcji pożywienia CHON, do wytwarzania jeszcze ważniejszych substancji organicznych... jak na przykład — na co ma nadzieję już od dawna — zapasowe organy dla ludzi, żeby już nikt nie musiał podkładać organów innym... A skoro już o tym mówimy, większość ludzi jest szczęśliwa. Teraz Heechowie użyczyli nam swojej floty i możemy przewozić milion ludzi miesięcznie z całym ich dobytkiem na dowolną z pięćdziesięciu innych planet, które tylko czekają, żeby się na nich osiedlić. Znowu mamy pionierów w krytych płótnem wozach i wspaniałe możliwości kariery dla wszystkich...

A zwłaszcza dla mnie.

I była jeszcze Klara.

Jasne, w końcu się spotkaliśmy. Nalegałem na to, a na dłuższą metę nie mogła się ukrywać. Essie poleciała na orbitę za pomocą pętli startowej, żeby się tam z nią spotkać i osobiście ją przywieźć naszym własnym samolotem, do domu nad Morzem Tappajskim. To rozwiązało pewien problem związany z etykietą, tego jestem pewien. W przeciwnym razie jednak Klarę opadliby ludzie z mediów, próbujący się dowiedzieć, jak to jest być „Jeńcem Heechów” albo „porwaną przez Wana — wilcze dziecko”, czy jakimi tam innymi określeniami by się przerzucali... i tak naprawdę chyba ona i Essie świetnie się dogadały. W tej sytuacji nie musiały już o mnie walczyć. Nie istniałem w takiej formie, o którą można by walczyć.

Ćwiczyłem więc moje najładniejsze holograficzne uśmiechy, zaprojektowałem najlepsze holograficzne tło i czekałem, aż się pojawi. Weszła sama do wielkiego atrium, w którym na nią czekałem — Essie była taktowną osobą, więc

pokazała jej drogę i znikła. A kiedy Klara przeszła przez drzwi, z tego, jak się zatrzymała i jak zaparło jej dech wywnioskowałem, że spodziewała się, iż będę wyglądał bardziej martwo.

— Cześć Klaro — powiedziałem. To nie była szczególnie długa przemowa, ale cóż można było powiedzieć w tych okolicznościach? Zaś ona rzekła:

— Cześć, Robinie. — Nie wyglądało na to, że jest w stanie cokolwiek do tego dodać. Stała patrząc na mnie, aż wpadłem na to, żeby powiedzieć jej, by usiadła. A ja, oczywiście, cały czas jej się przyglądałem, na wszystkie wielofazowe sposoby, jakie mamy do dyspozycji my, elektronicznie zapisane osobowości; bez względu jednak na sposób, wyglądała diabelnie dobrze. Zgadza się, była zmęczona. Dużo przeszła. No i moja kochana Klara nigdy nie była klasyczną piękną, nie z tym ciemnymi, grubymi brwiami i silnym, muskularnym ciałem — ale wyglądała *dobrze*. Chyba ta sesja mojego gapienia się trochę ją zdenerwowała, bo odchrząknęła i powiedziała:

— Słyszałam, że zamierzasz obdarować mnie bogactwem.

— Nie ja, Klaro. Tylko chcę ci oddać twoją część tego, co razem zarobiliśmy.

— Trochę się od tego czasu rozmnożyło — uśmiechnęła się. — Twoja... eee... twoja żona mówi, że mogę dostać jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów w gotówce.

— Możesz dostać znacznie więcej.

— Nie, nie. Tak czy inaczej jest tego więcej — chyba dostanę też akcje mnóstwa firm. Dzięki, Robinie.

— Proszę bardzo.

I wtedy znów zapadło milczenie, a potem — uwierzylibyście? — następne słowa, jakie wydobyły się z moich ust, brzmiały:

— Klara, muszę wiedzieć! Czy ty mnie przez ten cały czas nienawidziłaś?

To było pytanie, o którym myślałem przez trzydzieści lat.

Mimo to, uderzyło mnie, jakie to pytanie było nieodpowiednie. Nie mogę powiedzieć, jak je odebrała, gdyż przez chwilę siedziała z otwartymi ustami, aż przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

I nagle zaczęła się śmiać. Śmiała się głośno i z całego serca, a kiedy skończyła się śmiać, potarła kostkami palców kącik oka i nadal chichocząc powiedziała:

— Robin, dzięki Bogu! Wreszcie *coś*, co się nie zmieniło. Umarłeś. Została po tobie pogrążona w żałobie wdowa. Świat stoi u progu największych zmian, jakie widział. Jakieś straszne istoty próbują wszystko schrzanić, a ty... a ty... nie żyjesz. I martwisz się swoim cholernym poczuciem winy!

Ja też się roześmiałem.

Po raz pierwszy, mój Boże, po raz pierwszy w tej połowie mojego życia małutka drzazga poczucia winy znikła. Trudno było opisać to uczucie; minęło już tak wiele czasu od chwili, gdy poznałem, co to wolność. Powiedziałem, nadal się śmiejąc:

— Wiem, że to brzmi głupio, Klaro. Ale dla mnie minęło tak dużo czasu i wiedząc, że tkwisz w czarnej dziurze, gdzie czas płynie wolniej — nie wiedziałem, co sobie myślisz. Myślałem, że może — sam nie wiem — obwiniasz mnie za to, że cię porzuciłem. . .

— Robin, jak mogłabym tak myśleć? Nie wiedziałam, co się z tobą stało. Chcesz wiedzieć, co naprawdę czułam? Byłam przerażona i oteptała, bo wiedziałam, że znikłeś i myślałam, że nie żyjesz.

— No i — uśmiechnąłem się — w końcu wróciłaś i faktycznie tak jest! — Widziałem, że jest bardziej wrażliwa na dowcipy na ten temat niż ja. — Wszystko gra — powiedziałem. — Miewam się świetnie, a cały świat chyba też!

Rzeczywiście tak było. Żałowałem tylko, że nie mogę jej dotknąć, ale to było uczucie, które wydawało się należeć do zapomnianego dzieciństwa; naprawdę liczyło się to, że ona tu jest bezpieczna, a cały wszechświat stoi przed nami otworem. Kiedy jej to powiedziałem, szczeka jej znów opadła.

— Jakim ty jesteś pieprzonym optymistą! — wybuchła.

Byłem szczerze zaskoczony.

— A nie powinienem być?

— Asasyni! W końcu wyjdą z kryjówki i wiesz, co zrobią? Jeśli Heechowie się ich boją, to ja na samą myśl o nich robię pod siebie ze strachu.

— Och, Klaro — odparłem, w końcu zrozumiałem o co jej chodzi. — Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Masz na myśli, że teraz jest tak, jak dawniej, kiedy wiedzieliśmy, że gdzieś tam są Heechowie i że mogą wrócić. Wiedzieliśmy, że potrafili robić takie rzeczy o jakich nam się nie śniło. . .

— Właśnie! Nie jesteśmy w stanie dorównać Asasynom!

— Tak — odparłem, uśmiechając się — nie jesteśmy. Ale wtedy nie potrafiliśmy też dorównać Heechom. Ale do czasu kiedy się pojawili — już potrafiliśmy. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, minie jeszcze sporo czasu zanim staniemy twarzą w twarz z Asasynami.

— I co z tego? I tak będą naszym wrogiem!

Potrząsnąłem głową.

— Nie wrogiem, Klaro — rzekłem. — Kolejnym etapem, nową możliwością.

Posłowie

Historii o kontakcie ludzkości z obcą cywilizacją jest w Science Fiction bez liku. I są równie stare jak sama fantastyka. Powiedziałbym, że to najważniejszy temat ze wszystkich, jaki sobie autorzy SF upodobali. Kosmici są w nich dobrzy lub źli, traktują nas z wyższością lub w ogóle nie zauważają, stoją na równym szczeblu rozwoju bądź na niższym. Literackimi wizerunkami kosmitów można by zapłacić niejedno zoo, bo też i przybierali na kartach swych książkowych macierzy nieprawdopodobne wręcz kształty, rozmiary i barwy.

Najpierw straszono nimi czytelników, opisując jako krwiożercze bestie pragnące naszych kobiet (do celów spożywczych oczywiście), ziemi i surowców. Potem kosmitów trochę „uczłowiczyliśmy”, nadając humanoidalny wygląd i czyniąc lepszymi od nas, obcy przynosili Ziemi wiedzę i rozwiązanie wszystkich bolączek. Ta socrealistyczna wiara długo nie przetrwała, bo któżby chciał uwierzyć w galaktycznych altruistów, kosmicznych Janosików rozdających ubogim krewnym w rozumie napęd międzygwiazdny, perpetuum mobile, nieśmiertelność czy panaceum na wszelkie choroby? Dzisiaj bardziej jesteśmy skłonni wierzyć, że kosmici przemierzają przestrzeń powodowani ciekawością, żądzą wiedzy, albo — i to najpewniej — poszukiwaniami rozwiązań swoich własnych problemów.

Sam kontakt też był opisywany na różne sposoby. Jedni nie wierzą w możliwość porozumienia się pomiędzy gatunkami stworzonymi w odmiennych warunkach, dla innych pisarzy nie jest to żaden problem, od czegoż są sztuczne inteligencje i superkomputery? Bardziej interesujące było w tym przypadku, czy porozumienie zaowocuje wojną czy współpracą. Dla pisarzy wierzących kontakt stawał się dylematem religijnym, powodem do próby odpowiedzenia na pytanie, czy obcy też mają swojego Boga, czy też są go pozbawieni, a jeśli mają, czy jest to ten sam Bóg co nasz (jakby rozległy ziemski panteon nie wystarczał im do tych rozważań). Niewątpliwie jednak ten odłam fantastyki niósł w sobie wiele uniwersalnych pytań i rozważań.

Ciekawie też zapatrywano się na to, jaka liczba obcych cywilizacji zamieszkuje choćby naszą galaktykę, nie wspominając o całym wszechświecie. Dla jednych pisarzy kosmos jest tak przepełniony inteligentnymi rasami, że wystarczy wystrzelić w przestrzeń sputnik, by natychmiast zderzył się z jakimś obcym stat-

kiem. Ci po drugiej stronie bieguna uważają z kolei, że życie na Ziemi jest czymś wyjątkowym i niespotykanym na skalę kosmiczną. Jeszcze inni, i ten pogląd wydaje się najbardziej prawdopodobny, widzą galaktykę jako dom przynajmniej kilku wysoce rozwiniętych cywilizacji oraz bliżej nieokreślonej liczby takich, które stoją na różnych szczeblach rozwoju.

Stąd już blisko do popularnej w fantastyce teorii, podchwyczonej przez wielu autorów, że w historii wszechświata istniały cywilizacje, które zdążyły się „wypalić” i zniknąć z areny dziejów, a w ich miejsce pojawiają się inne, bo życie rodzi się, rozwija i przemija — tak to już natura urządziła. Dzisiaj wiemy, że wszechświat nie jest nieskończony i też kiedyś, w odległej przyszłości, nastąpi jego koniec.

Z tą ostatnią teorią związanych jest wiele powieści, w których Ziemianie napotykać w kosmosie pozostałości po zaginionych bądź wymarłych cywilizacjach. Kosmiczna archeologia to bardzo fascynująca dziedzina nauki, nic więc dziwnego, że wielu autorów stworzyło na jej kanwie sporo interesujących utworów. A wśród nich jednym z najlepszych jest „Saga o Heechach” Frederika Pohla.

Jest to bardzo kompleksowa historia, w której autor zawarł teorie kosmogoniczne i kosmologiczne, zbudował bardzo sensowny i wiarygodny świat niedalekiej przyszłości, a bohaterami uczynił ludzi z krwi i kości, przeżywających swoje sukcesy i niepowodzenia jak w prawdziwym życiu. Dużo jest u Pohla psychoanalizy, to taki amerykański „konik”, ale podane jest to w sposób strawny i nie nużący. W dodatku komputer psychoanalityczny Sigfrid von Psych jest niewątpliwie jednym z pozytywnych bohaterów Sagi, a postać innego programu, upozorowanego na Alberta Einsteina, jest wręcz modelowa — możemy zaobserwować narodziny sztucznej inteligencji i dylematów, jakie w tym momencie się pojawiają: stosunek do twórców i ich ograniczeń. Te sceny z programami komputerowymi są bardzo dobre, często komiczne i nie straciły na aktualności, a trzeba zauważyć, że Pohl napisał trylogię zanim powstała firma Apple czy Microsoft.

Również z teoriami naukowymi Pohl był na bieżąco, a nic mnie tak nie wkurza, jak science fiction bez nauki — tu jest podana w sposób przystępny i w odpowiednich proporcjach.

Cała Saga opiera się na pomyśle, że wysoce rozwinięta cywilizacja Heechów, mająca wpływ na to, że australopiteki zeszły z drzewa, miało oko na wiele innych dobrze zapowiadających się gatunków w galaktyce. Ich cywilizacyjnym credo była ochrona wszelkiego życia w dostępnej przestrzeni. Ale nagle pojawiło się ogromne zagrożenie z zewnątrz i Heechowie zamknęli swoje placówki i ukryli się w czarnej dziurze (jak mysz uciekająca przed kotem). Pozostawili jednak sporo swojego sprzętu do monitoringu, który przetrwał do czasu, gdy Ziemianie ostrożnie i nieudolnie wyruszyli badać swój układ słoneczny. Natykają się oczywiście na artefakty Heechów i krok po kroku zdobywają wiedzę o nich, nieświadomi tego, że po galaktyce hasa w najlepsze zło. Człowiekiem, który w tej historii odgrywa

znaczną rolę jest Robinette Broadhead, biedak ze slumsów, który dzięki szczęściu i determinacji staje się najważniejszym człowiekiem na świecie. W dodatku do majątku dochodzi po trupach innych, więc poczucie winy, wyrzuty sumienia oraz chęć naprawienia wyrządzonego przez siebie zła, czynią zeń niezły materiał ludzki na bohatera pozytywnego. Co Pohl umiejętnie wykorzystuje.

Te wszystkie elementy składają się na niewątpliwie jedną z najlepszych opowieści science fiction wszech czasów, którą z ręką na sercu mogę Państwu gorąco polecić.

Wojciech Sedeńko